ZNAK

MIESIĘCZNIK

GŁOS MAJĄ BEZIMIENNI
DLACZEGO WIERZĘ?
DLACZEGO WĄTPIĘ?

TEKSTY ANKIET I OMÓWIENIE

KRAKÓW
LUTY – MARZEC (2-3)
Rok XV 1963
104-105

REDAGUJE ZESPÓŁ

Hanna Malewska, Maria Morstin-Górska, Stefan Swieżawski, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski, Jerzy Zawieyski.

Redaktor Naczelny: **Hanna Malewska**
Sekretarz Redakcji: **Halina Bortnowska**

Adres redakcji: Kraków, Sienna 5, I p., tel. 256-84
Sekretariat czynny w godz. 10—15
Redakcja przyjmuje w godz. 13—15

Adres administracji: Kraków, Wiślna 12, I p. tel. 213-72
Administracja przyjmuje w godz. 9—13.

Cena zeszytu zł 12.—

Prenumerata:

krajowa		zagraniczna	
kwartalnie . . . . „	36.—	kwartalnie . . . . „	50.40
półrocznie . . . . „	72.—	półrocznie . . . . „	100.80
rocznie . . . . . „	144.—	rocznie . . . . . „	201.60

Zamówienia i przedpłaty przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Wpłaty na konto administracji Kraków, Wiślna 12, PKO nr 4-14-831.

Prenumerować można również przez urzędy pocztowe i listonoszy, oraz wpłacając na konto „Ruchu" Kraków, Worcella 6, PKO nr 4-6-777.

Prenumeratę zagraniczną należy wpłacać na konto PKWZ „Ruch" Warszawa, ul. Wilcza 46 — PKO 1-6-100024.

Egzemplarze archiwalne „Znaku" nabywać można w **Administracji miesięcznika „Znak", Kraków, ul. Wiślna 12** oraz w następujących księgarniach:

Katowice: Księgarnia św. Jacka, ul. 3 Maja 18; **Kraków:** Księgarnia Krakowska, ul. św. Krzyża 13; **Łódź:** Księgarnia „Czytaj" ul. Narutowicza 2; **Poznań:** Księgarnia św. Wojciecha, Pl. Wolności 1; **Warszawa:** Księgarnia św. Wojciecha, ul. Freta 48; **Wrocław:** Księgarnia Archidiecezjalna, ul. Katedralna 6.

Maszynopis otrzymano 29 XII. 1962 Druk ukończono w marcu 1963
Zam. nr 444, 29 XII. 1962 Nakład 7.000+350 egz. F-10
Format A-5 Papier druk. sat. kl. VII 61×86 60 g Ark. druk. 13

Krakowskie Zakłady Graficzne Zakład 7 — Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95

ZNAK
MIESIĘCZNIK
ROK XV Nr 104–105 (2-3)
Luty–Marzec 1963
KRAKÓW

Ks. ANDRZEJ BARDECKI

GŁOS MAJĄ BEZIMIENNI

AMBICJĄ każdej zaangażowanej i odpowiedzialnej publicystyki jest nie tylko opisywanie i komentowanie otaczającej nas rzeczywistości, lecz przede wszystkim usilne dążenie do ulepszania i zmieniania świata, w którym żyjemy. Wymaga to od ludzi pióra bez wątpienia posiadania pewnych cech charakteru i uzdolnień. Ale to nie wszystko. Tylko wtedy bowiem publicystyka staje się prawdziwie skuteczna, kiedy opiera się na stałym sondażu opinii publicznej, na systematycznym „rozpoznawaniu terenu". W przeciwnym bowiem razie może się wytworzyć taka sytuacja, że „stacja nadawcza" zacznie nadawać swoje audycje na takich długościach fal, jakich nie chwytają już „odbiorniki" czytelników. Wówczas następuje tragiczne „mijanie się" i *gros* wysiłku publicystycznego idzie na marne. Stąd najlepsza nawet intuicja publicystów i ich zdolności improwizatorskie nigdy nie potrafią zastąpić szczerego i systematycznego dialogu redakcji z czytelnikami.

O tych sprawach stara się również pamiętać „Tygodnik Powszechny" i dlatego organizuje od czasu do czasu rozmaite ankiety, konkursy, dyskusje. Przypomnijmy najważniejsze tego rodzaju imprezy z okresu kilku ostatnich lat. A więc: „Moi rodzice"; cykl artykułów dyskusyjnych pt.: „Jaki jest katolicyzm polski?"; konkurs Spodka: „Siedem dni życia" i obecny: „Nas dwoje"; następnie ankieta o „Tygodniku Powszechnym" i druga — „Czego oczekuję od Soboru Powszechnego?"

Obecny numer „Znaku" poświęcony jest omówieniu jednej z niedawnych tego rodzaju akcji „tygodnikowych", a mianowicie ankiecie na temat: „Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę?" Wydaje się, że materiały, jakie dzięki tej właśnie ankiecie napłynęły do redakcji są szczególnie interesujące i cenne. Pozwalają one bowiem

poznać lepiej strukturę wiary religijnej współczesnego polskiego katolika-inteligenta. Ankieta, o której mowa, była tak pomyślana, aby uczestnicy jej nie ograniczyli się tylko do opisania aktualnego kształtu swej wiary, swego „punktu dojścia", lecz przedstawili również drogę, jaką przebyli. Mamy więc tutaj do czynienia z podobnym podejściem jak w psychologii rozwojowej, która przedstawia psychikę ludzką nie w ujęciu statycznym lecz dynamicznym, bada życie psychiczne w jego aspekcie ewolucyjnym. Współczesna psychologia religii zwraca również uwagę na fakt, że wiara religijna jest rzeczywistością żywą, podlegającą prawom rozwoju i wzrostu, ale także prawom zamierania; posiada ona swoje przypływy i odpływy. Co więcej — w wierze współczesnego człowieka dominuje jakieś ustawiczne poszukiwanie, odnajdujemy w niej niekończący się łańcuch pytań i odpowiedzi.

* * *

Dziewięćdziesiąt kilka procent odpowiadających na ankietę: „Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę?" to ludzie wierzący. Jest to zresztą zrozumiałe, ponieważ olbrzymia większość czytelników „Tygodnika Powszechnego" przyznaje się do katolicyzmu. Ks. dr Marian Jaworski, wykładowca filozofii religii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i w Wyższym Seminarium Duchownym w Krakowie, który opracował i obszernie omówił te materiały ankietowe, podkreśla z całym naciskiem, że nie jest to jednak wiara łatwa, niejako „mechanicznie" odziedziczona po przodkach i „wyuczona" w domu rodzinnym. W dzisiejszym świecie — nie tylko w Polsce — taka formacja wiary religijnej staje się coraz bardziej anachronistyczna, po prostu nie bardzo jest już na nią miejsce. Pluralizm światopoglądowy współczesnego społeczeństwa zmusza bowiem niejako każdego, a zwłaszcza inteligenta — (zaznaczmy tu nawiasem, że ok. 60 proc. odpowiadających na ankietę to ludzie o wyższym wykształceniu) — do poważnej konfrontacji swoich wierzeń religijnych z założeniami i twierdzeniami innych światopoglądów, a zwłaszcza światopoglądu materialistycznego.

Minęły już czasy, kiedy to prawdy wiary i religijne normy moralne przyjmowano powszechnie jako coś samo przez się oczywistego i koniecznego. Religia przestała być obecnie czymś bezspornym. Zakwestionowano jej prawdziwość i znaczenie, podobnie jak i słuszność wielu religijnych nakazów moralnych. W tej sytuacji, kiedy nad religią postawiono duży znak zapytania, człowiek wierzący nie może sobie pozwolić na „luksus" wiary opartej na tradycji i uczuciu. To stanowczo dzisiaj już nie wystarcza. Dla-

tego katolicyzm współczesny staje się coraz bardziej katolicyzmem z wyboru, wyboru bardzo świadomego, poprzedzonego często długim szukaniem i wielu wątpliwościami. Stąd wydaje się, że w omawianej ankiecie zabrakło jeszcze jednego, czwartego pytania: „dlaczego powracam?" Wielu bowiem z tych, którzy odpowiadali na pierwsze pytanie: „dlaczego wierzę?" *de facto* oddalili się lub nawet odeszli od swojej wiary, potem jednak do niej powrócili, wzbogaceni o nowe cenne doświadczenia, silniejsi i bardziej duchowo odporni. Wielka wartość omawianych tutaj materiałów ankietowych polega m. in. na tym — jak sądzę — że weryfikują one właśnie tezę, iż wiara współczesnego człowieka staje się coraz bardziej wiarą z wyboru.

Ks. Jan Piwowarczyk pisał niegdyś w jednym ze swoich artykułów o „ufilozoficznieniu" życia w Polsce współczesnej. Owo „ufilozoficznienie" zauważymy również studiując uważnie omawiane materiały ankietowe. Można by w nich wyodrębnić kilka grup motywów rozumowych, którymi respondenci ankiety uzasadniają swoją postawę religijną. Na pierwsze miejsce wysuwa się poszukiwanie sensu życia; następnie przekonanie, że religia stanowi cenną wartość życiową, zwłaszcza jako oparcie dla norm etycznych i jako źródło głębokiej radości życiowej; dla wielu uczestników ankiety uzasadnienie ich wiary w Boga płynie z rozumowania opartego o zasadę przyczynowości: porządek, harmonia, ład i celowość otaczającej nas rzeczywistości biofizycznej domagają się jakiegoś metafizycznego, ostatecznego wyjaśnienia.

Dużą rolę w uzasadnieniu postawy religijnej uczestników ankiety odgrywa również autorytet Chrystusa, z którym spotkali się oni na kartach Ewangelii. Podobnie duży wpływ wywarł autorytet Kościoła, pojmowanego zresztą głęboko i uniwersalnie.

Według danych współczesnej psychologii religii wiara jest aktem, w którym bierze udział cała osoba ludzka, wszystkie jej władze psychiczne. Nie tylko rozum, ale również wola i sfera uczuciowo-emocjonalna. Stąd powodem odchodzenia od religii są nie tylko czynniki natury intelektualnej, lecz również — wolitywno-emocjonalnej, jak np. trwały konflikt wewnętrzny z religijnymi normami etycznymi, zgorszenie postępowaniem pewnych osób duchownych, itp. Wypowiedzi ankiety na pytanie „dlaczego odchodzę" to potwierdzają. W akcie wiary występuje ponadto tajemniczy czynnik „X" wymykający się ścisłym badaniom psychologicznym. Człowiek wierzący może dopatrywać się tu działania Łaski. I w tej sprawie również odpowiedzi ankietowe dostarczają bardzo interesującego materiału.

* * *

Głównym hasłem odbywającego się Soboru jest *accomodata renovatio Ecclesiae*, przystosowane odnowienie Kościoła, odnowienie przede wszystkim metod i form pracy duszpasterskiej uwzględniającej potrzeby, problemy i specyfikę współczesnego świata i współczesnego człowieka. Nie jest to zresztą zagadnienie nowe. Po drugiej wojnie światowej rozwinęły się poważnie w wielu krajach zachodnich badania z dziedziny socjologii i psychologii religii organizowane przez naukowe instytuty katolickie. Dzięki tym badaniom władze kościelne otrzymują stale bogaty materiał dokumentarny o charakterze statystyczno-psychologicznym, który znakomicie ułatwia długofalowe planowanie duszpasterskie, bowiem *aby skutecznie działać, trzeba dokładnie wiedzieć* — jak wyraził się papież Pius XII.

W tym świetle wyniki ankiety: „Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę" mogą posiadać również poważne znaczenie dla pracy duszpasterskiej w Polsce.

Ks. Andrzej Bardecki

Ks. MARIAN JAWORSKI

DLACZEGO WIERZĘ, WĄTPIĘ, ODCHODZĘ?

I. WSTĘP

1. GENEZA ANKIETY I JEJ CEL

Redakcja „Tygodnika Powszechnego" w nrze 38 (608) z 18 września 1960 r. ogłosiła ankietę pt. *Dlaczego wierzę? wątpię? odchodzę?* Podkreślając na początku zapowiedzianej ankiety zmiany zachodzące w formacji katolicyzmu polskiego i kontrowersje na ten temat zarówno w prasie katolickiej, jak i niekatolickiej, Redakcja „ T. P." pragnęła *uzyskać możliwie obfity materiał, dający chociażby niepełną, ale autentyczną odpowiedź na pytanie: jak jest naprawdę?* Redakcja „T. P." zwracała dalej uwagę na pewnego rodzaju wieloznaczność pytań ankietowych — a tym samym możliwość różnych ich interpretacji. Tego rodzaju sformułowanie dopuszczało olbrzymią skalę rozpiętości możliwych odpowiedzi, a o to właśnie chodziło inicjatorom ankiety, pragnącym *zapoznać się z argumentacją różnych postaw religijno-moralnych, z doświadczeniami i poglądami, które każdy z nas dźwiga przez życie, wymieniając je, tracąc lub utwierdzając się w ich posiadaniu.* — Termin nadsyłania wypowiedzi wyznaczony został na 1 grudnia 1960 r.

W nr 45 (615) „T. P." z 6 listopada 1960 r. pt. *Ankieta trwa — Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę* opublikowano (we fragmentach) niektóre z nadesłanych wypowiedzi ankietowych, które wydały się w pierwszym czytaniu charakterystyczne. Wybór zawierał 12 wypowiedzi — i jak stwierdzała nota redakcyjna, był w dużym stopniu przypadkowy. Nota redakcyjna dodawała, że *niejedna z tych wypowiedzi może się wydać szokująca w swym krytycyzmie pod adresem katolicyzmu i Kościoła, czy form jego życia.*

Jakkolwiek redakcja zaznaczała, że pełniejsze opracowanie materiału i odpowiednie wnioski będą możliwe później (do 6 listopada 1960 r. wpłynęło ok. 300 wypowiedzi), zamieszczony wybór został

potraktowany przez pewien odłam zainteresowanych jako szukanie sensacji a nie rzeczowe rozpoznanie terenu.

W nr 48 (618) z 27 listopada 1960 r. przedłużono termin nadsyłania wypowiedzi ankietowych o miesiąc, tj. do 31 grudnia 1960 r. Po zapadnięciu terminu ukazał się w „T. P." (nr 2 (624), z 8. I. 1961) jeszcze jeden wybór ankiet (6 wypowiedzi) pod tytułem: *Dlaczego wierzę*. Nota redakcyjna informowała, że ogółem nadesłanych zostało 843 wypowiedzi rozmaitej objętości, od parozdaniowych uwag do liczących kilkadziesiąt stron rękopisu. Inicjatorzy ankiety stwierdzali dalej, że nadesłany materiał spełnił ich nadzieje, *ponieważ w żywy, autentyczny i nieschematyczny sposób opowiada o indywidualnych spotkaniach, rozłąkach lub trwałej przyjaźni z Bogiem ludzi nam współczesnych, żyjących w Polsce.*

Po „Tygodniku Powszechnym" „Znak" (nr 79) w numerze poświęconym specjalnie problematyce wiary zamieścił głosy z ankiety „T. P." (6 wypowiedzi) pt. *Powrót do Boga.*

Jak przedstawia się obecnie podsumowanie ankiety? Ile nadesłano wszystkich wypowiedzi? Co można powiedzieć na temat ich szczerości? Kto zabierał w niej głos? (z jakich środowisk nadesłano wypowiedzi, więcej kobiet czy mężczyzn, pokolenie młodsze czy starsze?), na które z pytań było najwięcej wypowiedzi? Jaka z uświadomionych motywacji występuje stosunkowo najczęściej? Jakiego rodzaju są wątpliwości i trudności w wierze? Powody odejścia? Oto niektóre z pytań, nasuwających się w związku z omawianą ankietą, na które stopniowo postaramy się odpowiedzieć.

Wszystkich wypowiedzi nadesłano 862 (część już po upływie przedłużonego terminu). Mężczyzn było 465, kobiet 397. Wiek podało 680 osób. Kształtuje się on następująco:

13	osób	do lat 20
124	„	od lat 21—30
147	„	od lat 31—40
127	„	od lat 41—50
102	„	od lat 51—60
114	„	od lat 61—70
47	„	od lat 71—80
6	„	od lat 81—90

Wykształcenie udało się ustalić u 703 osób. Z tego:

samouków było trzech,
z wykszt. podstawowym — 48 osób,
z wykszt. średnim — 243 osoby,
z wykszt. wyższym — 409 osób.

2. CHARAKTER WYPOWIEDZI

Nie ulega wątpliwości, że od charakteru wypowiedzi, a mianowicie od ich szczerości, prawdziwości, trafności zależy cała wartość zainicjowanej ankiety. — Jak już zaznaczono na wstępie, sformułowanie pytań ankiety pozostawiało dużą swobodę interpretacyjną. Dawało to tę korzyść, że uczestnikom ankiety nie sugerowano żadnej motywacji, z drugiej jednak strony powstawało ryzyko, czy intencje inicjatorów ankiety zostaną dobrze odczytane. — W rezultacie nadesłane odpowiedzi są niezwykle zróżnicowane tak pod względem objętości jak i ujęcia. Kilkuzdaniowe odpowiedzi sąsiadują z obszerniejszymi autobiografiami duchowymi. O wszystkich jednak odpowiedziach, prawie bez wyjątku, można powiedzieć, że odznaczają się dużą bezpośredniością i szczerością. Pełna anonimowość ankiety umożliwiła — co mogą już stwierdzić ci, którzy czytali wypowiedzi drukowane w „Tygodniku Powszechnym" czy „Znaku" — dzielenie się nieraz swoimi najbardziej intymnymi przeżyciami i wydarzeniami, które w ten czy w inny sposób wiązały się z dziedziną ich życia religijnego. O bezpośredniości i szczerości odpowiedzi świadczy m. in. to, że biorący w niej udział przyznają się, że są zaskoczeni tak prostymi zda się pytaniami ankiety, że trudno im od razu odpowiedzieć i że odpowiedź na ankietę jest równocześnie obrachunkiem dla samego siebie.

Tak np. pracownik naukowy (l. 34, a. 767) pisze:

> *W odpowiedzi rzucę trochę nieuporządkowanych myśli. Inaczej nie mogę, bo zrobienie rachunku za całe życie dotychczasowe jest niezmiernie trudne...*

Niektórzy przyznają się do buntu spowodowanego pytaniami ankiety, domagającymi się wywnętrzania:

> *Przyznam się, że mocno mnie zaskoczyło tego rodzaju pytanie. To właśnie spowodowało, że tak długo ociągałem się z wzięciem udziału w ankiecie. Buntowałem się po prostu przeciwko tego rodzaju imprezie, która zmusza do wywnętrzania się z tego, jak się doszło do wiary i dlaczego się wierzy* (l. 42, wykszt. średnie, a. 587).

Ktoś inny zaś stwierdza:

> *Zdaję sobie sprawę z tego, że szczere i osobiste wyznanie na pytanie „dlaczego wierzę" wymaga niemałej odwagi* (a. 594).

Przeczytanie 862 odpowiedzi ankietowych, z których sporo liczyło dobrych kilka stron, a często więcej (nawet kilkadziesiąt), wymagało dość długiego czasu. Nie można było nad nimi „przele-

cieć", należało wczytać się, wydobyć z każdej zawarte w niej motywy wierzenia w Boga, odnotować, jeżeli były wątpliwości i ich rodzaj, także u tych, którzy odeszli. — Po lekturze odpowiedzi ankietowych należy jednak stwierdzić, że nie zawierają one wyuczonych teorii na temat wiary w Boga, ale własne próby uzasadnienia aktu wiary. Spotykamy się więc nie z teoriami, które do niczego czasami nie zobowiązują, ale z odpowiedziami egzystencjalnymi, za którymi stoi cały człowiek. — Możemy powiedzieć, że nie uzasadnia się tu wiary w ogóle, nie tłumaczy się sensu świata i życia ludzkiego, ale zdaje sprawę ze swojej wiary, tłumaczy się swój świat, w którym się uczestniczy i życie, które jest własnym. — I to właśnie jest niesłychanie cenne.

3. METODA OPRACOWANIA

W odpowiedziach ankietowych kilkakrotnie można się było spotkać z zapytaniem: jak redakcja poradzi sobie z opracowaniem tak bardzo różnorodnego materiału.

Otóż ankieta nie została opracowana według tak często dziś stosowanych kryteriów socjologicznych: środowiska, zawodu, wykształcenia itp. Biorąc pod uwagę przemieszanie społeczne, z jakim spotykamy się obecnie, kiedy bardzo trudno mówić o wyodrębnionych i wyraźnych granicach poszczególnych środowisk, ze względu na różnorodność wykształcenia i zawodów (humaniści, przyrodnicy, lekarze, technicy), z których żaden nie dominował nad pozostałymi, i wreszcie — ze względu na podobieństwo postaw we wszystkich grupach i przekrojach, materiał ankietowy został opracowany z innego punktu widzenia.

Uwzględniając ponadto, że w odpowiedziach ankietowych nie wypowiadał się lekarz jako lekarz, czy technik jako technik, ale że do głosu dochodził pierwiastek wspólny, spontaniczne, przednaukowe poznanie człowieka dojrzałego (na szczególną wartość tego poznania kładzie dzisiaj nacisk metoda fenomenologiczna i jest to jej duża zasługa) i nie chcąc ulec „przesocjologizowaniu" czy też zbytniemu psychologizmowi na tym odcinku, postanowiliśmy pokazać, jak przedstawia się struktura aktu wiary od strony zjawiskowej, i które z elementów tej struktury mocniej są obecnie zaakcentowane. Jest to oczywiście coś więcej aniżeli tylko zwrócenie uwagi, jakie motywy psychologiczne w danych warunkach kształtują postawę religijną. — Chodzi więc o pewnego rodzaju fenomenologię aktu wiary, z uwzględnieniem jednak jego współczesnego zabarwienia.

Ogólnie tylko można zauważyć, że u kobiet charakter wypowiedzi jest bardziej przeżyciowy i subiektywny. Konkretne zdarzenia

i ludzie odgrywają nieraz decydującą rolę i dlatego też chyba ich odpowiedzi są często autobiograficzne. U mężczyzn spotykamy mniej momentu autobiograficznego, raczej tylko dane dotyczące wieku, wykształcenia, z tym znowu, że u osób z wyższym wykształceniem spotykamy się z bardziej refleksyjnym ujęciem, aniżeli u osób, które posiadają wykształcenie średnie lub tylko zawodowe. I jeszcze jeden moment zdaje się przebijać z odpowiedzi ankietowych: u ludzi starszych, którzy przeszli już różne walki życiowe, różne odejścia i powroty, którzy dzisiaj patrzą już nawet na swoje wydarzenia życiowe z pewnej perspektywy, nie będąc w nie bezpośrednio uwikłanymi, konkluzja wiary staje się bardziej oczywista, sama przez się jakoś zrozumiała.

I jeszcze jedna uwaga. Wniosków wysnuwanych na podstawie ankiety na temat katolicyzmu w Polsce nie chcemy zbytnio uogólniać. Wypowiedzi ankietowe są reprezentatywne przede wszystkim dla tych grup, do których dociera „Tygodnik Powszechny" i których członkowie chcieli wziąć udział w ankiecie. Następnie dopiero są one reprezentatywne dla szerszych warstw, jako że uczestnicy ankiety nie stanowią zamkniętej w sobie enklawy.

II. DLACZEGO WIERZĘ?

1. GŁÓWNE MOTYWY AKTU WIARY

Wśród deklarujących się jako osoby wierzące dało się wyodrębnić następujące motywy aktu wiary. (W jednej odpowiedzi podawano zresztą po kilka motywów):

a. W p ł y w w y c h o w a n i a na kształtowanie się wiary podkreślony został wyraźnie u mężczyzn 133 razy, u kobiet 132. Razem 265.

b. P o s z u k i w a n i e s e n s u ż y c i a jako racja tłumacząca postawę religijną zaznaczyło się w wypowiedziach ankietowych niezwykle mocno. Akcent ten towarzyszy znakomitej większości ankiet. W charakterze zaś jednej z głównych motywacji występuje u mężczyzn 95 razy, u kobiet 84 razy. Razem 179.

c. A r g u m e n t a c j a r o z u m o w a za wiarą w Boga u mężczyzn występuje 218 razy, u kobiet 118 razy. Razem 336.

d. Ś w i a d o m o ś ć w i a r y j a k o ł a s k i zaznaczyła się równie dobitnie, jak ów akcent poszukiwania sensu życia. Wyraźnie, w postaci zasadniczej motywacji, wystąpiła ona 54 razy u mężczyzn, 56 u kobiet. Razem 110.

e. D o ś w i a d c z e n i e r e l i g i j n e jako osobiste przeżycie religijne w różnych postaciach zaznaczone zostało u mężczyzn 106 razy, u kobiet 137. Razem 243.

Ale wymienione motywy wraz ze swym wskaźnikiem liczbowym nie oddają jeszcze w pełni swojego znaczenia. Ukryte jest ono w poszczególnych wypowiedziach podciągniętych pod wspólne miano. Dopiero wgląd w wypowiedzi może nam w sposób pełniejszy ukazać, co i w jaki sposób kształtuje proces wierzenia współczesnych katolików.

Wymienione jednak postawy wierzeniowe ukazują od razu jedną znamienną prawdę: wiara to coś więcej aniżeli tylko system racjonalnie uzasadnionych twierdzeń. Analiza świadomości religijnej wskazuje, że uczestnicy ankiety odpowiadając na pytanie „dlaczego wierzę", podają nie tylko racje rozumowe, ale mówią przecież i o znaczeniu wychowania religijnego, i o przeżywaniu wiary jako łaski, i o osobistym doświadczeniu religijnym. Podkreślając wartość religii w ogóle dla życia, wskazują tym samym na kulturotwórczą rolę religii. Stąd też w odpowiedziach nie ma lęku przed zagrożeniem religii przez współczesną kulturę, ale raczej pewne zaufanie do przyczynowego oddziaływania religii na życie człowieka. Odpowiedzi ankietowe ukazały więc — jak będzie to jeszcze można zobaczyć lepiej — że religia jest jak najbardziej sprawą całego człowieka.

a. WYCHOWANIE RELIGIJNE A RELIGIJNOŚĆ Z WYBORU

Prawie wszyscy wierzący uczestnicy ankiety stwierdzają, że wiarę w mniejszym lub większym stopniu wynieśli z domu, ze środowiska, w których się wychowywali lub uczyli. Pod tym względem geneza wiary przedstawia się więc dość jednoznacznie. Czy oznacza to jednak, że tradycja, autorytet wychowania, stanowi główne uzasadnienie wiary? Czy zatem jest to religijność tradycyjna, „zapamiętana", czy też religijność z wyboru?

Na podstawie wypowiedzi ankietowych stwierdzić należy stanowczo, że dzisiaj religijność inteligencji polskiej nie jest już w przeważającej liczbie oparta na tradycji. To prawda, że autorytet rodziny, środowiska, jest w dużej mierze pierwszą cegłą położoną pod religijną postawę, ale nie on jest zasadniczym elementem, który tę postawę utrzymuje i spaja. Tylko wyjątkowo — i to u osób starszych, które znaczną część swojego życia spędziły w atmosferze dalekiej od wstrząsów ideologicznych, można dostrzec pewien wewnętrzny związek pomiędzy życiem wiary ich rodziców, środowiska, w którym wzrastali a ich własnym. U znakomitej większości uczestników ankiety spotykamy się natomiast ze zjawiskiem zupełnie innym: z samodzielnym przeszczepieniem religijności, w której zostali wychowani, na grunt osobistego życia, co więcej, u niektórych spotykamy krytyczne uwagi pod adresem

rodziny czy środowiska, które uznawało za coś oczywistego fakt posyłania dzieci do kościoła, na religię, fakt przygotowywania do Sakramentów, ale samo było religijne tylko *de nomine*, zewnętrznie, od święta. Właściwie więc mamy do czynienia prawie zawsze z osobistym wyborem i własną decyzją. Wybór taki ma miejsce w różnych etapach życia, ale zawsze jego punktem wyjścia jest rodząca się dopiero lub paląca potrzeba uzasadnienia prawdziwości religii katolickiej, a w niektórych wypadkach jedynie potrzeba uzasadnienia — ogólnie mówiąc — religijnego widzenia świata.

Mężczyzna z wykształceniem wyższym, pochodzenie robotnicze, tak m. in. kreśli historię swojej wiary:

> *Okres okupacji, wstrząs związany z utratą niepodległości, praca konspiracyjna i wytężona praca naukowa — szczególnie ta ostatnia — doprowadziły do przełomu, w którym tradycyjna i uczuciowa wiara młodzieńcza przerodziła się w opartą o rozumowe argumenty wiarę człowieka dojrzałego.*

Pracownik naukowy (a. 582) pisze:

> *Wierzę, że Bóg istnieje i z tego wypływają dalsze konsekwencje, ale dlaczego wierzę? Prawdy wiary poznawałem jako dziecko i wtedy przyjąłem na autorytet dorosłych, nie kwestionując, ale nigdy od tej wiary nie odszedłem i z biegiem lat stała się ona sprawą własną i potwierdzoną moim wyborem.*

Kobieta (l. 66, wykszt. niepełne wyższe, a. 585) pisząc, że *wiara musi mieć oparcie w samodzielnym myśleniu* i że *wiara jest przede wszystkim łaską, która obdarzyła ją dobrą wolą poszukiwania w kierunku potwierdzenia Najwyższej Prawdy,* tak charakteryzuje stosunek wiary otrzymanej do wiary z własnego wyboru:

> *Moja wiara młodzieńcza, choć szczera, oparta była raczej na tradycjach, oraz tylko na przykładzie mojej matki i babki.... Wiara oparta na wyżej wspomnianych podstawach mogła trwać w swej nienaruszonej postaci tylko do pewnego czasu. Po skończeniu szkoły średniej zaczęły w mym umyśle powstawać w zakresie wiary różne problemy i wątpliwości. ...Dzięki własnej pracy myślowej, a obecnie po II wojnie światowej, naukom wykształconego duchowieństwa, artykułom światopoglądowym prasy katolickiej, które godzą naukowy światopogląd ze światopoglądem chrześcijańskim, wyjaśnieniom inteligentnych spowiedników, wierzę we wszystko, w co świadomy katolik wierzyć powinien.*

Ponieważ jednak akt wiary nie jest tylko poznaniem, ale implikuje odpowiednie postępowanie, stąd konieczność wyboru egzystencjalnego, potwierdzanego czynem religijnego życia. Świadomość tego znajdujemy np. w ankiecie 587 (mężczyzna l. 42):

Ale odziedziczyć coś po rodzicach to jeszcze nie wszystko. Trzeba tej „spuścizny" stale strzec — trzeba ją przez całe życie wzbogacać przez modlitwę, miłość bliźniego, umartwienie, kontemplację, dobre uczynki.

Przyjęcie wiary na drodze tradycji, wychowania, autorytetu rodziców czy księdza, a także na podstawie autorytetu innych ludzi, których n. b. uważa się za bardziej kompetentnych w dziedzinie religijnej, nie zawsze w jednakowym stopniu narzuca potrzebę samodzielnego przebadania własnej postawy.

Psychologia religii wskazuje jednak, że religijność oparta na autorytecie wcale jeszcze sama przez się nie oznacza mniej wartościowej postaci życia religijnego [1]. Można mówić o autentycznym przeżyciu religijnym opartym na autorytecie, kiedy dana osoba w wolnej decyzji uważa ten autorytet dla siebie za wiążący. Decyzja co do wartości religii, co do jej prawdziwości opiera się wtedy nie tyle na własnej ocenie, co na ocenie kogoś trzeciego. W takich wypadkach mamy zresztą do czynienia z powszechną ekonomiką naszego życia duchowego — nie wszystko sami jesteśmy w stanie osobiście poznać i doświadczyć. Tak więc w wypowiedziach ankietowych spotykamy się np. z następującym tłumaczeniem swej postawy religijnej opartej m. in. na autorytecie: *przeświadczenie innych ludzi (np. intelektualistów i uczonych katolickich) o słuszności ich postawy światopoglądowej i życiowej jest i dla mnie wewnętrznie wiążące.* W takim oparciu się o autorytet innych ludzi nie zostają jednak wyeliminowane racje rozumowe. Bo rozumowanie to ma swój dalszy ciąg: *ci ludzie ze względu na swoją osobistą uczciwość i większe ode mnie kompetencje intelektualne (filozoficzne, w zakresie nauk szczegółowych, teologii) zasługują na zaufanie. Jeżeli oni wierzą, a mnie nie stać na przebadanie wszystkich spraw wiary, gdyż jestem zagoniony, mam braki w wykształceniu religijnym, nie znam się na filozofii, w takim razie postąpię roztropnie polegając na ich zdaniu. Starają się oni przecież uzasadniać swoją postawę światopoglądową odpowiednimi racjami, a przede wszystkim własną postawą życiową.*

Wynikiem takiego rozumowania jest oparcie się o autorytet ojca, matki lub katechety (m in. wymieniano nazwiska księży: abpa Teodorowicza, Lutosławskiego, Szwejnica, Detkensa, J. Rostworowskiego) w latach młodzieńczych, później o autorytet wybitniejszych myślicieli, naukowców. Odpowiadający na ankietę powołują się nawet na zespół redakcyjny „Tygodnika Powszech-

[1] Por. Wincenty Kwiatkowski, *Wyniki badań eksperymentalnych z psychologii religii za okres pięćdziesięciu lat*, w „Collectanea Theologica", R. XXIX, t. I—IV, s. 199—200.

nego". Pomijając autorytet Kościoła, który uczestniczy z swej wewnętrznej istoty w autorytecie Bożym, „Tygodnik Powszechny" cytowany jest w ankiecie jako jedyny aktualny autorytet „zbiorowy". Cechą charakterystyczną wszystkich innych wymienionych autorytetów jest wyraźna ich personalizacja, „ukonkretnienie": zawierza się osobie, człowiekowi, a nie — instytucji, organizacji, jakiejkolwiek zbiorowości. (Natomiast jeśli chodzi o przeszłość, uczestnicy ankiety wielokrotnie podkreślają wpływ szkół czy zakładów prowadzonych przez instytucje religijne — zakonne).

Autor wypowiedzi nr 108, zanim poda obecne racje skłaniające go do wierzenia, pisze:

Lata młodzieńcze, szkoła średnia typu humanistycznego, im. St. Staszica w Warszawie wywierają decydujący wpływ na mój światopogląd w ogóle, a w szczególności światopogląd religijny, który kształtuje się prawie do matury pod wpływem przezacnego choć trochę rubasznego ks. prefekta Alfonsa Trepkowskiego. Że wierzę tak a nie inaczej, że jestem całym sercem przywiązany do Kościoła Katolickiego (mimo tylu objawów dewocji, w znaczeniu bigoterii i gorszącego przykładu na szczęście nielicznych złych księży), to przede wszystkim jego zasługa.

Niektórzy domagają się pomocy od tych, którzy są bardziej kompetentni. Jedna z uczestniczek (l. 36, wykszt. wyższe, a. 140) po stwierdzeniu, że do przezwyciężenia trudności o charakterze „podbudowy teoretycznej" dla religii *przyczyniły się walnie wykłady materializmu dialektycznego* i po nakreśleniu własnego wysiłku tak pisze:

Chciałabym jeszcze dodać jedną prośbę.... Bo przecież jasną rzeczą jest, że do tych wszystkich wniosków nie doszłam zupełnie samodzielnie, że konieczne są nie tylko kazania, konferencje czy wykłady, ale przede wszystkim lektura. Pomóżcie znaleźć młodym odpowiednie książki, wskażcie autorów.

Co więcej, ludzie naprawdę religijni są świadectwem Bożej prawdy i pomagają odnaleźć Boga wśród zastrzeżeń i wątpliwości. Studentka (l. 25, a. 116) stwierdza:

Tak się jednak złożyło, że spotkałam kilku ludzi, którzy byli z Nim bardzo blisko. Ich życie było świadectwem Jego prawdy. Ten namacalny konkret był początkiem mego „odnalezienia". Sądzę, że wielu ludzi wątpi i odchodzi właśnie dlatego, że nie spotkali w swoim życiu — w pewnym okresie — „żywych świadectw Boga". Oczywiście — zdaję sobie sprawę, że droga „przez konkret" nie jest drogą jedyną, ani konieczną — nie

jest też pewnie drogą najdoskonalszą — a jednak jest bardzo ludzka i bardzo naturalna. Myślę, że On się tą drogą lubi posługiwać — tym większa nasza odpowiedzialność.

Rola autorytetu zaznacza się także, gdy chodzi o rozumienie treści wiary. Matematyczka (l. 26, a. 337) tak pisze:

Jeśli chodzi o różne poszczególne zagadnienia dogmatyczne, to uważam, że byli i są ludzie stokroć ode mnie mądrzejsi, którzy tymi sprawami dogłębnie się zajmowali i ufam, że wnioski ich o prawdziwości tych spraw w ujęciu katolickim są właściwe. Wydaje mi się, że ponad ludzkie siły byłoby osobiste badanie i rozpatrywanie każdego zagadnienia religijnego i do niczego w końcu nie doprowadziłoby i szczęścia by nikomu nie dało.

W tych ostatnich odpowiedziach spotykamy już nie tylko oparcie się na autorytecie, które posiada jakieś swoje racje uzasadniające a nie tylko uczuciowe, ale pewnego rodzaju zazębianie się samodzielnego poszukiwania w granicach sobie dostępnych i polegania na autorytecie tam, gdzie czyjeś kompetencje są pełniejsze od własnych.

b. SENS ŻYCIA

Punktem wyjścia dla postawy religijnej — nie w sensie genetycznym ale psychologicznym, teoriopoznawczym — jest niewątpliwie świadomość, w różnych aspektach, czy to skończoności własnej egzystencji czy też rzeczywistości nas otaczającej [2]. Tak np. pracownik naukowy (l. 34, a. 767) pisze:

Właściwie to uświadomienie swej słabości, swej małości pozwala mi się utrzymać na drodze wiary, przynajmniej, wydaje mi się, jest to moment decydujący, jeśli chodzi o sferę intelektualną.

W związku więc z przeżyciem przygodności, z przeświadczeniem, że rzeczywistość dostępna nie tłumaczy się sama, uczestnicy ankiety w przytłaczającej większości uzasadniają swoją postawę religijną właśnie potrzebą posiadania sensu życia [3]. Alternatywa: „Bóg albo absurd" jest jedną z głównych motywacji postawy religijnej,

---

[2] Por. Romano Guardini, *Religion und Offenbarung*, I, 1958, Würzburg, s. 47 i n. — Albert Lang, *Wesen und Wahrheit der Religion*, München 1957, s. 159—162.

[3] *Człowiek religijny* — pisał Autor *„Refleksji na tematy religijne"* — *uznaje Boga ponad światem przeważnie nie dlatego, że posuwając się wstecz łańcuchem przyczyn nie widzi w ramach samego świata możliwości dotarcia do pierwszej, najgłębszej przyczyny wszechrzeczy, lecz raczej dlatego, że nie może się w sferze*

z którą się spotykamy w odpowiedziach. Można w tym widzieć niewątpliwie ducha naszych czasów, wysuwających jako problem naczelny sens egzystencji ludzkiej (zob. m. in. René-Marill Albérès, *Bilans literatury XX w.*). W ramach rzeczywistości naturalnej nie można dopatrzyć się dostatecznie wartościowego celu. Tym samym sensu życia nie da się zamknąć w jego granicach.

Uczestnicy ankiet raz po raz stwierdzają: *wierzę, bo to stanowi moją rację bytu* (a. 71, maturzystka).

W. E. (l. 28, wykszt. wyższe, a. 350) podobnie na tej drodze znajduje swoje uzasadnienie wiary. Pisze ona m. in.:

> *Wierzę, jest to słowo tak głębokie, że aby je z pełną świadomością wymówić, trzeba wiele czasu poświęcić na przemyślenie zagadnień z nim związanych, a współczesny człowiek jest przeważnie tak bardzo zapracowany. Poszukiwanie jednak sensu życia i chęć dojścia do prawdy obiektywnej prowadzi, jestem przekonana, jedynie do Boga. Zdobycie mądrości życia jest jakżeż ułatwione przez przyjęcie wiary.*

Chemik (l. 28) tak m. in. uzasadnia swoją wiarę, do której dochodził w trudzie na przestrzeni co najmniej dziesięciu lat:

> *Zdanie sobie sprawy, że nauka nie ogarnia i nie wyczerpuje bogactwa całej rzeczywistości, miała duże znaczenie dla dalszej ewolucji moich poglądów. Doszedłem do wniosku, że postęp naukowy daje coraz doskonalszą odpowiedź tylko na pytania, jak istnieje rzeczywistość i jak ją zdobywać. Jest on natomiast bezsilny w odpowiedzi na problem, skąd i po co istnieje rzeczywistość. Problem ten zaś był dla mnie największą zagadką życiową i stawiałem go sobie w formie bardziej szczegółowych pytań, np. jaki jest sens ludzkich zmagań z przyrodą, jaki jest sens olbrzymiego skarbca bólu, jaki gromadzi ludzkość od zarania tych zmagań; dlaczego to, co nazwano koniecznością, jest zupełnie obojętne na wartości moralne nawet najlepszych ludzi; dlaczego nierozumna materia jest tak bogata w tajemnice, że prawdopodobnie nie zostanie nigdy wyczerpująco i bez reszty poznana przez rozum ludzki, jaki jest sens ewolucji świata, itd., itd. — Uważałem, że nie mogę wmawiać sobie, że poszukiwanie zadowalającej odpowiedzi na zacytowane wyżej pytania jest daremne, bo zagadnienia te są irracjonalne, jak twierdzą niektórzy. Twierdzenie to wydawało mi się zawsze podejrzane. Jeśli bowiem przyjmuje się w nauce,*

---

samego bytu naturalnego dopatrzeć sensu, a więc dostatecznie wartościowego celu i to przede wszystkim celu własnego, konkretnego istnienia i życia (Ks. Marian Michalski, dz. c., s. 63, wyd. I, Warszawa 1955).

że sprawdzianem racjonalności jest rzeczywistość świata, to niedorzecznością jest twierdzić, że prowokuje ona ludzkość z jednakową siłą od wieków jakimiś irracjonalnymi zjawiskami lub problemami. ...Wydaje mi się, że z faktu, iż nie zanosi się wcale na naukowe stwierdzenie bogactwa całej rzeczywistości, nie wynika jednak wcale, że ludzie nie mogą w inny sposób rozstrzygać tej zawsze pilnej sprawy i że takie rozstrzygnięcie jest niegodne człowieka. Jak wiadomo istnieje metoda odpowiadająca poziomowi trudności. Na pewno nie jest ona naukowa, ale nie można powiedzieć, aby nie była głęboko ludzka. Polega ona na tym, że większość ludzi przewidując możliwe rozwiązania problemów, w świetle których ostatecznie można by zinterpretować sensownie znaną rzeczywistość, a w niej i swoją egzystencję, opowiada się za najlepszym z nich, a nie mając innego wyjścia po prostu wierzy, że ich przekonania zweryfikuje ostatecznie przyszłość. I ja wybrałem tę drogę, ponieważ zauważyłem, że każdy człowiek sięgając po rozstrzygnięcie prawdy o rzeczywistości świata jest zupełnie osamotniony przez naukę, która jest skądinąd najpotężniejszym sprzymierzeńcem ludzkości w podbiciu przyrody. W konsekwencji na własną odpowiedzialność wybrałem sobie pewne prawdy ostateczne. Potęga tych prawd sprawia, że mogę postępować moralnie i nie zniszczy mnie nihilizm, zaś rola nauki w ich wyborze polega tylko na uświadomieniu mi wartości dokonanego wyboru zwiększającego odpowiedzialność za własne życie. — Wierzę, że cokolwiek się dzieje, jest opromienione miłością Boga. ...

Pracownik naukowy (l. 38, a. 36) pisze:

Wiara odpowiedziała mi na pytanie, na które żadna ideologia, żadna filozofia nie mogła dać mi — w moim rozumieniu — zadawalającej odpowiedzi. Wyjaśniła mi sens istnienia świata. Postawiła przede mną cel jedynie godny bytu obdarzonego rozumem i wolną wolą. Dała mi wspaniałą etykę — tak logicznie udokumentowanej etyki nie wypracował żaden system filozoficzny. I, co może równie ważne, ratowała mnie przed rozpaczą, gdy przychodziło cierpienie.

Jak można się zorientować z wypowiedzi ankietowych, zagadnienie sensu życia i jego rozwiązanie w religijnej koncepcji świata jest u jednych formułowane jako coś oczywistego, u innych zaś w jakiś sposób uzasadniane. Podkreślmy tu raz jeszcze, że w żadnym wypadku, czy to gdy chodzi o problem sensu, czy proces wartościowania, czy rozumowania, nie rozstrzygamy o ich poprawno-

ści. Chodzi nam wyłącznie o analizę świadomości uczestników ankiety w dziedzinie wiary, tak jak przedstawia się ona w ich odpowiedziach.

c. DOŚWIADCZENIE RELIGIJNE

Tłumaczenie swojej postawy religijnej poczuciem sensu życia posiada bezsprzecznie charakter poznania nie tylko teoretycznego ale i wartościującego. Z odrzuceniem wiary w Boga, świat i własne życie traci sens — wartość.

Oceniam wiarę jako wartość nie dającą się niczym innym zastąpić, równym czy lepszym. (a. 109).

Podobnie wypowiada się inna uczestniczka ankiety (l. 30, wykszt. wyższe, a. 310):

W tym to okresie czasu powoli krystalizowała się we mnie odpowiedź na zasadnicze pytanie ankiety. Odpowiedź tę mogę w pewien schematyczny sposób tak sformułować: Gdy się zastanowię nad tym, czym jest dla mnie wiara katolicka, będę w zgodzie z rzeczywistością, gdy odpowiem: wszystkim. Nie wyobrażam sobie sensu własnego życia, gdyby nadprzyrodzony czynnik miał być zeń wykreślony. Wysiłki podejmowane każdego dnia, praca fizyczna, umysłowa, ta czasami aż poniżająca godność człowieka walka o chleb codzienny, ciągłe ścieranie się z egoizmem własnym i otoczenia, zetknięcie ze zbrodnią, ze złem prawie na każdym kroku — w ogóle wszystko, co składa się na sprawy życia codziennego — to absurd dla mnie, jeżeli byt nie ma podbudowy, a raczej nadbudowy nadprzyrodzonej. — Życie współczesnego człowieka domaga się wprost wyjaśnienia innego, tak bardzo zostało zepchnięte w ślepy zaułek.

Ten proces wartościowania jest bardzo charakterystyczny dla znacznej ilości uczestników ankiety i przybiera różne aspekty. Wiara jest oparciem w, życiu, nadaje sens cierpieniu, dźwiga człowieka etycznie itp.

Wiara jest siłą i pomocą w życiu — widzę to w swej pracy lekarza na każdym kroku. Chorzy religijni na ogół znoszą cierpienie i śmierć pogodniej. „Żeby pan doktor wiedział, jak słodko jest umierać w religii katolickiej" — powiedział mi jeden pacjent, konający z powodu niewydolności krążenia, mający za sobą siedemdziesiąt kilka lat życia. „Przyjechałam umrzeć w swoich stronach, chcę być pochowana obok swoich rodziców, wiem, że kończy się już moje życie, lecz umieram spo-

kojnie. Pan Bóg mnie nie opuści" — oto słowa, które usłyszałem od czterdziestokilkuletniej kobiety, cierpiącej strasznie z powodu rozsianego nowotworu macicy. O swej śmierci, jakże ciężkiej, mówiła podobnie, jak o czymś zupełnie zwykłym. Takich przykładów przytoczyć mógłbym wiele. A ileż sił dodaje wiara w znoszeniu starości, niedostatku, niepowodzenia i różnych nieszczęść dnia codziennego. Już pewność, że nie wszystko kończy się na tej ziemi, że jest jakieś wyrównanie rachunku — dobro uznane, wynagrodzone, a zło ukarane — pokrzepia, a cóż dopiero, gdy swoje cierpienia ofiaruje się w jakiejś intencji, gdy się współcierpi z Ukrzyżowanym Zbawicielem. Nieszczęście staje się wówczas wytłumaczalne i przez to znośniejsze. — Również szczęściu religia nadaje specjalną barwę i jakby je pogłębiała... (a. 802).

Z. W. z Warszawy pisze pod koniec swej ankiety:

Najdonioślejszym jednak dla mnie dowodem pozostanie absolutna niemożność znalezienia innej, rozsądnie uzasadnionej, podstawy współżycia ludzi, poza miłością bliźniego... Może to pachnie pragmatyzmem, ale jedynie chrystianizm znajduje pełną weryfikację swych założeń we współczesnym świecie, co stanowi dla mnie potwierdzenie prawdy: „Bo nikt nie może założyć innego fundamentu, prócz tego, który już jest założony, a którym jest Chrystus Jezus" (I Kor. III, 11).

W.J.W. z Londynu, w religii chrześcijańskiej widzi najwyższą wartość etyczną. Pisze on:

Wierzę dlatego, że moralność chrześcijańską uważam za najwyższą w świecie ludzkim, a przecież źródłem jej i twórcą był nie kto inny jak Chrystus, Syn Boży. Trudno mi jest pogodzić się z głosicielami różnych innych moralności, jakkolwiek się je nazywa... Wierzę, bo mi jest z tym dobrze i w wierze swej znajduję spokój, pewność, a przede wszystkim sens i cel życia mojego na ziemi (l. 62, wykszt. niedokoń. wyższe, a. 752).

Inni znów wyznają, że religia dla nich jest radością. Po prostu cieszą się wiarą. Inżynier lądowy (l. 41) podając różne motywy przemawiające jego zdaniem za prawdziwością religii chrześcijańskiej (fakty historyczne, odkrycia archeologiczne, nie-ziemskie źródło pochodzenia Kościoła, doświadczenie modlitewne) tak na wstępie pisze:

Jestem wierzącym, ponieważ dar wiary otrzymałem za pośrednictwem rodziców. Trwam w wierze, ponieważ jest mi

z nią dobrze, jest źródłem czystej radości i pokoju, których nie można nigdzie znaleźć. Czuję się w niej jak w czystym powietrzu, widząc często brudne opary życia (a. 737).

W ten sposób w odpowiedziach ankietowych znajdujemy potwierdzenie wartościującego charakteru poznania religijnego, na który zwraca uwagę wielu filozofów i psychologów religii, widząc w nim istotną cechę poznania religijnego. Niektórzy z nich pomijają przy tym znaczenie sądów egzystencjalnych dla życia religijnego (W. James). Tymczasem przeświadczenie o rzeczywistym istnieniu Boga stanowi nieodzowny składnik świadomości religijnej. Stąd także konieczność nie tylko sądów wartościujących ale także egzystencjalnych, stwierdzających rzeczywiste istnienie Boga. Ci uczestnicy ankiety, którzy zajmują w stosunku do wiary przede wszystkim postawę wartościującą, sam fakt rzeczywistego istnienia Boga albo zakładają z góry, poprzez oczywistość, albo na drodze uzasadnienia rozumowego. W każdym bądź razie faktem nie podlegającym wątpliwości jest, że religijna rzeczywistość zostaje potwierdzona przez uczestników ankiety nie dlatego tylko, że przedstawia się im ona jako wartość, ale dlatego, że j e s t.

B. K. (wykszt. wyższe, a. 840) w ten sposób łączy przeświadczenie o istnieniu Boga z wartością religii:

Nie wiemy o tym, że Bóg jest, a wierzymy w to. Wiemy tylko tyle, że wiara nasza nie jest bezsensowna, że nikt nie jest w stanie nam udowodnić logicznego, rozumowego błędu w naszej wierze. To jest być może dużo, ale to nie tłumaczy, dlaczego wierzymy. Jak zwykle i ten akt woli jest uwarunkowany różnorako. Ale w ankiecie trzeba się streszczać, więc w porządku chronologicznym ważniejszych tylko uwarunkowań najpierw: dziedzictwo tysiącletniej tradycji — to bardzo dużo i zgoła niewiele. Dużo w porównaniu z wszelkiego rodzaju najczęściej wątpliwymi racjami filozoficznymi. Niewiele w zestawieniu z współczesną wartością wiary i jej konsekwencjami. W każdym razie to przesądziło, że jestem katolikiem. Inna rzecz, że nieraz myślę, że to dobrze, że się tak szczęśliwie złożyło.

Ale to nie najważniejsze. Najważniejsza jest wartość obiektywna tego depozytu. Dzięki religii udręczone ludzkie zwierzę stwierdza od czasu do czasu, że w ogóle jest, że jest złe... i zaczyna czuć się człowiekiem, dostrzegać pod wilczą sierścią innych ludzi, tuż obok, klęka obok nich i modli się głośno do wspólnego Ojca....

Widzenie w religii wartości i to najwyższej nie oznacza jednak samo przez się, że podchodzi się do religii na sposób utylita-

rystyczny. — Od niewłaściwej formy religijności, która chce podporządkować swoim egoistycznym celom świat wartości religijnych, należy odróżnić wyraźnie tę, która przyjęcie tych wartości uważa równocześnie za oddanie się im na służbę. — W wypowiedziach ankietowych nie spotykamy się z jednostronnym utylitarystycznym podejściem do religii.

d. ARGUMENTACJA ROZUMOWA

Dla wielu uczestników ankiety proces rozumowego uzasadnienia istnienia Boga bierze początek ze świata zewnętrznego. Bóg jako Pierwsza Przyczyna, jako źródło harmonii, porządku, praw rządzących światem — oto jedna z dróg dochodzenia do Jego istnienia. Czasami jest to rozumowanie przez analogię: jeżeli dla wytłumaczenia jakiegokolwiek ludzkiego wytworu oglądamy się za specyficznym twórcą, podobnie należy postąpić, kiedy rozważa się świat i to, co on w sobie zawiera.

Stary Przyrodnik (l. 74, wykształcenie wyższe):

Moje rozmyślania o Bogu i Jego istnieniu zawdzięczam przeważnie obcowaniu z przyrodą, która jest dla mnie jednym z dowodów twórczości Boskiej. Jako przyrodnik z zamiłowania, mając możność częstego obcowania z przyrodą, wgłębiałem się coraz bardziej w istotę życia i jego przedziwnych przejawów. Bajeczny porządek i skoordynowanie wszelkich najdrobniejszych szczegółów nasuwały myśli o celowości życia, o głębszych podłożach jego istnienia, nie tylko materialnych, ale i duchowych, o jakimś nieznanym nam jeszcze na tym świecie kierunku, w którym biegną wszystkie sprawy Wszechświata, o konieczności istnienia Wszechwładnej Ręki, sterującej tą płynącą w dal nawą. Ręki, która zapewne nie czyni każdorazowo odpowiednich i potrzebnych ruchów, ale która niegdyś ustawiła najbardziej skomplikowaną maszynę tak, że działa ona teraz bez najmniejszej omyłki i działać będzie, aż się jej rola kiedyś w zaświatach skończy.

Lekarz (l. 32) pisze:

Zasadniczym argumentem dla mnie jest ład Natury. Wrażenie to pogłębiało się u mnie z latami, utrwaliło przy podjęciu ostatecznie własnych zamysłów i prac badawczych. Konieczność postawienia pytania dlaczego? — po ukończeniu rozpatrywania wyników eksperymentu i jedynie logiczna na to pytanie odpowiedź daje podstawy światopoglądu. Zdaję sobie sprawę z kierunków krytyki takiego stawiania zagadnienia, ale odpisuję w tej chwili zupełnie szczerze. Fundament pod to, że mogę się

dziś zaliczyć do „wierzących", tkwi w uprawianiu nauki. Nie umiałem sobie wyobrazić rzeczywistości obserwowanej jako przypadkowy splot okoliczności, czy wyników zdolności rozwojowych samej materii. Dalsze zagłębianie się w zagadnienia już bezpośrednio związane z religią było tylko wynikiem tej pierwszej refleksji.

Podobnie pisze E. R. (l. 30, a. 229, w. wyższe):

Nie wydawało mi się prawdopodobnym samoistne powstanie tak genialnie urządzonego kosmosu i ustawiczne odbywanie się w nim tych wszystkich zadziwiających procesów. Przypisywanie tych rzeczy Stwórcy stało się dla mnie oczywistą koniecznością, zaś inne dociekania — właśnie spekulacją... Wreszcie w odróżnieniu od poglądu materialistycznego — obok zjawisk opartych na przyczynowości — dostrzegam także zjawiska oparte na celowości. ...

W. L. (l. 32, wykszt. wyższe, techniczne) stwierdza:

Moja wiara jest wynikiem przemyśleń teorii materialistycznych i katolickich prawd wiary. Teorie materialistyczne są zbyt mało przekonywujące. A przecież jest tyle dowodów, że materia to nie wszystko, np. celowość i precyzja budowy świata organicznego, dowód oparty na prawie wzrostu entropii we wszechświecie, a przede wszystkim Objawienie Nowego Testamentu.

Taka postawa ma swoją wymowę u ludzi, którzy posiadając wyższe wykształcenie przeszli równocześnie ideologiczny napór światopoglądu materialistycznego. Chodzi mianowicie o psychologiczny związek pomiędzy ich przekonaniami naukowymi a tym, co mówi religia. Czy i w jakim stopniu znajduje potwierdzenie opinia, że wiara religijna wymaga od nich *sacrificium intellectus* i *sacrificium cordis*, i że *studia odbyte w dobrej szkole powinny przysporzyć takich wiadomości i wyrabiać takie nawyki myślowe, że utrzymanie się przy nich wiary religijnej wymaga u osobników inteligentnych osobliwych zabiegów, wymaga pewnej techniki życia wewnętrznego...* Czy należy się dziwić wierze ludzi oświeconych, gdy natomiast *wiara prostaczków nie dziwi i nie budzi podejrzeń* — jak pisał Wł. Witwicki — *ponieważ ci ludzie mniej spotykają trudności we wierzeniu. Ich pogląd na świat i wiadomości, które posiadają, ich poziom umysłowy nie odbiega zbytnio od poziomu pierwszych wieków naszej ery albo nawet epoki wyprzedzającej naszą erę o kilka tysięcy lat, kiedy się tworzył zrąb treści obecnych wierzeń religijnych* (Por. Wł. Witwicki, *Wiara oświeconych,* W-wa 1959, 82—83). Otóż w wypowiedziach ankietowych powszechnie wyrażona została opinia, że nie zachodzi

sprzeczność pomiędzy światopoglądem teistycznym a wynikami nauk. Chemik (wykszt. wyższe, l. 35, a. 856) tymi słowy rozpoczyna swoją odpowiedź ankietową:

Punktem wyjścia dla mnie do uznania tego, co Kościół do wierzenia podaje, jest niesprzeczność między dogmatami a tym, co się nazywa „nauką" w sensie jak najszerzej pojętym, oraz wielkim dobrem moralnym wytworzonym przez człowieka. Chodzi o to (mówiąc jaśniej), by każde takie dobro niematerialne można było zmieścić w granicach nauki Kościoła, w granicach doktryny.

Chciałbym tutaj podzielić się spostrzeżeniem dotyczącym wiary i ludzi. Uważam, że nie „nauka" jest największym wrogiem wiary, chociaż popularne jest stwarzanie dylematu: wiara — nauka, ani nawet dobra moralne, które człowiek umieścił poza wiarą, a uczciwie przez niego przeżyte, ale to, co redaktor Turowicz nazywa „naturalizmem praktycznym".

(mgr filozofii, l. 38, a. 510):

I twierdzę, że obecnie przeżywamy renesans nauki jako narzędzia umacniania i obrony wiary. Właśnie dzięki jej rozwojowi możemy dzisiaj podjąć z przeciwnikami każdą polemikę, nie uciekając się do argumentów, które dla niewierzącego mogłoby być irracjonalne. „Wiara szukająca rozumu" wydaje mi się być podstawą obowiązującą każdego katolika, którego na to stać. Jemu samemu może to być chwilowo niepotrzebne, ale musi pamiętać o tych, do których na innej drodze trafić będzie niesłychanie trudno.

Rzecz godna podkreślenia: znajomość wyników nauk zmusza często do pytań metafizycznych i w ten sposób wprowadza w krąg światopoglądu religijnego. Tak np. studium biologii przybliża i ukazuje młodemu człowiekowi Boga (a. 627), a lekarz chorób wewnętrznych wnosi z cudownego ładu i precyzji funkcji organizmu ludzkiego, że musi istnieć jego Twórca. — Zobaczymy dalej, przy omawianiu trudności i wątpliwości, że także, gdy chodzi o treści wiary Chrystusowej, uczestnicy ankiety nie widzą sprzeczności pomiędzy prawdami wiary a wynikami nauk. Gdy natrafiają na trudności, tłumaczą je niedostatecznym przygotowaniem religijnym. Z pełnym więc pokryciem, w materiałach ankiety, można wyrazić opinię, że wśród odpowiadających nie natrafiamy na tego rodzaju dylemat, przed którym stawali rówieśnicy bohatera *Niebo w płomieniach* (religia a wyniki nauk przyrodniczych). Sytuacja na tym odcinku jest bardziej korzystna dla światopoglądu religijnego. Jeden tylko uczestnik ankiety mówi wyraźnie o sprzeczności,

ale nie motywuje swego stanowiska. Niewątpliwie dużą rolę należy przypisać tutaj myślicielom i intelektualistom katolickim, których nazwiska padały nieraz w wypowiedziach ankietowych. Tak więc jak poprzednio mogliśmy zauważyć odejście od tradycjonalizmu na rzecz świadomego wyboru religijnego, tak obecnie należy podkreślić charakterystyczne przezwyciężenie fideizmu i podkreślenie pierwiastka rozumowego w życiu religijnym. Syntetyzując zachodzące w katolicyzmie polskim zmiany możemy powiedzieć, że jest to obecnie: *fides quaerens intellectum.*

e. OCZYWISTOŚĆ WIARY

Obraz ankiety nie byłby jeszcze zupełny, gdybyśmy pominęli tych, dla których wiara jest czymś oczywistym, faktem bezpośrednio zrozumiałym.

> *Dlaczego wierzę? Równie dobrze moglibyście spytać — dlaczego oddycham? Tak samo jest to dla mnie samo przez się zrozumiałe i konieczne do życia* (a. 114).
>
> *Wierzę dlatego, że muszę wierzyć, bo w ogóle nie mogę sobie wyobrazić życia bez wiary w Stworzyciela świata... Przyroda przypomina mi zawsze, że Pan Bóg istnieje. Zwłaszcza jak jestem w górach lub nad morzem, to nie mam wątpliwości, że jest Bóg* (a. 217).
>
> *Wierzę. Zresztą czy mógłbym nie wierzyć? Istnienie Boga jest dla mnie oczywistą prawdą i trudno mi jej nie przyjąć. Przyjęcie wiary wynika z samego rozsądku. Nie mogę sobie wyobrazić, jak można właściwie myśleć i nie wierzyć* (a. 390).

G. K. (wykszt. wyższe, a. 807) po przedstawieniu kształtowania się wiary w domu rodzinnym i wpływie atmosfery środowiska uniwersyteckiego pisze o swoistej intuicji — duchowym zmyśle w odczuwaniu Boga:

> *Poza tym czynnikiem mojej wiary jest intuicja, „duchowy" zmysł, pewnego rodzaju instynkt, czy jak tam to inaczej nazwać. Niekiedy wydaje mi się, że wyczuwam obecność Boga w życiu, choć nie potrafiłbym tego udowodnić empirycznie.*

Podpisana „Egzystencjalistka" (wykszt. wyższe, l. 26) wyraża się podobnie:

> *Dlaczego wierzę? Wiem, że jest. To, że Bóg istnieje, jest dla mnie taką samą prawdą jak to, że ja istnieję. Nie żądajcie ode mnie dowodów rozumowych. Na zadokumentowanie mojej wiary w Niego nie podam żadnej racji intelektualnej. Gdyby moja wiara miała się opierać na dowodach naukowych, nie ostałaby się chyba długo. To do mnie nie przemawia i nie przeko-*

nuje mnie, tak jak nie przekonują mnie dowody naukowe materialistów na Jego nieistnienie. I z jednej i z drugiej strony można przecież podać szereg przemyślanych argumentów i kontrargumentów. Owszem definicje rozumowe umacniają mnie, wiele tłumaczą, pomagając w dyskusjach z niewierzącymi, ale dla mnie osobiście są to już jakby wnioski z pewnego założenia, oczywistej prawdy. Bóg był zawsze ze mną. Przed rozpoczęciem „świadomego życia", gdy moja wiara była raczej tradycyjna (dom) i później gdy w okresie wczesnej młodości przyszły zwątpienia i ucieczki, nigdy nie mogłam się wyzwolić od Pana Boga, stwierdzić z pełnym przekonaniem, że Go nie ma.

2. PRAWDZIWOŚĆ CHRYSTIANIZMU

Człowiek religijny musi zawsze w sposób mniej lub więcej świadomy rozwiązać problem wielości religii, chrześcijanin zaś problem wyboru religii Chrystusowej potwierdzający jej prawdziwość.

Urzędnik (l. 36, a. 346):

Jestem przekonany, że gdybym się nie urodził katolikiem, gdybym wychował się w innej wierze lub zgoła bez wiary — prędzej czy później doszedłbym tu, gdzie jestem obecnie. To nie jest fanatyzm, że uważam religię katolicką za najlepszą, jedynie prawdziwą. Szanuję wyznawców wszystkich wierzeń i religii. Wszystkie religie śwata, bez względu na szyldy, mają w sobie wspólne przeczucie istnienia Istoty Wyższej. Bóg jest jeden, bez względu na to, czy nazywamy Go Allachem, Jehową czy Manitou. Wszystkie modlitwy ze szczerego serca płynące spotykają się w tym samym miejscu: u stóp Przedwiecznego. — Przestudiowałem mniej lub bardziej gruntownie zasady wszystkich poważniejszych religii świata. W każdej z nich można doszukać się wielu cennych myśli i wskazań. Ale żadna z nich nie jest tak doskonale logiczna, tak mądra, tak ludzka, jak religia katolicka.

Katolicyzm potwierdza prawda życia:

Katolicyzm jest moim zdaniem jedyną religią do przyjęcia. W miarę doświadczenia widzę jasno, że wszystko, co wydawało się zacofaniem, urasta do ogromnej nieprzeczuwanej mądrości, takie sprawy jak nierozerwalność małżeńska i inne. Co było niezrozumiałe dla współczesnych Chrystusowi a również wiele wieków później, staje się jasne a nawet konieczne w świetle przemyśleń pokoleń i postępu nauki (k. l. 55, a. 395).

W odpowiedziach, które pytanie „dlaczego wierzę" łączą z zagadnieniem prawdziwości religii Chrystusowej, istnienie Boga jest albo założone z góry, albo czasami podane są najpierw argumenty przemawiające za światopoglądem ateistycznym, a następnie za katolicyzmem.

Często jednak spotyka się wypowiedzi, w których wiara w boskość Chrystusa i Jego posłannictwo jest podstawą teistycznego światopoglądu w ogóle. Poczucie rzeczywistości religii i jej autentyzm, wejście w tę rzeczywistość przez Chrystusa jest całkowicie wystarczające i pełne.

Wiara moja ma jednak pewną osobliwą konstrukcję — pisze Bożena (l. 27, wykszt. wyższe, przyrodn., a. 461). *Wierzę przede wszystkim Jezusowi Chrystusowi, najwspanialszemu Człowiekowi jakiego wydała ludzkość. Człowiekowi, który jest Bogiem — On sam to powiedział. Jak można nie wierzyć Komuś tak dobremu, tak czystemu, tak bardzo kochającemu każdego człowieka. Nauka Chrystusa nie ma równej sobie. Inne systemy religijne: buddyzm, hinduizm, czy islam, mimo wielu pięknych momentów, są tylko szczątkami prawdy. Wierzę więc przede wszystkim Osobie Chrystusa a przez Niego w Boga i we wszystko to, co On objawił. Objawienie pierwotne, proroctwa Starego Testamentu są dla mnie przedmiotem wiary głównie dlatego, że Chrystus je potwierdził, na nie się powoływał i że stały one w wyraźnej łączności z Osobą Zbawiciela.*

Tak jak kiedyś Apostołowie i współcześni Chrystusowi, tak samo i dzisiaj ludzie spotykają się z nim na kartach Ewangelii, w Kościele, i jest to dla nich dostatecznym motywem uwierzenia „we wszystko".

Dzięki Ewangelii ujrzałam Chrystusa w pełni jako Boga, nie tylko dzięki najwyższej mądrości, jaką dla mnie Ewangelia reprezentuje, ale również dzięki temu, że jest żywą miłością, pełną miłości Tego, który swą naukę potwierdził krzyżem. Swój katolicyzm wywodzę też z Ewangelii (nauczycielka, a. 521).

Wierzę dlatego, że o istnieniu Chrystusa jako człowieka na ziemi mówią źródla historyczne. Najbardziej przekonywającym dla mnie argumentem wiary jest historyczność postaci Chrystusa. Skoro więc żył naprawdę i skoro nikt nie mógł Mu dowieść grzechu i skoro śmiercią swą i zmartwychwstaniem przypieczętował swoje posłannictwo, to jakąż nielogicznością jest i niekonsekwencją zarzucać mu kłamstwo (a. 108).

Robotnik (l. 46, a. 847) także w Chrystusie odnajduje z powrotem fundament swojej wiary. Pisze on:

Dla mnie warunki powojenne, zapoznanie się z najnowszymi pracami antropologów, archeologów, wpływ prasy, radia, okazały się prostą drogą do zagubienia wiary. I nigdy nie czułem się tak źle, jak w okresie ustabilizowania się materialnego i pustki w duszy... Większa doza cierpienia i upokorzenia kazały mi przemyśleć na nowo moje nastawienie do wiary, zaś przyjęcie do świadomości faktu naukowego, stwierdzenie historyczności postaci Chrystusa pchnęły myśli na tory rozważań pozostawionej przez Niego nauki. Dla robotnika myślenie — trudna rzecz. Znalazłem na to czas i miejsce... I może mam prawo twierdzić, że odnalazłszy Boga miłości, jednak wiem, dlaczego wierzę.

Ale Chrystus nie tylko przemawia z Ewangelii. Chrystus napotykany jest w życiu. Pracownik umysłowy (l. 31, a. 625) pisze:

Doceniam wartości teologiczne, ontologiczne i jakie tam jeszcze... Ale dla mnie religia — jej skuteczność czy nieskuteczność w wymiarze jednostki — to nade wszystko obecność żywego, współcierpiącego z nami Chrystusa (darujcie brak precyzji — nie chodzi tu o poprawność dogmatyczną, gdzie indziej konieczną). Chrystusa, który był także i ze mną, kiedy pod lufami karabinów wlokłem się na kolanach po bruku. Inni gorzej cierpieli. Może u kresu drogi skakało im do gardła, kąsało zwątpienie — a może ci, którzy nigdy nie wierzyli, lub przedtem już zwątpili w Boga — ujrzeli Go poprzez druty, mury, podłość ludzką, poprzez obłędny ryk zbiorowej nienawiści, może usłyszeli Jego głos: pukam do wszystkich zbłąkanych serc?.... Dróg do Boga jest chyba tyle, ilu jest ludzi na ziemi. Cóż jednak poradzę na to, że dla mnie najlepsza jest ta, którą chcę iść, potykając się wraz z Kościołem, żyjąc z Nim, mając wielką szansę korzystania z Sakramentów...

Chrystus, o którego istnieniu jest się przekonanym, tłumaczy także to, co stanowi dla człowieka zasadniczy problem: sens istnienia. Magister matematyki (k., l. 26) pisze m. in.:

Życie Chrystusa na ziemi jest doskonałym przykładem, jak należy rozumieć sens istnienia człowieka. Poprzez swoje narodzenie, śmierć krzyżową i zmartwychwstanie wykazał, jakie wyżyny może osiągnąć w istocie ludzkiej wiara w istnienie Boga i miłość bliźniego — potęga dobra i piękna. Jako człowiek, był obdarzony wszystkim co ludzkie. Ale poprzez swoją wiarę czynił cuda. Poprzez swoją miłość upokorzył się aż do

śmierci krzyżowej. Dlaczego mam wątpić w prawdziwość faktów głoszonych przez Ewangelię, skoro wierzę w prawdziwość historii powszechnej, skoro wierzę w istnienie i działalność filozofów, naukowców, wodzów, poetów, kompozytorów, pisarzy, artystów i innych, którzy w większym lub mniejszym stopniu przyczynili się do rozwoju zjawisk społecznych, politycznych i gospodarczych. Oni na swój sposób uwiecznili „myśl" epoki, w której żyli. Chrystus utrwalił swoją myśl. Stworzył swoją filozofię bytu i jej prawdziwość udokumentował poprzez Zmartwychwstanie.

(por. też ankiety nr 16 i 295 w tymże n-rze).

3. ROLA KOŚCIOŁA

Kościół katolicki — mimo słabości istniejącego w nim pierwiastka ludzkiego — jest świadectwem Chrystusa, stąd też Jego autorytet, rola i znaczenie w akcie wiary.

P. J. (nauczycielka, l. 55, a. 711) pisze:

Od najmłodszych lat miałam duże poczucie sprawiedliwości — chciałam, aby wszystkim ludziom było dobrze, aby mieli płacę, prawo do oświaty: cierpiałam, gdy spotykała ich krzywda. Szukałam prawdy. Znalazłam ją w Kościele — przez konfesjonał, nauki, przykłady ludzi wykształconych i tych skromnych a świętych, których spotykałam w mieście i na wsi.

Podobnie pisze „Stefan" (l. 31, wykszt. wyższe, a. 336):

Prawdę moralną chrześcijaństwa otrzymałem przez Kościół Katolicki, zarówno w postaci postulatów ogólnych o znaczeniu podstawowym, jak i w postaci wskazań szczegółowych.... w postaci kontrastów: Kościół głosi prawdę moralną — Kościół głosi tezy niezmiernie trudne do przyjęcia dla człowieka śledzącego rozwój nauk przyrodniczych — przyjmuję naukę Kościoła. Kościół nie głosi zorganizowanej nieprawdy. Pomyśleć: takie ideały moralne, z taką żarliwością, z taką przesadą nieraz głoszone... Parę świetnych, syntetycznych wypowiedzi ze strony mądrych księży, parę spotkań z poważną chrześcijańską literaturą, trochę wiadomości o kościelnych instytucjach naukowych, do tego wyraźna aprobata dla nauki i wykształcenia i stały szacunek ze strony Kościoła dla kompetencji fachowców i ludzi wykształconych — to wszystko wystarczyło dla uspokojenia obaw.... Wierzę wyłącznie, czy niemal wyłącznie, ze względu na autorytet Kościoła; gdyby zapytano mnie wprost o argumenty za tymi prawdami, powiedziałbym niewiele. Za

to starałem się bardziej wyczerpująco wyjaśnić, dlaczego nauka Kościoła jest dla mnie w pełni wiarygodna.

Kobieta (l. 40) wyznaje:

Tyle dobra spłynęło na mnie z wiary, z Kościoła.... tak że dziś mogłabym powiedzieć za matką Gorkiego: „Wszystko, czym jestem, zawdzięczam Kościołowi".

W ankietach spotykamy się również z argumentacją za wiarygodnością Kościoła z jego dziejów.

Czy nie osłabia mej wiary tyle zła w Kościele? Nie. Umacnia jeszcze, gdyż utwierdza mnie w przekonaniu, że Kościół nie jest instytucją ludzką, ale Boską. Mobilizuje mnie to jeszcze do pracy, bym swoim życiem zadawał kłam przeciwnikom Kościoła i innych pobudzał do życia prawdziwie chrześcijańskiego (student, l. 22, a. 776).

Kobieta (wykszt. wyższe, l. 32, a. 592) stwierdza z naciskiem:

Jedynym silnym argumentem jest — podług mnie — istnienie Kościoła: z dwunastu niewykształconych, „prosto od sieci" ludzi, powstało sięgające wszystkie lądy świata mistyczne ciało Chrystusa, które ostało się i zewnętrznym wrogom i wewnętrznym kataklizmom i trwa blisko 2 tysiące lat.

4. ŚWIADOMOŚĆ WIARY JAKO ŁASKI

Teologia uczy, że wiara jest łaską. To pouczenie „z góry" znajduje swoje potwierdzenie w przeżyciu ludzi religijnych. Zarówno psychologowie religii jak i filozofowie religii stwierdzają, że analiza świadomości ludzi wierzących wykazuje, iż przeżywają oni uczestniczenie przez wiarę w rzeczywistości boskiej jako dar, jako łaskę. Człowiek religijny jest świadom, że to, z czym styka się w przeżyciu religijnym, jest ponad wszelką rzeczywistością i wartością „z tego świata". To zaś budzi przeświadczenie, że człowiek sam o własnych siłach nie byłby zdolny wznieść się do Boga, gdyby On sam z własnej woli nie był się do człowieka zniżył. To właśnie zniżenie przedstawia się człowiekowi jako Łaska Boża. Zabarwienie łaskawości przysługuje każdemu religijnemu człowiekowi [4]. Akt religijny według Schelera jest przyjmowaniem czegoś, co się udziela, co się ukazuje, co się objawia. W ten sposób — zauważa jeden z filozofów religii (Heber) — Scheler dochodzi do wciąż podkreślanej starej zasady wszelkiego poznania religijnego, że wszelka wiedza o Bogu jest wiedzą przez Boga.

[4] O. Gründler, *Elemente zur einer Religionsphilosophie auf phänomenologischer Grundlage*, München 1922.

Łaska w tym rozumieniu (nie w rozumieniu ściśle teologicznym), pojęta jako dar, wspominana jest jako specjalnie wyróżniony element postawy religijnej w 108 ankietach. Przypomnieć musimy, że pytania ankiety nie były sformułowane szczegółowo i nie sugerowały żadnej motywacji, a więc także wiary jako łaski, jako daru, w tym czy innym ujęciu. Wymieniona cyfra obejmuje wyłącznie wypowiedzi, które są wprost wyrazem świadomości, że wiara jest łaską.

Świadomość wiary jako łaski wcale nie wyklucza udziału człowieka. Akt religijny nie jest tylko doznawaniem, czymś z istoty swej wyłącznie biernym, ale posiada charakter responsoryczny, tzn. domaga się pełnego udziału człowieka, najgłębszego jego zaangażowania. Łaska wymaga współpracy. Dar jest równocześnie zadaniem. Świadomość konieczności takiej postawy zaznacza się dosyć mocno w odpowiedziach ankietowych. Wyraża się ona w uświadomieniu sobie potrzeby odpowiedniego przygotowania w dziedzinie poznania, odpowiedniego nastawienia woli, otwartego a nie zamkniętego. Wyraża się również w imperatywie wewnętrznej potrzeby wierności, współpracy nad rozwijaniem tego, co zostało udzielone. W ten sposób prawda życia religijnego zawarta w słowach św. Pawła, że łaska Chrystusowa w nim nie była na próżno, ale pracował razem z nią, znajduje swoje potwierdzenie w empirycznej świadomości odpowiadających.

W wypowiedziach ankietowych dochodzi do głosu jedna z zasadniczych cech aktu wiary religijnej — nie dopuszczająca do jego racjonalizacji: udział woli i zaangażowanie się całego człowieka. Filozofia religii tłumaczy ten charakter aktu religijnego od strony przedmiotu, Boga, o który w religii chodzi. Bóg religii bowiem to przede wszystkim nie Pierwsza Przyczyna i Najwyższy Byt, ale Najwyższa Wartość: Święte, Osoba, warunkująca w człowieku najbardziej osobową relację. W egzystencjalnie ujętym akcie wiary chodzi nie tylko o swoiste poznanie, ale i o miłość.

N. (a. 251) pisze:

Wiara zasadza się nie tyle na wielu wiadomościach o Bogu i Kościele Świętym, ale przede wszystkim na miłości do Boga i Kościoła Świętego. A więc wierzę w Boga i Kościół Święty dlatego, gdyż kocham Boga i Kościół Święty.

Świadomość roli i znaczenia woli w akcie wiary jest u niektórych tak mocna, że mimo podbudowania wiary argumentacją rozumową, szukaniem sensu, jest ona dla nich przede wszystkim dążeniem, walką, ustawicznym nawracaniem się, wątpieniem nawet (a. 348).

(Por. też ankieta nr 743 w wyborze zam. w niniejszym n-rze).

5. DOŚWIADCZENIE RELIGIJNE

Obok omówionych „dróg" dojścia do Boga należy wyodrębnić jeszcze tę, która wskazuje na osobie doświadczenie religijne, o różnym charakterze, czasami nawet mistycznym (mistycznym w tym znaczeniu, jakim mówią psychologowie religii). W różnych sytuacjach życiowych, w czasie wojny, chorobie, w nawróceniu, rozważając historię swego życia poszczególni ludzie przeżywają świadomość bezpośredniej działalności Bożej. Zachowując przekonanie, że „w tym był Bóg", jednostka nie ogląda się za racjami rozumowymi. Na podstawie tego doświadczenia wydaje ona sąd egzystencjalny: a więc — On jest. — Jeżeli człowiek taki sięga po racje mówiące o istnieniu Boga, to raczej po to, by wytłumaczyć Go innym, i to tylko wtedy, gdy niemożliwe jest podzielenie się swym doświadczeniem. — Dla niego samego racje rozumowe służą ukazaniu, że pomiędzy subiektywnym doświadczeniem a intersubiektywnym poznaniem nie ma sprzeczności.

> *Przez całą młodość i aż do lat czterdziestu nie wierzyłam, chociaż bywałam czasami w kościele i uroczystości religijne robiły na mnie zawsze duże wrażenie. — Obracałam się w środowisku inteligenckim, wśród ludzi częstokroć zupełnie niewierzących, a bardzo sympatycznych i szlachetnych, którzy utwierdzili mię w przekonaniu, że Boga nie ma. Byłam nieszczęśliwa, buntowałam się przeciw swej woli, wpadałam w rozpacz i myśl o tym, że śmierć wszystko zakończy, była dla mnie czasem jedyną pociechą... I przyszło na mnie wielkie nieszczęście, którego wytrzymanie przechodziło moje siły i oto nagle wśród ciemnej nocy i w zupełnej samotności odczułam absolutną pewność, że Bóg jest i zaczęłam się modlić. Było to jeszcze przed wojną, zniosłam tamto nieszczęście mężnie, a później posypały się inne w związku z wojną, ale ja już byłam zupełnie inna, nie buntowałam się i nie rozpaczałam, rozumiałam sens cierpienia i czułam, że Bóg mi daje siły. — Taka jest moja odpowiedź na pytanie: dlaczego wierzę. ...Wobec doznania łaski nawrócenia inne dowody nie są potrzebne.* (wykszt. wyższe, l. 64, a. 761).

Dla innych uzasadnieniem wiary jest przeświadczenie cudownego uzdrowienia, którego czy to byli świadkami, czy też sami doświadczyli. Dla wielu osób uzasadnieniem takim jest doświadczenie stałej Opatrzności Bożej w swoim życiu.

„Wojskowy z zawodu" na pytanie ankiety tak odpowiada:

> *Ja wierzę, bo ja jestem zmuszony wierzyć przez wydarzenia, które świadczą o Bogu. Mój rozum mi mówi, że mną kieruje*

od początku życia po dzień dzisiejszy wola Najwyższego. Widzę to w szczególności, jeżeli popatrzę wstecz (mam 68 lat) — nawet sięgając do lat młodzieńczych — na wydarzenia większej wagi. Życiem moim kierował często wbrew mej woli Bóg, dla dobra mego; były między tymi wydarzeniami i cudowne zjdwiska, nie dające się wytłumaczyć ludzkim rozumem. Utwierdzenie we mnie, że mną Bóg kieruje, nie było mi łatwe. Byłem od młodości nastawiony na 100% na to, że „cudów nie ma". Tak mnie wychowano; raptem życie zaczęło mi wskazywać, że cuda są. Trudno mi było się z tym pogodzić, ale czy chciałem czy nie, musiałem. Życie silniejsze od wychowania. Ja wierzę, bo mi rozum tak nakazuje (a. 549).

Przeżycie Opatrzności w swoim życiu przejawia się więc u jednych jako Boże prowadzenie przez całe życie, u innych zaś przede wszystkim w określonych wydarzeniach.

(Por. ankiety nr 159, 363 i 767 w tymże n-rze).

WNIOSKI

Przy wyciąganiu bardziej ogólnych wniosków należy zawsze zachować dużą ostrożność i wstrzemięźliwość. Można jednak mówić o tym, co się narzuca analizującemu wypowiedzi ankietowe. Otóż wydaje się, że wykazują one znaczne pogłębienie w stosunku do dawniejszej postawy katolickiej, ocenianej jako tradycyjna i narodowo-emocjonalna. Religia przestaje być tylko odziedziczoną tradycją, staje się racją życia (nie w sensie użyteczności dla jego różnych form, ale w jego ostatecznym metafizycznym znaczeniu). Strona przedmiotowa religii, jej strona treściowa zostaje pogłębiona (co również stanowi przezwyciężenie nastawienia przede wszystkim uczuciowego). — Pogłębione rozumienie treści religii eliminuje pozorną ich sprzeczność z wynikami nauk przyrodniczych. — Co więcej, jak już zaznaczyliśmy, uprawianie nauk przyrodniczych czy technicznych nie tylko że nie zwalnia z pytań metafizycznych, ale nawet do nich pobudza. Rozwiązanie dawane przez filozofię materialistyczną jako jedną z prób racjonalnego tłumaczenia świata okazuje się przy tym często dla uczestników ankiety niezadowalające.

Pogłębioną świadomość religijną stwierdzamy jednak nie tylko pod tym względem. — Różnorodność postaw wierzeniowych, zwłaszcza zaś świadomość wiary jako łaski, i świadomość konieczności współpracy z nią, świadczą o tym, że religia nie jest traktowana tylko jako rodzaj szczególnej „wiedzy", ale że jest ona ż y c i e m. Stąd szczególne doświadczenie, które jest jej udziałem (łaska, Opatrzność).

Przy lekturze wypowiedzi ankietowych narzuca się także spostrzeżenie, że odpowiadający nie wiążą religii z elementami drugorzędnymi (wrócimy do tego jeszcze w następnym rozdziale). Błędy członków Kościoła są tylko ich błędami, ale nie ma wewnętrznego związku pomiędzy nimi a zagadnieniem prawdziwości i wartości religii.

III. DLACZEGO WĄTPIĘ?

Z jakimi wątpliwościami spotykamy się w ankiecie? Przy analizie odpowiedzi na pytanie „dlaczego wierzę?" zaznaczono, że akt religijny, a takim właśnie jest akt wiary, angażuje całego człowieka, całą jaźń, a więc rozum, wolę i uczucie, i to najgłębiej. Opierając się na tym twierdzeniu, możemy już z góry powiedzieć, że trudności i ich owoc — wątpliwości, będą się rodzić zarówno od strony rozumu, jak od strony woli, a także uczuć. Wyprowadzenie z góry takiego wniosku nie powinno budzić zastrzeżeń. Warunki zaistnienia aktu wiary, jak i trudności w jego realizacji są związane ściśle z jego naturą. Popełnia się duży błąd, jeśli trudności w dziedzinie aktu wiary upatruje się wyłącznie po stronie rozumowej. Jeżeli akt religijny jest funkcją osobowościową, całej jaźni, to dopatrywanie się trudności wyłącznie po stronie rozumowej oznaczałoby zracjonalizowany pogląd na religię; religia uzależniona byłaby wyłącznie od argumentacji rozumowych. W konsekwencji prowadzi to do tego rodzaju wypaczeń w poglądzie na istotę religii, jak np. zapatrywanie, że religia jest wyłącznie sprawą uczucia (przy czym zwykle nie precyzuje się dokładnie znaczenia terminu „uczucie"), albo sprowadzaniem religii do moralności (uznanie obowiązków moralnych za przykazania Boskie — pogląd Kanta).

Nie jest zawsze rzeczą łatwą wskazać jednoznacznie, gdzie w konkretnym wypadku należy się dopatrywać źródła wątpliwości czy trudności religijnych. I to nie tylko jeśli chodzi o kogoś drugiego, ale także w odniesieniu do samego siebie. Zdaje się tutaj stosować zasada: *nemo judex in causa sua*. Religia to zarówno wartość jak i prawda, dlatego jest w nas, jak pisze Guardini, coś, co chce Boga i coś, co domaga się, aby On nie istniał. Dlatego strona uczuciowa szuka oparcia i usprawiedliwienia w rozumie, a wola nie zawsze jest „czysta". Wskazanie więc, co jest główną przyczyną trudności: rozum, wola czy uczucie, nie musi być nieomylne. Co więcej, czasami można zauważyć, jak brak harmonijnego rozwoju wnętrza człowieka, jego osobowości, utrudnia życie religijne, które właśnie taką harmonię zakłada.

Ten wniosek został potwierdzony materiałem empirycznym ankiety. Ale nie o to tu głównie chodzi. Chodzi przede wszystkim

o to, jakie konkretne dane trudności w dziedzinie wiary wysuwają współcześni polscy katolicy.

Zaznaczmy na początku, że notując wątpliwości nie wchodzimy w ich interpretację, czy ocenę. Uwzględniamy je takimi, jakimi są dla biorących udział w ankiecie. I dlatego niepotrzebnie obawiał się jeden z uczestników:

Czy Redakcja nie „zaangażuje" jakiegoś księdza, który z wysokości katedry „wyjaśni" wszystkie wątpliwości i... będzie wszystko jak dawniej. — Czym innym bowiem jest ocena wątpliwości i ewentualna próba wyjaśnienia, a czym innym zapoznanie się z wątpliwościami, które zostały zaznaczone w wypowiedziach ankietowych. — Nie będziemy więc wyjaśniać wątpliwości, ale tylko pewne uwagi podsumowujące podamy na końcu.

Jakie więc wątpliwości odnotowujemy w ankietach?

1. Zastrzeżenia dotyczące dogmatów, głoszonych przez Kościół Katolicki, zarówno jako zasady, jak i poszczególnych dogmatów przy jednoczesnym uznaniu słuszności samej zasady. Żaden z dogmatów nie wysunął się specjalnie na czoło.

Fizyk (l. 32, którego wypowiedź zamieścił „T. P." w numerze z 6. XI. 1960 r.),

> *wierzy — w Boga, Chrystusa, ale nie wierzy, aby go można było zamykać w jakimkolwiek kościele.*

Inżynier (l. 37, a. 83) wątpi w słuszność nauki podawanej przez Kościół Katolicki. Zastrzeżenia budzą dogmaty i przykazania kościelne. Jego zdaniem

> *Kościół Katolicki nie oddziela istoty nauki wynikającej z nakazu miłości Boga i bliźniego do przestrzegania postu, uczęszczania obowiązkowego na Msze św. w niedziele i święta, obowiązku spowiedzi.* — Trochę dalej zaś zapytuje: *Dlaczego ustanawiać dogmaty, w które wszyscy muszą wierzyć? Znowu dla wygody kościelnej organizacji. Dogmaty są także pewnymi przepisami charakteru faryzejskiego i są chyba głównie wynikiem epoki, w której rozważano, ile aniołów mieści się na główce szpilki. Dlaczego Chrystus nie nakazywał wiary w żadne dogmaty, a z nauki Jego można, z czystym sercem, wyprowadzić tylko parę zasadniczych dogmatów, a i to ich sprecyzowanie może nie być łatwe.*

W podobnym duchu wypowiada się mężczyzna (l. 76, a. 181), wątpi on w słuszność przepisów i dogmatów Kościoła, ponieważ te wydają mu się niezgodne ze zwykłym logicznym myśleniem.

> — *Przesadny dogmatyzm katolicki* — jak stwierdza lekarz z Chorzowa — *stwarza przeliczne okazje do wątpliwości i do-*

maga się klasyfikacji dogmatów na pierwszorzędne oraz na drugorzędne, pozostawione ad libitum (a. 188). —

Natomiast Chemiczka (l. 30, a. 544) zarzuca, że twierdzenia, które podaje Kościół, są badane w sposób czysto spekulatywny a nie przyrodniczy (stąd jej zdaniem wątpliwości w zakresie dogmatu o Niepokalanym Poczęciu). U kilku osób wątpliwości dotyczą dogmatu o nieomylności Papieża (a. 53, inż., a. 121, nauczycielka l. 41, a. 784, kobieta, wykszt. średnie). — Pielęgniarka (a. 80) ma wątpliwości co do nauki o odpustach i o szkodzeniu ludziom przez szatana.

2. Dalej należy wymienić wątpliwości dotyczące życia pozagrobowego, pośmiertnego losu dzieci nieochrzczonych, zagadnienie grzechu pierworodnego i jego skutków, interpretacje nauki biblijnej o stworzeniu pierwszych rodziców, wątpliwości w rozumieniu zamiarów Bożych i planów Bożych, problemu: jak pogodzić wolną wolę z wszechwiedzą Bożą (kobieta, wykszt. średnie; a. 449; por. również a. 160).

3. Osobne zagadnienie stanowi problem wielości religii i zbawienia niekatolików. Jedna z uczestniczek (l. 62, a. 11) pisze:

Czasami jak myślę o tych miliardach ludzi, którzy od tysiącleci zaludniali ziemię, zadaję sobie pytanie, czy to możliwe, żebyśmy tak nieliczni posiadali prawdę?

Od innej strony wysuwa ten problem uczestnik ankiety 502 pytając o zbawienie poza łaską chrztu, a ktoś inny o możliwość zbawienia poza Kościołem. Dla kogoś innego znów wątpliwości rodzą się z problemem, jaki może ewentualnie wyłonić się w przyszłości, gdyby stwierdziło się istnienie istot ludzkich poza ziemią.

Czy wówczas Kościół Katolicki będzie starał się ich zaznajomić z wiarą katolicką i czy będziemy próbowali ich chrzcić? Wydaje mi się, że wówczas nauka o raju i grzechu pierworodnym nie trafi do przekonania tych ludzi (inż. praktykujący, a. 157).

4. Kilkakrotnie poruszano problem zła, cierpienia, zwłaszcza cierpienia dzieci, niesprawiedliwości (szczególnie ostatniej wojny).

Kobieta (ponad 60 l., a. 766) pisze:

Wątpliwości? Zło zrodzone z dobra i także — choć łatwiej wytłumaczalne — cierpienie. Czy zlo jest lepsze od nicości? Koniecznością stworzenia jest niedoskonałość — pewien brak dobra. To zło — tak tłumaczy św. Augustyn. — Bóg uznał możliwość, Jemu tylko wiadomą konieczność zła; uznał byt zła za lepszy od niebytu? Jak trudno zrozumieć a nawet przyjąć to, że zło nie tylko istnieje, ale że trwać będzie wiecznie. —

Gdyby przynajmniej można było wierzyć, że piekło szatanów i potępionych rozpadnie się w nicość po sądzie ostatecznym. Ale przeraźliwie i niedwuznacznie mówi Ewangelia: Idźcie przeklęci w ogień wieczny — przygotowany diabłu i Aniołom Jego. — Jakże Bóg będzie mógł być szczęśliwy przez całą wieczność (piszę to świadomie antropomorficznie), wiedząc że szatan i potępieni cierpią w nieskończoność? — Jak to zrozumieć? — bo jeśli „przyjąć" — co zawsze można — to jaka różnica między wiarą a fideizmem?

Nauczycielka (a. 31) wyznaje:

Zawsze nastręczają mi trudności sprawy śmierci, cierpienia, zła. Argumenty szkolnej apologetyki słabo mnie przekonywały. Uznaję, że niektóre rzeczy przekraczają możliwości mego zrozumienia i że muszę Chrystusowi zaufać zawsze i wszędzie.

Jak pogodzić Opatrzność i zło? Jeden z uczestników ankiety (wykszt. średnie), pisze:

Coraz bardziej przekonany jestem, że wiara jest łaską, Bóg jako przyczyna świata nie budzi we mnie żadnych wątpliwości. Natomiast Bóg jako sędzia i jako ten, który kieruje światem. Nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego Bóg potrzebuje ofiary złożonej z życia ludzkiego. Powracam znów do O. Maksymiliana Kolbe, na którym w obozie koncentracyjnym została popełniona, jak na wielu innych, straszna zbrodnia. Czy Bogu to było potrzebne? Ale ktoś pojmował właśnie w ten sposób, że tego rodzaju ofiary są Bogu potrzebne. Zgodzę się z tym, że można dawać świadectwo prawdzie, że można ze swego życia czynić ofiarę i składać ją na ołtarzu własnych przekonań, ale czy Bogu to jest potrzebne?... Gdzieś czytałem napis na marmurowej tablicy, że jakieś miasto po przeszło stuletniej niewoli dzięki wyrokom Boga powróciło na łono Macierzy. Ten napis mnie znów mocno zaniepokoił. Zacząłem myśleć. Jeżeli Bóg wydaje wyroki, to znaczy, że bierze udział w kierowaniu światem. A więc cóż, niech mi wolno z uwięzi wypuścić różne myśli i to nawet bardzo „grzeszne". Pierwsze pytanie, dlaczego Bóg widząc bezprawie nie wydał wyroków o wiele wcześniej, tylko dopuszczał do przestępstw popełnianych na całym narodzie przez inny naród. A może Bóg w pewnym momencie się „ocknął" i uznał za stosowne skrócić cierpienia ludzi niewinnych. Z drugiej strony ta potrzebna ingerencja Boga musi wchodzić w konflikt z obdarowaniem człowieka wolną wolą. Jeżeli owa niewola miała być karą za

grzechy, to znów wykonawca kary nie może być traktowany jako przestępca, bo był tylko narzędziem w rękach Boga. W myślach moich wyrastają jakieś sprzeczności, których nie umiem pogodzić. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że gdybym mógł przeniknąć Boskie tajemnice, to musiałbym się wtedy sam poczuć Bogiem. I dlatego nie mam na przykład żadnych wątpliwości, że Bóg jest pierwszą praprzyczyną stworzenia świata, że mechanizm życia tylko przez Boga został wprowadzony w ruch. Wierzę w to, że nauka rozwiąże tysiące zagadek, a potem jeszcze drugi tysiąc czy nawet milion, ale będzie drugi milion wyrastało, przy czym największą zagadką będzie zawsze samo wnętrze duszy ludzkiej. Czy wypełni się ono rzeczywiście Bogiem, czy tylko kupką popiołu. (l. 39, a. 580).

A oto jakie trudności przeżywa Ewa-matka dzieci (a. 792):

Tym, co wyzwoliło we mnie całą lawinę trudności, jest obsesja wojny — i dzieci. ...Mogłam pogodzić się z koniecznością cierpienia dorosłych. Mogłam wytłumaczyć to sobie jako karę za grzechy, jako konieczność oczyszczenia i uwolnienia nas ze wszystkiego, co nas przygważdża do ziemi, ale nie mogłam pogodzić się z krzywdą, jaką Pan Bóg dopuszcza, aby wyrządzano dzieciom. Nie mam tu na myśli choroby, bo to jest jakieś naturalne, dziecko chore można otoczyć staraniem i miłością, która jest dla niego najważniejsza. Nawet śmierć dziecka nie wydaje mi się takim złem, bo nie wiadomo czy życie jest tak bardzo warte, żeby je przeżyć, a poza tym dziecko ma chyba największe szanse wejścia do Królestwa Bożego, szanse, które nieraz z wiekiem maleją. Więc nie o to chodzi, tylko o krzywdę, jaką dziecku wyrządzają ludzie. Tu można by przytoczyć z okresu wojny — z prasy i literatury i z własnej pamięci (chociaż byłam jeszcze dzieckiem w czasie wojny) mnóstwo przykladów, od odłączania dzieci od rodziców, głodu i bezdomności począwszy — na biciu i zabijaniu dzieci skończywszy. Łatwo jest o tym rozprawiać teoretycznie, jeżeli się dzieci nie ma, albo jeżeli są już dorosłe; trudno, jeżeli dzieci mają po kilka miesięcy lub lat i kiedy patrząc na ich zabawy ma się w oczach tamte obrazy sprzed 20-tu lat, jeżeli się ich nie umie wyrzucić z pamięci i każde spojrzenie na dzieci jest przez pryzmat tamtych tragedii. — Ten ciężar jest trudny do zniesienia na codzień. — Odkąd mam dzieci, sytuacja moja i sposób myślenia zmieniły się wyraźnie. Przestałam być wolnym człowiekiem, który może mieć albo stracić, żyć albo umrzeć i nic się z tego powodu nie zmieni... Dopie-

ro kiedy jestem matką, a mam także do czynienia z sierotami, widzę, że matka jest nie do zastąpienia...

Po tym całym wywodzie samo nasuwa się pytanie: a gdzie ufność w Bogu? Rzeczywiście był okres, kiedy ją miałam, ale w toku dalszych przemyśleń i to w pewnej mierze straciłam. Znowu mogłabym ostatecznie przyjąć, że Pan Bóg każe dzieciom cierpieć i umierać, ale w końcu wychodzi im to w jakiś sposób na dobre. Ale nie zawsze tak jest. Można przytoczyć wiele przykładów, gdzie dzieci (te starsze), zwłaszcza sieroty, w wyniku tragedii wojennych, nauczyły się zasady oko za oko, zeszły na złe drogi. Dlaczego Bóg nie chronił ich przed zepsuciem moralnym? A teraz jaki jest los sierot?.... Na czym polega opieka Boska nad sierotami? Więc jak mam zaufać Bogu, że jeżeli każe mi umrzeć, to się zaopiekuje moimi dziećmi? Mniejsza o ewentualne biedy, ale jacy ludzie by z nich wyrośli? Co zresztą nie przesądza, czy ja potrafię je wychować dobrze.... Jeżeli nawet Pan Bóg oszczędzi nas — to nie zmienia postaci rzeczy, bo zawsze są tacy, których dotykają katastrofy, zawsze są między nimi dzieci... Sama boję się tego, co napisałam, ale muszę to pisać i dalej jeszcze, bo chcę, żeby mnie kto przekonał, że nie mam racji. Nie piszę przecież, żeby obrazić czyjeś uczucia religijne, a tym bardziej Boga... Zastanawiam się też nad tym, dlaczego zło jest możliwe i nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

5. Wątpliwości, dotyczące praktycznej strony życia i działalności Kościoła. Od wątpliwości, które rodzą się od strony teoretycznej, rozumienia prawd wiary, należy oddzielić te, które powstają w związku ze stroną praktyczną, z działalnością Kościoła.

Kobieta (a. 11, już poprzednio cytowana) pisze m. in.:

Czasami wydaje mi się nie do wiary, że tak cudowna idea jak Chrystusowa, może być tak wypaczona, tak zniekształcona w życiu przez wyznawców. Że nie ma dość siły, by ich przeobrazić.

W tym samym duchu pisze Anna O. (ponad 60 l.):

Ale wątpliwości zwalczyć nie sposób — nie co do istnienia Boga — ale co do Kościoła, jego nakazów, jego praw, i co do nas katolików.

W dwóch chyba wypadkach postawiony jest zarzut deprecjonowania kobiety w Kościele, (a. 291, wykszt. wyższe), względnie — jak pisze mgr chemii (kobieta, l. 26, a. 544) *dziwny los kobiety w Kościele.*

Stosunkowo najwięcej wątpliwości, zastrzeżeń, czy postulatów wysunięto pod adresem księży. Piszemy o wątpliwościach, zastrzeżeniach i postulatach dlatego, że charakter wypowiedzi na ten temat jest bardzo różnorodny. I tak wątpliwości budzi: zły przykład księży (por. a. 2, wypowiedź organisty zam. w „T. P." nr 675), wygórowane pobieranie opłat (a. 507, ekonomista, l. 50), zbytnią troskę o sprawy materialne i nie wystarczającą pomoc duszpasterską zarzuca Inżynier (l. 36, a. 519). Denerwują niektóre formy życia kościelnego (por. a. 253), „celebrowanie" (a. 507 j. w.) — Zarzuty pod adresem księży idą w parze z uznaniem dla księży gorliwych i pełnych poświęcenia (a. 368, kobieta, wykszt. średnie). Prawnik (l. 55) zarzuca księżom życie w swoistym getcie i domaga się współpracy ze świeckimi.

6. Wątpliwości rodzą się także na odcinku etyki katolickiej, zwłaszcza na odcinku spraw pożycia małżeńskiego.

Istnieją rodziny, które nie potrafią przyjąć w ślad za doktryną katolicką, jako drogi ograniczenia potomstwa, okresów fizjologicznej niepłodności kobiety. A więc konflikt między wiedzą a wiarą? W ten sposób życie okazało się silniejsze, wyrosła szklana ściana między mną a Bogiem (a. 184).

Mamy również ankiety, w których te trudności zostały przezwyciężone (a. 328).

Trudność pogodzenia wymagań życia chrześcijańskiego w ogóle z życiem z „tego świata" przejawia się wyraźnie w ankiecie podpisanej „Paradox" (a. 5). Czytamy:

Byłoby niedorzecznością przyjmować, że byt u podstaw swych jest bezsensowny i zbrodniczy. Przyjmuję więc za prawdziwą tę poprzednią ewentualność zaświatowej podstawy jako posiadającą jakiś sens. Przedstawicielem tego sensu na ziemi i to przedstawicielem o naprawdę boskim duchu jest według mnie Chrystus.

Na pytanie jednak „dlaczego wątpię" dodaje:

Bo ów sensowny i na jakimś poziomie świat Chrystusa jest nie z tego świata... jakże to jest różne od naszych codziennych realii. — Co skłania do odejścia? Primo, ta niezwyczajność zaświatów, która trzyma człowieka w bardzo dziwnej sytuacji. Secundo, trzeba tu ryzykować utratę tak bardzo ludzkiej i dużej satysfakcji zmysłowej, którą można uzyskać bez alkoholu i bez krzywdy drugiego (drugiej).

Z podobnymi obiekcjami spotykamy się również u tych, którzy odeszli.

7. W ankietach natrafiamy także na wątpienie, które jest jakimś stanem psychicznym, czymś podobnym do niepokoju, gdzie mimo wysiłków „niepewność zostaje". Jest to jakieś wątpienie generalne. Absolwentka medycyny tak m. in. pisze:

Przychodzi natomiast zwątpienie; człowiek zostaje sam, zdany wyłącznie na swoje własne siły. „Nikt nie jest samotną wyspą" powiada w tytule swoich rozważań Thomas Merton. Tak — jeżeli ma Boga, jeżeli głęboko wierzy. Ja nie mam takiej wiary. Wyrosłam w środowisku katolickim, ale nie chcę „tradycyjnie" tylko opowiadać się za katolicyzmem; chcę, by decyzja w tej sprawie była konsekwencją moich własnych przekonań, chcę mieć nie pewność, bo tej nie zdobędę, ale spokój dla duszy. I zdaję sobie sprawę, że go nie znajdę, jeżeli od Boga odejdę. Chciałabym móc przestać myśleć, a wierzyć tylko wiarą dziecka. Niestety, myśli nieubłaganie, natarczywie dręczą; powracają — wciąż te same: niepokojące, dokuczliwe, natrętnie pytające. Nie mogę na nie znaleźć odpowiedzi. I wtedy zaczynam poddawać w wątpliwość istnienie Boga. Powstaje jakiś straszliwy paradoks: odchodzę, chociaż nie chcę tego, chociaż chcę znaleźć drogę do Boga. Błądzę po omacku, wstaję, a Bóg nie pomaga, przeciwnie — zdaje się robić wszystko, bym dalej błądziła po bezdrożach, nie słyszy wołania o pomoc, nie dodaje siły. W samotności zupełnej zmagam się z myślami własnymi. ...A może właśnie to błądzenie jest powołaniem mojego całego życia? (a. 496).

Inżynier (l. 71, a. 162) pisze podobnie:

Jednak przeżywałem i przeżywam chwile, okresy zwątpień, buntu, szukam Prawdy i choć chodzę do spowiedzi, trudności moje są nierozwikłane i boję się, że nie rozwikłam ich. Nieraz widząc w kościele żarliwie modlących się myślę, jacyż oni są szczęśliwi, to samo myślę o głęboko wierzących. Czytam pisarzy katolickich, staram się wiarę pogłębić modlitwą, czytam też materialistów, szukam ich myśli, krytycznie je ujmuję, a jednak jakieś zdanie, jakaś myśl wyprowadzi mnie z równowagi i wszystko się wali. ...Ale nie odejdę.

Wątpliwości są czasami tego rodzaju, że zdają się towarzyszyć na sposób pokusy.

8. Stosunek do wątpliwości — drogi wyjścia.

Należy zauważyć, że znaczna część wątpliwości dotyczy rozumienia prawd wiary, przy czym niektóre pochodzą z braku na-

leżytej ich znajomości i pogłębienia. Wiele tzw. wątpliwości dotyczących praktycznej działalności Kościoła posiada raczej charakter zgorszenia (pierwiastkiem ludzkim w Kościele), aniżeli faktycznych wątpliwości w wierze.

Pod względem ilościowym stosunkowo dużo zastrzeżeń budzi życie księży. Należy jednak dodać, że równocześnie w wielu wypowiedziach spotykamy stwierdzenia, że element ludzkiego zgorszenia w Kościele nie stanowi argumentu przemawiającego przeciwko wiarygodności boskiego pierwiastka w Kościele.

> *Tego rodzaju przyczyny utraty wiary jak niedoskonałość jej głosicieli (z czym zresztą osobiście — pomimo aż nazbyt często słyszanych opinii w tym względzie — nie spotkałam się nigdy) wydaje mi się niepojęte — to tak jakby ktoś nie wierzył w doskonałość wyrobów Wedla, bo gdzieś w prowincjonalnym sklepiku sprzedano mu zjełczałą czekoladę (nonsens ten trzeba w wypadku religii pomnożyć przez nieskończoność).*
>
> *Zdobycze naukowe? To, że stoimy u początku rozwiązania zagadki życia, otrzymania żywej komórki? Byłżeby to dowód na to, że świat mógł się obejść bez Stwórcy?... Chwile zwątpień zaliczam do najcięższych w życiu. Pragnęłabym (choć to niemożliwe) ustrzec przed tym córki. Chciałabym im w jakiś sposób przekazać przekonanie, że wiara to nie wspaniały ornament, czy narzędzie do kształcenia ducha, lecz samo sedno życia* (Art. Plastyk, k., l. 36, a. 437).

Dla jednych — jak widać — trudności połączone są z przeświadczeniem o słuszności własnych poglądów, dla innych jest to dysproporcja pomiędzy tym, co wiedzą o prawdach religijnych a co powinni wiedzieć, aby rozwiązywać nasuwające się im pytania.

> *Mam wątpliwości w rzeczach wiary nie dlatego, że się gorszę, ale dlatego, że nie wiem. Podobnie jak Nikodem* — pisze uczestniczka ankiety z wyższym wykszt. human., (l. 37, a. 564). — Inna (a. 503) wypowiada się podobnie: *Gdybym miała więcej czasu na czytanie i możliwości kontaktów ze światłymi katolikami, wiele z tych wątpliwości udałoby się rozwiązać.*

„Barbara" (l. 36, wykszt. wyższe przyrodnicze, a. 669) po przedstawieniu swoich wątpliwości powstałych wskutek czytania literatury religijnej a nawet Pisma św., a także wątpliwości dotyczących współpracy z łaską, pisze:

Zdaję sobie sprawę, że do rozwikłania moich trudności pomogłaby mi rzetelna lektura, i to nie dzieł ascetycznych, do których mam tyle zastrzeżeń, ale dzieł teologicznych i filozoficznych. Ale tu trudność zupełnego nieprzygotowania do tego typu lektury. Zdaje się, że etykietka „wykształcenie wyższe" nie zmyli już nikogo. Wielu z nas kończących studia po wojnie, nie ma elementarnych wiadomości z dziedzin nie związanych bezpośrednio ze swoim zawodem. Nie mam również czasu na poważniejsze studia. Ale są chyba w Polsce książki napisane względnie przystępnie, które mogłyby pomóc takim jak ja do pogłębienia swoich wiadomości religijnych. Stąd prośba do „Tygodnika Powszechnego" o jakiś artykuł omawiający tego rodzaju lekturę. — Wszystkie pytajniki umieszczone w mojej wypowiedzi, są wyrazem moich wątpliwości, ale nie są prośbą o odpowiedź. Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek mógł mi pomóc i wiem, że sama muszę zaradzić swoim trudnościom.

Jednych wątpliwości oddalają od Boga, inni odchodzą całkiem, jeszcze inni, chcą, by zostały one wyjaśnione (a. 507). Są tacy, którzy wskazują na wątpliwości, które po wyjaśnieniu minęły i umożliwiły w ten sposób powrót (a. 328). Niektórzy zaś z uczestników przezwyciężają swoje trudności na drodze autorytetu. Kobieta (l. 48, wykszt. średnie, a. 185) po stwierdzeniu, że gorszą ją księża i że wydaje się nieprawdopodobne, żeby Bóg schodził na świat w postaci ludzkiej, *by dobry Bóg mógł być stwórcą piekła,* ciągnie dalej: *Dlaczego nie zwątpiłam zupełnie i nie odeszłam? Bo wychodzi w Polsce „Tygodnik Powszechny", bo Gołubiew napisał: „Dlaczego jestem katolikiem" i „Listy do Przyjaciela", bo Kisiel wierzy, bo bywają księża, którzy traktują penitenta tak jak potraktowałby go Chrystus i tacy, którzy czytają „T. P" i mówią dobre kazania.*

IV. DLACZEGO ODCHODZĘ?

1. MOTYWY I PRZYCZYNY ODCHODZENIA

Jakie odejścia i z jakich motywów możemy odnotować? Jak już zostało zaznaczone, odpowiedzi sformułowanych w duchu „dlaczego odszedłem" było 19. I w tych odpowiedziach — tak jak w akcie wiary — widać całą złożoność problematyki odejścia. Przede wszystkim jednak trzeba zauważyć, że specyfika odejścia zaznacza się nie tylko od strony różnych lementów subiektywnych (rozum, wola, uczucie), ale w dużym stopniu od strony

przedmiotu, od którego się „odchodzi". A więc, czy odchodzi się od Boga w sensie niewiary w Jego istnienie, czy odchodzi się od przedstawienia Boga, które uważa się, że jest przedstawieniem chrześcijańskim, czy odchodzi się od Kościoła. Dalej, czy jest to odejście od Boga w sensie afirmacji Jego nieistnienia, czy też jest to agnostycyzm. Otóż odejście od Boga w sensie niewiary w istnienie Kogoś całkowicie transcendentnego w stosunku do świata, nie jest jasno postawione nawet u najbardziej akcentujących swe odejście od religii. Stosunkowo najczęściej i najwyraźniej w tych 19 odpowiedziach, przebija agnostycyzm.

Mężczyzna (l. 62, a. 302) po przedstawieniu różnych tarapatów swego życia (pobyt w zakonie, niefortunne małżeństwo...) tak dalej stwierdza:

Przedstawiłem je, bo uważam, że ono w dużym stopniu wpłynęło na ukształtowanie mojego obecnego światopoglądu. Jest daleki od katolicyzmu; jest przepojony agnostycyzmem. Nie wiem, czy jest Bóg, skąd się wziął świat, jaki jest cel życia i czy istnieje życie pozagrobowe. Te problemy są dla mnie okryte nieprzeniknioną mgłą wielkiej tajemnicy. Nie wystarcza mi światopogląd religijny. Jest prymitywny, zmniejsza Boga i upodabnia Go do człowieka...

Kobieta (l. 68, a. 37) pisze: *należę do kategorii tych, co nie odchodzą, ale dawno już odeszli — agnostycyzm. Powody tego były zarówno rozumowe jak i uczuciowe.* Autorka wypowiedzi m. in. zapytuje:

Jak można Mu (tj. Bogu) przypisywać jakiekolwiek cechy i właściwości, chociażby tylko na podstawie najdalszej analogii. Wszystko to wydaje się twórczością geniuszów, którzy wyrazili w religiach potrzeby tkwiące głęboko w ludzkiej psychice. Ale czyż nie jest sprzecznością samą w sobie określać Absolut ludzkim umysłem?... I druga sprawa, która „za mną chodzi" właściwie całe życie. Jeżeli przyjąć, że Bóg jest Najwyższym Dobrem, to jak to pogodzić ze złem świata?... Dla mnie osobiście jest tylko Wielka Tajemnica poza Dobrem i Złem w naszym ludzkim pojęciu...

Agnostycyzm i odejście od tego przedstawienia, które uważa się za chrześcijańskie (lub Kościoła katolickiego) przewija się w następnych odpowiedziach.

Historyk (l. 54, a. 218) tak pisze:

Odszedłem dawno, jeszcze przed wojną. Wtedy, kiedy przestałem kochać Kościół, matkę naszą. W religii, jak w miłości, wszystko się podoba, albo przynajmniej wszystko się znosi

tak długo, póki się kocha. Za młodu wydawało mi się, że bez Kościoła żyć nie można. Wątpić począłem dopiero po trzydziestce, w miarę jak poznawałem życie i zagłębiałem się w przeszłość mego Kościoła. Studia nad historią Kościoła i historią dogmatów, samodzielnie prowadzone i bezstronne, z pasją aż do bolesnego obiektywizmu, odsłoniły mi głęboki rozbrat między ideą a praktyką, między teorią a rzeczywistością. A czymże jest szukanie prawdy, jak nie szukaniem zgodności z rzeczywistością? ...Wiara w Opatrzność i Jej rządy nad światem absolutnie nie może się ostać w rzetelnie krytycznym umyśle. Wraz z nią pada wiara w Boga osobowego i wszystkie jej kościelne konsekwencje. Nie jestem mimo to ani ateistą ani materialistą. Zachowuję postawę sceptyka i agnostyka, tj. pozycję nauki.

Z ostatnich jednak zdań zdaje się wynikać, że Autor wypowiedzi w jakimś stopniu uważa się mimo to za katolika, choć pokłóconego z Kościołem:

Moje kontakty z teozofią również zostawiły ujemne wrażenie. Światły katolik, trzeźwa umysłowość, nawet pokłócona z kościołem, nie ma tam czego szukać".

Agnostycyzm przebija także z ankiety 215 (l. 34):

Ja tym wartościom nie przeczę — nie wiem, czy jest Bóg, zgromadziłem tylko większość argumentów przemawiających za Jego nieistnieniem. — Wszystko przedstawia się w czysto ludzkich kategoriach. Kościół to twór czysto ludzki, prowadzą go ludzie ułomni, upadający. Historycznie Kościół ma duże zasługi. Niedawno pewien przyjaciel-ksiądz powiedział mi: Chrystus był Bogiem. Powiedziałem: nie rozumiem, co znaczy słowo „Bóg". Lubię być wszelako w kościele, lubię liturgię, bo przecież trzydzieści kilka lat byłem gorliwym katolikiem.

A jak brzmi ostateczna racja odejścia?

Odchodzę, bowiem dokoła mnie życie ludzi jest kpiną z założeń wiary... Mnie sto razy lepiej bez wiary i bez Boga, który jest niczym dla ludzi mego otoczenia, dla kleru, dla wszystkich.

Z dużą pewnością młodego człowieka, w której przebija typowa też nastrojowość, pisze Student filozofii (l. 18, a. 281):

Równo rok temu powiedziałem swojej dziewczynie: „Jestem szczęśliwy, że wybrałem drogę z Bogiem i Kościołem", ale już wtedy na pewno dojrzewały we mnie postanowienia, które

znalazły świadome potwierdzenie w pewną czerwcową noc. Wierzę Rollandowi, że utrata łaski wiary jest rzeczą jednej chwili, jakiegoś objawienia, tak jak jej otrzymanie. Nastąpił pewien moment, po którym poznałem, że dłużej nie potrafię trwać na nic moim posterunku. Dlaczego? Bóg katolicki jest jakiś mało boski....

Jakie są według autora przymioty Boga katolickiego?

Wtłoczony w złocone ramy, otacza się chmarami aniołów, świętych i papieży — jakby dbał o tani poklask... Potrzebuje kaznodziejów i tłumów... Nie grzmi, gdy święte sobory uchwalają Dogmaty, Kościół wyklina tych, co w nie wątpią... A jednak wierzę w Boga, wierzę, że mój radosny niepokój, uporczywe czekanie na coś, ukochanie życia i ludzi jest Bogiem. Bóg mieszka w nas.

Historyk (l. 32, a. 211) ma również trudności w wyborze koncepcji Bóstwa. Pisze:

Wolałem przestać wierzyć w to, co Kościół Katolicki do wierzenia podaje. Której z innych wersji Boga zawierzyć? Czy Bóg w ogóle przekazał komukolwiek na ziemi wiedzę o sobie w tak nieporadnych formułkach i dziwacznych przenośniach, jakimi wypełnione jest Pismo św. i inne teksty religijne? Patrzę więc na świat jako deista. Uważam, że Stwórca świata jest na większą miarę, niż Go uczyniły znane mi religie.... Byłoby dobrze, gdyby Kościół zasługiwał na większy szacunek, niż obecnie, gdyby mógł stać się autorytetem w sprawach moralnych.

Dla niektórych — podobnie jak to było w grupie wątpiących — powody odejścia są natury praktycznej: trudno im pogodzić życie religijne z praktyką życia, z życiem „tego świata", (moment ten wystąpił już w cytowanej ankiecie 215).

Mężczyzna (lat. 25, a. 118) z wyższym wykszt., podpisujący się „Ten, który jeszcze wróci" tak pisze:

Pomimo, że odchodzę, widzę w niej coś fantastycznego, pociągającego każde gorące serce ludzkie. — Lecz odczuwam strach powrotu do życia religijnego. Boję się porażki, boję się niewłaściwego postępowania, boję się tych wszystkich nakazów od najpoważniejszych autorów religijnych, z którymi nie można się zgodzić w życiu codziennym. ...Proszę mi powiedzieć co było właściwe (podczas przerwy między wykładami): iść na mierny film, grać w karty czy też zasiąść do poważniejszej książki w kącie sali i czytać? Tak nie rozumia-

łem kolegów a koledzy nie rozumieli mnie. Traciłem z nimi kontakt, traciłem kontakt z życiem ....reasumując: odchodzę, gdyż moja religijność spowodowała odejście od życia, spowodowała bezradność życiową. To wszystko nastąpiło albo przez niewłaściwą przeze mnie interpretację nauki Chrystusowej, względnie zbyt dosłowne branie słów zawartych w książkach o treści religijnej.

Inny mężczyzna (lat 30, a. 19) pisze:

Obawiam się, że po tym wszystkim, co przeszedłem, nie mam już pełnej sprawności seksualnej. W razie niepowodzeń na tym polu nie mam zamiaru nikogo unieszczęśliwiać... Wiadomo, że Kościół Katolicki te sprawy rozwiązuje bardzo rygorystycznie nie licząc się z życiem i psychiką ludzi, dlatego też postanawiam odejść i nie komplikować sobie życia, zwłaszcza że się muszę sam przebijać przez życie, a liczne ceremonie kościelne bardzo by mi to wszystko utrudniały. Zresztą stałem się obojętny na sprawy religijne, od kilku lat nie chodzę do kościoła. Razi mnie bardzo, że Kościół Katolicki nie zezwala na rozwody.

Pracownik umysłowy (l. 32, a. 306) wyznaje:

Muszę stwierdzić, iż wierzę, i to mocno, nawet fanatycznie, że równocześnie wątpię i że niestety powoli odchodzę. — Nie chodzi tu o niebo, które nie staje w płomieniach. Wydaje mi się arcysłuszną myśl św. Teresy iż „życie jest tylko noclegiem w niewygodnej gospodzie", i tak do niego podchodzę, ale — i tu rodzi się pierwsza wątpliwość — dlaczego tego noclegu nie przepędzić w możliwie najwygodniejszym łóżku, z poduszką pod głową, termoforem w nogach i hm, hm — no, nawet własną żoną, ale bez kurateli w zakresie „tych rzeczy". — Tu zaczyna się powątpiewanie i odchodzenie —ośmielam się twierdzić nie tylko u mnie, ale u 95% moich znajomych również. ...Nawet lektura „Tygodnika" coraz bardziej upewnia mnie w przypuszczeniu, że prawdziwe praktykowanie religii (jak zresztą każdej innej ideologii) dostępne jest umysłom albo bardzo wybitnym, albo bardzo prostym. Rodzi się pytanie: gdzie nasze miejsce, miejsce intelektualnej middle class?

Dla innych odejście od religii oznacza uwolnienie się od balastu. „Eks-rzym-katolik" zapytuje:

A więc dlaczego odszedłem? Bo doszedłem do przekonania, że religia, praktyki religijne, a przede wszystkim instytucja

Kościoła i kler są absolutnie w moim życiu niepotrzebne i bez tego „balastu" mogę spokojnie i szczęśliwie żyć. Tak krótko jednym zdaniem brzmi moja odpowiedź na Waszą ankietę.

Następnie autor wypowiedzi kreśli, jak krystalizował się przez lata ten jego pogląd na religię, Kościół, kler. Ostateczne powody, dlaczego zwątpił i odszedł, zamyka w zdaniu:

Przede wszystkim postępowanie i życie kleru, dalej skutki i efekty religijnego wychowania, następnie historia Kościoła Katolickiego i jego czynny udział w rządzeniu państwami a szczególnie naszą Ojczyzną i w końcu skostniałość i martwota dogmatów kościelnych, które zresztą papieże zmieniali jak rękawiczki gwoli swoich potrzeb i wygód.... Tak pokrótce wyglądają powody, dla których zwątpiłem i odszedłem.

Jak już poprzednio zostało zaznaczone, nie zawsze jest łatwo wskazać, co jest zasadniczym motywem odejścia. Widać to wyraźnie na przykładzie ankiety 19 (kobieta l. 37, wykszt. średnie). Czy motywem odejścia jest zobojętnienie na wartości religijne, czy zły przykład księży, czy własne niepowodzenie życiowe, czy to, że w religii katolickiej *to i owo nie zostało jeszcze zmodyfikowane?* Autorka odpowiedzi pisze m. in.:

Jeżeli o mnie chodzi, to wydaje mi się, że wiarę straciłam tak już gruntownie i z kretesem. Wydaje mi się tak dlatego, bo cóż może być dokładniejszym pogrzebaniem czegoś jak obojętność. Morze obojętności. Sprawy religii wyraźnie mnie nudzą, w kościele czuję się jak w teatrze... Dla mnie te rzeczy są przedawnione i ostatecznie załatwione.

Następnie zaś zapytuje:

A samo tracenie wiary? Źli księża, zmaterializowani i chyba odchyleni od normy — nie chciałabym powiedzieć inaczej — wydatnie mi w tym pomogli. Np. maleńki fakcik: jedyne zainteresowanie spowiednika — ile masz dzieci — za mało —

Do tego kilka poważniejszych chorób w rodzinie — kłopoty finansowe — niepowodzenia życiowe — brak czasu na praktyki religijne — no i zbyt intensywne używanie umysłu na rozmyślania nad sprawami religii — to chyba już pełny obraz moich doświadczeń.

Uczestniczka ankiety wyznaje jednak, że:

religia chrześcijańska, piękna religia miłości, może odgrywać doniosłą a konstruktywną rolę w społeczeństwach. Z tym

jednak, że zasady jej będą głoszone przez odpowiednich ludzi a wcielane w życie przez wszystkich, którzy wierzą.

Z drugiej zaś strony postuluje ta sama uczestniczka, że:

w religii katolickiej trzeba by to i owo zmodyfikować — bo inaczej przeżyje się i przestanie służyć ludziom ku ich pożytkowi.

Złożoność motywów i element resentymentu w stosunku do religii przebija z ankiety 32 (mężcz., l. 47, wykszt. wyższe). Autor zarzuca inicjatorom ankiety tendencyjność, której dopatruje się już w samej kolejności sformułowanych pytań, ale równocześnie sam wyznaje swoją tendencyjność z tym, że jego tendencyjność jest usprawiedliwiona, ponieważ jest ona odbiciem tendencji realnie istniejącej w dziejowym procesie ludzkości. A jakie powody odejścia podaje? Nie spotykamy żadnej rzeczowej argumentacji, autor natomiast stwierdza, że wielu ogranicza się do niewielkiej ilości obrzędów religijnych, a bardzo mało jest tych, którzy kierują się inspiracją religijną, dlatego on sam nie chce być dwulicowym. Odrzucenie wiary, która wydaje mu się absurdalna, daje mu poczucie wolności.

2. SZUKANIE

H. T. (l. 42, wykszt. wyższe, a. 203) podzielił życie swoje na trzy etapy: 1. do r. 1936 — okres wiary; 2. lata 1936—1939 okres wątpienia i 3. lata 1940—1960 — „odejście trwa". — W rzeczywistości dla tej kategorii odpowiadających zabrakło osobnego pytania, które by pozwoliło zaliczyć ich do innej grupy aniżeli wymienione trzy, mianowicie do grupy ludzi szukających. — Autor wypowiedzi tak charakteryzuje okres wątpienia:

Następuje dalszy rozwój intelektualny przez studia przyrodnicze i po raz pierwszy spojrzenie na wiarę od strony filozofii. Brak możliwości pogłębienia zagadnień religijnych powoduje powstawanie coraz częstszych pytań, na które nie znajduję odpowiedzi. Nie mam oparcia w lekturze (brak takich pozycji wydawniczych, które ukazały się np. po wojnie), ani w kontaktach osobistych z ludźmi.

Wreszcie na skutek szeregu wątpliwości, gdy wiara przestaje być dla mnie autentycznym przeżyciem, a jest tylko pewną zewnętrzną formą — postanawiam zerwać z religią katolicką. Przestaję chodzić do kościoła i do spowiedzi — odchodzę.

Odejście moje nie jest jednak tylko negacją. Jest stałym szukaniem; dużo czytam i rozmyślam. Od czasu wątpienia często pytałem: po co? Dlaczego? Czy jest i kim jest Bóg? — Pomimo różnych faz niewiary jestem deistą. Na mojej drodze, od lat, stoi i Bóg, i sens życia, i śmierć. Oczywiście problemy te, w miarę upływu czasu, zmieniają swoją treść. Usilnie staram się je rozwiązać; to chyba właśnie jest życie. — Jednak dlaczego zagadnienie Boga, życia, śmierci są to kwestie tak ciężkie, przytłaczające i właściwie robi człowiek wszystko, aby o tym zapomnieć, ominąć, uciec?... Zapamiętanie w pracy, miłości, rozrywce daje złudzenie pełni życia i właściwie jest w pewnym sensie samym życiem. Jednak mimo wszystko, wcześniej czy później powraca i staje Bóg. I mimo 42 lat — nie znajduję jeszcze odpowiedzi.

Szukanie i jakaś niemożność wyboru, decyzji, cechuje również Annę (l. 36, mgr nauk filozoficznych, a. 841). Autorka odpowiedzi kreśli koleje swego życia, ponieważ, jak sama uważa, *każdy określony światopogląd ma swe podłoże w jakości doznawanych przeżyć. Przeżycia te — to tok wpływów, jakim ulegała dana jednostka — oraz ich ocena przez jednostkę.* Są to lata wojny, powstania, obozu jenieckiego — a równocześnie dyskusje na tematy związane z religią, szukanie racjonalnych podstaw wiary i napotykanie trudności, które nie zostają rozwiązane.

Uczestniczka ankiety tak kończy:

Ludzie (jeśli zdobywają się na myślenie) wierzą dlatego, że uznają istnienie Boga — wybierając z dobrowolnie wybranych tez — jedną — najpełniejszą i najbardziej logiczną. Tak określił w swej wypowiedzi ankietowej „Fizyk" — Mnie zaś pozostało z młodzieńczych mych utrapień tylko jedno: nie wierzę, bo nie jestem w stanie wybrać żadnej przeciwstawnej tezy powstawania świata — ani materialistycznej, ani deistycznej. Uznanie którejkolwiek przechodzi moje możliwości. Chyba zresztą uznanie wybranych tych tez w oparciu o przesłanki racjonalne przechodzi możliwości każdego człowieka. Dlatego też twierdzę, że u podstaw wiary lub niewiary kryje się źródło woluntatywne. Może to właśnie wierzący określają łaską....

Jak widać, odpowiedziom, których autorzy zaliczają się do grupy tych, co odeszli, lub odpowiedziom odchodzących w stosunku do odpowiedzi podpadających pod grupę wierzących poświęciliśmy sporo miejsca. Na podstawie tych wypowiedzi widać

wyraźnie, jak bardzo różnoznaczne są te odejścia i wskutek tego, jak mało mówiące jest podciąganie ich autorów pod jedno wspólne miano i obliczenia statystyczne. Mamy więc nie tylko różne odejścia — jak zaznaczone zostało na początku — ale niektóre z nich właściwie nie są odejściem, ale ciągłym poszukiwaniem. Wśród tych zaś, którzy zadeklarowali się jako odchodzący, problem odejścia nie zawsze jest wyrazem przeświadczenia, rozwiązaniem światopoglądowym, ale swoistą postawą życiową. Stąd stosunek do religii, nastawienie u deklarujących się jako ci, którzy odeszli, jest także różnorodny. Jedni przeżywają to odejście jako tragedię, dla bardzo nielicznych — żeby nie powiedzieć wyjątkowo — jest to odrzucenie balastu i „sto razy lepiej".

Trudności rozumowe podane jako powody odejścia posiadają też znamienną rozpiętość: od trudności, które wywołuje jakakolwiek antropomorfizacja idei Boga i które są właściwie walką o dojście do prawdziwego transcendentnego Boga, po trudności, które polegają na zgorszeniu pierwiastkiem ludzkim w Kościele. Należy dodać, że przedstawienie zagadnienia, które uważa się za własność Kościoła Katolickiego, nie u wszystkich jest ujęte poprawnie. W niektórych wypowiedziach spotykamy się wprost z błędnym ujęciem a nawet ze sprzecznościami, które wskazują na niezrozumienie rzeczy (np. *martwota dogmatów i ... zmienianie ich jak rękawiczki)*. Odróżnić należy odejścia, które są spowodowane uprzednimi założeniami (tzw. „usprawiedliwiona tendencyjność"), już z góry wykluczającymi możność akceptacji rozwiązania religijnego.

Odejścia spowodowane trudnościami natury praktycznej czy uczuciowej nie są nowe. Potwierdzają one na swój sposób, że religia jest tą wartością, która determinuje całą postawę życiową, że zobowiązuje. Także jednak i na tym odcinku trudności mają co najmniej podwójny charakter: 1. niedokładne rozumienie wymagań religijnych, lub 2. odrzucenie religijnych norm postępowania.

U szukających napotykamy na trudności rozumowe, które jeszcze nie zostały przezwyciężone, ale również na pewne usposobienie psychiczne nacechowane swoistą niemożnością decyzji.

Ks. Marian Jaworski

ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ:

»DLACZEGO WIERZĘ, WĄTPIĘ, ODCHODZĘ«

Alina Świderska
Kraków
Ankieta nr 295
† 12. I. 1963

Ja już wszystko mam poza sobą, więc moja odpowiedź może być tylko w czasie przeszłym i w innym porządku.

1. Dlaczego wątpiłam?

Dlatego, że chciałam prawdy bezwzględnej, a w miarę jak się zastanawiałam, nasuwały mi się coraz to inne wątpliwości, najgorzej zaś wpływało na mnie czytanie pism apologetycznych, bo pobudzało mię do myślenia w tym kierunku przywodząc na myśl szereg pytań, na które nie znajdowałam odpowiedzi.

Nareszcie powiedziałam sobie: — No, tak. Wszystkie te rzeczy mogą być albo nie być, ale ja wolę wierzyć, że są. To mi wystarczało, przez dość długi czas. Aż przyszedł moment...

2. Dlaczego odeszłam?

Właśnie wskutek owego momentu. Byłam usposobiona szczególnie żarliwie. I właśnie w owej chwili nagle ze szczególną wyrazistością przyszło mi na myśl: — A jeżeli to tylko złudzenie?

Od tej chwili przestałam wierzyć. O ile zaś przedtem w stosunku do własnej wiary miałam wahania, o tyle co do niewiary nie miałam żadnych. Uwierzenie było dla mnie niepodobieństwem.

Tutaj muszę dodać, że rozgrywało się to całkiem niezależnie od moich przeżyć osobistych. Żadne przejścia życiowe nie wpływały na ten przebieg myśli. Tyle tylko, że w tym wieloletnim okresie niewiary, gdy przychodziły ciężkie chwile, nie mogłam się modlić. I to było okropne.

3. Dlaczego wróciłam?

Interesowała mię postać Chrystusa. Podchodziłam do Niej z rozmaitych stron. Rabbi-cudotwórca (bywali przecież tacy na Wscho-

dzie). Prorok-wizjoner. Reformator społeczny. Człowiek obdarzony nadzwyczajnym urokiem osobistym, miłośnik przyrody i dzieci. I zawsze pozostawała jakaś reszta. Nie przestawał być dla mnie zagadką.

Aż na koniec w Nim właśnie znalazłam p r a w d ę.

Alina Świderska

N. N.
lat ok. 70
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 284

I. Dlaczego odszedłem?

Wzrosłem w rodzinie katolickiej, która nie tylko miała głębokie zrozumienie dla prawd Ewangelii, ale też praktykowała je w codziennym życiu. Dochodząc do matury miałem ponad przeciętną znajomość apologetyki katolickiej i duże zainteresowania dla spraw światopoglądowych. Rozpocząłem nauki przyrodnicze na uniwersytecie temu lat pięćdziesiąt, to znaczy w okresie największych triumfów materialistycznego monizmu. W świecie ludzi myślących Nauka była wówczas jedyną wyrocznią dla każdej sprawy. Zarozumiała pewność siebie cechowała ludzi nauki i nadawała ton atmosferze każdego uniwersytetu. Po cóż interesować się niesprawdzalnymi „prawdami" religii, jeżeli nauka jest w stanie wytłumaczyć nam wszystko i racjonalnie udowodnić słuszność swych twierdzeń? W otaczającej nas rzeczywistości wszystko postępuje według niezmiennych praw przyrody: poznając te prawa nauka jest w stanie nie tylko racjonalnie wytłumaczyć wszystko, co się wokoło nas dzieje — i działo, ale także obliczyć i przewidzieć wszystko, co dziać się będzie: jeżeli dotąd nauka nie w pełni osiągnęła tę wszechwiedzę, to tylko z powodu luk jeszcze istniejących w jej poznaniu, które to luki zostaną jednak prędzej czy później wypełnione, dając nam niechybnie całkowite wytłumaczenie — racjonalnie udowodnione, a więc pewne — wszystkich zagadek naszej rzeczywistości: Między niepewnością religii a pewnością nauki wybór mógł być tylko jeden.

Niepewność światopoglądu katolickiego unaoczniał mi jeszcze fakt ujawniającego się u katolików stałego rozbratu między głoszonymi zasadami a praktyką ich codziennego życia. I nie tylko praktyką — co by można złożyć na karb słabości ludzkiej bez obciążania prawdziwości zdradzanych zasad: przekonałem się, że istnieje stały rozbrat między zasadami wielbionymi w niedzielę a zasadami głoszonymi przez sześć dni tygodnia: co jest grzech w niedzielę, jest potem przez sześć dni tygodnia uważane za zrozumiałe prawo do życia: co w niedzielę jest marnością nad marnościami, staje się potem najgodniejszym celem wszystkich wy-

siłków — celem do osiągnięcia, do którego zaprawiamy i wychowujemy naszą młodzież. Katolicy stale żyją w dwóch światach, które się wzajemnie wykluczają, wyznają dwie prawdy, które sobie wzajemnie przeczą. Postronny obserwator ich życia musi się sam siebie pytać, gdzie naprawdę jest ich „Prawda"? Dlaczego Gandhi mówił że czci Chrystusa, ale nie lubi jego wyznawców: nie każdy jednak potrafi być tak obiektywnym.

Miałem więc z jednej strony jaskrawą niepewność światopoglądu religijnego — nieudowodnionego w sposób dla naszego rozumu przekonywający i stale zdradzanego przez swoich — widać nie bardzo przekonanych — wyznawców, a z drugiej strony gwarantowaną mi przez najwyższe autorytety pewność światopoglądu naukowego, racjonalnie ugruntowanego i jednogłośnie wyznawanego przez cały ówczesny świat ludzi myślących. Każdy rzetelnie myślący człowiek ma wobec własnego sumienia obowiązek przyjąć za prawdę poglądy, które w jego przekonaniu najprawdopodobniej tej prawdzie odpowiadają. Dlatego odszedłem.

II. Dlaczego wierzę?

Długoletnie obcowanie z naukami ścisłymi doprowadziło mnie do zrozumienia — do którego zresztą dochodzą prawie wszyscy uczeni przyrodnicy rzetelnie usiłujący w poznaniu przyrody znaleźć rozwiązanie Wielkiej Zagadki — że, wbrew teoriom szeroko kolportowanym dla celów, które nic nie mają wspólnego z prawdziwą nauką ani z rzetelnym poszukiwaniem Prawdy — twierdzenia nauki nie mają nigdy charakteru absolutnej pewności: nie mają go w praktyce, ale także i w teorii nawet nie pretendują do absolutnej prawdy. Samo pojęcie prawdy inne jest w nauce, a inne w potocznej mowie ludzi filozofujących: w nauce ma ono charakter li tylko operatywny, nie absolutny. Twierdzenia nauki są zawsze hipotetyczną próbą „wytłumaczenia" — to znaczy przyczynowego powiązania — pewnego zespołu zaobserwowanych zjawisk. O ile dana hipoteza jest w stanie powiązania te zadowalająco wyjaśnić, szczególnie jeżeli pozwala robić słuszne przewidywania, jest ona uważana za „prawdziwą" — tak długo, oczywiście, aż nie zostanie zaobserwowane nowe zjawisko, nie mieszczące się w ramach poprzedniego wytłumaczenia i zmuszające do uzupełnienia czy nawet poniechania poprzedniego wytłumaczenia, dotąd wyrażającego naukową „prawdę". Nieraz kilka sprzecznych ze sobą hipotez jest w stanie wytłumaczyć ten sam zespół zjawisk i umożliwić słuszne przewidywania. Geocentryczny system Ptolemeusza zezwalał na obliczanie spodziewanych zaćmień etc. nie gorzej niż heliocentryczny system Kopernika. Jak uczciwie mawiał Helmholtz — jeden z twórców naukowego monizmu: „Prawda — jest to błąd

dnia dzisiejszego". Nie może więc być mowy o jakiejkolwiek bezwzględnej pewności twierdzeń naukowych.

Wulgaryzatorzy monizmu usiłują przeciwstawiać ścisłość naukowych twierdzeń „metafizyce", na której się opiera światopogląd religijny. I to przeciwstawienie jest pozbawione podstaw. Istnienie Praw Przyrody, którymi można wytłumaczyć — lub będzie można wytłumaczyć — wszystko, co się wokoło nas dzieje, przyjmuje — na równi z nauką — także filozofia katolicka, tylko że ta ostatnia zakłada istnienie przedwiecznego Prawodawcy, co znowu moniści uważają za „metafizyczne fantazjowanie". Jakżeż więc oni tłumaczą istnienie praw przyrody, ich naturę i pochodzenie? Dwie są tylko możliwe dla nich alternatywy: albo przyznać się muszą że nic na ten temat nie wiedzą, a wtedy mogą się dowoli pławić w agnostycyzmie, ale nie mają żadnego prawa do budowania pozytywnego światopoglądu na tej niewiedzy — albo też muszą założyć odwieczne i samoistne istnienie praw przyrody. Założenie Stwórcy może się wydawać koncepcją obrazową, naiwną, ludową w porównaniu do matematycznej ścisłości praw przyrody, ale w gruncie biorąc *Aseitas Stwórcy,* czy *Aseitas* praw przyrody mają dla filozofa identyczną logiczną wartość: w obu wypadkach są to pojęcia czysto metafizyczne. A więc wierutnym fałszem jest twierdzenie, że światopogląd katolicki opiera się na nieudowodnionych metafizycznych fantazjach, a monizm na udowodnionych racjonalnych stwierdzeniach. Filozoficzne założenia ich obu mają taką samą wartość z punktu widzenia ścisłej logiki.

Nieprawdą jest również twierdzenie, że nauka daje nam rozwiązanie wszystkich zagadnień, jakie życie nam stawia, i że dlatego w każdym wypadku możemy się zawsze odwoływać do pewnych, naukowych twierdzeń. Główne pytanie, jakie stoi przed rozumem ludzkim od chwili jego narodzin — pytanie, które jest źródłem wszystkich jego umysłowych wysiłków i do którego w gruncie rzeczy sprowadzają się wszystkie poszukiwania ludzkiego umysłu: „Jaki ma sens otaczająca mnie rzeczywistość i jaki ma sens moje w niej istnienie" — nie znajduje w nauce żadnej w ogóle odpowiedzi. Nauka jako taka woli milczeć na ten temat, a ci, którzy z „prawd" dzisiejszej nauki mieli odwagę wyciągnąć ostateczne konsekwencje, dochodzą jednogłośnie do wniosku, że żadnego sensu nie można się dopatrzeć w naszej rzeczywistości i że także istnienie każdego z nas pozbawione jest jakiegokolwiek sensu. Jeżeli taki jest jedyny światopogląd, jaki można zbudować na ścisłych danych nauki, to możemy tylko prosić uczonych, by ograniczyli swe poszukiwania do zjawisk przyrody, w badaniu których mają niezaprzeczoną kompetencję, ale nie bawili się w spekulacje filozoficzne.

Ale nie tylko w kardynalnych zagadnieniach naszego istnienia nauka nie może nam dać żadnych sensownych wyjaśnień: tego samego musimy doświadczyć w stosunku do olbrzymiej większości zagadnień, jakie życie codzienne przed nami stawia. Jeżeli się przyjrzymy wielkiemu szeregowi decyzji, które w ciągu dnia pobieramy przed każdym najdrobniejszym nawet uczynkiem, to się przekonamy, że w najrzadszych tylko wypadkach opierają się one o przesłanki czerpane z nauki: są one prawie zawsze skutkiem albo sądów wartościujących, co do których nauka w ogóle nie zabiera nawet głosu — albo aktów wiary, opartej o subiektywną ocenę prawdopodobieństwa posiadanych przez nas informacji — ocenę, która może nas skłonić do zaryzykowania decyzji pomimo braku pewności, albo nie wstrzymania się od decyzji, jeżeli prawdopodobieństwo uznamy za zbyt małe. Decyduję się rano wstać, bo wierzę, że zegarek wskazuje mi dobrą godzinę. Decyduję się jeść chleb na śniadanie, bo wierzę, że nie jest zatruty. Decyduję się iść na przystanek tramwajowy, bo wierzę, że osiemnastka tam przychodzi i staje. W każdym z tych trzech wypadków decyzja moja jest oparta o wiarę, a nie o wiedzę, bo — bez mojej wiedzy — zegarek mógł w nocy stanąć, w chlebie mogła być strychnina z mąki przeznaczonej dla szczurów, a trasa tramwaju mogła być zmieniona. Tak samo jak w Nauce prawda opiera się o wiarę w prawdopodobieństwo danej hipotezy, tak samo w życiu naszym codziennym wiara w prawdopodobieństwo posiadanych informacji jest podstawą główną całego naszego postępowania — w każdym razie w znacznie szerszym zakresie niż pewność oparta o ścisłe dane nauki. Wiary nie możemy wykreślić ani z nauki ani z naszego codziennego życia. Nonsensem jest więc wymaganie, by człowiek opierał swe postępowanie tylko na pewnych danych dostarczanych mu przez naukę, ale nigdy na wierze w twierdzenia, na które nie ma absolutnych dowodów.

Mając do wyboru między — z jednej strony światopoglądem religijnym, którego zasadnicze tezy pozbawione są wprawdzie jakichkolwiek przekonywujących racjonalnych dowodów, ale który daje mi sensowne rozwiązanie wszystkich tragicznych zagadek, wobec których stoi człowiek, a — z drugiej strony światopoglądem „naukowym", którego twierdzenia też pozbawione są pewności, nawet jeżeli są lepiej uzasadnione, ale który nie jest w stanie dać mi żadnej odpowiedzi na najbardziej palące zagadnienia mojej egzystencji — muszę uznać za najbardziej prawdopodobne, a więc — zgodnie z wymogami metodologii nauki — przyjąć za prawdę ten światopogląd, który nadaje sens całej otaczającej mnie rzeczywistości i całej mojej własnej egzystencji. Dlatego wierzę.

III. Dlaczego wątpię?

Wątpię, BO wierzę. Wątpienie jest *implicite* zawarte w pojęciu „wiara". Tym różni się wiara od wiedzy. Nie mogę o tej samej rzeczy mówić równocześnie „wierzę" i „wiem", bo oba te pojęcia wzajemnie się wykluczają. Albo o jakiejś rzeczy wiem, a wtedy w tej mojej wiedzy nie ma miejsca na żadną wątpliwość, albo w nią wierzę, to znaczy pozytywnie oceniam jej prawdopodobieństwo — co znowu *implicite* zawiera możliwość, że jednak może być inaczej, czyli pozostawia otwarte pole do wątpliwości. Dlatego właśnie nie wiedza jest uważana za cnotę, tylko wiara, która polega na wytrwaniu przy danym przekonaniu pomimo wątpliwości. Dlatego wiara jest darem Bożym, łaską o którą się modlić musimy. Dzięki tej Łasce wiara może nieraz stać się przekonaniem tak absolutnym, że wyklucza jakąkolwiek wątpliwość, ale wtedy jest to zjawisko rozgrywające się na płaszczyźnie uczucia i ponad-racjonalnej mistyki, ale nie ścisłego rozumowania. Dziękuję Bogu, że w ten sposób wierzę, ale gdy czasem zanadto się rozkoszuję bezmyślnością duchowego spokoju, który taka wiara przynosi, głos sumienia mi wskazuje na obowiązek nie opuszczania się w ciągłym poszukiwaniu Prawdy i używania rozumu na to mi od Boga danego, by nim się posługiwać dla szukania Prawdy; *Credo, ut intelligas, intellige, ut credas.* Dlatego wątpię.

„Trzeba wątpić tam, gdzie trzeba, twierdzić tam, gdzie trzeba i poddać się tam, gdzie trzeba. Kto czyni inaczej, nie rozumie siły rozumu. Są ludzie, którzy grzeszą przeciw tym trzem zasadom: albo przedstawiając wszystko jako rzeczy dowiedzione — z braku zrozumienia dowodów, albo wątpiąc o wszystkim — z braku zrozumienia, gdzie trzeba się poddać, albo poddając się we wszystkim — z braku zrozumienia, gdzie trzeba sądzić". (Pascal).

M. K. (Warszawa)
lat 70
wykładowca wyższej uczelni
Ankieta nr 16

Dlaczego wierzę? wątpię? odchodzę? Każdy prawie człowiek przechodzi przez te wszystkie fazy, o ile chodzi o stosunek do Boga. Wychowałam się w gorliwości religijnej pod wpływem babki mistyczki. To nie przeszkodziło, że w wieku 15, 16 lat odeszłam od wiary. Po prostu tworzący się młodzieńczy światopogląd w okresie dojrzewania psychicznego rozsadził narzucony w dzieciństwie tradycyjny światopogląd religijny. Poza tym był to naturalny w tym okresie rozwoju bunt przeciw wszelkim autorytetom.

Myślę, że są trzy sposoby przeżywania wiary w okresie przechodzenia od dzieciństwa do dojrzałości, zależnie od typu osobo-

wości przeżywającego. Pierwszy sposób u spokojnych, letnich, nie przejmujących się nadmiernie sprawami „górnymi". Przechodzą oni bez wstrząsów i walk do niewiary, albo w dalszym ciągu wierzą z nawyku, z tradycji. Drugi sposób u „gwałtowników", burzliwych, przeżywających gorąco wszelkie sprawy życia. Ci muszą odejść na krótszy, czy dłuższy czas, albo i na zawsze, ale po walkach, wstrząsach psychicznych, nieraz groźnych dla życia psychicznego. Muszą odejść, bo samodzielnie tworzony światopogląd nie może pomieścić się w przyjętym biernie od dorosłych światopoglądzie religijnym. Trzeci sposób u dotkniętych „łaską" tzn. tych, którzy gorącość przeżyć religijnych umieją zharmonizować z trudnościami w kształtowaniu nowego światopoglądu, umieją zachować w głębinach duszy skarb wiary, mimo fluktuacji poglądów naukowych, społecznych, życiowych itd. Swój nowy światopogląd tworzą na fundamentach wiary.

Należałam do tych drugich, „gwałtowników", burzliwych. Rozstawałam się z wiarą przy akompaniamencie rozpaczliwych walk. Rozsadzanie starego, biernie przyjętego światopoglądu przez nowy, wytwarzany samodzielnie — odbywało się przy wstrząsach psychicznych, zagrażających równowadze i zdrowiu psychicznemu. Tym bardziej, że towarzyszyło temu niebezpieczne wyzwalanie się z wszelkich narzuconych, konwencjonalnych norm postępowania, wybujały indywidualizm, egotyzm. Najsmutniejsze jednak, że odchodziłam od wiary z urazem w stosunku do Kościoła Katolickiego, z kompleksem „katolickości". Uważałem, że każdą inną religię można by akceptować, z wyjątkiem katolickiej, najbardziej sztywnej, najbardziej zacofanej.

Około 30 lat pozostawałam poza Kościołem.

Czy całkiem poza wiarą?

Aczkolwiek w moim nowym światopoglądzie nie było miejsca na wiarę, to jednak niepokoiły mnie wciąż zagadnienia ostateczne. Jeżdżąc po świecie interesowałam się innymi wyznaniami i religiami, jak również teozofią, steineryzmem, nauką jogów, a nawet armią zbawienia.

W 44 roku życia wróciłam do wiary i do Kościoła Katolickiego.

Jak to się stało?

Bez żadnych przyczyn zewnętrznych. W okresie rozkwitu intelektualnego i powodzenia życiowego. Powróciłam z największym buntem wewnętrznym, że właśnie do Kościoła Katolickiego, do którego czułam tyle urazów.

Oczarowała mnie postać Chrystusa przeżyta na nowo. Zrozumiałam, że jest On sensem życia i cudem życia. Stoczyłam raz jeszcze walkę, ale z góry skazaną na porażkę. Broniłam się przed katolicyzmem. Wyobrażałam sobie, że powrót do niego, to rezygnacja

z pracy naukowej, to konieczność stania się ciasną, zacofaną dewotką. Ponieważ Chrystus w pierwotnej i czystej formie jest w Kościele Katolickim, więc wybrałam. Miałam uczucie, że stoję na wysokiej wieży, z której nie mam zejścia. Muszę się rzucić głową w przepaść. Rzuciłam się. Potem lata, całe lata ogromnej radości, szczęścia, radości, która już nigdy nie opuszcza, mimo ciężkich nieraz uderzeń losu.

Dlaczego więc wierzę?

Najistotniejsza przyczyna to tęsknota za doskonałością absolutną, za pięknem i dobrem przekraczającym miarę ludzką. Obracanie się w świecie o wymiarach ludzkich może tylko pewnych ludzi zaspokoić i to jedynie w okresie powodzenia życiowego. Gdy przyjdą klęski życiowe, pustka, niewystarczalność takich wymiarów od razu osacza człowieka. Stąd tak częste dzisiaj uczucie beznadziejności.

Natomiast ci, co weszli w kontakt z Dobrem Absolutnym, z Doskonałością Absolutną — stoją niezachwiani z głęboką radością i ufnością w duszy wobec ciosów losu.

Nie znaczy to, żeby już nigdy nie wątpili. Człowiek nieustannie rekonstruuje swój światopogląd przez włączanie w niego, uzgadnianie z nim nowych faktów i zjawisk, nowych punktów widzenia na świat. Tych nowych zaskakujących, olśniewających nieraz umysł ludzki zjawisk i faktów jest obecnie bardzo dużo. Oszałamiające tempo zmian społecznych i kulturowych zmusza do ciągłego korygowania poglądu na życie i świat. Ale to już nie jest groźne. W głębinach duszy jest pewność i spokój. Uzgadnianie nowych, chociażby najbardziej światoburczych prawd z mocno ukształtowanym światopoglądem jest zjawiskiem peryferycznym, nie sięgającym do głębin.

Zapewne wielu z nas, wierzących, zna takie chwile, kiedy obraz świata, jaki ustala się koło nas na skutek nowych oszałamiających odkryć i poznanych zjawisk — nie pasuje do naszego obrazu świata. Jak bardzo przestarzałe wydają się nam nasze formy ujmowania świata w porównaniu z nowymi, bardzo przekonywującymi. Jak buntujemy się przeciwko przestarzałym sformułowaniom naszych prawd.

Ale to wszystko nie jest groźne.

Mamy najgłębsze odczucie i pewność, że nasz religijny obraz świata, aczkolwiek w sztywne, niezmienne formy ujęty, przestarzałym językiem wyrażony — jest prawdziwy. Rozumiemy, że nasza prawda jest trudna do ujęcia i wyrażenia, i nie ważne są formy jej wyrażania, ale ona sama. Wierzymy niezależnie od bardziej lub mniej adekwatnych form wyrażania prawd naszej wiary.

wości przeżywającego. Pierwszy sposób u spokojnych, letnich, nie przejmujących się nadmiernie sprawami „górnymi". Przechodzą oni bez wstrząsów i walk do niewiary, albo w dalszym ciągu wierzą z nawyku, z tradycji. Drugi sposób u „gwałtowników", burzliwych, przeżywających gorąco wszelkie sprawy życia. Ci muszą odejść na krótszy, czy dłuższy czas, albo i na zawsze, ale po walkach, wstrząsach psychicznych, nieraz groźnych dla życia psychicznego. Muszą odejść, bo samodzielnie tworzony światopogląd nie może pomieścić się w przyjętym biernie od dorosłych światopoglądzie religijnym. Trzeci sposób u dotkniętych „łaską" tzn. tych, którzy gorącość przeżyć religijnych umieją zharmonizować z trudnościami w kształtowaniu nowego światopoglądu, umieją zachować w głębinach duszy skarb wiary, mimo fluktuacji poglądów naukowych, społecznych, życiowych itd. Swój nowy światopogląd tworzą na fundamentach wiary.

Należałam do tych drugich, „gwałtowników", burzliwych. Rozstawałam się z wiarą przy akompaniamencie rozpaczliwych walk. Rozsadzanie starego, biernie przyjętego światopoglądu przez nowy, wytwarzany samodzielnie — odbywało się przy wstrząsach psychicznych, zagrażających równowadze i zdrowiu psychicznemu. Tym bardziej, że towarzyszyło temu niebezpieczne wyzwalanie się z wszelkich narzuconych, konwencjonalnych norm postępowania, wybujały indywidualizm, egotyzm. Najsmutniejsze jednak, że odchodziłam od wiary z urazem w stosunku do Kościoła Katolickiego, z kompleksem „katolickości". Uważałem, że każdą inną religię można by akceptować, z wyjątkiem katolickiej, najbardziej sztywnej, najbardziej zacofanej.

Około 30 lat pozostawałam poza Kościołem.

Czy całkiem poza wiarą?

Aczkolwiek w moim nowym światopoglądzie nie było miejsca na wiarę, to jednak niepokoiły mnie wciąż zagadnienia ostateczne. Jeżdżąc po świecie interesowałam się innymi wyznaniami i religiami, jak również teozofią, steineryzmem, nauką jogów, a nawet armią zbawienia.

W 44 roku życia wróciłam do wiary i do Kościoła Katolickiego.

Jak to się stało?

Bez żadnych przyczyn zewnętrznych. W okresie rozkwitu intelektualnego i powodzenia życiowego. Powróciłam z największym buntem wewnętrznym, że właśnie do Kościoła Katolickiego, do którego czułam tyle urazów.

Oczarowała mnie postać Chrystusa przeżyta na nowo. Zrozumiałam, że jest On sensem życia i cudem życia. Stoczyłam raz jeszcze walkę, ale z góry skazaną na porażkę. Broniłam się przed katolicyzmem. Wyobrażałam sobie, że powrót do niego, to rezygnacja

z pracy naukowej, to konieczność stania się ciasną, zacofaną dewotką. Ponieważ Chrystus w pierwotnej i czystej formie jest w Kościele Katolickim, więc wybrałam. Miałam uczucie, że stoję na wysokiej wieży, z której nie mam zejścia. Muszę się rzucić głową w przepaść. Rzuciłam się. Potem lata, całe lata ogromnej radości, szczęścia, radości, która już nigdy nie opuszcza, mimo ciężkich nieraz uderzeń losu.

Dlaczego więc wierzę?

Najistotniejsza przyczyna to tęsknota za doskonałością absolutną, za pięknem i dobrem przekraczającym miarę ludzką. Obracanie się w świecie o wymiarach ludzkich może tylko pewnych ludzi zaspokoić i to jedynie w okresie powodzenia życiowego. Gdy przyjdą klęski życiowe, pustka, niewystarczalność takich wymiarów od razu osacza człowieka. Stąd tak częste dzisiaj uczucie beznadziejności.

Natomiast ci, co weszli w kontakt z Dobrem Absolutnym, z Doskonałością Absolutną — stoją niezachwiani z głęboką radością i ufnością w duszy wobec ciosów losu.

Nie znaczy to, żeby już nigdy nie wątpili. Człowiek nieustannie rekonstruuje swój światopogląd przez włączanie w niego, uzgadnianie z nim nowych faktów i zjawisk, nowych punktów widzenia na świat. Tych nowych zaskakujących, olśniewających nieraz umysł ludzki zjawisk i faktów jest obecnie bardzo dużo. Oszałamiające tempo zmian społecznych i kulturowych zmusza do ciągłego korygowania poglądu na życie i świat. Ale to już nie jest groźne. W głębinach duszy jest pewność i spokój. Uzgadnianie nowych, chociażby najbardziej światoburczych prawd z mocno ukształtowanym światopoglądem jest zjawiskiem peryferycznym, nie sięgającym do głębin.

Zapewne wielu z nas, wierzących, zna takie chwile, kiedy obraz świata, jaki ustala się koło nas na skutek nowych oszałamiających odkryć i poznanych zjawisk — nie pasuje do naszego obrazu świata. Jak bardzo przestarzałe wydają się nam nasze formy ujmowania świata w porównaniu z nowymi, bardzo przekonywującymi. Jak buntujemy się przeciwko przestarzałym sformułowaniom naszych prawd.

Ale to wszystko nie jest groźne.

Mamy najgłębsze odczucie i pewność, że nasz religijny obraz świata, aczkolwiek w sztywne, niezmienne formy ujęty, przestarzałym językiem wyrażony — jest prawdziwy. Rozumiemy, że nasza prawda jest trudna do ujęcia i wyrażenia, i nie ważne są formy jej wyrażania, ale ona sama. Wierzymy niezależnie od bardziej lub mniej adekwatnych form wyrażania prawd naszej wiary.

N. N. (Wrocław)
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 477

Odpowiedź na pytanie: dlaczego wierzę? jest rzeczywiście b. trudna. Na wiarę człowieka składa się tyle przeżyć, rozterek, rozmyślań, tyle najrozmaitszych okoliczności, nic więc dziwnego, że można podać różne oświetlenie tej tak bardzo bogatej rzeczywistości. Może najbliższe prawdy będzie wykazanie jak się moja wiara rozwijała.

Wychowałem się w środowisku wierzącym, wykształcenie religijne otrzymałem jednak bardzo przeciętne. I z tym skromnym zasobem wiedzy religijnej wyruszyłem w świat — na politechnikę w Rosji. Otoczenie, w jakim się znalazłem, nie sprzyjało zachowaniu wiary, zarażało brudem życiowym, brakiem głębszych zainteresowań. Poważny jednak stosunek do życia, spowodowany koniecznością zarobkowania na swoje utrzymanie od wczesnej młodości, kazał mi szukać lektury wybiegającej poza zainteresowania czysto fachowe, lektury, która by pogłębiała moją wiarę. Starałem się znaleźć dla „siebie" każdego dnia choć kilkanaście minut, jeśli już nie na czytanie, to choć na zastanawianie się nad sprawami, które zaczęły mnie coraz mocniej i głębiej obchodzić. Przychodzi I wojna światowa. Przenoszę się do Moskwy. W dużych księgarniach moskiewskich przeglądam wiele różnych książek i nieraz znajduję to, co odpowiada moim zainteresowaniom. Czytam dużo lektury teozoficznej. Pociągają mnie *Wielcy Wtajemniczeni* Edwarda Schuré, ale nie mogę się zgodzić z autorem, gdy odmawia Bóstwa Chrystusowi.

Czytam często Ewangelie. Z tych czasów przypomina mi się jeden wieczór, godzina późna, chyba już północ. Leżą przede mną *Prorocy żydowscy* Radlińskiego, jakaś książka teozoficzna na podobny temat i Ewangelia. I wtedy po raz pierwszy staje przede mną w całej ostrości pytanie, gdzie jest prawda? Przekonany jestem, iż jest ona po stronie Chrystusa, ale zdaję sobie sprawę z tego, że nie umiałbym wiary mojej obronić. Los przerzuca mnie na Wołyń i odcina od politechniki. Mam dużo czasu, czytam i przeżywam jednocześnie bardzo głęboką rozterkę. Momenty głębokiej wiary przeplatają się z momentami zwątpienia tak silnego, że wydaje mi się, iż naprawdę nie wierzę już w Boga. Ulgę znajduję dopiero u jednego spowiednika, który zachęca mnie do wytrwania, gdyż takie właśnie wahania zapowiadają łaskę głębokiej wiary. Ciężki to okres. Rozum skłania się do argumentów, niewiary, ale jednocześnie tęsknota za Chrystusem, Jego niepojętym Pięknem, świętością nie opuszcza mnie. Po powrocie do Polski w 1928 r. dalej studiuję już w Warszawie i kończę politechnikę. Znowu czytam różne wartościowe książki religijne. Rozterka wewnętrzna ła-

godnieje, życie wewnętrzne wzmaga się. Decyduję się zerwać z grzechem śmiertelnym. Nie łatwo zdecydować się człowiekowi na taką odmianę życia, ale bolesne wyrzuty po każdym upadku, piękno Jego nauki sprawiają, że decyzji swej nie cofam. Zaczynam często przystępować do Komunii św., co pozwala mi dążyć do większej zgodności wiary i uczynków. Nie zastanawiam się jednak, dlaczego wierzę. Otoczony jestem wierzącymi, nie odczuwam osamotnienia w swej wierze. Nieraz zwraca moją uwagę okoliczność, że sześć razy los ocalił mnie od śmierci, od której dzieliło mnie zaledwie parę sekund.

Przychodzi druga wojna światowa. Jej okropności wstrząsają moją wiarą, ale po każdej burzy wracam do równowagi i nadal wierzę. Dopiero spotkanie z filozofią marksistowską znowu zwraca mnie ku pytaniu: gdzie prawda? Nie mogę zgodzić się na to, aby wiarę traktować jako zaspokojenie uczuć, nie mogę się zgodzić na życie w rozterce między wiarą i nauką. Nim zostanie wprowadzone tzw. szkolenie ideologiczne w szkołach, czytam materializm dialektyczny i staram się skonfrontować z nim moją wiarę. Upłynie dużo czasu, zanim sprawa mojej wiary wyjaśni mi się dostatecznie. Czy rzeczywiście człowiek wykształcony nie może wierzyć tak, jak tego wymaga od niego Kościół rzym.-kat. Czy rzeczywiście musi okłamywać siebie, chroniąc swoje wierzenia religijne przed atakiem swojej „lepszej wiedzy", jak to mówi Witwicki o swojej „wierze wykształconych". Czy rzeczywiście wierzący musi być świadomie czy nieświadomie nieszczerym w stosunku do samego siebie?

Przekonany jestem, że człowiek wykształcony może wierzyć i to bardzo szczerze i głęboko, nie bojąc się konfrontacji tej wiary z nauką.

Nauka bada niezmiernie rozległy odcinek rzeczywistości, ale nie obejmujący całej rzeczywistości. Wiedza naukowa sprowadza się do opisu zjawisk natury, tym dokładniejszego, im bardziej zjawisko to podlega naczelnemu kryterium prawdy — doświadczeniu. Lecz przyjęcie doświadczenia jako naczelnego kryterium prawdy — z konieczności ogranicza nie tylko zakres zjawisk, jakie mogą być objęte naukową metodą badania, ale i stopień wiarygodności wysiłków badania. Tam, gdzie istnieje możność wielokrotnego powtórzenia danego zjawiska przy jednoczesnym usunięciu różnych czynników tak, aby tylko określone z nich mogły być badane, tam wyniki badań mają zupełnie inną wagę niż w wypadku, gdy doświadczeniem nie można się posłużyć, a jedynie interpretować dane zjawisko na podstawie wyników badań w innych naukach. Doświadczenie pozwala wyeliminować błąd, nadaje wynikowi badań dużą wiarygodność. Ale czy można z taką samą pewnością twier-

dzić, że psychika ludzka powstała z konieczności z psychiki zwierzęcej? Doświadczenia z biologii czy agronomii stwierdzają „skokowość" różnych zmian w organizmach, ale nie dotyczą strony psychicznej. Można z możliwie dużą dokładnością uszeregować w czasie wykopaliska, zbadać ich rozmieszczenie, opisać je pod różnymi kątami widzenia i stwierdzić, że w pewnym czasie czy pewnym okresie czasu nastąpił „skok" — zjawienie się psychiki ludzkiej. Ale stwierdzenie, że taki skok nastąpił, nie jest dowodem na to, że musiał on być koniecznością, wynikającą z nagromadzenia się w psychice zwierzęcej szeregu różnych cech. Konieczność przejścia psychiki zwierzęcej w ludzką nie ma wcale naukowego uzasadnienia. W „Tygodniku Powszechnym" z dn. 5. X. '58 r. Nr 40 (506) ukazał się piękny artykuł prof. Kostrzewskiego. W zakończeniu prof. K. pisze tak: „W książce Edwarda Lotha *Człowiek przeszłości*, uzupełnionej przez prof. Jana Mydlarskiego (Warszawa, 1955) czytamy, że „kryterium człowieczeństwa stanowi nie ta lub inna cecha morfologiczna, ale tego rodzaju rozwój psychiczny, który umożliwia wytwarzanie kultury" (strona 112—113). Jeśli Mydlarski przyznaje, że powstanie psychiki ludzkiej dokonało się „nagle, skokowo", to pozostaje to w doskonałej zgodności z koncepcją chrześcijańską, z tą tylko różnicą, że chrześcijanin dla tej nagłej zmiany przyjmuje interwencję czynnika nadprzyrodzonego w postaci Boga, zaś materialiści twierdzą, że dokonało się to automatycznie przez zasumowanie drobnych zmian ilościowych" (koniec cytatu prof. Kostrzewskiego). Jeśli więc przyjmuje się, że istnieje tylko materia, to istotnie psychika ludzka musiała z konieczności powstać ze zwierzęcej, ale w takim razie należy udowodnić, że istnieje tylko materia. Okoliczność, że dla naukowca wcale nie jest potrzebne uwzględnianie w badaniu, czy jest Bóg czy też Go nie ma, wcale nie jest dowodem, że istnieje tylko materia. Spór o to, co pierwotne, duch czy materia, trwa już wiele tysięcy lat i warto tu zacytować jedno zdanie prof. Schaffa, które podaję na odpowiedzialność Jerzego Milewskiego na podstawie jego artykułu *Nowa książka Adama Schaffa*, „Kierunki" Nr 31 (217) z sierpnia 1960 r. W zakończeniu artykułu Milewskiego czytamy: „Powiedzieć «nie» zwłaszcza w zagadnieniach filozoficznych, gdzie bezpośrednia i ostateczna weryfikacja twierdzeń jest najczęściej niemożliwa — to bardzo niewiele, gdyż przeciwnik może odpowiedzieć takim samym «nie» i obstawać przy swoich poglądach" (koniec cytatu z książki prof. A. Schaffa). Warto zastanowić się nad zwrotem „gdzie bezpośrednia i ostateczna weryfikacja twierdzeń jest najczęściej niemożliwa".

Wydaje mi się, że jesteśmy świadkami powstawania z niezaprzeczalnie zdumiewającem rozwojem nauki jakiegoś mitu o jej

wszechpotędze, mitu, który twierdzi, że zdolna jest ona w zasadzie wszystko wyjaśnić. Czy rzeczywiście tak jest? Czy możliwości nauki są nieograniczone? Patrzę na niebo osiane gwiazdami. Astronom mówi mi, że gwiazdy te są odległe od nas o miliony lat świetlnych. Myślę, że prawdą jest tylko, że tak wyglądał otaczający nas wszechświat miliony lat temu. Czy te gwiazdy, na które teraz patrzymy, istnieją „teraz", będziemy mogli się dowiedzieć za parę milionów lat. Nauka tu nic nie poradzi: jedynym łącznikiem między tymi gwiazdami a ziemią jest istniejący obiektywnie promień świetlny o ściśle określonej prędkości. Nic nie upoważnia do sądzenia, że ludzkość będzie istniała jeszcze parę milionów lat. A gdyby nawet ludzkość istniała tak długo, zawsze nauka o gwiazdach będzie nauką nie o „dziś" nieba, ale jego zamierzchłej przeszłości. Nauka może coraz bardziej wnikać w budowę materii, ale nie cofnie ani przesunie czasu.

Lecz gdyby nawet możliwości nauki były rzeczywiście nieograniczone, nie można tracić z oczu faktu, że nauka obejmuje opis zjawiska w najlepszym wypadku ujęty we wzory matematyczne czy jakieś prawo, opis pozwalający na odpowiednie wyzyskanie w praktyce. Lecz do pytań, które stawiamy przed otaczającą nas rzeczywistością, należą nie tylko te, które dotyczą sposobu przebiegu zjawiska, ale i te, które odnoszą się do celu tych zjawisk. Pytanie: do czego zmierza to wszystko, co nas otacza, jaki sens ma istnienie i wszechświata i zagubionego w nim człowieka, pytania te nie znajdują odpowiedzi. Gdyby losowi człowieka od zarania jego istnienia nie towarzyszyło stale cierpienie, zbrodnia, pytania te nie byłyby tak palące. I faktu tego nie może przysłonić myśl: „chodzi o to, by rzeczywistość przekształcić". Istniały, istnieją i będą istniały miliony ludzi, którzy cierpią. Przyjmuję chwilowo tezę materialistów: istnieje tylko materia. Jaki jest stosunek tego obiektywnie istniejącego świata materii do człowieka? Jedna maleńka zmarszczka na powierzchni naszego globu i w ciągu kilkunastu minut ginie w b. r. 320.000 osób. Przebiega tajfun i na kilkanaście metrów wysoka fala morska wdziera się w głąb wybrzeża i nagle ginie kilkanaście tysięcy ludzi. Przychodzi głód i wymierają tysiące. Tak świat obiektywny depce ludzkie istnienia, jak człowiek swoją stopą robaka na drodze. Stoję na przystanku tramwajowym i nagle w moich oczach pijany kierowca wpada na przechodnia. Jedna chwila i tylko drgające szczątki świadczą, że zmarnowano ludzkie istnienie, może bezcenne. Dla tego obiektywnego świata nic nie znaczy, kim jest ten, co ginie. Bezlitosny zbieg okoliczności, skrzyżowanie z różnych ciągów zdarzeń, uśmierca ludzkie istnienie.

Materializm twierdzi, że myślenie — to funkcja „wyżej zorganizowanej materii". Jakiż jest stosunek do tego szczytowego wytworu ewolucji tzw. materii niżej zorganizowanej? Ta niżej zorganizowana materia w postaci popędów jakże często skuwa to myślenie, jak przechodzi nad nim do porządku.

Co chwila popęd zmysłowy rzuca w świat tysiące istnień, z których jakże wiele skazanych jest na nędzę, głód, cierpienie.

Czytam: człowiek, to brzmi dumnie! i przed wzrokiem moim przesuwają się tysiące tych, o których można jedno tylko powiedzieć — pozory człowieczeństwa, wołające o pomstę do nieba. Cóż to za „obiektywny" świat, który powołując drogą ewolucji do bytu człowieka, obdarzył go sprzecznością w łonie jego władz — dwiema logikami. Jedna popędowo-uczuciowa, druga rozumowa. Z tych pierwsza jakżeż wielką ma przewagę nad drugą, którą tylko nieliczni, uprzywilejowani mogą rozwinąć, gdy większość kieruje się pierwszą.

Odnosi się wrażenie, że świat ten zastawia na człowieka sidła, dość szerokie, by w nie wpaść, dość zamaskowane, by ich nie zauważyć.

Jakiż jest cel istnienia tylu po hitlerowsku katowanych w Kenii murzynów, tylu głodzonych na Antyllach Kreolów, tylu ginących od ukąszenia muchy tse-tse murzynów, tylu żon i dzieci maltretowanych bezlitośnie przez pijaków. Jaki to ma cel? — do czego zmierza? Życie jest bezsensem, którego nie dostrzegają syci lub bezmyślni czy ograniczeni. — I na to nauka nic nie odpowie. Nie chodzi mi o opis tych zjawisk społecznych. Nie widzę sensu ludzkiego istnienia — nie widzę celu tego istnienia. Wiem, że wielu ludzi znalazło cel życia, poświęcając go ulżeniu doli innych. Ale to nie jest odpowiedzią na pytanie ogólne — jaki jest cel istnienia człowieka, jaki to istnienie ma sens. A ponieważ nie widzę sensu tego istnienia, mogę żyć tylko buntem, w najlepszym wypadku myślą ulżenia doli razem ze mną biorących udział w tej bezcelowej przygodzie ludzi. A jednak ten obiektywny świat urzeka mnie. Bezmyślny, ślepy w swoim działaniu, swoją wspaniałą budową przewyższa to wszystko, co „wyżej" zorganizowana materia z trudem, kosztem ogromnego zbiorowego wysiłku tworzy. W rozwoju tego świata widzę jakiś określony kierunek — stopniowo jedno z drugiego wynika — świat minerałów przygotowuje warunki dla świata zwierzęcego, ten dla istnienia człowieka. Widzę w świecie to, co w człowieku: taki sposób postępowania, by jedno wynikało z drugiego — myśl. A więc może na początku była myśl — duch? Ale przecież w stosunku do tego „ducha" świata czyż nie można powtórzyć tych wszystkich namiętnych oskarżeń, co wobec materii? Wi-

dzę, że zarówno materia jak i duch są tylko próżnymi słowami, którymi chcemy zastąpić odpowiedź na pytanie o sens istnienia.

Nie można więc nie dojrzeć tego, że człowiek jest istotą zagubioną we wszechświecie. Trzeba do głębi przeżyć udrękę tych pytań, trzeba ujrzeć się więźniem, który próżno bije w niewidoczne ściany swego więzienia, przeżyć do głębi odpowiedzialność za los tych, którym się dało życie, aby dostrzec Tego, którego się dawniej nie zauważało — Chrystusa.

Wierzę w Niego całą mocą władz mojej duszy, nie opuszczają mnie słowa Jego modlitwy: „Spraw, Ojcze, aby jedno ze mną byli". I nie tylko nie widzę w sobie hipokryzji, o której pisze St. Witkiewicz, ale nie boję się konfrontacji mej wiary z osiągnięciami nauki. *Bo tyko Chrystus daje mi odpowiedź na pytanie o sens życia.* Tych, którzy o Nim pisali czy piszą można podzielić na 2 grupy — ortodoksów idących za tradycją i wolnomyślnych. Ci ostatni do badań ksiąg Nowego Testamentu wprowadzają zgodnie korektę, która brzmi: usunąć z Ewangelii wszystko, co jest cudem, korektę opierającą się na założeniu: cud przeczy prawom natury. Ale choć obóz wolnomyślnych krytyków Ewangelii zgodny jest co do tej właśnie korekty, nie ma w nim jednomyślności co do wyników badań. Mogę więc powątpiewać w słuszność przyjętej korekty. Lecz jest to zbyteczne — cud nie jest bowiem tematem badań doświadczalnych. Cud jest wdaniem się Boga w normalny przebieg pewnych zjawisk. Ponieważ Bóg nie jest czynnikiem, który podlega naukowej metodzie badania, nauka doświadczalna nie może nic powiedzieć o wdaniu się Boga w przebieg zjawiska. Ale ponieważ cud jest zjawiskiem zachodzącym w materii, to o samym zjawisku nauka ma prawo wydać swój sąd. A mianowicie, że dane zjawisko wykracza na przykład poza zakres znanych praw. Dlatego wśród wielu lekarzy, którzy brali udział w omówieniu różnych cudów w Lourdes, jedni widzieli w tym cuda, inni tłumaczyli sobie zjawisko jako wynik działania nieokreślonych czy nieznanych jeszcze praw przyrody.

Nikt nie może kwestionować prawa nauki do objaśniania zjawisk w ramach praw natury, ale i nauka nie może *a priori* uważać za niemożliwe ujawnienia się zjawisk, które nie mieszczą się w jej ramach. Ani potwierdzić ingerencji Boga w przebieg zjawiska, ani też tej ingerencji zaprzeczyć nauka nie ma najmniejszej podstawy. O tym, czy ta ingerencja dokonała się, może powiedzieć tylko Kościół, bo tam, gdzie jest cud, jest zawsze modlitwa, błagania, a te czynniki dla nauki nie istnieją, ale mają zasadnicze znaczenie w nauce Kościoła. Dlatego z dużym zastrzeżeniem mogą się odnosić do wyników badań krytyków wolnomyślnych.

Od nich się nic nie dowiem o Chrystusie, lecz tylko od Kościoła rzym.-kat., który przechowuje Jego naukę. Dziwny z Niego człowiek: ma całkowitą świadomość tego, że mówi o sprawach wykraczających daleko poza wiedzę nie tylko ówczesnego świata żydowskich uczonych, ale i świata następnych pokoleń. Wyraźnie mówi: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli", „Błogosławieni, którzy się ze mnie nie zgorszą".

Aby Go poznać, trzeba długie chwile poświęcić na zaznajomienie się z Nim, Jego życiem i nauką. Im bliżej się poznaje Go, tym większą darzy się Go wiarą, zaufaniem. Człowiek stopniowo zaczyna rozumować, że trzeba odrzucić urojoną wolność, jaką jest życie poza Nim, że trzeba wszystko przyjąć, czego naucza. Długi to proces przemiany. Gdy o tej przemianie myślę, przychodzi mi na myśl Piotr Rozłucki z *Urody Życia*. Syn powstańca, zruszczony, wychowany na carskiego oficera, powraca do Polski. Przypadek otwiera mu oczy, zaczyna się powrót duchowy do ojczyzny. Jakże przejmujący jest moment rozkopywania grobu ojca. Ilu z nas zostało wychowanych w takiej „carskiej" szkole życia, zepchniętych nieraz w zaraniu na manowce, błąkających się bez celu?

Dopiero On otwiera oczy na sens życia, z czego człowiek nie zdaje sobie tak często sprawy. Wystarcza mi, że jest On godzien bezgranicznego zaufania. Jeśli Go odrzucę, pogrążę się w absurd istnienia, którego sensu nie pojmuję. Więc trwam przy Nim, choć to co mówi, przekracza zakres mego zrozumienia. Mówi np. o Ojcu: „Ojciec mój, którego wy nazywacie Waszym Bogiem". I nie mogę zaprzeczyć, że gdy mówi o Ojcu, przychodzi mi na myśl tyle nieprawości, zbrodni, które dopuszcza ten Ojciec w Niebiesiech. Cały ogrom niezgłębiony zła staje między mną i Ojcem. Ale już nie buntuję się, bo w tej pełnej grozy tajemnicy On jest światłem. Wpatruję się w Niego, zwisającego bezwładnie na krzyżu, wmyślam w ogrom Jego cierpienia, staram się wczuwać w te coraz dłuższe, coraz boleśniejsze, coraz silniej i bezlitośniej skuwające Go skurcze całego ciała, powodujące coraz silniejsze ataki duszenia się i ta Jego męka tak straszna i tak dobrowolna, w takiej ciszy przeżywana ofiara, abyśmy „jedno z Nim byli", nie pozwala mi już bluzgnąć w Twarz Ojca jadem buntu. Mogę nie rozumieć tajemnicy zła, ale jeśli Go odrzucę — staczam się w absurd, jeśli Mu nie zawierzę, któż może mi Go zastąpić?

Więc uznając Jego powagę, widzę w Nim swoją drogę, prawdę i żywot, a gdy mnie przytłacza zwątpienie wspominam Jego słowa: „Kto za Mną idzie, nie błądzi w ciemnościach".

S. N. (Bydgoszcz)
Prawnik
Ankieta nr 438

Jestem prawnikiem, dziś już starym człowiekiem.

Wierzę, bo zaufałem Mu.

Dlatego, że jest prawdomówny. Pewność Jego prawdomówności dała mi ewangelia. Przede wszystkim opis jego męki i śmierci.

Opis, który w oczach prawnika jest sprawdzianem wstrząsającego, niepowtarzalnego procesu.

W procesie tym dostrzegam poszczególne części, znane dzisiejszym kodeksom, więc oskarżenie, zeznanie oskarżonego, postępowanie dowodowe, wykonanie wyroku.

Oskarżenie domagało się śmierci.

Ale głównym celem oskarżenia było złamanie Oskarżonego. By odwołał głoszone prawdy.

Tego ostatniego celu oskarżyciele nie osiągnęli.

Oskarżony nie odwołał swojej nauki.

Bez przydanego obrońcy, samotny, poddawany torturom, świadomy czekającego Go wyroku śmierci, dawał przed sądem odpowiedzi pełne majestatu, stwierdzające Jego Synostwo Boże i Królowanie nad ludzkością.

Za słowa swoje kładł życie.

Ta najwyższa cena, którą płacił daje mi pewność o Jego prawdomówności.

Świadectwo o Jego prawdomówności dali również i przeciwnicy, mówiąc: „Nauczycielu, wiemy żeś jest prawdomówny i drogi Bożej w prawdzie nauczasz".

Tak więc wiem, że jest prawdomówny.

I dlatego wierzę w prawdy, które mi podaje — On jedyny Nauczyciel nasz, Jezus Chrystus.

Nie oznacza to, bym miał ślepo wierzyć.

Przecież nakazał, byśmy szukali prawdy — byle z Jego pomocą, gdyż bez niego nic uczynić nie możemy.

L. S. (Łódź)
lat 56
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 197

Ankietę w 38 nr „Tygodnika Powszechnego" powitałam prawie z radością. Nareszcie coś, co dawno się było powinno ukazać — pomyślałam. — W pierwszej chwili wydawało mi się, że nadejdzie chyba jakaś pomoc, potrzebna mnie i wielu jak ja, jeszcze wierzącym, wątpiącym od wielu lat i niechcącym odejść, a jednak...

Bo ankieta zawiera chyba tylko trzy kwestie oddzielne dla wielu, ale dla wielu i dla mnie w tej liczbie stanowiące trzy wątki dokonywującego się procesu. Bo jednocześnie wierzę, że bardzo chcę wierzyć, muszę wątpić w wiele spraw podanych do wierzenia i stopniowo odchodzę, chociaż tego nie chcę.

Pewnie, że proces ten u wielu do mnie nawet podobnych jest różny, bo nie tylko różne są typy umysłowości, a raczej psychiki ludzkiej, ale każdy przecież człowiek stanowi inny egzemplarz nawet w obrębie danego typu. Z grubsza chyba zarysowują się dwa: rozumowy i uczuciowy, bo podstawa dogmatyczna wśród tzw. inteligentów jest chyba rzadka. I kierunek wykształcenia i klimat naszych czasów nie sprzyja jej. I także nie sprzyja jej upadek autorytetu Kościoła, który wg mnie jest besporny. A ponieważ typy czyste należą do rzadkości, można raczej mówić o przewadze pierwiastka uczuciowego nad rozumowym, czy odwrotnie.

Należę do ostatniej z tych dwu grup, choć trudno byłoby mi określić, o ile przeważa tu myślenie nad odbiorem uczuciowym. Sprawy takie trudno ująć w cyfry: w pewnych okresach wzmaga się jedna, bądź też druga postawa.

Dlaczego wierzę? Pewnie i dlatego, że wychowano mnie w tym kierunku, choć właściwie był to raczej wpływ bierny, bo ani rodzice, ani szkoła mocnych fundamentów pod wiarę nie położyli. Dom ograniczał się raczej do „letnich" praktyk religijnych, w szkole nie udało mi się natrafić na mądrego prefekta.

Jestem przekonana, że potrzeba wierzenia tkwi w duszy człowieka, pomijając to, czy jest ona wynikiem wiekowych tradycji, czy też skąd inąd pochodzi. Wierzę, ponieważ chcę wierzyć, i kurczowo trzymam się tego, co jeszcze ocalało, i boję się utracić reszty. Boję się dlatego, że, jak się to powszechnie nazywa, z religią łatwiej jest żyć. Łatwiej nie w znaczeniu uznawania Opatrzności, opieki Bożej nad człowiekiem i światem, ale w sensie uznawania Boga jako ideału i celu dla duszy, która bez tej wiary traci sens istnienia i możność dźwigania się wzwyż, choćby to nie dawało innych już korzyści. Ideę miłości bliźniego, nie obniżając jej wartości, uważam za wtórną i od tamtej zależną, a przykład bohatera *Dżumy* — Camusa jest dla mnie mdły i słaby, choć co prawda, istnieje obok innych i bardziej przekonywujący i żywy przykład niewierzącego lekarza z *Kluczy Królestwa* — Cronina. Nie wiem, jak przedstawia się ta sprawa w skali masowej, ale myślę, że skłonność do wierzenia w Boga i potrzeba wiary właściwa jest ogromnej większości ludzi i jednocześnie jest jednym z dowodów istnienia Boga, bodaj, czy nie najważniejszym.

Drugim tego dowodem jest dla mnie porządek świata i wszech-

świata, ów heraklitowski *Logos*, czy *Nous* Anaksagorasa, którego nie da się zaprzeczyć, nie da się też wywieść go z materii.

Jest to argument rezerwowy, słabszy od poprzedniego w odczuwaniu, ale mocniejszy jako obiektywny, przywoływany na pomoc wtedy, gdy przychodzą wątpliwości.

Brak wiary pozbawiłby mnie możności dźwigania myśli wzwyż, uznawania za słuszne tego, co uważam za najcenniejsze w sobie, uznawania najwyższego rozumu i doskonałości, których cząsteczkę mam w sobie i uważam je za boski pierwiastek w człowieku.

Trudniej będzie odpowiedzieć na drugie pytanie: Dlaczego wątpię i w co wątpię? Wątpię w to, czego nie potrafię pogodzić z rozumem. Wątpię (ostrożnie mówiąc) w to, że istnieje boski pierwiastek, inny niż ten, o którym pisałam przed chwilą, w górnych warstwach Kościoła. Wątpię w to, że Kościół nauczający prowadzi i posuwa dzieło Chrystusa, choć głosi Jego naukę. Za wiele było w ciągu dwu tysiącleci i jest obecnie przykładów wypaczania i zaprzeczania idei boskiej, aby taka wiara mogła się we mnie ostać. To jest już nie zwątpienie, a prawie że niewiara, choć jestem niby czynną katoliczką, korzystającą z Mszy i Sakramentów. Trudna mi jest do przyjęcia nauka o skuteczności niektórych Sakramentów, nauka o Łasce, o Opatrzności. Całkiem na uboczu pozostawiam kwestię dogmatów, jako przekraczającą moje możliwości wierzenia, nie mówiąc już o zrozumieniu; zresztą tak często życie samo im zaprzecza. Bóg, który zna indywidualne możliwości człowieka, nie może chyba żądać od niego wiary w to, z czym jego rozum się nie zgadza, a twierdzenie, że sens tych spraw może istnieć, a nie być dla nas widoczny, nie potrafi mnie jakoś przekonać. Gdyby przyjąć w ścisłym znaczeniu pojęcie wierzenia, musiałabym chyba powiedzieć, że nie wierzę zupełnie, odczuwam bowiem to, czego nie mogę pogodzić z rozumem.

I wreszcie — odchodzę czy nie odchodzę? Że nie chciałabym odejść, to wiem na pewno, że jednak odchodzę, a od pewnych spraw już odeszłam, nie mogę zaprzeczyć. Przy innych natomiast trwam i chcę pozostać, chociaż lękam się, czy uda mi się nadal ocalić to tylko, co dotychczas utrzymałam.

„Oto jest obraz duszy, niekłamany w niczym". I wierzę i jednocześnie wątpię, i odchodzę i chcę pozostać i pozostaję. Obraz rozdarcia i niepokoju, uczucie goryczy i żalu do siebie i do tych, którzy prowadzą nas niby do Boga, a tak często chyba sami tracą Go z oczu, każą wierzyć w nieomylność swą jako organizacji, a nieomylność ta pozostaje bądź niesprawdzona i bezpłodna, bądź też historia i życie zaprzeczają jej w sposób aż nazbyt jaskrawy.

Wiele spraw pozostało nieomówionych, ale przekroczyłyby one znacznie ramy ankiety, więc je pomijam.

Odręczna choć spóźniona odpowiedź na ankietę jest wynikiem tego, co narastało we mnie przez 30 lat. Mam 56 lat życia, z wykształcenia magister filozofii, filolog. Zastanawiałam się, jaką korzyść przynieść może taka ankieta, bo rozwiązania przez nią trudności indywidualnych nie widzę. Nie zgadzam się jednak z „Kaemem", a raczej z jego odpowiedzią w 45 nr „Tygodnika": „Dla kogo i po co ogłosiliście tę ankietę?" I dalej: „Cała ta ankieta jest dla mnie osobiście bardzo podejrzana".

Może nie bez korzyści będzie skłonienie pewnej choćby grupy ludzi do zastanowienia się nad poruszonymi w niej zagadnieniami, wywołanie pewnego ożywienia w myśleniu o tych sprawach wśród części choćby czytelników, ale czy to byłoby wszystko? Odpowiedź na ostatnie pytanie znajdę chyba w grudniowych numerach „Tygodnika".

N. N. (Gdańsk)
lat 55
wykształcenie wyższe
pochodzenie chłopskie
Ankieta nr 780

Dlaczego wierzę?

Człowiek rodzi się wśród chrześcijan, mahometan, buddystów lub ludzi jakiegoś innego (albo żadnego) wyznania i często umiera nie przekroczywszy granic rodzinnego środowiska. Nie dlatego, że nie chciał dokonać wyboru, lecz dlatego, że nie miał z czego wybierać.

Chłop chiński, murzyn z afrykańskiej dżungli, Bartek z podlaskiej wsi, indianin z brazylijskiej puszczy wierzą w taką postać Boga, z jaką mogli spotkać się w warunkach swego życia. Wierzę, że każdy z nich ma w jakiś sposób wyrównaną szansę zbawienia, chociaż pewnie nie od każdego z nich Pan Bóg wymaga takiej samej miary duchowego dorobku. Kogo postawił bliżej prawdy, od tego wymaga więcej, a każdego jakoś zaopatrzył w możliwość rozpoznania naturalnego prawa bożego i w każdym wzniecił przeczucie swego istnienia.

Urodziłem się przed 55 laty w rodzinie katolickiej, a więc wśród wyznawców wiary, od których Pan Bóg wymaga pewnie najwięcej, ponieważ według mego przekonania umieścił ich najbliżej Prawdy. Rodzicami byli rolnicy gospodarujący na 3 hektarach przeważnie piaszczystej ziemi. Niepiśmienni, kierujący się w życiu tradycyjnym obyczajem — noszący znak krzyża, pod którym nie wszystko było chrześcijańskie. Modlono się (a może tylko odmawiano pacierze), chodzono do kościoła, trzymano się w karbach

opinii publicznej — kształtowanej w przeważającym stopniu przez ambonę i konfesjonał.

Najpierw byłem katolikiem z urodzenia. Katolikiem z przekonania stałem się znacznie później. Między pierwszym i drugim okresem był czas wątpliwości, wahań i buntu. Bunt nie przeciw Bogu lecz przeciw religii.

Religię wykładali księża. Między wykładem i przykładem była wielka różnica. Był spór o ziemię wszczęty przez proboszcza z krzywdą dla mego ojca. Proboszcz nie chciał udzielić ślubu naszej krewnej, póki ojciec i ja (niedawny ministrant tegoż proboszcza) nie usunęliśmy się z orszaku ślubnego.

Lekcje religii w szkole średniej były tylko lekcjami jednego z obowiązkowych przedmiotów nauczania, który pod względem powagi był uszeregowany gdzieś na końcu. Przezwisko księdza katechety nie odzwierciadlało wielkiego szacunku, brzmiało: "Prosiak".

Potem przyszły lata akademickie w mieście Filomatów i Filaretów. Należę do pokolenia, które miało szczęście żyć w okresie odzyskiwania niepodległości ojczyzny po wielu latach niewoli. Byłem wychowany przez ideowych nauczycieli w poszanowaniu polskich tradycji i tolerancji z XVI w. i wierzyłem w trwałość Unii Lubelskiej. Urodziłem się we wsi litewskiej, gdzie tylko cztery rodziny były polskie. Uczyłem się w mieście (i kocham to miasto), gdzie dźwięk dzwonów kościołów katolickich współbrzmiał z dzwonami prawosławnych cerkwi, gdzie były żydowskie bóżnice, mahometański meczet i karaimska kinesa.

Przeszedłem smutny okres antysemickich ekscesów. Byłem nastawiony przeciwko nim jako Polak i chrześcijanin. Po przeciwnej stronie znajdował się „Mały Dziennik" wydawany przez franciszkanów! Pewnego dnia napisałem list pełen żalu i protestu do arcybiskupa, gdy udzielił on uroczystego błogosławieństwa w kościele dla akademickiej młodzieży nacjonalistycznej po niesławnej blokadzie akademickiego domu.

Na mnie i moich przyjaciół rzucano niewybredne inwektywy z łamów prasy zasłaniającej się szyldem katolicyzmu, gdyśmy z gorliwością ideowych harcerzy bronili piórem zasad czwartego punktu harcerskiego, które głosiło: „Harcerz w każdym widzi bliźniego".

W okresie międzywojennym nie podobała mi się polska Akcja Katolicka i katolicka prasa. Intelektem i talentem Boy górował nad ks. Pirożyńskim. (Do wysokiego poziomu poważnego „Przeglądu Powszechnego" nie było stopni).

Praktyki religijne, którym zawsze nadaje kierunek kler, które tylko przy pomocy kleru mogą być praktykowane, zaczynają zanikać z upadkiem autorytetu duchowieństwa. Ludziom młodym, którzy do głębszego wkroczenia w zagadnienia religijne nie znajdują przewodników, praktyki religijne wydają się przebrzmiałymi formami — narzuconymi przez kościół, niepotrzebnymi w stosunkach między Bogiem i człowiekiem.

Przewodnikiem prowadzącym w głąb zagadnień religijnych może być nie tylko człowiek, nie tylko książka (poza działaniem łaski bożej). Tym przewodnikiem może być doświadczenie życiowe.

Druga wojna światowa była straszna nie tylko ze względu na straszne bronie. W tej wojnie ukazał się straszny człowiek. Z jakiejkolwiek on się pojawił strony — zawsze był nieludzki, służył złu, szerzył destrukcję. To wywoływało odruch samoobrony, obrony wiary w Dobro, reakcję najistotniejszą — bo obronę przed śmiercią duszy. W tej rozpaczliwej walce o człowieczeństwo stawały się zrozumiałymi prawdy wiary. Ukazywał się Kościół w całej swojej wielkości wszystkich wiernych, a nie tylko kleru. Dostrzegało się głębokie znaczenie sakramentów, z sakramentem pokuty na czele. Następowało zrozumienie chrześcijańskiej pokory i daru Łaski.

Wiara wypływająca z pragnienia ładu, z tęsknoty do dobra, z pobudek moralnych i emocjonalnych — szuka uzasadnienia w intelekcie. Dużo zawdzięczam św. Tomaszowi z Akwinu, kontaktowi z literaturą katolicką Zachodu, życiorysom ludzi współczesnych stosujących zasady ewangeliczne w życiu, „Tygodnikowi Powszechnemu" i „Znakowi".

I już nie gorszę się, gdy spotykam złego księdza. Nie tylko dlatego, że widzę dziś wielu doskonałych, ale i z tego względu, że moja odpowiedzialność za Kościół nie jest mniejsza od jego. Moje grzechy i niedoskonałości nie zasługują na większą pobłażliwość niż jego. I nie potępienia złych lecz zbawienia wszystkich od zła pragnę wspólnie z całym Kościołem Chrystusowym.

Wierzę, bo jako istota myśląca ustawicznie muszę dokonywać wyboru między sądami prawdziwymi i fałszywymi. Zbliżając się do prawdy zbliżam się do Boga, Który jest Prawdą.

Wierzę, bo w chaosie zła, udręki życia rośnie tęsknota do ładu, dobra, doskonałości. Bóg jest najwyższą Doskonałością. Drogę zbliżenia do Siebie, czyli do Doskonałości, ukazał przez miłość bliźniego. To jest sprawdzalne w życiu. Im bardziej ktoś kocha bliźnich, tym jest doskonalszy.

Czy już nie mam żadnych niepokojów, wątpliwości? Mam je stale. Gdybym nie miał, byłbym już skamieniały, duchowo martwy.

Gdańsk, dn. 24 grudnia 1960 r.

An. A.
lat 54
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 40

Dlaczego wierzę? Oczywiście każda odpowiedź powinna by się zaczynać od stwierdzenia, „bo Bóg dał mi tę łaskę" tak bezcenną, że jak powiada św. Augustyn: *Nullae sunt maiores divitiae, nulli thesauri, nulli honores, nulla mundi huius substantia, quam est fides catholica!* Chodzi jednak o to, jakimi drogami szła owa łaska, jakimi posłużyła się sposobami w tym konkretnym wypadku.

Byłam wychowana religijnie, uczyłam się religii w szkole, brałam udział w rekolekcjach szkolnych. W domu jednak dość wcześnie zetknęłam się z postawą człowieka niewierzącego i odnoszącego się do religii i Kościoła raczej niechętnie. Był nim mój Ojciec, który nie pozwolił mi na należenie do sodalicji szkolnej, do której należały wszystkie moje koleżanki, którego drażniły praktyki religijne; któremu jednak przez dziwny paradoks zawdzięczałam właściwie najwięcej w tej właśnie dziedzinie — mianowicie dostałam od Niego w wieku lat 14 książkę V. Monniot *Le Journal de Marguerite,* która mnie, mogę powiedzieć, „wychowała" przez całą współczesną młodość i położyła podwaliny życia wewnętrznego na dalsze lata. Był to (fikcyjny) pamiętnik dziewczynki przygotowującej się przez 2 lata do pierwszej Komunii i przeżywającej różne wydarzenia, napisany trochę staroświecko, pod niektórymi względami może zbyt naiwnie, ale w jak najlepiej pojętym duchu miłości Boga i bliźniego oraz na szczęście z dużą dozą zdrowego rozsądku. Z książką tą nie rozstawałam się przez kilka lat, pisałam sama pamiętnik na wzór owej Marguerite i usiłowałam gorliwie dociągnąć się do jej poziomu moralnego i religijnego, wkładając w to całą uczuciowość podlotka. Wystarczyło mi to niemal aż do matury. Potem przyszedł okres odsunięcia się od tej atmosfery gorąco uczuciowej a nawet pewna niechęć do niej, a zwłaszcza do rozsłodzonych tekstów modlitewnych, pełnych uniesień, nie znajdujących pokrycia w rzeczywistości psychicznej a więc brzmiących fałszywie lub zniechęcająco. Ten okres ochłodzenia trwający przez lata studiów uniwersyteckich aż się prosił o mądre kierownictwo duchowe i zwrócenie ku liturgii. Do dziś zrozumieć nie mogę, jak mój ówczesny spowiednik, ksiądz światły i nieprzeciętny, któremu się uskarżałam na nudę

i roztargnienie w czasie mszy, nie dał mi do ręki mszału! Ogarniały mnie w tym okresie wątpliwości, nie umiałam jeszcze odróżniać wiary od „wyobrażania sobie", różne lektury podważały tradycyjny stosunek do Boga i Kościoła, nasuwały zapytania, podsuwały odpowiedzi pozareligijne; raziła ciasnota poglądów w sferach katolickich, odtrącały płytkie a nieraz wręcz stojące w konflikcie z miłością chrześcijańską nastroje „bogoojczyźniane", przesiąknięte nacjonalizmem, częsta tępota kleru, węszenie za „Żydami i masonerią"; upokarzało znów traktowanie wiary przez intelektualistów jako sprawy czysto kobiecej.

Ale jednak nie straciłam wiary i w tym czasie. Zawdzięczam to, jak mi się zdaje, w pewnej mierze swym zaletom, a w pewnej także i wadom. Za zalety w tym wypadku uważam trzeźwość i skłonność do refleksji oraz do konsekwencji, która mi nie pozwalała z braku „nastroju" negować rzeczywistość. Nie chciało mi się chodzić do spowiedzi, nie chciało mi się nieustannie pracować nad sobą; ale nigdy nie uległam pokusie wytłumaczenia sobie, że też to mnie wcale nie musi obowiązywać. Wadą było tchórzostwo, które mi kazało lękać się okropnie pustki na tamtym świecie, a raczej jego nieistnienia w ogóle. Zadawałam sobie wówczas nieraz pytanie: dlaczego, pomimo wszystkich wątpliwości, wierzę nadal? Odpowiedź wypadała przeważnie: bo nie mogę inaczej, bo życie byłoby okropnością, gdyby po nim czekała nicość, nieistnienie ukochanych osób! Gdyby zbrakło pewności, że cierpienia na tym świecie będą kiedyś wynagrodzone! Ale już wtedy zdawałam sobie mglisto sprawę, że pragnienie i obawa nie są argumentem, próbowałam znajdować te argumenty, czytałam chciwie wszystko, co mi wpadło pod rękę, ale nie umiałam wyszukać sobie odpowiedniej lektury. Jedno w tym okresie uważam za rzecz podstawowej wagi: nigdy nie pozwoliłam sobie na zaniechanie praktyk religijnych, nie zerwałam kontaktu z Bogiem, choć z mojej strony była zupełna nieraz, jak mi się zdawało, pustka. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że brak uczucia i nastroju nie ma znaczenia, że modlitwa i miłość są rzeczą woli a nie uczucia. Sądziłam, że skoro nie odczuwam wzruszenia a raczej nudę, to taka modlitwa jest mało warta. Mimo to nie zaniechałam jej i przez to nie przerwałam dopływu łaski do duszy.

Momentem przełomowym był wyjazd za granicę i zetknięcie się tam z ruchem liturgicznym i z życiem Kościoła jako społeczności wiernych. Było to dla mnie coś jak wyjście z ciemnego kąta na świat boży i odetchnięcie pełną piersią. Niemal po raz pierwszy zobaczyłam, że wiara nie jest tą czysto babską i prywatną sprawą, zobaczyłam mężczyzn, intelektualistów publicznie służących do mszy, recytujących mszę, klękających do Komunii, posłyszałam

o współuczestnictwie wiernych we mszy i w życiu Kościoła, przestałam czuć się samotna. Zobaczyłam też olbrzymie braki w moim wykształceniu religijnym i natychmiast rzuciłam się do ich uzupełnienia: mszał, Pismo św., historia Kościoła, encykliki papieskie, wszystko to otworzyło przede mną cały skarbiec myśli i faktów, które wręcz przemieniły mi życie. Z pisarzy religijnych, z których myślą zetknęłam się wtedy, największe znaczenie miał dla mnie R. Guardini, który kładzie tyle nacisku na *Gottes Wirklichkeit*. On i inni autorowie: Förster, Sertillanges, Woroniecki wytłumaczyli mi, że wiara nie jest wyobraźnią ani porywem uczucia, dali podbudowę intelektualną, której mi tak brakowało, pokazali psychologię wiary i niewiary. Resztę zrobiły kontakty osobiste z ludźmi świadomie żyjącymi głęboko religijnym życiem. Przekonałam się, że wiara, choć opiera się na przesłankach rozumowych: wiarygodności historycznej i filozoficznej, angażuje o wiele więcej w człowieku niż tylko intelekt, że wymaga przyświadczenia czynnego, aktu woli w „przestawieniu się" na inną płaszczyznę, wyzbycia się ludzkiego egocentryzmu. Poza tym przychodziła mi nieraz do głowy taka analogia. Przypuśćmy, że chodzi o obrót ziemi dokoła słońca albo inne jakieś twierdzenie np. matematyczne czy astronomiczne. Teoretycznie jest ono sprawdzalne ale faktycznie tylko dla tych, którzy znają matematykę lub astronomię; nie-matematyk musi albo się jej nauczyć i sprawdzić sam, albo wierzyć tym, którzy są w stanie to zrobić — i rozsądnie robi, wierząc. Czyż nie tak samo rzecz się ma z wiarą? Byli przecież — i są — tacy, którzy sprawdzili istnienie Boga a relacje ich są dziwnie zgodne ze sobą: są to święci. Oni doświadczyli prawd wiary tak głęboko, jak natura ludzka zdolna jest doświadczyć (niektórzy nawet zmysłami); są to jednostki o tak wysokim poziomie moralnym a wielu z nich — także intelektualnym, że nie jest nierozsądkiem uwierzenie im. A kto by chciał koniecznie „sprawdzić" sam — niech spróbuje zostać świętym! Na pewno sprawdzi. Bóg nie ukrywa się przed tymi, którzy szukają Go uczciwie i z góry chcą, jeśli się okaże prawdą, pełnić Jego wolę.

Reasumując, na pytanie: dlaczego wierzę? dać mogę odpowiedź taką. — Ponieważ od strony intelektu prawdy wiary, jakkolwiek nie oczywiste, wydają mi się całkowicie wiarygodne: istnienie Boga najlepiej tłumaczy powstanie świata, jego egzystencję i prawa natury; historyczność Chrystusa jest niewątpliwym faktem; ciągłość tradycji w Kościele katolickim gwarantuje prawdziwość Objawienia a istnienie świętych pokazuje ją niejako naocznie. Od strony zaś czynników wartościujących, uczucia i woli, stwierdzam niezmiernie silne przekonanie, że tu i tylko tu, spotyka się wartości absolutne, nieporównywalne z żadnymi innymi; że jedynie

wiara w Boga zdolna jest zaspokoić dwa wrodzone, żywiołowe ludzkie pragnienia, których samo istnienie w duszy ludzkiej świadczy o możliwości spełnienia: sprawiedliwości i nieśmiertelności.

Doktor Inga (Kraków)
lat 54, lekarz
Ankieta nr 363

Szukając prawdy — przestałam wierzyć w 18-tym roku życia. Było mi bardzo źle. Pragnęłam wierzyć i modliłam się o wiarę dziecka. I otrzymałam Łaskę Wiary — wierzę, jak dziecko, nie muszę szukać rozumowego uzasadnienia. Ale życie stale przynosi mi potwierdzenie mojej wiary.

W prosektorium niejednokrotnie stawałam z najwyższym podziwem dla Cudownego Budowniczego, który potrafił stworzyć tak wspaniałą konstrukcję, jaką jest ciało ludzkie. I to nie jedno, lecz ta wspaniała konstrukcja powstaje ciągle i prawie zawsze bezbłędnie. Dopiero życie psuje tę konstrukcję.

Jestem lekarzem, patrzę na tyle nieszczęść ludzkich. Widzę, jak Moc Boska idzie stale na pomoc ludziom. Wielokrotnie widziałam wyzdrowienie tam, gdzie zdawało się, że nie ma żadnej nadziei, że żadna moc ludzka nie pomoże. Za Wolą Boską znalazł się lekarz, znalazło się „cudowne" lekarstwo, które uleczyło chorobę beznadziejną. To jest obecna forma cudu: Pan Bóg posyła lekarza, lekarstwa, by pomóc błagającemu nieszczęśliwemu człowiekowi. Sama również doznałam takiej cudownej pomocy Boskiej w sierpniu 1944 r. Miałam skręt kiszek przy froncie. W glinianej chatce, na słomie, pociski padały aż na nasz dom. Żadnej pomocy lekarskiej. Jedynie okłady z wody źródlanej w ohydnym, cuchnącym pęcherzu krowim. Żadnej możliwości operacji, bo nikt nie chciał wieźć „bieżeńców" swym wozem, gdyż wszystkich zabierano na podwody dla wojska i mogli nie wrócić nigdy.

Rankiem 3 dnia choroby czekałam spokojnie na śmierć. Umysł miałam jasny, wiedziałam, że w dniu tym muszę umrzeć, bo skręt kiszek leczy tylko wczesna operacja. Ale kiedy ujrzałam świt — a dolegliwości moje ciągle się powiększały — znów jasno uprzytomniłam sobie, jak ciężko będzie mężowi wychować samemu nasze trudne dzieci. I całą swoją istotą zwróciłam się do Matki Bożej, błagając ją o opiekę nad moimi dziećmi. Nie prosiłam o swoje życie, nawet mi na myśl nie przyszło, że mogłabym przeżyć ten dzień. Nagle usłyszałam jakby cmoknięcie w brzuchu i ból mój zaczął szybko ustępować, objawy zapalenia otrzewnej ustępowały, temperatura spadła. Był to dzień Matki Boskiej Częstochowskiej —

jak się później dowiedziałam. Tego ranka udało się mężowi sprow - dzić lekarza, staruszka, dr S. Potwierdził rozpoznanie skrętu kiszek, niepewnie potakiwał głową, gdy mu powiedziałam, że mi jest lepiej, przekonany, że to moje ostatnie chwile, bo takich cudów medycyna nie zna, by skręt kiszek „odkręcił się" sam. Wyzdrowiałam, zaczęłam pracować. Potem dowiedziałam się, że dr S. nie mógł uwierzyć, że żyję. „Przecież to była agonia" — twierdził. Nie przyszło mi na myśl wówczas prosić o odnośne świadectwo; byłam słaba, komunikacja b. trudna. Ale wiem, że ja, niegodna doznałam cudu. Nie dla mnie — dla dzieci.

Gdy mi ciężko, przypominam sobie ten dzień i ten ogromny dług wdzięczności Matce Bożej, że pozwoliła mi wychować swe dzieci. To obowiązuje. Więc staram się być dobrą matką i pomagać jak najwięcej innym, by ten dar mego życia nie poszedł na marne.

K-a (Kraków)
lat 50
Ankieta nr 328

Na wstępie chciałabym zaznaczyć, że odpowiem na pytania nieco inaczej sformułowane niż w ankiecie, a mianowicie, dlaczego odeszłam i dlaczego wróciłam do wiary.

Wychowana byłam religijnie, uczęszczałam do gimnazjum o charakterze pół-zakonnym, wiarę przeżywałam dość głęboko, duże na przykład wrażenie pozostawiały mi zawsze rekolekcje, doskonale prowadzone i organizowane w szkole. Po ukończeniu gimnazjum pochłonęło mnie życie studenckie i swoboda z nim związana; pozostałam praktykującą katoliczką, jednakże nie pracowałam nad pogłębieniem podstaw wiary. Wyszłam za mąż w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego i stanęłam wobec konieczności unikania dziecka w początkowym okresie pożycia małżeńskiego. I w tym właśnie okresie życia powstał pierwszy konflikt między zasadami religii a życiem. A więc przypadek bardzo typowy: najpierw zatarg z etyką, a potem gromadzenie zarzutów rozumowych przeciw religii, zobojętnienie i laicyzacja życia. Pragnę zaznaczyć, że nie miałam wątpliwości natury dogmatycznej, a jedynie nie mogłam się pogodzić ze stanowiskiem Kościoła w pewnych sprawach, jak np. rozwodów, zapobiegania ciąży, polityki Watykanu itd. Nie bez wpływu na moje odejście od wiary było postępowanie pewnej grupy moich znajomych, praktykujących katolików, zupełnie niezgodne z wyznawanym przez nich światopoglądem. Nie umiejąc odróżnić zasad Kościoła od błędów katolików, zrażałam się coraz bardziej i wreszcie odsunęłam się zupełnie od spraw wiary, chcąc stworzyć sobie laicki świato-

pogląd i oparty na nim system etyki. Z przyzwyczajenia i tradycji uczęszczałam jeszcze na niedzielne Msze św. i podczas nich odczuwałam często niekonsekwencję i pustkę duchową swego życia. Miałam też niezupełnie uświadomione pragnienie pełnego udziału w życiu Kościoła, lecz temu stały na przeszkodzie nieuregulowane sprawy życia małżeńskiego.

Mieliśmy już dwoje dzieci i ustabilizowane stanowisko życiowe, gdy wybuchła wojna. Głębokie wstrząsy duchowe spowodowane klęską 1939 r., okupacją kraju, stałym niebezpieczeństwem życia i całą okropnością oglądanych i zasłyszanych wypadków naprowadziły moją myśl na sprawy duchowe, od których odeszłam z lenistwa i dla wygody życia, na potrzebę znalezienia jakiejś filozofii życia, która nadałaby sens życiu i jego cierpieniom. Podobne zmiany zachodziły w psychice mego męża, człowieka dobrego i prawego, lecz od dawna obojętnego religijnie, a także mojej przyjaciółki z lat okupacji. Zaczęliśmy czytać, dyskutować, poszukiwać. Poznaliśmy w tym czasie bardzo mądrego i inteligentnego księdza, który pożyczał nam książki i przyczynił się w dużym stopniu do naszego powrotu. Silne wrażenie zrobiła wtedy na mnie lektura *Wieczorów nad Lemanem* ks. Morawskiego. Dyskusje tam prowadzone, a zwłaszcza wieczór czwarty dotyczący zrozumienia istoty zła na świecie i pogodzenia jego istnienia z nieskończoną dobrocią Bożą, rozwiały najbardziej mnie wtedy trapiące wątpliwości. Pozostawała sprawa etyki małżeńskiej, gdyż unikanie potomstwa było podczas wojny znowu konieczne, zupełna zaś wstrzemięźliwość nie była do przyjęcia ze względów psychologicznych. I wtedy właśnie wspomniany już ksiądz pożyczył nam książeczkę *Z tajników pożycia małżeńskiego* Georga, z której dowiedzieliśmy się o istnieniu metody Ogino-Knaussa i o tym, że stosowanie jej jest dozwolone katolikom w trudnych okresach ich życia. Przekonawszy się, że książka ta była wydana już w r. 1927, nie mogłam odżałować, że nie dowiedzieliśmy się o niej przez tyle lat przed wojną, że nie doradził mi wspomnianej metody spowiednik przy spowiedzi przedślubnej, który na moje oskarżenie się, że w życiu małżeńskim będę zmuszona stosować grzeszne metody, kazał mi spowiadać się z grzechów obecnych, a nie przyszłych, tak jakby zamiar grzeszenia nie był już grzechem. To stanowisko spowiednika, który pominął zupełnym milczeniem sprawę gnębiącą moje sumienie, nie dając mi żadnych wyjaśnień ani wskazówek, przyczyniło się także w wielkiej mierze do mego odejścia od wiary i unikania spowiedzi przez długie lata. Często myślałam o tym, że gdybym przy spowiedzi przedślubnej natrafiła na księdza podobnego do tego, którego poznałam w czasie okupacji, to może w ogóle nie odeszłabym, może moje życie duchowe potoczyłoby się zupełnie inaczej. Po zapozna-

niu się z metodą Ogino-Knaussa postanowiliśmy żyć według niej, choć przedstawiało to duże ryzyko, zwłaszcza w warunkach wojennych, aby mieć spokój sumienia i aby nic już nie stało na przeszkodzie naszemu „powrotowi". Zaznaczę jeszcze, że mąż mój powrócił do wiary i praktyk religijnych jeszcze przede mną, gdyż ja po niefortunnej spowiedzi przedślubnej nie mogłam się jakoś zdobyć na generalną spowiedź z kilku lat życia, mimo że byłam już do niej duchowo przygotowana. Wreszcie po uregulowaniu swych spraw duchowych zaczęliśmy nowe życie, które dało nam obojgu wielkie szczęście poznawania Boga i służeniu Mu w miarę naszych możliwości.

Ten pierwszy okres po nawróceniu zaliczamy oboje z mężem do najpiękniejszych i najlepszych w naszym życiu, mimo trwającej jeszcze długo wojny i związanych z nią okropności.

W. S. (Warszawa)
lat 46, inżynier
Ankieta nr 777

Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę? Mam 46 lat, jestem powojennym inżynierem i mam na swoim sumieniu „wynalazki". Przed wojną osiągnąłem tylko średnie wykształcenie techniczne poprzedzone trzyletnią nauką w gimnazjum prowadzonym przez księży... Ani wychowanie religijne w domu, ani wychowanie w gimnazjum prowadzonym przez księży nie doprowadziło mnie do takiego poznania wiary, które byłoby potrzebne dla wprowadzenia Jej w moje życie.

Przyszedł moment, że wyszedłem z kościoła w czasie odprawiania się Mszy św. z ironicznym uśmieszkiem, że te wszystkie ceremonie kościelne są po to, aby wyciągnąć od ludzi pieniądze na urządzenie wygodnego życia księżom...

Mijały dnie, miesiące, nie chodziłem do kościoła. Jednak nauka techniczna nie pozwoliła mi powiedzieć, że nie ma Boga — właściwie że nie ma konstruktora tego Świata i Wszechświata. Każda maszyna, każde urządzenie miało swego konstruktora, który nadał „prawa" rządzące jego wynalazkiem. On — konstruktor najlepiej zna skonstruowane przez siebie urządzenie. On potrafi „przepowiedzieć" los, jaki spotka przez niego wyprawionego w przestrzeń pozaziemską sputnika. On konstruktor potrafi „wydawać polecenia", umie „kierować" swoim wynalazkiem.

Nie potrzebowałem sobie udowadniać, że wszechświat jest skonstruowany, bo to widać wyraźnie nawet z postępu wiedzy ludzkiej. Przecież to osiągnięcia wiedzy naukowców udowadniają, że światem i wszechświatem rządzą *prawa*. A jeżeli są prawa, to jest i Prawodawca-Konstruktor. Jeżeli wiem, że był Konstruktor, to nie można pominąć faktu, że był Człowiek, który nie liczył się z pra-

wami rządzącymi przyrodą. Człowiek ten nie posiadał ziemskiego wykształcenia i jeżeli nie liczył się z prawami przyrody, to w takim razie są dwie możliwości: albo On ustanowił te prawa — bo skąd by je znał, jeżeli nie dała mu tego nauka? albo Chrystus — bo o Nim mówię — posiadał tajemną wiedzę „czarnoksiężników". To drugie odpada, bo przecież On ze Swej „Tajemnej Wiedzy" nie ciągnął ziemskich zysków dla siebie. Nawet nie wykorzystał swej wiedzy dla uniknięcia okrutnych cierpień fizycznych i moralnych. Ba, nawet tym którzy pójdą za Nim obiecywał tu na ziemi *cierpienie*. A zatem Chrystusowi nie chodziło o sprawy ziemskie. A jeżeli tak, to chyba jest prawdą to, co On powiedział o Sobie, że jest Synem Stwórcy — Konstruktora — Boga. Dziś, gdy spełniło się tyle Jego przepowiedni, gdy Jego dzieło topione w morzu krwi trwa wieki mimo nieudolności ludzi kierujących Jego Kościołem — możemy wierzyć, że to, co On mówił, jest prawdą.

A Kościół tylko przekazuje to, co On mówił. Przekazuje przez ludzi. Tymi ludźmi są księża, których posądziłem o układanie sobie wygodnego życia — kosztem „wiernych". — Ciekawe, dlaczego ja nie chciałem być dobrze usytuowanym materialnie księdzem? Czy „klika kasty księżowskiej" zamknęła mi wejście do Stanu Duchownego? Nie. Nikt mi nie zabraniał zostać księdzem. A zatem nie może być mowy o „klice", jeżeli do kliki jest wstęp wolny dla każdego?...

Zrozumiałem, że nie ksiądz mnie wykorzystuje, tylko ja wykorzystuję księdza. To ten człowiek, ksiądz, wyrzekł się wszystkiego, żeby u kratek konfesjonału cierpliwie wysłuchiwać moich zwierzeń i kierować mną często jak smarkatym dzieckiem...

Powoli wróciłem do Boga — do Kościoła. Nie było to proste i łatwe...

Dziś już wiem, że Bóg nie jest okrutny, chociaż kazał cierpieć nie tylko nam ale i Swemu Synowi — bo przecież gdyby nie było cierpienia, to człowiek nie miałby żadnych rzeczowych dowodów, że opowiada się za Bogiem, a nie za Jego wrogiem. Jeżeli Bóg nie chciał otaczać się „niewolnikami" a chciał odbierać chwałę od „wolnych", to musiał wysłać nas na daleką ziemię, by na niej — nie widząc Go „twarzą w twarz" można było dokonać swobodnego wyboru — powziąć swobodną decyzję — za Bogiem czy przeciw Bogu.

Nie jestem pewien, czy to, co napisałem, jest sformułowane w sposób jasny i zrozumiały. Nie umiem pisać — ale chciałem wziąć udział w ankiecie i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zwątpiłem, a dziś nie tylko wierzę, ale i staram się żyć według zasad wiary.

„Ojciec" (Gliwice)
lat 44, inżynier
pochodzenie inteligenckie
Ankieta nr 387

Dlaczego wierzę? Najbliższą prawdy odpowiedzią byłoby: „*Nie wiem*", „*Łaska*". Wszystko, co dalej napiszę, będzie wytłumaczeniem okoliczności za i przeciw, wydarzeń ważnych dla mnie, czasem niepowtarzalnych, często typowych, znanych, ale inaczej może przyjmowanych.

Czy to były najistotniejsze wpływy przeżycia? Nie wiem. Nigdy nie straciłem wiary, nigdy nie musiałem walczyć zbyt ciężko o jej zachowanie.

Dziś choć czuję, że powinienem podzielać zdanie z „T. P." nr 38, (608), że wśród wielu postaw życiowych i myślowych katolicyzm nie należy do dróg najłatwiejszych — uważam, że wiara daje olbrzymie ułatwienia w życiu (oczywiście nie zarobkowe), wskazuje cel i główny i pośredni, konsekwentnie wynikające stąd zadania osobiste. Ileż to razy czując, że obieram ciężką drogę, już z góry cieszę się z możliwości wygranej. Jak w dobrym zrozumieniu cieszyłbym się z osiągnięcia sportowego. To, że czynię tak z miłości do Boga — jest oczywistym ułatwieniem w drodze.

Życie etyczne przynosi mi radość wewnętrzną, uśmiech szczery, chęć przekazania tej pogody otoczeniu. Przyjemności „tego świata" od wczesnej młodości pozostawiały jakieś nienasycenie, a nawet nudę. A przecież nigdy nie byłem „ofermą", „mamin synkiem" — raczej miałem (może i mam) skłonności do chuligaństwa, przygód, dobrej wódeczki, flirtu. Nieraz zastanawiałem się, jak dzięki łasce Bożej nie skręciłem w życiu o całe 180°.

Wydaje mi się, że od wczesnego dzieciństwa dzięki otoczeniu wyrabiałem w sobie pewien smak, estetykę, poczucie obowiązku, uznanie prawdomówności jako cechy odwagi, zwalczanie pokus jako równoznaczne z męskością, rycerskością.

Ojciec nauczył mnie pracowitości i uczciwości. Ksiądz-katecheta był przykładem humoru i życiowości. W czasach studenckich trafiłem do wspaniałej organizacji — *Iuventus Christiana*. Znowu ułatwienie. Tu nie tylko mój sceptyczny rozum mógł w ostrych nieraz dyskusjach, a samokształceniu utrwalić zasady wiary, ale (to tylko pozornie jest małoznaczące) dzięki zabawom, obozom, wycieczkom tu nauczyłem się moją ruchliwość i energię żywą kierować, wyładowywać właściwie. Niemałe też znaczenie miało współżycie z koleżankami. Przestałem patrzeć na nie jak na inną płeć, zrozumiałem wartość kobiety i jako towarzyszki życia i jako odrębnej psychologicznie natury, godnej szacunku, przyjaźni.

Ślub i szczęśliwe życie z kobietą o głębokim chrześcijańskim światopoglądzie były znów ułatwieniem zachowania wiary.

Dalej bywało oczywiście i lżej i ciężej. Podaję parę, moim zdaniem, z pomyślnym skutkiem stosowanych metod. Wątpliwości — nie zostawać z nimi długo sam na sam. Jeśli wynikały z własnego wnętrza — szukałem natychmiast pomocy księży lub znanych mi mądrych katolików. Jeżeli powstawały na tle zarzutów, wysuwanych przez innych — gryzłem spokojnie problem sam, potem z pomocą lektury, a na koniec przypieczętowywałem autorytetem księdza.

Nie uważałem nigdy własnego rozumu za wartościowy tam, gdzie wchodziło w rachubę zaangażowanie uczucia, namiętności, subiektywnego zainteresowania. Nie znaczy to oczywiście, że lekceważę rozumowe ugruntowanie wiary.

Dla utrzymania się na poziomie wiedzy stale czytuję: Ewangelie, katechizm, lekturę katolicką, pisma — przyznaję się, że czasem „na siłę".

Kiedy życie wydawało się za szare, bez uśmiechu, gnuśne — to czym prędzej do sakramentów św. Wyraźnie wzmocniły moją wiarę trudności życiowe, wynikające z wyznawania ideologii chrześcijańskiej, trudności uderzające i we mnie osobiście i w moich bliskich, i ogólne, znane w pracy Kościoła.

Chcę jeszcze krótko ująć te momenty, które sprawiały mnie lub moim znajomym najwięcej trudności wytrwania w niezamąconej wierności Kościołowi.

A więc znana „niedoskonałość" księży, widziana często z bliska w ich życiu na codzień. Ale porównanie własnych win w stosunku do dzieci nakazuje mi dużą wyrozumiałość. (Porównywanie małej wartości moralnej przywódców innych idei uważam za niewiążące).

Kazania — bolą do dziś. — Niech będą (bo, niestety, często muszą być) nieumiejętnie, złym językiem głoszone, za mało „inteligentne", ale niech zawierają choćby w prostych słowach wyrażoną prostą, celną treść. Straszne są długie, kwiecistym stylem, pełnym patosu wygłaszane referaty o wszystkim i niczym. Sztuka dla sztuki i to w myśl znanego powiedzenia: Pierwsze 15 minut na chwałę Boga, drugie 15 minut na chwałę własną i trzecie na chwałę diabła. Tylko w wyjątkowych wypadkach powiedzenie to nie jest słuszne.

Bolała również często pewna ospałość proboszczów, formalne ograniczenie pracy do minimum, odrzucanie z niechęcią moich projektów rozszerzenia działalności duszpasterskiej, współorganizowania pracy ludzi świeckich. Niestety wiem, że ci dzielniejsi, „działający" nie mieli łatwego życia.

Drugą bolączką wierzących katolików (podkreślam wierzących), jeśli nie ogólną to w znacznej części, jest zachowanie czystości życia małżeńskiego. I to nie tylko dlatego, że nie wszyscy znają do-

brze (a czasem niestety prawie wcale!!) metod Knausa, Holta itp. i nie dlatego, że boją się trudu okresowej wstrzemięźliwości (choć i to jest ważne w małżeństwach „mieszanych" ideologicznie), ale i dlatego, że nie ufają tym metodom. Nastawienie chyba 99% lekarzy (też katolików!) jest bardzo wstrzemięźliwe, a nawet zniechęcające. Wyniki: 1) Liczne rodziny wbrew prawom ekonomicznym, kulturalnym, zdrowotnym (śmierć kobiety przy szóstym dziecku), 2) Wstrzemięźliwość stała — brak pogody w domu, rozdrażnienia, nerwowość lub ospałość. Można by powiedzieć, że brak tu świętości, brak aktywnego życia wiarą. To racja, tylko z tą racją jakże trudno wystąpić na zewnątrz. 3) Życie niezgodne z zasadami Kościoła katolickiego, co, niestety, jest zrozumiałą przyczyną dla wielu znanych mi osób oziębienia wiary, unikania Sakramentu Pokuty. Tematy te są dziś szczęśliwie omawiane w prasie katolickiej, oczywiście i „Tygodniku Powszechnym" i „Ateneum Kapłańskim". Jest to akcja na pewno o dużym znaczeniu dla utrzymania wiary, ale akcja wciąż nie docierająca wszędzie. Brak podręczników. Np. o „Ateneum" starałem się w 7!! parafiach na próżno.

Poruszyłem tu szereg spraw życiowych na gorąco. Rozmyślnie ominąłem niemal sprawy dogmatyki, podstaw rozumowych, filozoficznych nie tylko dlatego, że mnie nie sprawiły groźniejszych trudności, ale dlatego, że uważam je za mniej groźne dla szerokiego ogółu od zasad etyki codziennego życia. Starałem się wykazać wpływ, wartości środowiska dla mnie wyjątkowo przychylnego jeśli patrzymy z punktu zachowania wiary. W tej sytuacji gorsząco brzmiał *Na rachunek własny* Zofii Morstinowej („T. P." nr 33 z 14. 8. 60 r.). Choć w ostatecznym akcie musimy *brać swoje życie wewnętrzne na rachunek własny*, to jednak takie niedocenianie potęgi opinii środowiska, utartych obyczajów, przykładów otoczenia byłoby idealizowaniem natury ludzkiej. To, że są jednostki o dużej indywidualności, czasem przekorne, czasem zarozumiałe i działające akurat odmiennie, niż żąda tego środowisko, to nie pozwala na lekceważenie wpływu tego środowiska na wynik ostateczny dla ogółu. Zachowanie wiary przez dzieci wbrew opinii wszystkich bliskich, współrówieśników, wbrew ponętnym przykładom życia krewnych, a jedynie dlatego, że wierzą i starają się żyć według tej wiary rodzice — jest możliwe, ale to już wyraźna łaska Boża.

G. R. (Chrzanów) lat 43

Bardzo zainteresowała mnie ankieta: Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę? Chcę się przyłączyć do tych na pewno licznych wypowiedzi. Nie jestem wykształconą i wypowiedź moja będzie bardzo prosta. Mam 43 lata, dwadzieścia parę

lat stoję za ladą sklepową. Jestem w dzisiejszym wyrażeniu kobietą samotną, nie z tych które samotność uważają za jakieś wielkie nieszczęście. Ja jestem szczęśliwa — *bo wierzę.*

Swoją wypowiedź, dlaczego wierzę, zmieściłabym w słowach „uwierzyłam Miłości". Ja wiem, że to jest takie proste i że pewnie nie o to chodzi, ale mnie to jest tak bardzo bliskie.

Wiara była dla mnie od dziecka czymś bardzo wielkim. Rodzice moi to ludzie głęboko wierzący choć bardzo prości. Ja jestem najstarszą z ich sześciorga żyjących dzieci. Wierzę dlatego, że pierwsze zobaczyłam Boga w mym Ojcu, który choć było mu w życiu tak bardzo ciężko, nigdy nie narzekał, zawsze był dla mnie tak dobry.

Wiara stała się dla mnie wielkim zagadnieniem po raz pierwszy, gdy zetknęłam się ze śmiercią samobójczą. Wtedy byłam dzieckiem, ale tak bardzo bałam się takiej śmierci. Odtąd zaczęłam modlić się o łaskę wiary. Dziś wiem, że wiara to szczęście. Dwadzieścia kilka lat bez przerwy obcowania z ludźmi po osiem a często i dwanaście godzin dziennie przekonało mnie o tym. Były u mnie takie dni, w których ludzi nienawidziłam. Jak bardzo wtedy było mi źle. Dziś już tych dni nie ma, bo wierzę. Trudno byłoby mi wyliczyć wszystkie momenty w mym życiu, które dawały mi pewność, że wiara to coś wielkiego. Jeden przykład: kilka lat temu pewien młody człowiek (dziś asystent w Instyt. Badań Jądr.) powiedział mi: „żebyś wiedziała, jak bardzo jestem szczęśliwy — uwierzyłem". Wrócił w ten dzień z Częstochowy. Ja to zrozumiałam.

Nowy Testament jest dla mnie wystarczającym dowodem, że *wierzę.* Tam znajduję odpowiedź na moje problemy. Wiara moja oparta jest na spotykaniu się z Żywym Bogiem.

Można pomyśleć, że są to wypowiedzi podyktowane uczuciem — może i tak, ale proszę mi wierzyć, że są one głęboko przeżyte.

Przeżyłam je na kilku rekolekcjach i stale przeżywam obcując z ludźmi.

Ja wierzę że Sz. Redakcja nie wyśmieje tych moich naiwnych wypowiedzi. „Tygodnik Powszechny" jest pismem przeze mnie bardzo kochanym. Znajduję w nim wszystko, co jest mi bliskie.

Przyznam się, że chciałabym tak troszkę wiedzieć, co by na te moje wypowiedzi pomyśleli tacy ludzie bardzo mądrzy jacy są w Redakcji.

N. N.
lat ok. 40
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 813

Półtora roku temu pierwszy raz po wielu latach przystąpiłam do spowiedzi. Trudno mi było zdobyć się na ten krok. Bałam się tego nie tyle ze względu na ogrom moich win — wiedziałam dobrze, że znikną bezpowrotnie w nieprzebranym morzu Miłosierdzia Bożego — bałam się

samej osoby spowiednika. Może znów trafię nieszczęśliwie i zostanę odepchnięta.

Wzdrygałam się na samo przypomnienie dwóch zdarzeń sprzed lat, które wstrząsnęły mną i spowodowały długotrwały uraz.

Pierwszy raz było to w roku 1936. Miałam 15 lat i przeżywałam dość burzliwie okres buntu przeciw pojęciom, wśród których wzrosłam, starałam się mozolnie zbudować własny światopogląd. Na pierwszy ogień poszła rewizja uczuć patriotycznych, które dominowały w mojej rodzinie, żyjącej wciąż tradycjami powstań, walk o szkołę polską, kultem legionów i Dziadka.

Problemy religijne odsuwałam na dalszy plan — religia w moim ówczesnym pojęciu to była pełna uroku tradycja opłatka, sianka pod obrusem, choinki, święconego jajka, spaceru po „Grobach" w wielkosobotnie popołudnie. Rodzice od siebie i ode mnie nie wymagali wiele pod tym względem. Owszem, była i niedzielna msza św., ale traktowana jak nudny obowiązek.

O ileż bardziej interesujące były sprawy społeczne, wzajemne stosunki ludzkie, rola sztuki w kształtowaniu i uszlachetnianiu osobowości itp.

Czytałam dużo i bez specjalnego planu — poważne traktaty filozoficzne, monografie wielkich ludzi, dzieła historyczne mieszały się z beletrystyką o frapujących tytułach. W ten sposób natrafiłam na książkę, która zaważyła na moim życiu — na *Jana Krzysztofa* Romain Rollanda.

Książki były wtedy drogie. Kupienie jakiejś — nawet bardzo ulubionej — pozostawało w sferach marzeń. Radziłam więc sobie w ten sposób, że czytając, zapisywałam w grubym brulionie to, co mi się szczególnie podobało, nad czym chciałam się zastanowić, lub przedyskutować z koleżankami.

Tak się złożyło, że moje kontakty intelektualne koncentrowały się w niewielkiej grupie koleżanek, wśród których jedna była ewangeliczką, dwie — obojętnymi na sprawy religijne katoliczkami, pozostałe — żydówkami.

W tym okresie panowała jeszcze w mojej szkole duża tolerancja, jeśli chodzi o sprawy wyznaniowe, czy narodowościowe, tak, że gdy dobiegła nas czasem, rzucona w przelocie przez koleżankę spoza naszej grupy, uwaga w rodzaju: — „O, idzie gmina nabożna ze swoim prezesem" — przyjmowałyśmy ją jako dobry żart. Z czasem zaczęło się to zmieniać w miarę rozprzestrzeniania się u nas prądów faszystowskich — koleżanki katoliczki raz po raz donosiły mi, że nauczycielki polecają im wpłynąć na mnie, abym się przestała przyjaźnić z żydówkami. Pozostawałam im jednak wierna — nie tylko z przekory, choć i ona odgrywała swoją rolę, ale na-

prawdę byłam do nich bardzo przywiązana — nie zmieniło się to zresztą do dziś.

Ale wracam do tematu — po *Janie Krzysztofie* zaszumiało mi w głowie. Upajałam się jego ciekawymi i pięknie sformułowanymi myślami, których całe strony miałam w swoim brulionie. Recytując z pamięci, darzyłam nimi moją „gminę nabożną" na przerwach międzylekcyjnych, aż raz wpisałam jedną z nich którejś koleżance do pamiętnika. Wypatrzyła ją tam inna i pełna świętego oburzenia pokazała księdzu prefektowi.

Nie widziałam jego miny, gdy odczytał słowa: *Rozmyślanie o Bogu dobre jest dla słabych, lub osłabionych, anemicznych dusz, które tęsknią do Boga, jak roślina do słońca. Umierający czepia się życia. Ale czy ten, co w sobie posiada słońce i życie, potrzebuje ich szukać nazewnątrz siebie?* — ale mogę ją sobie wyobrazić, bo gdy w dwa dni potem wziął sobie mnie za temat niedzielnego kazania na niedzielnej mszy św., miotał się i rzucał gromy na moją głowę w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że gdyby mógł, unicestwiłby mnie jednym uderzeniem. Nie wymienił mojego nazwiska, ale i tak oczy całej szkoły były na mnie zwrócone. Czułam się jak pod pręgierzem, byłam bliska zemdlenia z rozpaczy i wstydu. Boże! Przecież ja nie myślałam nigdy, że ta „złota" myśl jest aż tak straszna! Cóż pocznę teraz, piętnastoletni „wywrotowy element", wyzuty ze czci i wiary, jak przyznam się w domu do swojego przestępstwa? A jeżeli wyrzucą mnie ze szkoły?... Doszły mnie już wieści, że na następny dzień ksiądz zwołuje zebranie rady pedagogicznej w tym celu. Na szczęście kilku nauczycieli wzięło mnie w obronę i o odejściu ze szkoły nie było więcej mowy.

Co dziwniejsze — ksiądz zmienił całkowicie swoją taktykę wobec mnie. Ni z tego, ni z owego stał się nagle ujmująco serdeczny, rozpływał się w uśmiechach, przy każdej okazji starał się wciągnąć mnie w rozmowę. Ale we mnie zaszły już po tym niedzielnym wstrząsie zmiany nieodwracalne. Poczułam się z całą siłą i brutalnością wyrzucona poza obręb społeczności katolickiej i nie chciałam już wracać. Jednocześnie otaczający mnie świat pociągał nieprzepartym urokiem. Jakież bogactwo myśli ludzkiej kryły w sobie książki, na które rzuciłam się teraz ze zdwojoną zachłannością, ile nieprzeczuwanego piękna i odwiecznej, nigdy niezaspokojonej człowieczej tęsknoty odnalazłam w muzyce, która stała się dla mnie bożyszczem. Z zapałem zabrałam się do zgłębiania mojej ukochanej sztuki. Mimo coraz bardziej absorbujących mnie zajęć szkolnych znajdowałam czas, by po 4—5 godzin dziennie ćwiczyć na fortepianie, robiłam duże postępy i poważnie myślałam o tym, żeby po maturze studiować w konserwatorium. Do późnych nocy tkwiłam przy odbiorniku radiowym, wyłapując po całym świecie

z „Anteną" w ręku najpiękniejsze koncerty. Poznałam w ten sposób największe arcydzieła muzyczne — przeżywałam je żywiołowo, nie hamując łez wzruszenia, *Missa Solemnis* słuchałam na klęczkach.

Zupełnie nie odczuwałam wtedy braku modlitwy i Sakramentów św., z którymi zerwałam natychmiast po owej nieszczęsnej niedzieli. Po wysłuchaniu jakiegoś pięknego utworu muzycznego czułam się oczyszczona wewnętrznie i bliska „Najwyższego Piękna i Dobra" — bo takim mianem ochrzciłem teraz Boga, nie próbując poświęcić Mu więcej uwagi. Nie zdawałam sobie zupełnie sprawy, kogo tracę, odchodząc.

Potem przyszła wojna 1939 r. i kosmopolityzm, z którym się dumnie obnosiłam, pękł jak bańka mydlana, ustępując miejsca fali gorącego patriotyzmu, jaka zalała moją duszę. Odżyły tradycje rodzinne, odrzucone w pierwszym porywie młodzieńczego buntu — pragnienie poświęcenia życia dla tej skrwawionej i sponiewieranej Ojczyzny mieszało się z urokiem konspiracji, pełnej zagadek, niebezpieczeństwa i romantyzmu. Przez półtora roku tułałam się po drogach i bezdrożach całej okolicy — rowerem, na piechotę i na nartach — rozwożąc to „bibułę", to — z wielkim strachem — dynamit i bomby zegarowe. Wpadłam na szczęście „na bibule" i bez wielkiego trudu wmówiłam panom z gestapo, że to był pierwszy i ostatni raz, przez jednego chłopca o ślicznych, zielonych oczach, który mi głowę zawrócił. Widać nie bardzo jednak uwierzyli, bo wpakowali mnie do więzienia, a potem wysłali do obozu koncentracyjnego — w 21-szej wiośnie życia.

Tam pierwszy raz zaczęłam myśleć o śmierci. Co parę tygodni grupa Polek, wywołanych przez SS-mana, odchodziła za bramę „w nieznane", następnie słychać było salwę strzałów karabinowych i do magazynu z odzieżą wracały ich ubrania. Nie można było mieć złudzeń, że okólną drogą dowiedziałam się, że i ja przyjechałam z zaocznym wyrokiem śmierci.

Cały wysiłek woli skupiłam na tym, żeby się nie zżyć z myślą o śmierci i, gdy przyjdzie, wyjść naprzeciw niej z godnością. Zaczęłam się modlić. Czasu na apelach było na to dosyć. Przerażenie, które początkowo mną owładnęło, powoli ustępowało. — *Poczułam cudowną moc modlitwy* — pisałam w liście do matki. Stojąc już jakby nad grobem, nie żałowałam swojego krótkiego życia. Byłam wdzięczna Bogu, że dał mi przeżyć tyle pięknych chwil, że mogłam poznać i pokochać muzykę, której — wierzyłam w to — będę u Niego mogła słuchać dowoli.

— „Powiedz, skąd się u ciebie bierze tyle pogody?" — pytały nieraz koleżanki. — „Och, to pewno dlatego, że byłam zawsze bar-

dzo szczęśliwa w miłości" — odpowiadałam ze śmiechem. W rzeczywistości różnie z tymi miłościami bywało.

Gdy teraz, po latach, przypatruję się sobie z tamtych czasów, dochodzę do wniosku, że to chyba tylko ja dawałam z siebie *maximum* uczucia w każdym poszczególnym wypadku tzw. zakochania. To uczucie tak dalece wypełniało mnie, że nie pozwalało analizować, w jakim stopniu jest odwzajemnione — dzięki temu byłam szczęśliwa. A na chwile rozczarowań miałam bogate rezerwy: najbardziej uwielbianego muzyka i człowieka Beethovena — i całą plejadę muzyków, poetów i innych wybitnych ludzi. Lubiłam dzielić się z koleżankami wrażeniami z usłyszanych czy przeczytanych utworów, opowiadać im z entuzjazmem o moich ukochanych. Śmiechu nieraz było z tego — czasem podsuwał mi ktoś na lekcji kartkę z narysowanym tramwajem i podpisem: „To twoje serce".

Ale wróćmy do obozu — wbrew pesymistycznym prognozom udało mi się przeżyć go, ale koszmar ludzkiej podłości, z którym się tam zetknęłam i rozczarowania po powrocie podcięły mi skrzydła. Bliscy mi ludzie poginęli w obozach i lasach, lub rozsypali się po świecie. Czułam się obca, nie wiedziałam, gdzie moje miejsce. Warunki były ciężkie, trzeba było wziąć się do pracy, o studiach w konserwatorium nie można było myśleć. Skołowana i pełna wewnętrznego smutku chwyciłam pierwszą nić, która mogła mnie ponownie połączyć ze światem — wyszłam za mąż. Szczęśliwa, kochana i kochająca, oczekiwałam upragnionego dziecka — syna, oczywiście, który urzeczywistni kiedyś moje marzenia, unicestwione przez wojnę.

Synek urodził się z bardzo krzywymi nóżkami. Jeden z profesorów, który go badał, przepowiedział, że będzie je często łamał, ale inni lekarze uspokajali: — „Dla współczesnej medycyny to nie problem. Mamy przecież tak wspaniałe osiągnięcia... Trzeba, naturalnie, dbać o niego, być stale w kontakcie z nami..." W ten sposób rozpoczęła się moja wieloletnia walka o zdrowie dziecka. Bilans tej walki, to — po stronie strat ponad 40 złamań i 14 ciężkich operacji w ciągu jedenastu lat, w podsumowaniu: klęska ostateczna w postaci śmierci dziecka po ukończeniu 12 lat. Mogłabym pisać bez końca o zmaganiach z chorobą, nadziejach, buntach i niezliczonych upokorzeniach, przez które przeszliśmy z Jasiem. Najcięższa do zniesienia była w tym wszystkim obojętność ludzka, o którą się wciąż rozbijaliśmy. Były wypadki, gdy spotykaliśmy się z życzliwością, z serca płynącą chęcią pomocy. Był jeden młody harcerz, który wyniósł mi dużego już wtedy i ciężkiego Jasia z wagonu, była pewna pani z Krakowa, która, zorientowawszy się, że wchodzę z dzieckiem do kilku-piętrowego domu,

zostawiła swoje niemowlę na ulicy, wbiegła za mną do klatki schodowej i pomogła zataszczyć się na drugie piętro, była koleżanka z pracy, która bez niczyjego zlecenia odrabiała moje zaległości, aby kierownik nie krzywił się z powodu moich częstych wyjazdów, nie mogę również nie wspomnieć o pracownikach muzeum na Wawelu, którzy w 55 roku pozwolili mi tam wjechać wózkiem i dzięki temu Jaś mógł zwiedzić Wawel, byli wreszcie mniej lub więcej przyzwoici lekarze, zdarzały się dobre siostry — niech im Bóg błogosławi za to. Ale to były wyjątki z reguły, której na imię obojętność.

Dużo wysiłku wkładałam w to, by dziecku b. wrażliwemu i nad wiek rozwiniętemu zapewnić zdrową i pogodną atmosferę, zorganizować naukę, udostępnić rozrywki, jak radio, kino, teatr, cyrk — jednym słowem — nie dopuścić do jakichś skrzywień psychicznych. Rezultat tych wysiłków był pozytywny — dowodem niech będzie choćby ten cytat z orzeczenia lekarskiego, wydanego przez zakład leczniczy, w którym Jaś przebywał z przerwami przez 2 lata: „Rozpoznanie psychologiczne: Jan X. wykazuje bardzo dobry rozwój umysłowy. Zgodnie z rozwojem umysłowym wykazał bardzo dobre postępy w nauce w klasach V i VI szkoły podstawowej przy naszym Zakładzie. Mimo ograniczonej wydolności fizycznej, mimo przebycia w swoim młodym wieku kilkunastu zabiegów chirurgicznych jego stan psychiczny jest zupełnie zadowalający. Nie stwierdzono u Jana X. żadnych poważniejszych konfliktów z otoczeniem. Jan X. rozwinął w sobie korzystny dla siebie stereotyp psychodynamiczny ze skłonnością do aktywności umysłowej". Skarżyłam się na obojętność — ale bywało gorzej. Im bardziej było oczywiste, że w danym wypadku należy się spodziewać dobrego traktowania dziecka i mnie, tym boleśniej odczuwaliśmy złe. Bardzo przykre było każde zetknięcie się z zaniedbywaniem swoich — i ludzkich — obowiązków przez służbę zdrowia, ale wszelkie moje oczekiwanie przeszło to, co spotkało nas od księdza katolickiego.

To była pierwsza niedziela marca 1952 r. Poprzedniego dnia otrzymałam wezwanie z poznańskiej kliniki do stawienia się tam z dzieckiem na zabieg chirurgiczny. Jaś miał wtedy 5 i $^1/_2$ lat i rozumiał już dobrze, że wyjazd do Poznania przyniesie w konsekwencji obrzydliwą narkozę, ból po przebudzeniu i wiele tygodni pobytu poza domem, gdzie byli wszyscy bliscy i kochani i — najbardziej kochany — mały, dwuletni braciszek Piotruś.

Tym razem jakoś wyjątkowo trudno było mi powiedzieć mu o projektowanym wyjeździe. Jeszcze w sobotę zaświtała mi myśl: wezmę go w niedzielę do kościoła na mszę św. dla dzieci. Słyszałam, że w naszym kościele parafialnym jeden z księży od nie-

dawna w piękny sposób zaznajamia dzieci z liturgią mszy św. — posłuchamy tego wspólnie z synkiem, pomodlimy się, potem dopiero powiem mu o wyjeździe — może wtedy łatwiej to przyjmie.

Do tej pory prawie wcale nie bywał w kościele — przez większą część swego życia leżał w gipsie, ale teraz — myślałam — jest już w tym wieku, że trzeba go będzie prowadzić do kościoła, gdy tylko zdrowie na to pozwoli. Zapakowałam go więc mimo niepogody do wózka i pojechaliśmy dość wcześnie, żeby wejść zanim się zrobi tłoczno. Postawiłam wózek przy ławkach blisko ołtarza. W chwilę potem podszedł do mnie kościelny i nachylając się, szeptem powiedział: „Proszę pani, ksiądz mówi, żeby pani wyprowadziła ten wózek z kościoła". — „Proszę powiedzieć księdzu — odpowiedziałam również szeptem — że to jest chore dziecko, nie może samo stać, a ja go nie utrzymam na ręku (ławki były już pozajmowane), i w ogóle niebezpieczne dla niego jest wyjmowanie z wózka, bo bardzo łatwo łamią mu się nóżki". — Stałam sobie spokojnie dalej, gdy nagle wyszedł przed ołtarz ten słynny, tak podobno pięknie mówiący ksiądz i, odwracając się w moją stronę, dobitnym głosem powiedział: „Proszę wyjść z tym wózkiem z kościoła, bo kościół to nie jest stajnia!" Dosłownie tak! Słowa te będę pamiętać do śmierci. — „Proszę księdza, przecież to jest chore dziecko" — próbowałam jeszcze oponować. — „Słyszała pani, że ma pani wyjść?" — doszły mnie jeszcze słowa. Łzy zalały mi twarz. Nie wiem, jak wyszłam, w jaki sposób zajechaliśmy, płacząc oboje, do domu. Mąż mój wzburzony naszą relacją z tego wypadku, napisał o tym w liście do biskupa.

Gdy wróciłam po kilku dniach z Poznania, dowiedziałam się, że ksiądz ten był u nas, ale nikogo nie zastał. „Pewno chce mnie przeprosić" — pomyślałam jeszcze pełna bólu, ale gotowa do pojednania. Przyszedłszy jeszcze raz, ksiądz ów bardzo pewnym siebie tonem nazwał mnie histeryczką i powiedział, że to moja wina, że tak się stało, bo powinnam była przyjść do niego i poprosić, żeby mi pozwolił z wózkiem wjechać — wtedy sam ułatwiłby mi wejście. I najgorsze jeszcze, co powiedział, to to, że i inni księża są tego samego zdania. To „inni" można było bardzo szeroko rozumieć i tak to przyjęłam. Perspektywa pytania się za każdym razem o pozwolenie wejścia z wózkiem do kościoła była nie do zniesienia.

Powiedziałam sobie, że tam, gdzie nie ma miejsca dla mojego dziecka, nie ma go i dla mnie i postanowiłam, że noga moja w kościele nie postanie.

W ten sposób odeszłam po raz drugi. Przyszły straszne lata, gdy w mojej beznadziejnej walce nie miałam znikąd pociechy. Prawdziwi przyjaciele byli daleko, tzw. życzliwi ludzie stronili od

domu, gdzie wciąż był smutek i choroba. W tym czasie i drugi mój synek, Piotruś, zaczął łamać nóżki — rzadziej, niż Jaś, ale przeszedł 4 operacje.

Nieraz — na skraju rozpaczy — przychodziła mi w czasie bezsennych nocy myśl: skończyć raz z tym wszystkim, zabić te moje biedne, kochane dzieci i siebie, ale przedtem — pozrywać ze ścian te wszystkie „święte" obrazki i krzyże, zdeptać je, zniszczyć wizerunki tego okrutnego Boga, który może obojętnie patrzeć na cierpienie niewinnych istot. Bo mimo wszystko nie mogłam zapomnieć o Nim, czułam każdą swą cząsteczką, że jest, ale taki, że bałam się Go i nienawidziłam.

Nie popełniłam jednak żadnego szaleństwa — teraz wiem, że to Jego łaska powstrzymała mnie od tego — ale gdy przyszło to najgorsze, co mogło przyjść i czego się najmniej spodziewałam — śmierć Jasia w czasie wstępnych przygotowań do piętnastej z kolei operacji — byłam bardzo daleka od Niego.

Dokładnie w cztery tygodnie od dnia śmierci Jasia — siedziałam wtedy przy pracy w biurze — doznałam nagle uczucia, jakby jakiś nieznośny ciężar, przygniatający mi serce, usunął się. Zrobiło mi się dziwnie lekko i radośnie — jakby nagle rozstąpiły się ołowiane chmury, zwisające nisko nade mną i zabłysło słońce. Zastanawiałam się, co może oznaczać ten niezwykły stan. Przecież nie miałam żadnego powodu do radości... — A może Jaś był do tej pory w czyśćcu, dziś skończyła mu się pokuta i moje serce, jak czuły odbiornik fal z zaświata, w ten sposób sygnalizuje mi ten radosny moment? — pomyślałam w pierwszej chwili.

Przez okres, poprzedzający ten dzień, nie szukałam zapomnienia. Wiedziałam dobrze, że go i tak nie znajdę. Moja miłość do tego dziecka była bezgraniczna, więzy, łączące mnie z nim — nierozerwalne. Wciąż, mozolnie, nawet budząc się niespodzianie wśród nocy, powtarzałam sobie: „Moje dziecko nie żyje" — bez przerwy wbijałam sobie to w pamięć, bojąc się, że mogę kiedyś ulec jakiemuś chwilowemu złudzeniu, że to się nie stało, że jest tak, jak dawniej — rozczarowanie potem byłoby nie do zniesienia.

Był w tym moim wysiłku wielki ból, który towarzyszył gigantycznej wprost — jak mi się teraz wydaje — pracy nad przestawieniem całego mojego wewnętrznego ja na zupełnie inny tor. Tak, jakby ktoś przy pomocy starej, zardzewiałej zwrotnicy próbował przesunąć mocno przymocowane szyny, biegnące w kierunku „życie", na kierunek „śmierć".

Sądzę, że ten moment, który odczułam jak nagłe usunięcie się gniotącego mnie ciężaru, to był ten krańcowy punkt progu śmierci, który usiłowałam za moim dzieckiem przekroczyć. Tam musiałam się zatrzymać i ze zdumieniem — zamiast smutku i bez-

nadziei, znalazłam radość i jakieś dziwne, niespotykane nigdy przedtem uczucie uniesienia wewnętrznego.

Wiem teraz, że to było cudowne, tajemnicze działanie Łaski Bożej. Łaska ta przejawiła się również w bardziej konkretnym kształcie — w osobie mojej serdecznej przyjaciółki, poznanej w obozie koncentracyjnym, gdzie była jedną z niewielu tych niezwykłych istot, które nie tylko same umiały się oderwać od tego dna nędzy ludzkiej, ale swoją ciekawością świata i człowieka, pasją zgłębiania wiedzy o nich zarażały innych.

Razem z całą grupą innych takich entuzjastek organizowała w chwilach wolnych od pracy prelekcje na tematy z różnych dziedzin wiedzy, a także prowadziła dla młodszych dziewcząt systematyczne nauczanie w ramach programu licealnego.

Dziś przekroczyła już siedemdziesiątkę, ale nazwać ją staruszką byłoby niedorzecznością. Zetknęłam się z nią po kilkunastu latach niewidzenia na jednym ze zjazdów b. więźniarek obozów koncentracyjnych. Wydała mi się malutka i przygarbiona, ale jak dawniej promienna i uśmiechnięta. Przywitawszy się, przedstawiłam jej swoją towarzyszkę: — „To jest pani T. matka Zosi, która została rozstrzelana w naszym obozie. Prócz niej straciła jeszcze dwu synów w Oświęcimiu i jednego w czasie działań wojennych". Patrzę — a to moje drogie, małe kurczątko nachyla się nagle do rąk tej nieszczęśliwej matki i całuje je. W tym prawie odruchowym geście tyle było ujmującej prostoty i pokory, że wzruszenie chwyciło mnie za gardło. „To jest prawdziwa chrześcijanka" — przemknęła mi myśl. I tak było rzeczywiście. Dowiedziawszy się o ciężkim losie moich dzieci z całą serdecznością zbliżyła się do nas. Ile delikatnej, czułej troskliwości i zainteresowania okazywała moim dzieciom, ile pomysłowości wkładała w to, żeby rozjaśnić im życie; była przy mnie w najcięższych chwilach — Bóg mi ją zesłał i jej ustami do mnie przemówił. To ona dała mi do ręki „Tygodnik Powszechny", „Znak", „Więź", kazała czerpać mądrość Bożą z Ewangelii. Słuchałam we wszystkim tej mojej przewodniczki nie tylko dlatego, że ją kochałam. Wierzyłam jej, bo widziałam, że żyje tą prawdą, którą wyznaje.

Długo jednak opierałam się jej wezwaniu pójścia do spowiedzi — bałam się księży. Ale przemogłam się i dzięki temu mogłam uczestniczyć w Łamaniu Chleba.

„...*A gdy z nimi zajął miejsce przy stole, wziąwszy chleb, pobłogosławił, łamał i podawał im. Wtedy otworzyły się ich oczy i poznali Go*". (Łuk. 24). Kiedyś w jednym z artykułów „Tygodnika Powszechnego" był podkreślony ten moment. Przekonałam się sama, jaka to wielka prawda. I mnie zaczęły się otwierać

oczy na Prawdę Bożą właściwie dopiero wtedy, gdy z całym przekonaniem i zrozumieniem doniosłości chwili, a jednocześnie z miłością i pokorą zaczęłam uczestniczyć w Łamaniu Chleba. Trudno powiedzieć, że rozumiem zamysły Boże w stosunku do świata, bo tego chyba żaden człowiek za życia nie dostąpi, ale wydaje mi się, że przy pomocy jakiegoś dodatkowego, delikatnego zmysłu wyczuwam je. I jednego jestem pewna — że cierpienie ma w planie Bożym ogromną, niedostatecznie docenianą rolę nawet przez ludzi wierzących. Że jest ono na świecie konieczne potrzebne — co wcale nie znaczy, że nie należy go likwidować. Może jest między innymi po to, żeby ci, którzy się ze swymi cierpiącymi braćmi stykają, próbowali im ulżyć?...

Kgst
lat 39
artysta-plastyk
pochodzenie ziemiańskie
Ankieta nr 257

Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę? Biorąc udział w ankiecie „Tygodnika", czynię to nie tylko na życzenie pisma, ale także dla uporządkowania i sprawdzenia własnej postawy.

Wychowana w katolickiej rodzinie i otoczeniu wierzyłam od najwcześniejszych lat równie po prostu jak oddychałam i chyba nawet trudno byłoby mi wpaść na pomysł, że można nie wierzyć tym bardziej, że wśród najbliższych nie było rozbieżności między tym, co nam dzieciom o wierze mówiono, a ich postępowaniem.

W latach okupacji wiara wydawała mi się jakoś integralnie złączona ze sprawą polską. Przecież częścią wrogiej działalności hitlerowców było tępienie religii, likwidowanie księży i ludzi o zdecydowanej postawie katolickiej. Upraszczając moją postawę z tych lat: wszystko, co pochodziło od Niemców, było złe, wszystko przez nich tępione — tym bardziej godne uwagi i przetrwania.

Zaraz po wojnie, w latach studiów sprawa nie była już tak prosta. Spotykało się ludzi inteligentnych, szlachetnych, czasami b. uroczych, o jakiejś swoistej, mądrej, nieco sceptycznej filozofii i etyce życiowej. Sprawę wiary lub niewiary uważali za jakiś mały i bardzo prywatny zakątek ludzkiego wnętrza. Może to nie bardzo bojowo, ale nie szukałam z nimi dyskusji — uważałam ich za studnię wiedzy zawodowej — imponowali mi w ogóle — nie czułam się dorosła do dyskusji, a zresztą w ogóle wątpię, czy dyskusje są celowe, jeśli obie strony zbyt gorąco chcą się nawzajem przekonać.

Dziś chyba mogę powiedzieć, że wierzę z dwu powodów:

P i e r w s z y a r g u m e n t — l u d z i e:

Znani mi współcześni lub dawno już nieżyjący. Stawką ich wiary było życie konsekwentne aż do końca. Dlaczego mam przypuszczać, że byli naiwni, że się mylili w tej najważniejszej sprawie, jeśli ich się znało jako ludzi rozumnych, często wybitnych, jeśli mądrość ich myśli pisanej przetrwała po dziś dzień wytrzymując próbę czasu? Myśl inna: Jeśli do pokoju, gdzie jest kilka osób, wchodzi śliczna dziewczyna — na pewno inne kobiety nie czują się piękniejsze — wręcz przeciwnie — w najlepszym razie nie zazdroszczą jej urody. Ale są takie, w których obecności czujemy się lepsi, szlachetniejsi — jest wokół nich jakaś zaraźliwa atmosfera, dobra, udzielająca się otoczeniu.

Ta dziwna aura towarzysząca niektórym ludziom byłaby dla mnie co najmniej zastanawiająca, gdybym nie umiała sobie jej wytłumaczyć względami duchowymi.

D r u g i a r g u m e n t — s e n s n a s z e g o i s t n i e n i a:

Na studiach nasz profesor grafiki mawiał czasami oglądając wykonaną pracę: „Po co to pani zrobiła?". Taka krytyka była dla mnie najdotkliwsza. Nie to, że źle, tylko właśnie p o c o?

Od najwcześniejszych lat nie cierpiałam zajęć, które uważałam za bezsensowne: zabaw, gier i zgromadzeń towarzyskich.

Dlaczego w przyrodzie wszystko jest jakoś sensowne i „docelowe" a bezsensem miałyby być tylko drogi ludzkie? A przecież wszystko w życiu: i praca i rozrywka a zwłaszcza starość i cierpienie byłyby wielkim nonsensem, gdyby nie miały jakiegoś celu ostatecznego.

Jedyną mądrą odpowiedzią wydaje mi się wiara — to nie znaczy, że wszystko jest zrozumiałe i że nie ma tajemnic. Istnienie Boga nie jest oczywistością, gdyby nią było, nie mówilibyśmy o naszym stosunku do wiary, tylko o ustawieniu się ludzi wobec faktu istnienia Boga.

Wierzę, więc wyliczam swą postawę wewnętrzną i chyba nie ten wybór jest tak trudny, jak jego konsekwencje na codzień.

T. L. (Gdańsk)
lat 39
inżynier
pochodzenie inteligenckie
Ankieta nr 455

Piszę — dla siebie. Korzystam z ankiety, aby sobie raz uświadomić, jak to jest z moją wiarą, gdyż zwykle o tym nie myślę, a co gorsza — nie odczuwam potrzeby myślenia.

Ten aintelektualizm jest chyba cechą charakterystyczną mojego stosunku do wiary. Nigdy nie miałem wątpliwości dogmatycznych, filozoficznych. Młodzieńcze „załamania" dotyczyły dwu

punktów. 1) wiara krępuje moją wolność, 2) niezrozumiałe i bezsensowne zło świata, w szczególności zło pochodzące od człowieka (moment uszanowania wolności woli nie tłumaczy jeszcze wszystkiego). Ten ostatni problem będzie naturalnie przez całe życie aktualny, gdyż jest tajemnicą (takie jest, zdaje się, stanowisko Kościoła), a dramatyczność życia polega na jego stałym rozwiązywaniu. Natomiast sprawa wolności, decydowania o sobie, zdolności działania najsilniej związała mnie z katolicyzmem.

Tylko drogą wysiłku i wewnętrznego zdyscyplinowania mogę coś osiągnąć w życiu. Postępowanie według zasad wiary mobilizuje moje władze fizyczne i duchowe, daje mi sprawność działania i posuwania się naprzód, zdolność przezwyciężania własnego bezwładu i drobnych trudności codziennego życia. Aktywna postawa katolika ułatwia mi współżycie z ludźmi i zrozumienie ich. (Bardzo odpowiada mi stanowisko autora książki, recenzjowanej przez M. Garnysz w 72—3 nr „Znaku"). Wiara daje mi poczucie spokoju, świadomość celu oraz przekonanie, że wszystko, cokolwiek by mnie spotkało, jest dobre.

Jest to może zbyt „pragmatyczne" pojmowanie roli wiary w życiu. Taka pozytywna postawa wobec świata może być też udziałem ateisty. Wydaje mi się jednak, że światło wiary daje całkiem specyficzne zainteresowanie światem i człowiekiem, wyrozumiałość, a nade wszystko właściwą perspektywę dla oceniania wypadków i ludzi. To poznanie hierarchii wartości, zrozumienie, co jest ważne i istotne, a co drugorzędne, jest właśnie tą mądrością, o której mówi Pismo Św. Wiara daje dużą dojrzałość wewnętrzną — z tego stanowiska niektórzy ludzie wydają się czasem wprost dziecinni. A najjaskrawiej to widać w relacji do problemu śmierci. Myśl, że kiedyś przestanie istnieć ten mój świat, jedyny i niepowtarzalny, stanowiący dla mnie istotnie mnie obchodzącą wartość — jest do zniesienia tylko w świetle wiary. Nie — w przeciwieństwie do autora pierwszej wypowiedzi cytowanej w „TP", nr 45 (615) — mnie nie starczyłoby odwagi na ateizm.

„Wierzący" (Bydgoszcz)
lat 39
wykształcenie średnie
pochodzenie robotnicze
Ankieta nr 653

Jestem długoletnim czytelnikiem Waszego Tygodnika. Czytam w nim około 80 procent artykułów. Ciekawe są bardzo Wasze ankiety, ostatnia jednak pt. Dlaczego wierzę? wątpię? odchodzę? zaniepokoiła mnie, pobudziła do refleksji i postanowiłem wtedy po raz pierwszy w życiu napisać do Redakcji uważając za obowiązek wziąć udział w wymienionej wyżej ankiecie.

Otóż pragnę odpowiedzieć na pierwsze pytanie — dlaczego wierzę? To nie jest taka prosta odpowiedź. Najłatwiej byłoby powiedzieć, że wierzę, bo rodzice mnie ochrzcili, nauczyli pacierza i przykazań bożych — to prawda, ale życie moje w domu rodzinnym przynajmniej do 20-tego roku życia nie dało mi okazji do ugruntowania mojej wiary, a zatem wierzę, że dostąpiłem szczególnej łaski, że jestem dzisiaj wierzącym z przekonania i praktykującym katolikiem. Że tak jest, pozwolę przedstawić w skrócie życie i atmosferę rodzinną, w której wyrastałem.

Rodzice moi byli małżeństwem niedobranym, chociaż ojciec był abstynentem, często w domu byliśmy świadkami (było nas czterech braci) różnego rodzaju kłótni do bicia włącznie. Najczęściej dochodziły one na tle finansowym. Ojciec mój w okresie 20-lecia był długie lata bez pracy, co było między innymi powodem dwukrotnego wyeksmitowania nas z mieszkania. W końcu przyjął nas pewien Niemiec i dał schronienie w budynku byłej fabryki mydła, który nie żądał zapłaty za mieszkanie z „góry", ale pomieszczenie, w którym mieszkaliśmy, trudno było nazwać mieszkaniem. Matka moja była wierzącą katoliczką, natomiast ojciec odstąpił od Kościoła katolickiego i przystąpił do Kościoła narodowego co było również powodem do poważnych nieporozumień w rodzinie. Chodziłem również często w niedzielę z ojcem do Kościoła narodowego. Było trudno z pieniędzmi, ale ojciec prenumerował tygodnik pt. „Złoty Wiek". Czytywałem go. Tygodnik ten wybitnie był wrogo nastawiony do kleru katolickiego. W czasie, kiedy nie mieliśmy mieszkania i każdy z nas spał u innych znajomych po kilka dni, dzięki staraniom matki zostałem przyjęty do I Komunii św. Skromna uroczystość odbyła się w obcym mieszkaniu, przy której również nie obyło się bez kłótni i płaczu matki. Po ukończeniu szkoły podstawowej najczęściej chowała mnie ulica, do których zadań między innymi należało wybieranie użytkowych odpadów po śmietnikach, sprzedaż gazet, drobny handel na targowiskach, za co nieraz pałką po plecach od policjanta się dostało, gdyż brak było zezwolenia na handlowanie. Matka nie rzadko przychodziła pod koniec targu dowiadywać się, czy się coś zarobiło, bo często na chleb pieniędzy nie było. Kupowaliśmy stary chleb u piekarza, który kosztował 20—30 gr. Były wypadki, że kradło się drobne przedmioty, szczególnie takie, które miały jakiś związek z żelazem, żeliwem, czy metalem kolorowym.

W 1937 r. wstępuję do Organizacji Młodzieży Pracującej (OMP). Nie znałem jej ideologii, ale dowiedziałem się, że kierownictwo tej organizacji poszukuje pracy dla swoich członków i w ten sposób otrzymałem w 1938 r. pracę jako posłaniec a później jako uczeń

handlowy. W takiej atmosferze rodzinnej wyrastałem i nie dużo przykładów prawdziwego życia religijnego widziałem.

Pragnę jeszcze dodać tylko, że pod wpływem niesamowitego terroru okupanta, jaki panował w tym czasie w Bydgoszczy, rodzice moi w 1942 r. przyjęli tak zwaną III grupę, co w rezultacie było powołanie mnie do wojska niemieckiego, z którego we Francji przy najbliższej okazji dezerteruję.

Do 1947 r. pełnię służbę w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Byłem dwa razy na froncie i w wielu bardzo niebezpiecznych sytuacjach tak, że jeszcze dzisiaj się nieraz zastanawiam, że znajduję się między żywymi. W 1949 r. ożeniłem się, jestem w posiadaniu trojga dzieci i jestem w małżeństwie bardzo szczęśliwy. Po powrocie do kraju stwierdziłem, że toczy się dość poważny rozłam na ludzi, którzy odchodzą od Kościoła, i na tych, którzy pozostają jemu wierni. Zacząłem się interesować nieliczną prasą katolicką, czytam książki „Pax'u", słucham różnych konferencji religijnych przeznaczonych dla inteligencji i w końcu musiałem się zdecydować, albo w dalszym ciągu tradycyjnie chodzić do kościoła, być katolikiem z nazwy a życie sobie układać tak, jak jest najwygodniej, albo starać się o gruntowne poznanie wiary, uwarunkować ją czynami a zatem stać się praktykującym katolikiem. Wybrałem tę drugą alternatywę. Przez długie lata pracuję nad sobą. Siebie zmieniać szczególnie w obecnych czasach nie jest rzeczą łatwą, ale każde osiągnięcie jest dla mnie wielkim skarbem. Oto niektóre z nich: pełne zaufanie w małżeństwie, coraz lepsze zrozumienie. Żona mi kilka razy już powiedziała, że im dłużej jesteśmy w małżeństwie, tym więcej się kochamy i szanujemy, przypomina mi pierwsze lata po ślubie — że tak nie było. Będąc w lokalu na obiedzie czy jedząc śniadanie w biurze odmawiam przed tym cichą modlitwę i żegnam się. Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie chociaż ta drobnostka łatwo nie przyszła. Inny przykład: Często przed rozpoczęciem pracy, którą zaczynam o godz. 7-mej udaję się do kościoła na pierwszą Mszę św. na godz. 6,30. Droga do kościoła prowadzi przez park, którędy najczęściej chodzę. Gdy jednak niedużo minut pozostało do 6,30 to udaję się do tego samego kościoła drogą nieco krótszą, ale za to muszę przechodzić koło zakładu, w którym pracuję a tym samym spotykam często dużo moich znajomych, którzy rozpoczynają pracę o 6,30 i większość z nich wie, że udaję się do kościoła. Unikałem tych spotkań, bo nie chciałem uchodzić za „świętoszka", ale dzisiaj niedużo z tego sobie robię, myślę, że i może oni zajdą czasem do kościoła. Z drugiej jednak strony taka opinia moich współpracowników i znajomych zobowiązuje mnie do sumiennej pracy, dobrego przykładu i opanowania. Moja religijność nie może być tylko maską. Modlę się codziennie,

abym był dobrym i wytrwał w nim. Dużą pomocą w przezwyciężaniu trudności jest dla mnie modlitwa, częsta Msza św. Staram się na niej bywać codziennie. Doszedłem również do przekonania, że uczestniczenie w Mszy św. z mszalikiem i przystąpienie do Komunii św. podczas mszy św. jest pełnym jej uzupełnieniem. Życie moje religijne nie przeszkadza mi korzystać z kina czy teatru, iść czasem, chociaż rzadko, na zabawę czy wieczorek towarzyski. Kocham Boga i nie chcę, aby się na mnie zawiódł. Modlę się za św. Ignacym Loyolą *Daj mi jedynie Twą miłość razem z Twoją łaską a będę dosyć bogaty i o nic poza tym nie proszę.*

Panie Redaktorze, może piszę niezupełnie do tematu, ale wydaje mi się, że to wszystko ma jakiś pośredni związek z moją wiarą. Może prócz „Credo" dodam jeszcze własnymi słowami kilka zdań dlaczego wierzę?

— dlatego, że silna i żywa wiara potrzebna mi jest do zbawienia wiecznego,
— dlatego, że Pismo św. i Kościół uważam za najwyższy autorytet w sprawach wiary. Historia nas uczy, jak kruche są potęgi i królestwa ziemskie, jak słabi i nieporadni władcy tego świata,
— dlatego, że przez wiarę popartą uczynkami staję się dzieckiem bożym,
— dlatego, że przez dokładne poznanie przymiotów wiary, łatwiej jest mi rozwiązać trudności w życiu, często w małżeńskim,
— dlatego, że przez wiarę uczę się dobroci i miłości dla bliźnich i dla wszystkiego, co mnie otacza,
— dlatego, że wierzę w działanie modlitwy i niewątpliwie modlitwa matki, może zakonnika z cichej celi klasztornej, a może kapłana modlącego się podczas Mszy św. dopomogła mi do tego, czym jestem, chociaż z opisu mego dzieciństwa mogłem również zejść na inną drogę,
— dlatego wierzę, że Bóg okazał mi łaskę i dziękuję Mu, że mogę religijnie wychować dzieci, że jestem szczęśliwy w małżeństwie. Modlę się, aby Bóg okazał łaskę innym tak mocno jej potrzebującym szczególnie w obecnym czasie.

A teraz jeszcze, Panie Redaktorze, kilka słów spostrzeżenia o innych. Można zauważyć, że ludzie coraz bardziej się materializują. Często słyszy się, że ten się buduje, inny kupuje motor czy samochód lub stara się o wczasy zagraniczne. Lokale, towarzystwo, różne imprezy lub tysiące innych rzeczy daje nam dzisiejszy świat większości ludziom. Dla większości ludzi stają się one celem życia.

Dużo jest takich, którzy twierdzą, że dla Boga będzie czas na starość. Daje się zauważyć, że kościoły w niedzielę są pełne, to jednak można stwierdzić, że udział wiernych we Mszy św. jest bardzo mały. W każdą ostatnią i pierwszą niedzielę miesiąca odprawiają się Msze św. z konferencjami w kaplicy przy bydgoskiej Farze, przeznaczone dla miejscowej inteligencji. Na prawie ćwierć milionowe miasto przychodzi około 150 osób, w tym prawie 90% kobiet. Również w kościele Rektorskim w każdy wtorek i czwartek o godz. 19-tej odbywają się ciekawe konferencje. Obecnych jest najwyżej do 100 osób w tym również około 90% kobiet w większości staruszki. Dodam jeszcze, że konferencje te są ogłoszone we wszystkich parafiach miasta. Niepokoi mnie tak mała ilość uczestniczącej inteligencji we wspomnianych mszach i konferencjach a jeszcze bardziej znikoma ilość mężczyzn nie mówiąc zupełnie o młodzieży.

N. N. (Warszawa)
lat 36
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 10

Dlaczego wierzę? Trudna i skomplikowana odpowiedź na to pytanie. Postaram się podać podstawy w sposób jakby „chronologiczny".

1. Wychowanie religijne

Wiarę przekazali mi rodzice, głównie matka. W domu panował duch chrześcijański bez dewocji. Postępowanie rodziców było zgodne z wyznawanymi zasadami, nie miałam okazji do przeżywania konfliktów.

Wychowanie w szkole również było zgodne z tym, co dawał dom. Miałam to szczęście, że katechetka w szkole powszechnej, ksiądz w gimnazjum prowadzili lekcje religii bardzo inteligentnie. W liceum, na kompletach (okres okupacji) miałam prefekta o niesłychanie wysokich wartościach moralnych i umysłowych. Poruszaliśmy różne nieraz bardzo trudne problemy z etyki i dogmatyki. W małym gronie dyskusje były ożywione, interesujące i umacniały podstawy mojej wiary.

2. Potrzeba wewnętrzna

Wiara daje równowagę ducha na codzień i siłę w ciężkich chwilach. Widmo śmierci stoi przed każdym z nas. Rzadko o tym myślimy. Podświadomie mamy wrażenie, że tylko inni umierają, nas to minie.

A przecież każdy człowiek otrzymuje wyrok śmierci od samego poczęcia. Chyba najpewniejszą rzeczą na świecie jest to, że umrę. Uświadomienie sobie tego bez wiary w istnienie duszy nieśmier-

telnej jest czymś tragicznym i wstrząsającym. Człowiek wzdraga się przed tą myślą.

I nie chodzi tu tylko o śmierć własną. Przecież również absolutnym pewnikiem jest śmierć osób najbliższych, ukochanych. Jeśli ten ktoś — matka, współmałżonek, dziecko, umrze wcześniej, niż ja (a to jest możliwe i logicznie prawdopodobne w 50%), jak można spokojnie znieść taką myśl? Cóż warte jest życie, które musi się skończyć, a przed końcem przynosi nieraz tyle tragedii? Po prostu bezsens. Stwórca byłby okrutny. Jesteśmy dla Niego igraszką? Zakpił Sobie? Po co to wszystko?

Wszechmoc Jego jest nieograniczona, nie musiał więc poprzestać na stworzeniu samej materii. Nie musiał, bo z Jego istoty wypływa, że niczego nie musi. Czyż serce ludzkie nie przeczuwa tego, że poza materią stworzył coś jeszcze, skoro wszystko może i żadne prawa Go nie ograniczają, bo Sam jest Dawcą wszelkich praw.

Pragnę wiecznego trwania dla siebie i bliźnich. To przekonanie daje mi wiara. Bez wiary nie wyobrażam sobie ani chwili radości w życiu.

3. Podstawy rozumowe

A) Bóg

Aby wierzyć nie muszę wyrzec się logicznego myślenia. Nie muszę wracać do dziecinnej naiwności i prymitywu ludów pierwotnych. Na istnienie Boga jako Siły poza materią, która sprawia, że właśnie materia istnieje, że ma takie a nie inne własności i możliwości godzi się wiele umysłów wielkich, genialnych.

Nauka nie może zaprzeczyć Jego istnienia. Co najwyżej nie dowodzi, ale przecież i nie obala. Jej rola i możliwości — to badanie Jego dzieł.

Prof. Kotarbiński w swoich *Elementach logiki i teorii poznania* przyznając się do światopoglądu materialistycznego podkreśla, że jest to jego osobiste przekonanie, ale to się nie da naukowo udowodnić, jak również przekonanie przeciwne. Nauka zajmuje się tylko materią w jej wszelkich formach. Ja osobiście widzę Boga w Jego dziełach. Nie można do Niego dotrzeć metodami, którymi dociera się do tychże dzieł, bo nie byłby Bogiem, tylko dziełem. Ale przecież z Jego „roboty" można logicznie wnioskować, że On jest. Wszechpotężny, Niepojęty, Niewyobrażalny. Z niczego coś nie mogło stać się przypadkiem. Gdybyśmy nawet przyjęli, że historia galaktyk się powtarza, że jedne planety powstają, inne wymierają, na tych nowych powstaje życie, na starych się kończy — to przecież zawsze nasunie się pytanie: dlaczego właśnie

tak, a nie inaczej? Skąd ten mus? Jaka przyczyna takiego właśnie biegu rzeczy? Gdybyśmy stworzyli film, ilustrujący powstanie choćby tylko naszego układu słonecznego, a więc rozpad słońca, zastyganie planet, powstanie żywej komórki a z niej rozwój roślin, zwierząt i człowieka i czas trwania filmu wynosiłby np. 2 godz., czyż nie patrzylibyśmy na to jak na coś cudownego? Skąd ta siła w materii, skąd ten pęd do rozwoju? A przecież fakt, że działo się to wszystko miliardy lat zamiast 2-ch godzin nie zmienia istoty rzeczy. Któż dał materii takie a nie inne możliwości potencjalne? Jak można sądzić, że ma je sama z siebie? Takie możliwości sobie wybrała? Chyba człowiek logicznie myślący może bez uszczerbku dla swojej postawy naukowej uznać Boga jako Przyczynę wszystkiego Wszechmocną i Niezależną, która sprawiła, że tak, a nie inaczej. To On dał ten genialny system praw lub jakieś jedno „wszechprawo", które ludzkie umysły żmudnie i powoli odkrywają i aby z niego korzystać muszą ujmować wzorami, „szufladkować". Człowiek w swych zdobyczach nauki i techniki niczego nie tworzy z niczego, po prostu uczy się brać to, co jest dane.

Była kiedyś w telewizji audycja dyskusyjna pt. *Stworzenie czy ewolucja?* — oczywiście udowodniono, że ewolucja. Ale to przecież żaden argument przeciw stworzeniu. Ewolucja stworzenia nie wyklucza. Ci, którzy wierzą w stworzenie, nie muszą rezygnować z przeświadczenia o ewolucji — Bóg stworzył przecież ewolucję. Operując ludzkimi pojęciami możemy powiedzieć, że „wymyślił" taką właśnie możliwość i taką wybrał, choć nie musiał.

B) Dusza nieśmiertelna

Opierając swą wiarę na uznaniu Boga, Istoty wszechmocnej, pozamaterialnej, przyjmuję, że jest niezależny, niczego nie musi, wszystko może. Mógł więc prócz świata materialnego stworzyć także rzeczywistość niematerialną. Wiara w istnienie duszy jest więc logiczną możliwością.

Patrząc na ludzi świętych i ludzi podłych, na bohaterów i katów obozów koncentracyjnych, nie można nie przeczuć Jego sprawiedliwości. Skoro tak genialnie stworzył system praw wszechświata, nie może być mniej doskonały w systemie praw moralnych. Musi istnieć coś, co nieudolnie nazywamy niebem, piekłem i czyśćcem. Nie jesteśmy w stanie tego inaczej określić i z pewnością nasze wszelkie wyobrażenia na ten temat są niesłychanie naiwne i upraszczające. A przecież to musi istnieć w jakiś sposób niepojęty, niewyobrażalny tak, jak niewyobrażalny jest Bóg. Do mnie osobiście przemawia następująca analogia: postawa moralna człowieka jest jakby negatywem fotograficznym, który po śmierci przekształci się automatycznie w pozytyw. A stopień czułości jest

najwyższy — sprawiedliwość będzie więc najdoskonalsza. Oczywiście — to znów jest nieudolny obraz dla wyobrażenia czegoś, co nie jest poznawalne zmysłami i nie da się określić ludzkim językiem.

Lecz skoro przyjmuję istnienie Boga, mogę zaufać jego sprawiedliwości. Niebo to z pewnością jakieś (niewyobrażalne, lecz przeczuwane) zjednoczenie tego, co w człowieku niematerialne i wieczne z Niematerialnym i Wiecznym.

C) Objawienie

Skoro Bóg jest wszechmocny, ma wszelkie możliwości. A więc ma możliwość przemówienia do ludzi. Wierzę, że tę możliwość wybrał i stał się człowiekiem, aby do ludzi po ludzku przemówić. To nie absurd, to jedna z nieograniczonych możliwości Boga.

Wszyscy na świecie godzą się, że etyka głoszona przez Chrystusa jest etyką doskonałą. Wszyscy zgadzają się, że Chrystus jest postacią historyczną. Konsekwentnie realizował zasady przez Siebie głoszone. Nie kłamał. Przyszedł, aby dać świadectwo prawdzie. Sam o Sobie powiedział: Ja i Ojciec jedno jesteśmy. Dlaczego mu nie wierzyć? Poświadczył Swoje słowa cudami, zmartwychwstaniem. Poszli za nim ludzie prości, niewykształceni. Jak to się stało, że potrafili tysiące ludzi uzyskać dla Niego? Czy naprawdę własną umiejętnością? Pociągali tłumy wbrew wszelkim bezpośrednim korzyściom. Sprawdziły się słowa Chrystusa: Odtąd już ludzi łowić będziesz.

Przyjmuję religię Chrystusową, ponieważ Mu ufam. Korzystam ze skarbów, które pozostawił w rękach Swoich następców, bo to mi daje siłę do pracy nad sobą i równowagę ducha. Nie ma takiej sytuacji życiowej, w której mogłabym się załamać, jeśli będę miała wiarę.

Dlaczego inni odchodzą?

Przyczyn jest na pewno bardzo wiele. To sprawy bardzo indywidualne. Chciałabym poruszyć te przyczyny, które tkwią w samym Kościele, jako organizacji zewnętrznej.

Teraz gdy wysuwa się hasło szerzenia światopoglądu materialistycznego, jako jedynie naukowego, teraz właśnie księża powinni zauważać konkretne argumenty, które się wysuwa przeciw religii i odpowiednio na nie reagować.

A tymczasem — co słyszymy z ambony? — że trzeba mówić pacierz, chodzić do kościoła i posyłać dzieci na religię — po prostu najczęściej tylko to. Kiedyś słuchałam, jak przez 20 minut grzmił ksiądz tych, którzy idą na plażę zamiast na Mszę św.

Nie wiem, w jakim celu to mówił. Przecież oni tego nie słyszeli, bo byli na plaży. Kiedyś narzekał proboszcz jednej z warszawskich parafii, że coraz mniej ludzi w kościele..„Ale cóż — mówi — trudno, to plewy odpadły, jak przez sito, a ziarno dobre zostało". Czy naprawdę plewy? Czy wszyscy, którzy przestają bywać na Mszy św. są skazani na potępienie? A jeśli przyczyną jest utrata wiary niezupełnie zawiniona, jeśli nie mają świadomości grzechu? Może właśnie niejeden z nich jest bardziej wartościowy pod względem etycznym, bardziej zdolny dla poświęceń dla bliźnich, niż ten, kto regularnie bywa na Mszy św. a w życiu sieje zgorszenie? A jeśli rzeczywiście plewy — czy nie należy szukać zagubionych owiec?

Dlaczego kazania są w znacznej większości na poziomie I-szej kl. szkoły podstawowej? Kiedyś ksiądz (w dużym, warszawskim kościele) rozpatrywał wyjątek z Apokalipsy św. Jana czytając opis szatana o siedmiu głowach, nie pamiętam nawet żadnego komentarza, żadnego wyjaśnienia, że to tylko przenośnia. Po prostu chodziło o wywołanie wrażenia strasznym obrazem diabła.

Czyż księża zapominają, że dzisiaj nawet ludzie prości, niewykształceni czytają gazety, słuchają audycji radiowych i łatwo mogą dać się przekonać argumentami, które godzą w religijność naiwną. Obraz szatana z siedmioma głowami (bez odpowiedniego komentarza, wyjaśniającego znaczenie symbolu) wydaje się po prostu śmieszny.

Długie, nużące kazania, w których tylko nawołuje się do praktyk religijnych, nie tylko nie spełniają zamierzonego celu, ale nawet zrażają wielu ludzi, nie mobilizują do walki o wzmocnienie światopoglądu katolickiego. Dzisiaj na ambonie trzeba poruszać problemy. Nie można pokrywać milczeniem tysiąca pytań, które katolikowi nasuwają się prawie każdego dnia w zetknięciu z odmiennym światopoglądem filozoficznym i etycznym. Ambona to możliwość udzielania odpowiedzi na zagadnienia i zarzuty. Pamiętajmy, że ci niedzielni słuchacze kazań to w znacznej większości ludzie „z odchyleniami". Jedną z przyczyn jest niedouczenie, jeśli chodzi o naukę religii — różny bywa poziom tych lekcji. Inną przyczyną jest stałe stykanie się z mocną argumentacją przeciwników. Powstają wątpliwości. Ludzie ci jednak chodzą do kościoła. Jeszcze chodzą. Może niejeden tutaj oczekuje odpowiedzi. Czy ją znajdzie?

Podam przykładowo jeden z banalnych, stale powtarzających się zarzutów dotyczących rozbieżności między nauką a religią. Siedem dni stworzenia. Doskonały artykuł z „Tygodnika Powszechnego" — Katechizm a geologia — mógłby być tematem kazania np. dla młodzieży.

A problemy etyczne? Czy musimy potępiać niewierzących? Jak

z nimi współżyć? Czy mamy na nich patrzeć jak na przyszłych „potępieńców"? Niechże ksiądz na ambonie odważy się wysunąć prawdopodobieństwo zbawienia niewierzących — tych uczciwych, postępujących etycznie.

Bardzo nieliczni księża mówią kazania, poruszające aktualne problemy śmiało, logicznie i przekonywująco. Takie kazania wzmacniają wiarę, „prostują ścieżki". Ale niestety to tylko wyjątki. Czyż nie lepiej byłoby, gdyby większość nabożeństw odbywała się w ogóle bez kazań? Nie odpychajmy ludzi od Kościoła. A zdarza się, że ambona właśnie odpycha (znam konkretne wypadki). Można oczywiście powiedzieć, że odpadają tylko ludzie małej wiary. Ale czyż nie obowiązkiem Kościoła jest trafiać właśnie do tych małej wiary? — Czyż zagubionych owiec tylko w Afryce trzeba szukać? Jest ich pełno, nawet w kościele. Piękna akcja misji, prowadzona wśród pogan, chyba powinna być także aktualna wśród chrześcijan — chrześcijan — którzy odeszli, lub którzy wątpią. Ambona może wiele zdziałać. Prosimy, aby księża widzieli problemy, zauważali argumenty i na nie odpowiadali — w duchu Chrystusowym, ale jednocześnie życiowo i współcześnie, aby kazanie nie było „drętwą mową".

Mnie osobiście „Tygodnik Powszechny" zastępuje kazania, wycinam i zbieram artykuły problemowe treści ideologicznej i społeczno-etycznej. Ożywiam wiarę, która nieraz „drzemie". Ale czy wiele osób ma tego rodzaju pasję? A jeśli nie, czy łatwo wiarę utrzymać? Oczywiście, że czynnikiem decydującym jest Łaska. Ale ja sądzę, że ta właśnie Łaska ogarnia także tych, którzy bez własnej winy wątpią, czy odeszli, a mimo to postępują po chrześcijańsku. Współczuję im, ale i podziwiam — potrafią być bohaterami bez wizji nagrody. Czy nie mają prawa do zbawienia? Może większe?

G. W. (małe miasteczko)
lat 36
wykształcenie średnie
pochodzenie robotnicze
Ankieta nr 90

Jestem stałą czytelniczką „Tygodnika Powszechnego" i muszę przyznać, że z wielkim zainteresowaniem czytam wszystkie artykuły dotyczące spraw wiary katolickiej. Ogłoszenie ankiety: Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę... odczułam tak, jakby ktoś dotknął najczulszej struny w mym sercu. Postanowiłam napisać, gdyż moja droga do odkrycia prawdziwej wiary była bardzo trudna. Jaką bolesną samotnością okupiłam jej poznanie. Dlaczego wierzę? Powinnam może od tego pytania zacząć swą opowieść, lecz w mym życiu wyłania się początkowo pytanie trzecie: dlaczego odchodzę?

Postaram się w skrócie opisać najważniejszy okres mego życia t. zn. małżeństwa. Wyszłam za mąż mając 21 lat. Nie byłam już dzieckiem i niby w pełni zdawałam sobie sprawę ze znaczenia Sakramentu małżeństwa. Jak wiele innych dziewcząt marzyłam o tym, by mieć dobrego i kochającego męża, mieć dzieci, założyć dom rodzinny, stać się wartościową jednostką społeczeństwa. I tak sie stało... Miałam szczęście pokochać wartościowego człowieka, który okazał się dobrym mężem, ojcem naszych trojga dzieci. Nic nie mąciło na pozór naszego pożycia małżeńskiego. Troska o dom, o dzieci, o pracę zawodową, wypełniała nam wszystkie dni spędzone razem w ciągu 11 lat. — Nasze zainteresowania obracały się wciąż koło spraw powszedniego życia. Gdybym mogła wrócić się wstecz o te kilka lat — zadałabym sobie właśnie pytanie... Dlaczego odchodzę? Dlaczego odchodzę od Boga? Dlaczego Bóg w naszym życiu tak mało miał przeznaczonego miejsca? Zamknęliśmy nieświadomie drzwi swego domu Temu Ojcu, który w swej dobroci pobłogosławił nas ręką kapłana na tę wspólną drogę, jaką jest właśnie małżeństwo. Żyliśmy jak w letargu, zamknięci w kręgu spraw doczesnych. Niedzielny wypoczynek tzn. możliwość dłuższego pospania sobie rano — był ważniejszy niż pójście na Mszę św. Brak czasu, lub przemęczenie, był dla mojego sumienia wystarczającą wymówką. Spowiadać nie było się z czego, bo przecież nie widziałam ciężkiego grzechu u siebie ani u swych najbliższych. Jedynie dzieci przyzwyczajałam i wychowywałam w wierze katolickiej, gdyż taką wiarę otrzymałam z domu rodzicielskiego.

A przecież jako kobieta, matka i żona, powinnam pilnować i strzec swych domowników, by oddawali co należne Bogu. — Zniszczyłam skarb, jaki przedstawia rodzina — nie dopilnowałam, by ognisko domowe płonęło i jaśniało, jak Bóg nakazuje. — Dlaczego odchodziłam? Było to nieświadome odejście od Boga i Jego przykazań...

W takim nieświadomym odejściu żyje bardzo dużo rodzin katolickich. Nie wątpią niby w istnienie Boga, gdyż ktoś musiał przecież stworzyć ten piękny świat i ludzi żywych i rozumnych. Ktoś przecież musi kierować tą wielką maszyną, jaką właśnie jest nasza ziemia... Nie wątpią, że Ojcem naszym jest Stwórca niepojęty i niezbadany, nawet w obecnym okresie wielkich osiągnięć nauki. — Zasady wiary katolickiej, wpojone w dziecinnych latach przez rodziców, pozostają w pamięci i nawet w praktyce — lecz w rodzaju odrętwienia i bierności. Nie wątpią — nie odchodzą — i wierzą — a jednak to wszystko mało. Trzeba w te sprawy się wczuć. Trzeba ukochać miłością wielką to, co Boskie — to, co niepojęte a bliskie zarazem. Trzeba pa-

miętać, że życie zawdzięczamy Bogu — i całe ono do Niego należy...

Tak było ze mną. Nie wątpiłam, lecz ciągle odchodziłam od Boga. — A teraz dlaczego wierzę? Dlaczego wierzę tak mocno, że odważyłam się publicznie przyznać do stopniowego odejścia? Mąż mój zachorował nagle — umarł na zawał serca. Był to przełomowy dzień w moim życiu. Jak zaznaczyłam na początku, żyliśmy zgodnie i w ciągu 11 lat wspólnego pożycia charaktery nasze przystosowały się do siebie. — Śmiało mogę powiedzieć, że rozumieliśmy się bez słów. Właśnie bez słów mój mąż w chwili konania swego, wskazał mi właściwą drogę w życiu. Wiem, że mnie kochał — i w ostatniej chwili swojej chciał wskazać na to, co może dać mi szczęście i wytrwanie. Wskazał mi Chrystusa na krzyżu. — Kiedy tracił przytomność, by nie odzyskać jej już nigdy, siedziałam przy nim na łóżku szpitalnym. — W pewnej chwili, ponieważ choroba nie pozwoliła Mu na wydobycie głosu, oczyma zaczął wodzić na przemian, to na Krzyż wiszący nad łóżkiem, to na mnie, tak że mogłam się zorientować, o co mu chodzi. — Co przeżyłam w tej chwili, trudno opisać, to odejście nagłe ukochanego człowieka, może zrozumieć tylko ten, kto przeżył to samo — a śmierć jest faktem, z którym spotykają się przecież ludzie na całym świecie jednakowo. — Ludzką rzeczą i niepojętą... Zrozumiałam, co chciał mi powiedzieć. Uklękłam przy łóżku i zaczęłam się modlić. Czułam podświadomie, jaka modlitwa potrzebna jest memu ukochanemu przyjacielowi. Powtarzałam wciąż jedno i to samo: „Boże, przyjmij duszę Jego". To było chwilą przełomową. — Zostawszy na świecie sama z dziećmi, zaczęłam się nad tym wszystkim zastanawiać — analizowałam całe swoje życie — tysiące razy.

Jak dużo czasu miałam teraz, by móc rozważyć sprawy wiary dokładnie. — Modliłam się i doznawałam łask. Dlatego wierzę i wiara moje jest mocna. Przepełnia tę wiarę miłość do Boga i ufność w Jego miłosierdzie. —

Dobiega trzy lata od chwili śmierci mego męża, a ja na każdym kroku życia codziennego utwierdzam się w tej wierze. — Faktem jest niezaprzeczalnym, że doznaję łask od Boga — takich łask prawie widocznych, niepojętych, które mnie nieraz wybawiają z codziennych kłopotów życia powszedniego. Kłopotów natury materialnej czy wychowawczej. —

Dlatego wierzę. Dlatego to piszę szczerze i otwarcie, nie tając swego nazwiska i miejsca zamieszkania, gdyż to, co przeżyłam, jest szczerą prawdą. — Wierzę, że Bóg istnieje i czuwa nad nami. — Wierzę i mogę udowodnić tyloma przykładami ze swego życia.

Jo-La (Jelenia Góra)
lat 35
wykształcenie średnie
Ankieta nr 201

Odpowiedź na ogłoszoną przez Wasz Tygodnik ankietę „dlaczego wierzę" po dokładniejszym wglądzie w istotę zagadnienia, okazała się o wiele bardziej złożona, niż sądziłem. Na to, że obecnie wierzę, złożyło się wiele czynników; wychowanie w rodzinie katolickiej „pozornie", nie na wiele mi się przydało, musiałem niejako na „własną rękę" szukać, badać, porównywać, wątpić, odchodzić i wreszcie wrócić.

Z pośród innych, wybrałem jako odpowiednią dla siebie, drogę życia religijnego.

Jeśli widziałem w jakiejś religii słabe odblaski prawdy, to w Kościele Katolickim pojawiła mi się ona w całej pełni. W Kościele dojrzałem niejako dwa czynniki, jeden ludzki, jaki zwykle się tylko widzi, i drugi czynnik boski, będący duszą i mocą Kościoła. Osobiście rad oglądam Kościół przez ten drugi czynnik, niejako z pominięciem pierwszego.

Kościół Katolicki bardzo sobie cenię dlatego, że posiada te charakterystyczne cechy, jakich nie posiada żadna inna religia, są nimi: uniwersalizm, jedność, stałość, moc duchowa, zdolność wnikania we wszystkie dziedziny życia ludzkiego, jako czynnik twórczy, nadający dziełom ludzkim sens i wartość. Wreszcie widzę Kościół jako pochodnię oświecającą to mroczne życie ludzkie od kolebki aż do grobu.

Czym dla człowieka myślącego jest sens życia, tylko ten zrozumie, kto długo go szukał i znalazł. Przekonałem się, że tylko w Kościele, każda indywidualna jednostka może znaleźć swe miejsce i całkowicie się zmieścić.

Wszelkie błędy w rozumowaniu odnośnie spraw religii, w tym właśnie mają swe źródło, że mało zwraca się uwagi na to, co w Kościele jest istotne, a nie przypadłościowe.

Istotą Kościoła jest, mym zdaniem, Duch Boży, ożywiający tę społeczność ludzką i prowadzący ją ku celom nadprzyrodzonym. Po długich rozważaniach doszedłem do wniosku, że tylko religia może dać ludzkości receptę na osiągnięcie szczęścia prawdziwego i trwałego.

W tym ujęciu, snując dalej swe refleksje trzeba by podkreślić i to, że tylko w Kościele ortodoksyjnie pojętym, można liczyć na poparcie moralne, bo cóż kogo obchodzi mój osobisty los, moje anonimowe życie, co kogo obchodzi, czy zgadzam się, czy też protestuję, wobec istniejącego w świecie wyzysku i krzywdy ludzkiej.

Taką jest moja wiara i dlatego wierzę.

D. A.
lat 35
wykształcenie średnie
Ankieta nr 478

Dlaczego wierzę? Pytanie bardzo osobiste, które każe się zastanowić, by odpowiedzieć szczerze, głęboko wewnętrznie. Tu trzeba postawić siebie w Prawdzie.

Rodzina moja jest tradycyjnie wierząca, praktykująca, tak już było od pra-pradziadów. Sama gdzieś do 20 lat życia nie zastanawiałam się zbyt mocno, po co Kościół, dlaczego właściwie praktykuję, przyjmuję Sakramenta Święte — dlaczego wierzę w Boga?

Czy dlatego, że tak uczyli rodzice, księża? Nie. Wtedy już doszłam do wniosku, że moja wiara wypływa z innych źródeł. Poczułam głód wewnętrzny szukania wiedzy o Bogu, szukania dróg, które mi pomogą zbliżyć i pozwolą poznać lepiej Boga. A że wstydziłam się pytać i jakoś ogromnie chciałam sama dojść, nie chciałam mieć świadków wtedy, kiedy miał przyjść moment mojego z Bogiem bliższego spotkania, w co mocno wierzyłam, że się musi stać, zaczęłam czytać religijne książki. Nie zawsze miałam odwagę prosić o wypożyczenie, dlatego kupowałam. Dzisiaj wydaje mi się to strasznie śmieszne, ale oczywiście tak było. Kilka lat później słuchałam wykładów na kursach katechetycznych, co przyczyniło się do głębszego poznania Boga. Wiara moja nie była czymś tradycyjnym, ale rzeczywiście wtedy poznałam, że Bóg — wiara to zasadnicza podstawa w moim życiu. Gdyby było inaczej, to jaki sens miałoby męczenie się i zabieganie koło tylu spraw.

Stworzenie świata, człowieka, ta ogromna miłość Boga ku ludziom przez posłanie Syna swojego w osobie ludzkiej ale i Boskiej równocześnie, bo świadczą o tym cuda, Zmartwychwstanie samego Pana Jezusa, którego nie mogą nawet innowiercy obalić. Całe Pismo św., które właśnie jest na wszystkie czasy, z którego czerpią siłę i moc wszystkie pokolenia, uczeni i ludzie prości, pierwsze wieki i wiek dwudziesty, to jest coś niepojętego, zresztą tak bardzo mocnego, podtrzymującego wiarę, która tak czy inaczej jest tylko łaską, że nie wierzyć, odrzucić wiarę, nie mieści się w moim pojęciu. Mocniej utwierdzam się, kiedy widzę tyle książek odrzucanych jako przestarzałych, po prostu nie na wiek XX, a Pismo św. wciąż takie same. Zawsze aktualne.

Pociąga mnie przykład ludzi prawdziwie wierzących, inteligentnych z szerokim sercem, znających wiedzę wszechstronną, ludzi którzy mogliby zawierzyć sobie samym, którzy mogliby obejść się bez Boga, a ci sami są doskonałym wzorem wiary w Boga. I właśnie kiedy na nich patrzę, to wyraźnie widzę, że nie interes społeczny, materialny i jakikolwiek by się chciało

ich czyni wyznawcami Boga, ale wiara w Boga, w nieśmiertelność duszy.

Na koniec powiem, wierzę, bo modlę się o wiarę mocną, żywą, stałą a Bóg w swojej dobroci udziela mi tej łaski na wszystkie okoliczności życia i na te chwile, kiedy zdecydowanie trzeba świadczyć o mojej wewnętrznej postawie.

Z. M. (Warszawa)
lat 34
wykształcenie wyższe
pochodzenie robotnicze
Ankieta nr 626

Dlaczego wierzę — wątpię — odchodzę? Normalnie nie odpowiadam na ankiety, na ten jednak temat mam chęć napisać.

Wierzę. Dlaczego?

Pochodzę z rodziny proletariackiej (ojciec jest robotnikiem, matka była służącą). Wychowano mnie w tradycyjnej wierze, którą oboje rodzice wynieśli z domu i która była szczera, choć niekonsekwentna (np. co do niedzielnej mszy). Rodzice moi jednak przez swą moralną prawość i atmosferę miłości, jaką potrafili w domu wytworzyć, świadczyli w jakiś piękny sposób o swojej wierze i to może sprawiło, że nie miałam potem trudności typu: nie wierzę, bo w środowisku moim, wierzącym, postępowano źle.

Wiara mojego dzieciństwa była mocno formalna, niekonsekwentna, cała religijność płytka, bez głębszego przeżycia. Spełniałam wymagane praktyki religijne, bo pilnował dom i szkoł . Wstrząs nastąpił dopiero w okresie minionej wojny, kiedy zapragnęłam szczerej religijności i zaczęłam się szczerze, z własnej chęci, modlić. Miałam wtedy lat 13. Wpłynęła chyba na to groza przeżyć wojennych, a przede wszystkim impuls łaski, co jest dla mnie dziś oczywiste. Zaczęłam również, gdzieś od 14 roku życia, przystępować regularnie do sakramentów co miesiąc, mimo że nikt nie pilnował, i że raczej dziwiono się z dezaprobatą. W moim domu zbyt długich modlitw i częstego biegania do spowiedzi nie pochwalano. „Robią tak dewotki" — mówiono.

Okres mojej wczesnej młodości — to pierwsze osobiste spotkanie z Chrystusem i zafascynowanie się Jego czarem. Zewnętrzne ramy i odpowiednią atmosferę stworzyło do tego uczęszczanie przez dwa i pół roku do szkoły zakonnej, do której w czasie wojny zapisała mnie matka. Kaplica, pobożność sióstr, urządzane przez nie dla uczennic rekolekcje — na pewno to wszystko pogłębiło moją religijność, mimo że niejedno w nadawanym nam kierunku religijności oceniam dzisiaj raczej krytycznie. W pracy nad sobą (bardzo młodzieńczej) pomagała mi wysoka ideologicznie tempe-

ratura w „sodalicji mariańskiej panien", do której należałam jako uczennica. Nigdy nie miałam wówczas trudności w wierze.

Załamanie się mojej młodzieńczej wiary nastąpiło na studiach (w r. 1946 rozpoczęłam studia humanistyczne, potem filozoficzno-społeczne na Uniwersytecie Warszawskim) pod wpływem zetknięcia się z marksizmem. Wątpliwości natury filozoficznej następowały jak lawina, jedna za drugą i wywróciły cały mój dotychczasowy, uporządkowany światopogląd. Wydawało się, iż to będzie kres. Przestałam wierzyć w Boga. Druga rzecz — to bardzo silnie przeżywany wówczas przeze mnie radykalizm społeczny na tle rozbudzonej świadomości i wręcz nienawiści klasowej (pochodzę z klasy robotniczej i doznałam w swoim życiu nędzy płynącej z wyzysku pracy rodziców oraz głębokich upokorzeń z racji ich pozycji społecznej). Chrześcijaństwo wydało mi się ideologią nie pasującą do walczącego o sprawiedliwość społeczną proletariatu, a ja tak pragnęłam włączyć się w szeregi walczących. Czułam ogromną solidarność z upominającymi się o swoje prawa robotnikami. Jakże przeszkadzała mi wówczas moja wiara, która czyniła mię obcą ideologicznie mojej klasie społecznej.

Chrystus jednak wiedział, co czyni, wiążąc mnie tak ściśle ze Sobą przed paru laty. Teraz nie mogłam odejść już od Niego, mimo że intelektualnie odeszłam. Były to najstraszliwsze miesiące, kiedy próbowałam się modlić („Boże, jeżeli jesteś, bo ja nie wiem, czy jesteś"). Żaden człowiek nie mógł mi pomóc, bo też nie miałam nikogo, z kim mogłabym chociaż podyskutować. Nawet najbliższy mi ksiądz pozostał odległy, napisał mi wręcz: „ty chyba tracisz rozum". Trzeba było samej próbować uspokoić się i rozważyć, co czynić dalej.

Rzuciłam się gorączkowo najpierw do studiów filozofii, chcąc z sensem odpowiedzieć sobie na pytanie: czy Bóg istnieje? Na wykładach oficjalnych dowodzono nam, że nie, a ja szukałam dalej. Czytałam dużo, więcej chyba myślałam i odpowiedź wypadła pozytywnie. Tak. To był punkt wyjścia do odbudowy mojej wiary i do budowy całego mojego naukowego światopoglądu, (podkreślam — naukowego), bo opartego o rzetelną wiedzę i rzetelny wysiłek intelektualny. Dalszy krok: czy Chrystus jest fikcją, czy też naprawdę istniał? Tak. Potwierdzają to źródła historyczne niechrześcijańskie (chrześcijańskich nie brałam pod uwagę). Czy wobec tego Ewangelie są autentyczne? Rzuciłam się wtedy do studiów biblistycznych, które potwierdziły mi autentyczność Ewangelii. Następne pytanie: czy Chrystus jest Bogiem? Udowodniłam sobie, że tak, na podstawie Ewangelii. Wobec tego głoszona przez Niego nauka jest prawdziwa, jest boska. Ale czy

Kościół zastał naprawdę przez Niego założony i czy głosi nieskażoną Jego naukę? — oto dalszy problem. Odpowiedź wypadła również pozytywnie na podstawie moich studiów historycznych, głównie historii Kościoła. Oczywistym dowodem boskości Kościoła był (i jest zawsze) dla mnie fakt, że istnieje on prawie 2.000 lat do dzisiaj i obecnie działa w pełni swego rozkwitu, gdy tyle państw runęło, gdy po tylu ruchach reformatorskich zostało tylko wspomnienie. Wszystko mija, a Kościół trwa. Nie miałam już trudności w przyjęciu za prawdę wszystkiego, co Kościół do wierzenia podaje. Dogmaty nie sprawiały mi trudności, gdyż wszystkie potwierdził autorytet objawiającego Boga, Chrystusa, którego Boskość udowodniłam poprzednio. I tak moja wiara została odbudowana. Z wiary młodzieńczej przekształciła się w autentyczną prawdę dojrzałego człowieka, opartą o rzetelny wysiłek intelektualny i udowodnioną naukowo.

Pozostała do rozstrzygnięcia trudność, czy w imię moralnej nauki Chrystusa robotnicy mogą żądać poprawy swego bytu i walczyć o sprawiedliwość społeczną? Tak. Właśnie w imię głoszonej przez Chrystusa nauki. Właśnie on pierwszy potępia tych, co wyzyskują. A swoją solidarność z ubogimi, ciężko pracującymi potwierdził przykładem swego życia, swoim ubóstwem (urodził się w stajni) i ciężką pracą Swoich rąk jako cieśla. Właśnie w imię Jego nauki trzeba (nie tylko można) walczyć (oczywiście środkami godziwymi) o sprawiedliwość i miłość społeczną. Gdyby nie fakt, iż Chrystus urodził się i żył w skrajnym ubóstwie, byłabym dzisiaj na pewno najbardziej bojową komunistką. Mogłam jednak pozostać katoliczką. Rzuciłam się wtedy do studiów filozoficzno-społecznych (po Uniwersytecie Warszawskim na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim), aby poznać gruntownie katolicką naukę społeczną i filozofię społeczną; zdumiałam się jej bogactwem i perspektywami, jakie otwiera.

Oto moja najzupełniej indywidualna droga do wiary, motywy, dlaczego wierzę. Dziś nie mam trudności w wierze. Intelektualne dowodzenia (tak niezbędnie potrzebne dzisiaj, w okresie kultu nauki) zastąpiła oczywistość Boga, który obecność Swoją pozwala mi doświadczalnie odczuć we wnętrzu mojej duszy, gdzie jest obecny przez Łaskę. Wszakże Bóg nasz jest nie tylko Bogiem filozofów, ale jest także, a może przede wszystkim żywą Osobą, z którą nawiązuje się najbardziej bezpośredni i najbardziej osobisty kontakt przez miłość.

N. N. (Święta)
lat 34
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 442

Dlaczego wierzę? Jeżeli ktoś w ciągu tych trzydziestu czterech lat, które sobie liczę, zadałby mi pytanie: wierzysz?, to pomijając okres, w którym samo mówienie sprawiało mi nieprzezwyciężone trudności, usłyszałby: wierzę. Jednak treść kryjąca się za tą lakoniczną odpowiedzią zmieniała się, ulegając stałemu pogłębianiu, dochodząc powoli do obecnego stadium, w którym mogę pokusić się na próbę wyjaśnienia — dlaczego.

Kiedyś moja wiara ograniczała się do przestrzegania przykazań i obawy przed następstwem ich przekroczeń. To, że oficjalnie mogłem w ówczesnych różnych formularzach w rubryce „wyznanie" podawać: rzymsko-katolickie, było li tylko przypadkiem. Przypadkiem, że urodziłem się w rodzinie wierzącej, a szkoła i pozostałe otoczenie pod tym względem było prawie jednolite. Ojciec z zawodu młynarz (lecz nie właściciel), matka córka kolejarza, za jeden ze swych obowiązków uważali co niedzielę pójść do kościoła, raz w roku do spowiedzi, a swego jedynaka nauczyć pacierza. Poza tym byli tolerancyjni, jeżeli chodzi o inne wyznania. W tym okresie w deszczowe niedziele między mną a matką wywiązywał się następujący dialog:

— Mamo, idziemy do kościoła?

— Nie, taki deszcz, a do kościoła daleko.

— Dobrze, ale to nie będzie mój grzech.

Dalszą troskę o sprawy wiary powierzyli rodzice katechecie. Tymczasem w IV kl. katecheta stwierdził w czasie egzaminu, że nie odpowiadam wymogom, które stawia się przystępującym do I Komunii. Byłem wraz z matką zaskoczony i przygnębiony takim werdyktem. Uważano mnie za jednego z lepszych uczniów, do tej pory rzadko trafiały mi się trójki, a już nigdy z religii. Nie wiem, czy na to wpłynęły rzeczywiście złe odpowiedzi, czy też kłopotliwe pytanie postawione uprzednio na lekcji o stworzeniu świata: a skąd się wziął Pan Bóg? Dopiero interwencja matki i wychowawczyni klasy sprawiły, że egzamin poprawkowy uratował moją nadszarpniętą ambicję. Nie przeszkodziło to też i w tym, że później stale spowiadałem się z własnego wyboru u tego katechety. Poza tym uważam, że 10 lat życia to za mało by w pełni zrozumieć sens sakramentu pokuty, a dziś stawia się już te wymagania ośmiolatkom!

Potem była wojna. Raz wypadało na wozie, raz pod nim. Były chwile, gdy zdawało się, że nie ma już wyjścia. Modlitwa wtedy przestała być obowiązkiem, codziennym rytuałem, stała się potrzebą.

Po wojnie zacząłem kontynuować przerwaną naukę. Pogłębiał się zasób wiadomości, rozpoczynał się okres prób samodzielnych dociekań. Już w r. 1946 rozpocząłem pracę jako niekwalifikowany nauczyciel, uzupełniając swą skąpą wiedzę drogą zaocznych kursów. Wkrótce potem wprowadzono obowiązkowe tzw. samokształcenie ideologiczne. Chodziło o przyswojenie podstaw filozofii materialistycznej, o wykazanie nienaukowości idealizmu. Był to pierwszy zwarty system filzoficzny, z którym się zetknąłem w formie uporządkowanej, przystępnie podanej i to w wieku odpowiadającym takim zainteresowaniom. Urzekły mnie jego argumenty, logika, oczywistość praw dialektyki.

A co z wiarą? Wierzyłem nadal, lecz wolałem nie zagłębiać się w dociekania, by nie popaść w herezję przeciw Temu, któremu tyle zawdzięczałem i który mógł każdej chwili obalić osiągnięte wreszcie warunki spokojnego bytu. Pod adresem Kościoła zrodził się wtedy zarzut, od którego i dziś nie odstępuję, choć rozumiem trudną Jego obecną sytuację. Za mało dba o umocnienie wiary u swych wyznawców i to umocnienie nie tylko emocjonalne, lecz w oparciu o rozumowe przesłanki. Przeciętny katolik styka się w wieku szkolnym z tzw. nauką religii. Trudno jednak powiedzieć, by w tym wieku było to zgodne z jego naturalnymi zainteresowaniami, a poza tym sposób nauczania oparty o katechizm z jego średniowieczną metodą pytań i gotowych odpowiedzi, sformułowanych niezbyt zrozumiale i dla dorosłego, nie sprzyja rozumowemu pogłębieniu wiary. A po ukończeniu szkoły stykamy się już tylko najczęściej z nauką wiary w postaci kazań, nie tworzących jakiegoś systematycznego cyklu. Dotyczą one przeważnie zagadnień etyki katolickiej. Nawet najpilniejszemu słuchaczowi trudno byłoby na ich podstawie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego wierzę.

Tymczasem zostaliśmy zasypani literaturą materialistyczną, która w sposób jak najbardziej przystępny starała się odwołać do rozumu, wysuwała swe logiczne argumenty, próbowała obalić to, co opierało się jedynie na wierze. Do dyskusji z materialistami stawaliśmy bezbronni.

Tuż przed maturą dostaliśmy biologa, świeżo po studiach, który miał nam dać nowe naświetlenie nauk przyrodniczych. Był dobrym wykładowcą, odwołując się wyłącznie do obserwacji, doświadczenia, intelektu, wykazywał logikę ewolucji, celowość i wzajemne powiązania w przyrodzie. Właśnie ta celowość skłoniła mnie do zastanowienia się, gdzie tkwią jej źródła. Czy połączenie się pierwiastków w zaraniu historii życia w tak skomplikowane związki chemiczne, trudne do odtworzenia nawet w wieku cybernetyki, a które dały pierwszą żywą komórkę, było tylko przypadkiem?

Tak rozpoczął się okres nowego podejścia do wiary; przesunięcie z pozycji tradycji i czynników emocjonalnych na bardziej racjonalistyczne. Dziś jasnym dla mnie stało się, że nie zachodzi sprzeczność między nauką a religią, że współczesne osiągnięcia myśli ludzkiej nie wykluczają podstaw wiary, że człowiek wierzący nie musi być osobnikiem zacofanym, żyjącym w oderwaniu od życia; że ewolucja, że stworzenie żywej komórki w probówce uczonego czy też zetknięcie się z żywymi istotami w wszechświecie nie obala i nie obali wiary w istnienie Boga, a jedynie ją umocni. Religia nie przekreśla, lecz uzupełnia zdobycze nauki, wyjaśniając sens tak cudownie wzbudzonego życia. Czy znaczy to, że wszystko co podaje Kościół przyjmuję bezkrytycznie? Nie, nie wszystko jest dla mnie zrozumiałe, nie wszystko mogę przyjąć bez zastrzeżeń.

W tym rozumowym podejściu do spraw wiary pomogły dyskusje z kolegami w czasie studiów (matematycznych) oraz lektura, choć trudno często o nią i nie zawsze jest przystępnie pisana. Poważna też rola tu przypadła „Tygodnikowi Powszechnemu" — choć ten ostatni zarzut odnosi się i do niego.

Po skreśleniu powyższych słów spostrzegłem, że moja odpowiedź na pytanie ankiety nie jest pełna i wyczerpująca. Zasygnalizowałem tylko, że zgodnie z prawami dialektyki (?!) mój stosunek do wiary ulegał stałej ewolucji i trudno dać dziś pełną odpowiedź widząc, że proces poznawania Boga nie jest i chyba nie będzie nigdy zakończony. Słusznie Asnyk pisał:

„Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Dusza ludzka się rozprzestrzenia — i większym staje się Bóg"

N. N. (Przemyśl)
lat 34
wykształcenie wyższe
pochodzenie chłopskie
Ankieta nr 767

Dobra ankieta, dobre pytania! Bo szanują człowieka i unikają zniekształcenia prawdy w przeciwieństwie do pytań szczegółowych, które zawsze — moim zdaniem — okaleczają obraz życia. W odpowiedzi rzucę trochę nieuporządkowanych myśli — inaczej nie mogę, bo zrobienie rachunku sumienia za całe życie dotychczasowe jest niezmiernie trudne, to wymagałoby wiele lat, może gdybym stanął w tej chwili w obliczu śmierci byłoby to o wiele łatwiejsze. Porządkowanie jest trudne; wielość elementów, dobieranie treści najważniejszych, wdzieranie się i odkrywanie w pojedynkę tajemnic życia...

W odpowiedzi na pytanie, gdy staram sobie przypomnieć wszystkie doświadczenia życiowe, nasuwa mi się... pytanie: jakim byłby Chrystus, gdyby dziś się narodził? Od dzieciństwa szukałem

w kimś wzoru, wzoru nie tylko do naśladowania — tam była silna potrzeba podziwiania i świadomości istnienia czegoś najdoskonalszego. Zawsze, i dziś, jeszcze silniej, trudno mi jest wydobyć ten czysty wzór spod skutków opowiadań, nauki religii w szkole, spod kazań, spod tego obrazu, który był dla mnie malowany przez wielu, bardzo wielu ludzi.

To straszliwie butne, opętańcze i ignorancko-intelektualne tłumaczenie życia i religii przez wierzących i przez ateistów, to bezmyślne zaprzeczanie istnienia Boga przez innych ludzi zawsze mnie raziło. Z goryczą słucham i obserwuję, jak człowiek czyni się „panem świata" i myślę, jaki słaby i głupi to pan. Jaki to nerwowy, biedny i zdeptany pan, gdy musi patrzeć, jak ktoś umiera. Tak myślę dziś. Ludzie takie myśli nazywają pesymistycznymi. Ja tak ich nie nazywam. One są takie, jakie są, bez żadnych przymiotników. Droga do tych myśli była długa i nie potrafiłbym jej w sposób poprawny i pożyteczny opisać.

Sądzę, że w s z y s t k o to, co człowiek mówi — jeśli mówi szczerze, posiada największą wartość. Dlatego więcej mogłem się nauczyć z książki *Moi rodzice*, niż ze wszystkich dotąd przeczytanych dzieł zwanych naukowymi. I choć przez selekcję materiału wydawcy okroili prawdę — te strony, które dali do przeczytania, cenię sobie wysoko. Czekam, zagubiony w naszej rzeczywistości, również i na wypowiedzi tej ankiety, w której sam też chcę uczestniczyć.

Chcę odczuć i poznać życie i to, co w nim tkwi, chcę też poznać Boga przez te wypowiedzi — czuję niechęć do tłumaczenia, do komentarzy, do interpretacji, systematyki, do opracowań naukowych.

Pióro „obiektywnych" niszczy człowieka, niszczy humanizm! To stwierdzenie budzi zapewne u czytającego sprzeciw, ten sprzeciw zmusza mnie do usprawiedliwienia się: boli mnie to, że pod „uczonym piśmiennictwem" (to już niezliczone miliony ton zapisanego papieru próbuje dziś uporządkować technik-organizator od ludzkich myśli) człowiek dzisiejszy jest tak nieszczęśliwy.

I w tej atmosferze pojawia się z premedytacją zadane pytanie, dlaczego wierzę? Nie sądzę, aby świadomość przedstawionych okoliczności nie zaważyła na odpowiedzi.

Gdybym miał dać odpowiedź w jednym zdaniu — to byłaby to odpowiedź człowieka, który znajduje się w wyjątkowo łatwej sytuacji; po prostu, używając „świeckiego języka", — wierzę dlatego, że doznałem pewnego przeżycia. W czasie wojny kilkakrotnie mierzono do mnie z palnej broni, i ilekroć wymówiłem prośbę: „Matko Nieustającej Pomocy módl się za nami", tylekroć złowrogi czarny otwór broni maszynowej pochylał się ku ziemi. To wy-

starczyło, żeby dziś dać krótką twierdzącą odpowiedź na postawione pytanie. — W momencie owego przeżycia miałem kilkanaście lat, od tego czasu upłynęło 20 lat, z wiejskiego chłopca wyrosłem na pracownika naukowego. Przebyta droga była wyjątkowo trudna i taką pozostała do dziś. I może dlatego, że była tak trudna, zawsze starałem się dochodzić do korzeni życia i zawsze badać sens życia — czyniłem to na miarę swoich możliwości. W tych usiłowaniach w ostateczności zawsze natrafiałem na pojęcie Boga, ale w tym miejscu wątpliwości i pytania traciły swoją ostrość — pomagało mi właśnie owo przeżycie. Zawsze zdawałem sobie z tego sprawę, choć były momenty, że pewność istnienia Boga tkwiła w mej podświadomości. To, co napisałem dotąd, to jest dopiero pół odpowiedzi — jest to ta łatwiejsza połowa. Bardzo trudno jest natomiast odpowiedzieć na to pytanie w odniesieniu do powrotów po zwątpieniu.

Trzeba by teraz dać tę drugą połowę odpowiedzi oraz odpowiedź na pytanie, dlaczego wątpiłem (w czasie przeszłym, bo w tej chwili nie wątpię).

Dlaczego wątpiłem? Odpowiedź na to pytanie wypadłaby różnie w każdym okresie, w którym zwątpienie przeżywałem — i byłyby to odpowiedzi szczegółowe i jakieś pośrednie („etapowe") w stosunku do tej dzisiejszej odpowiedzi, która jest już niezależna od tego czy innego momentu życia (tu nasuwa mi się taka uwaga, że odpowiedź na postawione pytania bardzo zależy od tego, w jakim momencie życia zastało nas pytanie).

Chyba u samego podłoża zwątpień leżały dwie przyczyny: nieudolność tych, którzy mi prawdę o Bogu przekazywali, i nieudolność moja w szukaniu i przyjmowaniu tej prawdy. Stosunkowo rzadko, zwłaszcza w ostatnich czasach, spotkałem ludzi, którzy by dawali „świadectwo prawdy", przeważnie zawsze spotykałem ludzi o zacięciu dydaktycznym aż po różne odcienie gwałtu i szowinizmu włącznie. Tych ludzi dzieliłem na dwie kategorie — na tych, którzy pouczali, bo mieli coś od siebie do powiedzenia (mieli coś własnego, co w moich oczach dawało im tytuł do mówienia) i takich, co pouczali bezmyślnie i bez własnego głębokiego przekonania — takich, którzy nie wiele mieli do powiedzenia, choć dużo chcieli powiedzieć i dużo mówili. Byli „przekaźnikami" prawdy z urzędu — dziś ich mogę nazwać mówcami o cechach taśmy magnetofonowej.

Oczywiście jest to skrót myślowy, za tym kryje się dużo treści. Oburzałem się, gdy sprawy ludzkie trudne, skomplikowane, tragiczne, głębokie, były dla nich proste i łatwo o nich mówili. Ogólnikowość, powierzchowność tych kazań drażniła mnie i buntowałem się. Dręczyła mnie myśl, dlaczego unika się tzw. drażliwych

tematów (dziś już troszeczkę się zmieniło — ale tylko troszeczkę), dlaczego zakazuje się czytania wszystkich książek, które „mogą zgorszyć". Krótko można tak powiedzieć: chciałem czasem Boga szukać, tymczasem spotykałem się z gotową odpowiedzią: „Bóg jest"! Wreszcie drażniła mnie forma kazań, ich przeraźliwie prymitywna postać. Później spokorniałem; sądzę że pod wpływem studiów doszedłem do wniosku, że nawet z najbardziej nudnego i prymitywnego kazania można się czegoś nauczyć. Próbowałem przeżywać nie tylko to, co słyszałem, ale i samego mówcę i samo zjawisko kazania. W czasie studiów, gdy duszpasterz akademicki (zwłaszcza na rekolekcjach) próbował w kazaniach szukać Boga — ucieszyłem się i to bardzo mi odpowiadało. To była rola słowa — a dawanie świadectwa? Przyznam, że do momentu odkąd intelekt nie zaczął w moim życiu odgrywać bardzo decydującej roli, więcej dali mi rodzice niż księża. Dziś, choć widzę tyle słabych stron „sposobu wiary rodziców", nie mógłbym zaprzeczyć, że byli mi najdoskonalszym wzorem wierzących. Swoim życiem dawali świadectwo prawdzie, ich usterki i błędy są niczym wobec stron dodatnich. I choć ich wzór był wzorem *zrealizowanym* — pozostanie on dla mnie wzorem niedoścignionym, wiem już dziś, że nigdy im nie dorównam, choć byli to ludzie, którzy umieli tylko czytać i pisać, a ja mam za sobą studia wyższe i trochę lat pracy naukowej. Podejrzewałem, że łatwo było im wierzyć i żyć zgodnie z tą wiarą, bo mieli łatwiejsze życie. Jednak dla tego sądu brak mi uzasadnienia. „Cicha wiara", „wiara na własny użytek" bardzo na mnie działała. Poza rodzicami miałem przykłady takiej wiary od czasu do czasu: raz to był ksiądz, który był odważny w wypowiadaniu prawdy w trudnych warunkach, albo inny ksiądz, który dał mi raz 400 złotych, kiedy znajdowałem się w trudnych warunkach materialnych i leżałem w szpitalu, albo taki, który chodził w podartej sutannie i nigdy nie żądał zapłaty za „odprawienie" Mszy św., czasem był to nauczyciel prześladowany razem z nami za to, że jest Polakiem, nauczyciel, który nigdy nie mówił o Bogu — ale który przez swoją gorliwą wiarę dawał świadectwo prawdzie.

Moje wątpliwości nie płynęły nigdy z obserwowanych faktów czy zachowań się ludzi — płynęły one przeważnie z tego, co słyszałem i z niezgodności tego, co słyszałem, z tzw. życiem.

To jest problem moich wątpliwości od strony „moich nauczycieli" a jak on wygląda od mojej strony? — Nie szukałem Boga zawsze, czasem dlatego, że byłem leniwy, czasem dlatego, że nie miałem czasu (w tym drugim przypadku myślałem, że poznawanie Boga jest luksusem, że trzeba mieć zaspokojone wszystkie potrzeby elementarne, żeby w sposób intensywny szukać Boga) i to też było źródłem moich zwątpień, zwłaszcza w okresie dużych trud-

ności duchowych wynikających na tle nie zrozumienia świata, zjawisk faktów, w których sam uczestniczyłem lub których byłem świadkiem. Problemów szczegółowych jest tu bardzo dużo. Jeden z najistotniejszych wiąże się ze sferą biologiczną, w szczególności ze sferą seksualną. Tu powstało najwięcej kwestii nierozwiązanych u mnie do dziś, które nasuwały mi zawsze najwięcej „okazji" do zwątpień i rezygnacji z wiary. W tej też dziedzinie najmniej mogli mi pomóc inni. Dziś podejrzewam, że na nic się zda chełpienie się znajomością Boga, bez znajomości życia. Tu wiele rzeczy zostało przekręconych i do dziś wlecze się gołosłowny spór pomiędzy tym, co jest prawem biologicznym, a co „nakazem Boga". Średniowieczny pogląd, że ciało jest grzeszne, dziś jeszcze żyje a w związku z tym tyle jest tragedii ludzkiej, z którą tyle wiąże się zwątpień w Boga i tyle rezygnacji z wiary, jako „wiary nieżyciowej".

Jeszcze dziś uznaję wiele za grzech z obowiązku i ślepego posłuszeństwa a nie z przekonania, kiedyś łączyło się to z powątpiewaniem w ogóle w prawdziwość wiary, a dziś te sprawy się u mnie rozdzieliły. Dziś wierzę, że jest Bóg, że wiara ma sens, tylko że my (jako ludzie) nie rozumiemy nawet na sposób czysto ludzki Boga i nie rozumiemy jego wymagań.

Życie seksualne istnieje niezależnie od tego, czy ktoś żyje w małżeństwie, czy nie — jeśli tak twierdzę, to już nie uznaję tego za bunt przeciwko przykazaniom Boga, czuję, że jest gdzieś granica, od której w życiu seksualnym zaczyna się przestępstwo — to nie jest zgodne z „nauką kościoła", ale w nauce kościoła ludzie wiele stworzyli sami, stworzyli swoją nieudolnością i nierozumieniem życia. Biorąc sprawę szerzej: czy trzeba oddawać biologicznie życie za ideę? Tak sobie ludzie wykombinowali — wydaje mi się to nieludzkie, a tym bardziej nie może to być z nakazu czy życzenia Boga. Z życia biologicznego każdy tyle może dać, na ile go stać — zadawanie życiu gwałtu przez ideę wydaje mi się bez sensu.

Nie wątpię w Boga, wątpię natomiast w rozumienie przez ludzi Jego nakazów.

To nie jest u mnie odpowiedź skończona — jeszcze szukam i tym, że szukam, że wątpię, staram się przed Bogiem usprawiedliwić sposób, w jaki teraz żyję. Cóż mogę zrobić więcej?

Ta odpowiedź, dlaczego wątpię (zawsze w czasie przeszłym), właściwie jest odpowiedzią, dlaczego wierzę — wierzę, bo szukam, nadzieja znalezienia pełnej prawdy chyba chroni mnie przed zwątpieniem. Właściwie, to uświadomienie sobie swej słabości, swej małości pozwala mi się utrzymać na drodze wiary, przynajmniej wydaje mi się, jest to moment decydujący, jeśli chodzi o sferę intelektualną, zaś w sferze emocjonalnej (jednak emocjonalnej) działa już wcześniej wspomniane przeżycie.

Momenty drugorzędne też odgrywają jakąś rolę, jest ich wiele, wymienię dwa:

— duże ma dla mnie znaczenie, że moja wiara jest wiarą „naszych ojców", że jest wiarą tych moich najbliższych, wśród których spędziłem kawałek życia,

— chcę mieć żonę wierzącą i praktykującą — i myślę, że jeśli by już wszystko zawiodło, to jeszcze pozostanie jej wiara, dzięki której może uratować rozsądnie i możliwie godne człowieka życie.

* * *

Nie tylko sam przeżywałem u siebie „problemy wiary i zwątpień", już w szkole średniej zacząłem bawić się w obserwatora tych problemów u innych. Obserwacje te były dość pouczające i dawały mi dużo do myślenia. Działo się to dzięki temu, że szedłem wraz ze swoimi rówieśnikami w wielkiej fali od najuboższych, zacofanych środowisk, poprzez środowiska większe, aż do środowiska wielkomiejskiego, środowiska, którego bałem się od dzieciństwa, że to środowisko, jeśli kiedyś się w nim znajdę, odbierze mi dotychczasowy styl życia, spokój i sprowadzi zwątpienie, również groźbę zwątpienia w Boga. I dziwne, że ta świadomość towarzyszyła mi przez całą drogę. Obserwowałem, jak moi rówieśnicy pod wpływem zmiany środowisk i sytuacji życiowych zapominali o Bogu, i już wtedy myślałem o błędach duchowych nauczycieli, którzy pracę swą opierali tylko na „grze na uczuciach" — i już wtedy wiedziałem, że „wiara emocjonalna" jest krucha. Później, gdy znalazłem się na studiach, znów myślałem o tym samym. Miałem wtedy dużo nowych przykładów na swoje przypuszczenie. I tak powoli dorabiałem się poglądu, że nie wiara jest naiwna i dla ciemnych, lecz nauczyciele jej traktują swoją pracę w naiwny sposób.

To, co tu piszę, może wydaje się mieć zbyt dalekie związki z odpowiedzią na ankietę. Dla mnie jednak to, jak docierała do mnie prawda, ma głęboki związek z tym „dlaczego"...

Dziś jest mi dobrze z wiarą — choć czasem w przeszłości było mi z nią tak źle.

W odpowiedzi swej zrezygnowałem z dociekań filozoficznych z rejestru „za i przeciw", uczyniłem tak dlatego, że chciałem bardziej napisać to, co czuję, niż to, co myślę. Wydawało mi się, że ten rodzaj odpowiedzi będzie pełniejszy i bliższy prawdy, że będzie bardziej odpowiedni do napisania syntezy o najistotniejszej treści mojego duchowego życia. Z opisu stanów, które nazwać by można odwrotami od zwątpień, rezygnuję, bo takie opisy rozsze-

rzyłyby bardzo odpowiedź. Sądzę, że „linia mojej wiary" była dość wyraźna i nigdy tak nie było, że przestawałem wierzyć; zawsze jakiś nowy problem, czy nowa sytuacja, która była powodem wątpliwości, z czasem stawała się łatwiejsza do ogarnięcia, dawała się z czasem pogodzić z dotychczasowym myśleniem i stylem życia; wprowadzało się trochę „poprawek" do rozumienia nowego problemu i trochę „poprawek" do dawnego stylu myślenia i życia — resztę dokonywała tęsknota do powrotu do takiego stosunku do Boga, jaki już wcześniej przeżyłem.

Tak brzmi moja odpowiedź, odpowiedź mało dokładna — rejestrowanie stanów duchowych, rejestracja przeżyć, opis procesów, o które pytała ankieta nie daje się tak naprawdę przedstawić za pomocą słów. Są to już tylko refleksje, których odczytanie przez inne osoby równie nie jest łatwe.

Poszukujący prawdy o Bogu, Który jest.

„Aldona" (Karpacz)
lat 34, nauczycielka
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 159

Dlaczego wierzę? Do tego pytania dodałabym drugie — jak wierzę? Czy jestem katolikiem zaangażowanym, konsekwentnie realizującym światopogląd katolicki w życiu, czy katolikiem „nieszkodliwym", co to ani sobie, ani Bogu, ani ludziom.

Aby odpowiedzieć na pytanie „dlaczego wierzę", muszę się cofnąć do czasów studenckich. Dziś mam 34 lata i prawie 15 lat pracy zawodowej. Jestem nauczycielką, mam ukończone studia wyższe z pedagogiki i psychologii.

Wychowałam się w środowisku religijnym, ale prawdopodobnie, jak wielu „nieszkodliwych" katolików, wyznawałabym dziś indyferentyzm, gdyby nie dwie osoby, które zaważyły w moim życiu; mój brat — tragicznie zmarły przed laty i duszpasterz akademicki, którego nazwę tu: Ojciec J.

Brat mój był typem szukającym gorączkowo odpowiedzi na zasadnicze pytania i mnie tym niepokojem zaraził. Razem czytaliśmy, dyskutowali i szukali odpowiedzi. Brat to był kryształowo czysty charakter i gdy zginął, przysięgłam nad jego grobem, że nie zawiodę jego ideałów, że jego zastąpię w życiu. Miałam wtedy 20 lat i przyznam, że nie bardzo wiedziałam, w czym i jak mam go zastąpić. Dziś z perspektywy lat po ocenie moich obowiązków rodzinnych, zawodowych i realizacji wspólnych idei światopoglądowych w życiu, mogę śmiało powiedzieć, że przyrzeczenia dotrzymałam.

Z Ojcem J. spotkałam się na rekolekcjach akademickich, na które chodziłam razem z bratem. Byłam w okresie, gdy silnie wątpiłam

w ustalone tradycją prawdy i zwyczaje katolickie, gdy wątpiłam w aniołów i diabłów, jednym słowem, gdy „niebo stawało w płomieniach". W istnienie Boga nie wątpiłam właściwie nigdy, natomiast złościł mnie cukierkowaty sposób podawania prawd objawionych. Kazania nudziły mnie i były ckliwe i przesłodzone.

I właśnie wtedy zdumiał mnie i zaskoczył sposób mówienia kazań i nauk Ojca J. Odwoływał się do rozumu, do wiedzy, głoszone prawdy uzasadniał naukowo i logicznie, a jednocześnie prosto. Logiczny system trafiał mi do przekonania, był rozumowy, zmuszał do myślenia. Poznałam potem bliżej Ojca J., był przez wiele lat moim spowiednikiem. Przez swój logiczny naukowy system wiary potrafił przyciągnąć rzesze studentów, choć z początku było mu bardzo ciężko. Wychował wiele wartościowych ludzi, ale jednocześnie miał i przeciwników, którzy nie chcieli logicznie myśleć i dlatego krytykowali Ojca J. Ojciec J. był w życiu codziennym bardzo skromny, nigdy nic nie chciał dla siebie, rozsiewał dokoła siebie czar prostoty, porządku i dobroci posuniętej do maksimum. Od wielu lat straciłam z nim kontakt (czego bardzo żałuję), słyszałam, że jest chory, ale śmiem twierdzić, z pełną odpowiedzialnością za słowa, że był to i jest człowiek święty.

Odpowiedzialność za słowa i czyny — to była też jedna z cech, której nauczył mnie Ojciec.

Pamiętam jedną z jego nauk, gdy mówił o odpowiedzialności za słowa, człowiek będzie odpowiadał przed Bogiem z każdego słowa. Gdy do końca zrozumiałam sens tego zdania, ogarnęło mnie przerażenie.

Pamiętam te niezapomniane wieczory studenckie, gdy czytaliśmy i komentowali Ewangelię, gdy zaciekle dyskutowaliśmy nad dowodami na istnienie Boga. Nie było dla nas wtedy późnej pory, straconego czasu i trudu. A jednocześnie byliśmy dla siebie życzliwi, pomagali jedni drugim, pracowali nad własnym charakterem. 2—3 razy do roku były organizowane dni skupienia. Ojciec żądał od nas w tych dniach absolutnego milczenia. Pozwalało to wejrzeć w siebie. W takiej atmosferze wzajemnego wychowania i samowychowania oraz ciężkich przeżyć rodzinnych, studiów i jednocześnie ciężkiej pracy zawodowej kształtowała się moja osobowość i mój światopogląd. Starałam się dojść logicznie i rozumowo do prawd i zasad głoszonych przez Kościół.

Ale ciągle szukałam, czytałam wiele ks. Dąbrowskiego, ks. Kwiatkowskiego, i wciąż odczuwałam niepokój. Spowiedzi u Ojca J. były mi drogowskazem, wiedziałam już, że z drogi wiodącej do Boga nie zejdę, choć wiedziałam, że droga ta jest trudna i ciężka.

Ale prawdziwy przełom nastąpił później. Nie pamiętam dnia ani roku, chyba byłam na 3 czy 4-tym roku studiów. Był dzień skupie-

nia. Nauki prowadził nowo przybyły ojciec, nie nasz dawny duszpasterz Ojciec J. Mówił z trudem. Słowa były ciężkie i chropawe i nieudolne, wielu studentów się nudziło, ja chwilami też. Ojciec z trudem analizował rozmyślania św. Ignacego. I wtedy w pewnej chwili przyszło na mnie doznanie — tak doznanie, była to jasna, przeraźliwa myśl — że... *Bóg jest*. Myślę, że tak musiał czuć się Paweł z Tarsu gdy powalił go Pan.

To się nie da opowiedzieć słowami. To była przeraźliwie jasna myśl przepełniająca całą świadomość bez reszty — że — *Bóg jest*. Byłam oszołomiona, nieprzytomna, nie mogłam o niczym myśleć, rozmawiać, z trudem odpowiadałam na najprostsze pytania. Stan taki trwał 2 dni. Po 2 dniach poszłam do spowiedzi do Ojca J. Nie pamiętam już dziś, co mi wtedy powiedział, ale odeszłam od kratek z przekonaniem, że życiem swoim mam służyć Bogu.

Zdaję sobie sprawę, że to co napisałam, brzmi patetycznie, ale nie ma w tym ani słowa przesady.

Obecnie od wielu lat obracam się w środowisku „obojętnych" katolików, czyli „nieszkodliwych" lub zgoła niewierzących.

Z początku odczuwałam silnie brak możliwości wymiany myśli i dyskusji na tematy światopoglądowe. Czytałam wiele i rozmyślałam i dziś nie odczuwam już tych braków. W mojej bibliotece czołowe miejsce zajmuje Riciottiego: „Życie Jezusa Chrystusa" i „Filozofia katolicka" — ks. Kwiatkowskiego.

Staram się w codziennym życiu realizować zasady katolickiego światopoglądu, który wyznaję. Było mi nieraz bardzo ciężko, nigdy nie kryłam się ze swymi przekonaniami. Miałam okresy wzlotów i upadków, okresy zniechęceń, zwątpień, okresy, gdy słowa modlitwy były szare i wytarte, gdy poza słowami mechanicznie powtarzanego pacierza, nie mogłam wydobyć żadnego przeżycia.

Dziś osiągnęłam spokój wewnętrzny i równowagę ducha. Czy jest trwały? Nie wiem.

Kiedyś w dyskusji koleżanka zdumiona mym konsekwentnym światopoglądem zapytała: „I nigdy nie wątpiłaś?" — „Setki razy" — odpowiedziałam. Tak, nieraz wątpiłam w słuszność i celowość mych poczynań, w sens modlitwy i wiele innych rzeczy, ale w Boga nie zwątpiłam nigdy.

Przed 2 miesiącami, po raz pierwszy od kilku lat nadarzyła mi się dyskusja z 2 osobami „wątpiącymi". W ogniu dyskusji miałam możliwość skonfrontowania i sprecyzowania swoich poglądów. Oczywiście nie udało mi się nikogo przekonać, kolega zarzucał mi niekonsekwencję, że skoro wierzę, to jąk mogę logicznie i rozumowo uzasadniać wiarę itp., ale pod koniec dyskusji przyznał mi, że ludzie, którzy wierzą, są szczęśliwi.

Po przemyśleniu dyskusji, doszłam do wniosku, że moi dyskutanci „odchodzą" od wiary, bo ich światopogląd jest typowo urazowy. Zrazili się do takiego, czy innego księdza, więc przestają wierzyć. Gdy im opowiedziałam o Ojcu J., powiedzieli — „Nie każdy miał szczęście spotkać takiego księdza". Tak, to prawda.

Ja sama od lat nie słyszałam dobrego kazania i nie mam możliwości go wysłuchać. Jest wprost żenujące, jak księża często mówią kazania stylem odpowiednim dla babek z głuchych wsi, jak wiele w kazaniach cukierkowatej świętości zamiast logicznego kursu prawd wiary i ich zastosowania w życiu codziennym.

Reasumując przydługą odpowiedź na pytanie: „dlaczego wierzę" powiem:

1. Ponieważ światopogląd katolicki uważam za jedyny konsekwentnie porządkujący otaczający świat i dający wskazówki etycznego postępowania.

2. Z pojęciem wiary musi się łączyć ściśle pojęcie ofiary; kto odrzuca ofiarę, nigdy nie będzie katolikiem zaangażowanym.

3. Wiara katolicka daje odpowiedź na pytania: jak powstał świat, czy istnieje Bóg, po co my istniejemy itp. pytania.

Na zakończenie chciałam zacytować słowa Ojca J.: „Trzeba stale pilnować sensu ofiary i umieć łączyć ten sens z Bożymi planami nie tylko co do własnej doskonałości, lecz i całego świata".

A. R. J.
lat 33
Ankieta nr 2

I wierzę — i wątpię — i odchodzę. Odpowiadam na ankietę z pozycji człowieka wierzącego. Albo raczej, wyrażając się ściślej — z pozycji człowieka starającego się wierzyć; człowieka proszącego usilnie o łaskę wiary. Przecież wszystko w człowieku jest kruche. I nigdy nic nie wiadomo. Wierność sobie, wierność osobistym przekonaniom — wszystko to staje się bez Łaski wątpliwe, a niekiedy nawet podejrzane. Ograniczając się do własnego losu, można odważyć się na takie twierdzenia. A o to właśnie tu chodzi.

Dlaczego wierzę? Chyba nie tylko z racji urodzenia się wśród wierzących. Właściwie wychowanie religijne mało daje doświadczeń religijnych. Uczy raczej praktyk, ćwiczeń religijnych, stwarza atmosferę pomagającą do poddania się komuś czy czemuś. W moim wypadku wychowanie religijne nie prowadziło do nawiązania osobistego kontaktu z Nim, nie uczyło sposobów prowadzenia dialogu z Ojcem i Przyjacielem. Wszystko to dało mi życie: ludzie, różne sytuacje — nawet rzeczy.

Jestem chrześcijaninem przede wszystkim przez i dla ewangelii.

Nie potrafię wyobrazić sobie wierzącego chrześcijanina, który by nie zetknął się z Osobą przemawiającą z kart Ewangelii.

Nawrócenie moje — każdy chyba przeżył lub przeżywa jakieś nawrócenia — zawdzięczam ludziom, którzy mi ją dali, którzy żyli Ewangelią. Dzisiaj wszystko staram się sprowadzić do Chrystusa. On jest punktem wyjścia w budowaniu światopoglądu, punktem, do którego można się cofnąć w chwilach kryzysu. Nie czytam stale Ewangelii. Myślę jednak często o lapidarnych powiedzeniach Chrystusa, o Jego rozstrzygnięciach i radach. Chyba szczególnie w momentach pomyłek czy słabości. I to podtrzymuje, prowadzi, rozświetla, przynagla do dokonania wyboru.

Do wiary prowadziło mnie także — zresztą i nadal prowadzi — samo życie. Tak, jak ja je widzę, posiada ono podwójne oblicze. Z jednej strony jest ono czymś absurdalnym, prawie niedorzecznym a przez to samo i groźnym. Z drugiej zaś przesycone jest pięknem. I z jedną i z drugą stroną życia nie można się nie spotkać.

Absurdu śmierci, cierpienia, wojny, barbarzyństwa nie da się usunąć słowami. Nie pomaga tu żaden ludzki patos i heroizm bez Boga w stylu Camusa. Dlatego wybrałem Boga Ewangelii.

Śmieszą mnie dyskusje o wzniosłości czystego humanizmu. Tyle w nich nieprawdy i upartego niedostrzegania rzeczywistości. W *Micie o Syzyfie* pisał Albert Camus m. in.: *Człowiek jest celem sam dla siebie. I jest on dla siebie jedynym celem... Los nasz jest sprawą ludzi i wśród ludzi musi być uregulowany.*

Los mój ma być tylko sprawą ludzi!

Zbieg okoliczności zadecydował o tym, że poważną część edukacji szkolnej odebrałem w szkołach hitlerowskich. Zatruto mnie tam jadem nienawiści, uczono barbarzyństwa, gloryfikowano zbrodnie — a wszystko dokonywało się w imię ich humanizmu. Człowieczeństwo — po ludzku spreparowane — było tam wyłącznym celem. I jak tu wierzyć słowom Camusa, jak zaufać zmiennym kryteriom, jak kierować się w życiu mądrością budującą wszelki ład tylko na człowieku?

Człowiek... musi mieć za co żyć i za co umierać — pisał kiedyś Norwid. Podpisuję się pod jego słowami.

„Deptanie ziemi" to jednak bynajmniej nie źródło nieustannego koszmaru. Radość życia, piękno wszystkiego co mnie otacza, twórczość — na miarę moich możliwości — to również pomaga mi w wyjściu poza krąg widzialnej rzeczywistości. Piękno życia potęguje istniejący w każdym niedosyt życia. Z tym doskonale harmonizują słowa „Jam jest życie!" Nie ma tu co problematyzować, każdy jest po stronie życia. Mówi się często, że do Boga dochodzi się poprzez ludzi. Jest w tym wielka, przeżyta przeze mnie osobiście, prawda. Piękny człowiek spotkany gdzieś w życiu — to

łaska. Ilu ich było na mojej drodze? Chyba sporo. Spotkanie każdego z nich było jakby prowokacją do pytania siebie: a jak z tobą, co wybierasz, dokąd zmierzasz? Zresztą podobnie oddziaływali i inni, przeciętni czy wręcz źli. Każdy człowiek stanowi w jakiś sposób wyzwanie, porusza i zmusza do wewnętrznej konfrontacji. Nie tylko dobro, także zło w człowieku jest okazją do przemyśleń... Właśnie ono mobilizuje niekiedy duchowo, ujawnia względność haseł i zasad opartych na przesłankach czystego humanizmu. Wiadomo na przykład — o ile zdobędziemy się na bezstronność — że wyuzdanie, krzywda ludzka, bezwolność wobec popędu nie mają nic wspólnego z piękną miłością ludzką. Co jednak stanowi jej probierz? Kryterium podane przez chwiejnego we wszystkim człowieka? Nie przyjmuję tego. Nie można karykatur równać z rzeczywistością; a tak przecież się czyni. Nie poruszam zagadnienia argumentów filozoficznych przemawiających za istnieniem Boga. Nie one prowadziły mnie do wiary, chociaż przemyślenie sprawy względności istnienia było już wkroczeniem na teren filozofii.

* * *

Dlaczego wątpię? Wiara człowieka nie jest polisą ubezpieczeniową. Tutaj nie wystarczy płacenie składek. Pytam się w tej chwili: jaka jest moja wiara? Nie potrafię jej bliżej określić. Wydaje mi się wszakże, że nie jest ona wolna od zwątpień, załamań i kryzysów. I chyba tak być musi.

Powątpiewam, gdy zaczynam racjonalizować. Wnikanie samym rozumem w prawdy wiary prowadzi nieuchronnie do konfliktu. Muszę sobie wtedy powiedzieć: nie rozumiem, w tym zawiera się sprzeczność, tamto rozmija się z elementarnym doświadczeniem. Są takie chwile. By uspokoić ciekawość ewentualnych racjonalistów dodaję, że są one zawsze wynikiem jednostronnego oglądu prawdy chrześcijańskiej. Przy głębszym rozważeniu takiej czy innej tezy, przy okazaniu dobrej woli można przezwyciężyć budzące się opory. Godziny kryzysu wymagają ponownego wzbudzenia aktu wiary, przypominają sobie, że *codziennie wybierać muszę*. Nie mam kwalifikacji teologa, by rozstrzygać wszystkie sprawy w sposób poprawny. Gdy rodzi się zwątpienie cofam się po prostu do punktu wyjścia a wówczas słyszę Chrystusa pytającego mnie: „Czy wierzysz? — Wierzę Panie — odpowiadam słowami niepewnych i szukających — pomnóż wiarę moją".

Przyznać muszę, że nie mam jasności we wszystkich punktach doktryny katolickiej. Są to zresztą sprawy dyskutowane i w kołach teologów. I tak nie mogę pogodzić się z rozpowszechnionym ogólnie poglądem na los nienarodzonych a nieochrzczonych dzieci,

problem dzisiaj tak bardzo nabrzmiały aktualnością. Wierzę, przyznam się, bardziej zbawczej Woli Bożej niż tezom odsądzającym je od możliwości zobaczenia Boga. Nasuwają mi się też wątpliwości co do ciasnego pojmowania możliwości zbawienia posiadanych przez tzw. niewiernych. Nie wierzę, by Bóg komukolwiek chciał utrudnić osiągnięcie zbawienia.

Jeśli już poruszyłem ten temat, chcę dodać — może to naiwne — że nie znoszę łatwego szafowania odpustami. Jest to dla mnie sprawa dość niezrozumiała i raczej przykra. Jakoś budzą się niemiłe skojarzenia, ilekroć pod drukowanymi modlitwami dostrzegam napis: „200 dni odpustu".

Nie mam natomiast trudności w pogodzeniu katolicyzmu z naukowym oglądem świata. Sprzeczności wynikają albo z przekroczenia kompetencji przez zainteresowane strony, albo po prostu ze złej woli. Wszystko, co mamy, zostało nam w jakiś sposób dane. Każde odkrycie, każda faza postępu opiera się na zastanym przez nas tworzywie. Nauka to przecież tylko nieustanne wydobywanie, śledzenie i imitowanie elementów wszechświata. Patrząc na rozwój nauki, techniki czy cywilizacji można spokojnie powtarzać, ulubiony przez znakomitego myśliciela francuskiego, Maurycego Blondel, cytat z Summy Teologicznej św. Tomasza: *Omnia tendunt assimilari Deo*. Wszystko, rzeczywiście wszystko dąży do upodobnienia się do Boga.

Pozostaje jeszcze jedna, ogromnie przykra i nabolała sprawa. Dlaczego niektórzy duchowni wykrzywiają chrystianizm? Pytanie to, narzucone przez życie, wywołuje, mimo wszystkie tłumaczenia, wewnętrzną szarpaninę. Nie chodzi mi o grzechy i słabości. Nie jesteśmy lepsi. Rażą mnie tylko i bolą ich dyktatorskie zapędy w szafowaniu słowem, ich pewność nieuzasadniona i brak szacunku dla człowieka, zwłaszcza prostego. Dla niektórych księży wszystko jest zawsze jasne, każdy problem załatwiają „od ręki" a przy tym w powodzi słów ukrywają wulgaryzowanie Ewangelii. Coś tu nie w porządku. Są przecież i tacy, którzy boją się jakichkolwiek problemów i uciekają przed tymi, którzy ich potrzebują. Przypominają się wtedy, mimo woli, ostre nagany Nauczyciela: *Biada wam, uczeni w prawie, że posiedliście klucz mądrości, a sami nie wchodzicie i tym, którzy by wnijść chcieli, zabraniacie"*. Ludzie szukają wartości a nie zakazów, otwartego spojrzenia na wszystko a nie zacieśnienia się do „michałków", Chrystusa a nie idei księdza X. czy Y. Nikomu z dzisiejszych nie potrzeba szamaństwa. Negacja i jałowe prostesty czynią z chrześcijaństwa pustynię. A jest ono przecież oazą dostępną dla każdego, oazą wolności duchowej.

* * *

Dlaczego odchodzę? Najpierw wyjaśnienie. Nie odchodzę od wiary. Chodzi mi o inny rodzaj odejścia. Jest to pewnego rodzaju „zrzucanie skóry", porzucanie niedojrzałych przekonań i fałszywych form religijności. Jest to więc chyba proces wzrostu duchowego i dojrzewania intelektualnego. Oczywiście za cenę odwracania się od przeszłości. Nie zawsze jest ono łatwe i proste. Na ogół wyrastamy w klimacie konwencji, także religijnych. Szukanie własnego stosunku do Boga w ramach ortodoksji kościelnej nie wolne jest od wewnętrznych tarć, od konieczności przezwyciężania utartych i przyjętych powszechnie sposobów układania sobie życia. Często są one podawane czy wręcz zachwalane przez ludzi Kościoła. To zaś prowokuje do krytyki, do buntu, do odejścia — naturalnie nie od prawdy, od formy tylko, od duchowego konformizmu.

Zresztą człowiek zawsze musi odchodzić, zawsze musi żegnać się z tym, co umowne, co jest raczej przyzwyczajeniem i przejawem wygodnictwa niż twórczą współpracą z łaską i autentycznym poszukiwaniem. Nigdy nie posiędzie się tu pełni Prawdy. Jest ona zawsze przed nami. Jesteśmy przecież tylko *koczownikami na drogach wiodących do Boga.* W tym pięknym powiedzeniu Saint Exupéry'ego zbiegła się intuicja pisarza ze starą prawdą głoszoną przez katolicyzm. W jego oczach jestem *homo viator* — pielgrzymem.

N. N.
lat 32
wykształcenie wyższe
pochodzenie inteligenckie
Ankieta nr 290

Minęło już kilkanaście lat od czasu, kiedy postawiłem sobie wyraźnie to pytanie: dlaczego wierzę? Do tego czasu wierzyłem na sposób dziecięcy, z pełnym zaufaniem i nie szukając uzasadnienia. Pod wpływem rodziców uczęszczałem do Spowiedzi i Komunii św., były okresy, że codziennie. Pytanie sformułowałem, mając około 17 lat życia. Dwie były przyczyny jego postawienia. Jedną były trudności w utrzymaniu czystości, a drugą — usiłowanie ściśle logicznego zbadania sprawy. Rozpoczynając moje studia byłem pełen entuzjazmu dla nauki, szczególnie dla nauk ścisłych. Tymczasem wiara zawierała tyle paradoksalnych zdało by się punktów, których nie sposób było uzasadnić. Dlaczego kiedyś zdarzało się tyle cudów, a ja nie widziałem jeszcze żadnego? Prawda, że Przeistoczenie jest cudem każdej Mszy św., ale niesprawdzalnym. A jeśli rzeczywiście Chrystus wskrzeszał, uzdrawiał, rozmnażał chleb, chodził po wodzie itd., to jak możliwe, że jednak Go ukrzyżowali, jak możliwe, że wszyscy za Nim nie poszli? Nie wierzyłem w ludzką złą wolę ani w możliwość doktrynerstwa, zasłaniającego oczywistość. Sądziłem, że każ-

de zło ma swoje wytłumaczenie jako pewnego rodzaju dobro w umyśle źle czyniącego. Ale ukrzyżowanie Boga przez przedstawicieli narodu wybranego nie miało sensu i narzucało się, że oni wtedy musieli lepiej wiedzieć, niż my dzisiaj. Jeżeli więc rzeczywiście religia jest mitem, wytworzonym przez historię dokoła osoby Chrystusa, to po co się okłamywać i męczyć obserwowaniem przepisów wiary?

Z drugiej strony być może treść wiary jest prawdziwa i wtedy odrzucenie jej byłoby wielkim błędem. Czy wreszcie wiara, którą się podzielało tak długo, dla której stoczyło się wiele walk wewnętrznych i w której żyją moi rodzice i krewni, nie jest warta choćby tego, by zbadać dokładnie, jak się z nią ma rzeczywiście sprawa? Ponadto był wtedy czas, gdy religia była w trudnej sytuacji i jej porzucenie bez istotnego powodu byłoby po prostu zdradą. Tak, była tylko jedna możliwość, przestudiowanie podstaw naszej wiary. Decyzja narastała długo. W międzyczasie praktykowałem i walczyłem ze sobą. Bóg sam tylko wie, jak ta walka wyglądała i ile było we mnie w owym czasie wewnętrznych sprzeczności. Wziąłem się do pracy, zacząłem czytać i dyskutować. Byłem w dyskusjach stroną broniącą wiary, choć wewnętrznie byłem chwiejny. Wówczas też postawiłem sobie tezę, że wiara to po prostu wola wiary. Czytałem dużo czasopism, m. in. „Tygodnik Powszechny" i „Tygodnik Warszawski". *Historia filozofii* Tatarkiewicza była dla mnie wtedy wspaniałą książką. Uderzyła mnie logiczna jasność idealizmu poznawczego. To, że rzeczywistość go nie potwierdza, nie było dla mnie kontrargumentem; system był logiczny i zwarty i przez pewien czas byłem jego entuzjastą, choć wyłącznie zewnętrznym. W głębi ducha czułem, że jednak nie ma sensu zaprzeczać istnienia rzeczywistości i że niesprzeczność systemu nie dowodzi jeszcze jego prawdziwości. W tym też czasie poznałem marksizm — nie pociągnął mnie i nie miał mnie nigdy pociągnąć. Sytuacja była taka: wierzyłem oczywiście w dane zdrowego rozsądku, pociągał mnie w filozofii idealizm, a w polityce liberalizm, posuwający się ku anarchii. W religii dociekałem nadal prawdy, pozostając praktykującym. W tym wszystkim było mnóstwo sprzeczności, nie widziałem wtedy jednak tego.

Zacząłem chodzić na kazania do dominikanów. Nadal czytałem Tygodniki, „Znak", a także „Przegląd Powszechny". W tym samym czasie dostałem do rąk *Katolicką etykę wychowawczą* o. Woronieckiego. Stała się dla mnie dużą rewelacją. Przyszły jeszcze potem rekolekcje studenckie, prowadzone przez o. Przybylskiego, dalej *ABC tomizmu* o. Bocheńskiego, *Poglądy* o. Rostworowskiego z „Przeglądu Powszechnego". Zacząłem stwierdzać historyczność Objawienia. Czytywałem artykuły oraz prace apologetyczne i pod-

jąłem czytanie Nowego Testamentu. Przy tym z okazji czytania listów św. Pawła zetknąłem się po raz pierwszy poważniej z zagadnieniem Łaski. Studia apologetyczne skierowały mnie w kierunku innego problemu: dowodów na istnienie Boga. W tym również kierunku działał wpływ dominikanów oraz zapoczątkowana praca nad tomizmem.

Sprawa zbadania formalnej wartości dowodów na istnienie Boga ciągnęła się długo i do dziś nie jest w pełni zakończona. W tomistycznym ujęciu problemu raziło mnie dogmatyczne ujęcie kwestii, przy czym pokutowały tu we mnie pozostałości idealizmu. Istotna trudność tkwiła jednak w czymś innym: w problemie nieskończoności kroków; we wszystkich „pięciu drogach" zakłada się, że łańcuch przyczyn nie może się ciągnąć wstecz w nieskończoność. To założenie występuje szczególnie wyraźnie w samej sumie teologicznej i wydało mi się ono wyrazem typowego dla myśli greckiej lęku przed wprowadzeniem nieskończoności i do rozważań naukowych. Tylko w jednym dziele, *Istnienie Boga* ks. Różyckiego, założenie to było należycie uzasadnione przy pomocy bardzo mocnego sformułowania zasady racji dostatecznej — to jednak przesunęło tylko problem. Ułożyłem wreszcie własny dowód, będący oczywiście powtórzeniem znanej argumentacji ze szczególnym podkreśleniem tych punktów, w których miałem wątpliwości; jednak i ten dowód nie zadowolił mnie. To samo stwierdziłem o znanym logistycznym dowodzie ks. Salamuchy — co prawda teza wynika tam w ścisły logicznie sposób z założeń, ale te ostatnie wydały mi się bardzo mocne i nieoczywiste.

W tym samym czasie zacząłem wreszcie rozumieć ducha religii rzymsko-katolickiej. Jeżeli nadal nie byłem zadowolony z istniejących dowodów na istnienie Boga, to chodziło mi raczej o stronę formalną. Nabrałem już wówczas głębokiego przekonania, że Bóg naprawdę istnieje i że On to właśnie w swej drugiej Osobie przybył na świat, łącząc w Chrystusie obie natury boską i ludzką i stając się założycielem Kościoła katolickiego. Przekonanie to powstało pod wpływem lektury, dyskusji — głównie z niewierzącymi i praktyk religijnych, szczególnie Sakramentu Pokuty, spełnianych z większym zrozumieniem. Jestem jednak pewien, że zasadniczą rolę odegrała tu Łaska, prowadząca mnie na podjętej drodze. Pamiętam dobrze pewne wydarzenie, gdy będąc raz w kościele, uzyskałem przez krótki czas oczywistą pewność nie tylko istnienia Boga, ale również Jego obecności. Przy tym oczywistość rozumiem tu w sensie najbardziej dosłownym; obecność Boga była w ten sam sposób jasna, jak w tej chwili obecność biurka na którym piszę. Wtedy też uderzyła mnie myśl, że utrata wiary nie jest już dla mnie możliwa, wyjąwszy złą wolę z mej strony. Rzeczywiście, kie-

dykolwiek później przychodziła wątpliwość, przypomnienie tego faktu usuwało ją natychmiast. Co mam o tym sądzić? Uważam tę chwilę za moment szczególnej Łaski, drugiego takiego momentu już się więcej w życiu nie spodziewając ani o niego nie prosząc; prośbę taką uważałbym za nadużycie. Czy wierzyłbym bez tej chwili oczywistości? Sądzę, że tak, ale kosztowałoby to o wiele więcej walki i wstrząsów wewnętrznych. Jasnym jest, że Łaska wiary jest nam konieczna i od Boga zależy, w jakiej formie jej udzieli.

Zetknąłem się z czasem z niemal wszystkimi rodzajami ludzi, nie wierzących w nasze Credo. Byli tam agnostycy, ateiści, bramini, mahometanie, protestanci. Byli też katolicy, którzy przypuszczają, że można wierzyć częściowo. Zawsze sympatyczniejsi mi byli ci, którzy w coś naprawdę wierzą. Być może, że istnieją argumenty przeciw religii rzymsko-katolickiej, których nie znam, ale jeśli tak, to jest ich chyba niewiele. Żaden ze znanych mi argumentów nie był nie do odbicia. Wobec tego można powiedzieć, że i negatywne kryterium prawdziwości wiary zostało spełnione.

Powoli ustaliła się moja wiara w jej obecnej formie. Dlaczego wierzę? *Wierzę, bo treść wiary uważam za prawdziwą,* tj. *zgodną z rzeczywistością.* Wszystkie inne motywy są przy tym bez znaczenia. Cóż znaczą zarzuty przeciw religii, przeciwieństwa sprawiedliwości i miłosierdzia, problem istnienia zła, wielość różnych religii, jeżeli wiadomo, że prawdziwe są jej podstawy? Z drugiej strony, cóż byłyby warte wszystkie niewątpliwe zasługi religii w dziedzinach kultury, etyki, obyczajów, gdyby oparte były na kłamstwie? Utrata wiary jest dla mnie obecnie psychologiczną niemożliwością, chyba że zmieniłaby się całkowicie moja umysłowość. Co więcej, podchodzące niekiedy ukradkiem myśli „może to jednak nieprawda?" budzą we mnie nie przedsmak jakiegoś wyzwolenia od więzów, nakładanych przez religię, ale lęk przed pustką i bezsensem; utrata wiary byłaby dla mnie nie tylko klęską w oczach człowieka wierzącego, ale byłaby osobistą klęską w doczesnym tego słowa sensie.

Gdzie skarb twój, tam serce twoje — włożenie wielu wysiłków przywiązuje do ich celu. Na koniec, kocham Jego, choć ta miłość ulega tak często Pawłowemu drugiemu człowiekowi.

Nie kochamy cieni.

E. E. Z.
lat 32
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 32

Nie urodziłam się katoliczką, rodzice moi byli typowymi przedstawicielami zasymilowanej inteligencji żydowskiej. O praktykach religijnych nigdy nawet mowy nie było. Z okresu sześcioletniego pobytu w głębi Rosji podczas wojny, omawianego tematu dotyczy przede wszystkim jedno wspomnienie: dostałam (od znajomej) jeden z modlitewników przysłanych wtedy, w roku chyba 1941, z Anglii. W nim znalazłam modlitwę, która mnie w pewnym sensie urzekła, św. Bernarda *Pomnij*. A potem był powrót w maju 1946, w pociągu, gdzie w każdym chyba wagonie odprawiano jakieś nabożeństwa majowe ze śpiewem Litanii Loretańskiej, to chyba też miało jakiś wpływ na moją decyzję.

Nie umiem zupełnie powiedzieć, kiedy we mnie zakiełkowała myśl o przyjęciu chrztu — to stało się jakoś bez mojego świadomego udziału. Faktem jest, że zarówno matka jak i ja wróciłyśmy zdecydowane na ten krok. Okazało się, że matka moja myślała o przyjęciu chrztu już od swoich młodzieńczych lat. Zbyt dużo trzeba by pisać, żeby wyjaśnić, dlaczego wcześniej nie poszła za tym głosem. A ja? Napisałam już, nie potrafię podać ani dokładniejszego określenia daty tej decyzji, ani racjonalnej motywacji. Po prostu stwierdziłam, że muszę przyjąć chrzest św. Przez koleżankę zwróciłam się do księdza. Dał mi do przeczytania i nauczenia się katechizmu, przepytał, czy znam Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę i na tym skończyło się moje przygotowanie do chrztu. A miałam wówczas już przeszło 20 lat! (To tylko jako przyczynek do problemu: ksiądz a wierny, czy wiary pragnący). Kiedy po tym przygotowaniu przyjmowałam w Wielkim Tygodniu 1947 chrzest, właściwie, dziś mogę to w pewnej mierze ocenić, nie miałam pojęcia bodaj teoretycznego ani czym jest, ani czego wymaga, a przede wszystkim, co dać może człowiekowi katolicyzm. Po mniej więcej półtora roku, w ciągu którego w życiu moim zmieniło się niewiele ponad to, że chodziłam w niedzielę i święta do kościoła i od czasu do czasu do spowiedzi, wciągnięto mnie do Sodalicji (Akademickiej). Tam właściwie po raz pierwszy usłyszałam o życiu wewnętrznym, kształtowaniu charakteru i innych podobnych sprawach. Moje praktyki religijne stały się wtedy nie tylko regularniejsze, ale zaczęły nabierać innej treści. Minęło jeszcze dwa lata a znalazłam spowiednika, który prowadził mnie przez 7 lat i któremu zawdzięczam bardzo wiele. (Niestety, przeniesiono go 3 lata temu do miejscowości bardzo odległej). Od szeregu już lat chodzę codziennie na mszę św. i przyjmuję komunię św., chodzę też oczywiście regularnie i często do spowiedzi. I na tym kończą się fakty zewnętrzne,

które wydają mi się potrzebne do zrozumienia genezy mojej wiary. Nie odpowiadają jednak, zdaję sobie z tego sprawę, nie tylko na pytanie „dlaczego wierzę", ale nawet na zdawałoby się prostsze „dlaczego uwierzyłam".

Na drugie z postawionych wyżej pytań umiem odpowiedzieć właściwie tylko jednym słowem: łaska. Łaska, która mnie najpierw pociągnęła, a następnie od blisko już 14-tu lat podtrzymuje. Mimo że wiara moja na początku nie miała żadnych, czy, ściśle mówiąc, prawie żadnych podstaw racjonalnych, nie przeżyłam ani w czasie studiów — przyrodniczych — ani później żadnego poważniejszego załamania. Wszelkie zewnętrzne niedociągnięcia i niedoskonałości organizacji Kościoła i kleru widzę doskonale, ale one mnie nie tylko od wiary absolutnie nie odwodzą, lecz zaryzykowałabym nawet twierdzenie, że jest przeciwnie. (Piszę o tym dlatego, że wielu ludzi właśnie tym zewnętrznym okolicznościom przypisuje utratę wiary). Nie pociąga mnie też w jakiś przemożny sposób piękno i okazałość czysto zewnętrzna, liturgii. Mogłabym jeszcze dłużej ciągnąć tę listę na „nie", ale nie o to przecież chodzi. A dlaczego „tak", dlaczego wierzę i z całą świadomością sprawy wiary uważam za własne i staram się prowadzić życie wierne jej zasadom?

Wprawdzie nie zdobyłam wiary w jakimś mozolnym trudzie intelektualnym, ale do dzisiaj przeczytałam już niejedną książkę, wysłuchałam, niejednego mądrego odczytu i przemyślałam niejedną sprawę. Jednak to nie rozum jest główną podstawą mojej wiary. (Nie przeczę przez to bynajmniej, że znajomość teoretycznych podstaw jest mi bardzo a bardzo przydatną). Głównym motywem mojej wiary nie jest także i uczucie — przez długi okres bardzo bolałam nad tym, że właściwie nie potrafię przeżywać prawd religijnych uczuciowo. Pozostaje czynnik trzeci — wola. Tu może najłatwiej byłoby mi powiedzieć tak, to wola sprawia, że zaliczam się do ludzi wierzących. Całkiem świadomie chcę wierzyć i być wierną Kościołowi. W takim stwierdzeniu byłoby napewno dużo prawdy, jednak cała prawda zbyt jest złożona, by w tak prostej formule dała się ująć. Tak trudno jest ją wyrazić nieudolnymi słowami, nie umiejącymi oddać adekwatnie skomplikowanej rzeczy.

Do tego „chcę" trzeba przecież koniecznie dodać „wiem". Wiem, że to, czego chcę, jest godnym tego, by być centralnym punktem ludzkiego życia — a wyżej, zgodnie z przekonaniem, napisałam że rozum nie gra u mnie głównej roli. Nie mogę też zaprzeczyć temu, że znajomość sensu i symboliki liturgii powoduje, że w jej obrzędy angażuję się także i uczuciowo, a to z kolei rzutuje i na rozum i na wolę. W sumie raz jeszcze okazuje się, że człowiek jest jednością i nie można kawałkować i rozdzielać jego spraw na poszczególne czynniki bez groźby poważnego rozminięcia się z prawdą.

Czy przytoczone wywody dają odpowiedź na postawione w tytule pytanie? Wydaje mi się, że się trochę do sedna sprawy zbliżyłam, ale wyczerpującą moja odpowiedź nie jest. Przykro mi z tego powodu, ale naprawdę nie jestem w stanie reszty, która chyba jest i najważniejsza i istotniejsza, dopowiedzieć. To są sprawy, których ja nie umiem ująć w słowa. Powiem nawet więcej — to, co napisałam, nie odpowiada w pełni temu, co napisać chciałam. Wysyłam jednak, mimo wszystko, ten tekst, ponieważ Redakcja wyraźnie prosi o możliwie dużą ilość odpowiedzi choćby niepełnych.

N. N. (Wrocław)
lat 32, lekarz
pochodzenie inteligenckie
Ankieta nr 70

Po przełamaniu licznych, istotnych trudności, postanowiłem odpisać na ankietę ogłoszoną przez Redakcję w nr 38 „Tygodnika Powszechnego". Odpisuję tylko na pierwsze pytanie, dwa pozostałe nie są dla mnie aktualne. Treść mojej wypowiedzi może być oczywiście użyta w dowolny sposób przez Redakcję.

Nie posiadam wykształcenia ani religijnego, ani filozoficznego, moja odpowiedź nie zawiera więc żadnych wypracowanych uzasadnień, zawiera tylko kilka myśli bardzo osobistego charakteru. Rodzice dali mi proste podstawy pod światopogląd religijny, lecz żadnych wiadomości z tej dziedziny. Do katechetów też nie miałem szczęścia. Wyższa uczelnia lat 40-tych przyjęła mnie oficjalnym „wojującym ateizmem".

Muszę dla zwięzłości pominąć bardzo istotny ciąg myśli i wewnętrznego przeżywania, który w indywidualnych wrażeniach wiedzie do negacji i dezorientacji do wiary. Zasadniczym argumentem dla mnie jest ład Natury. Wrażenie to pogłębiało się u mnie z latami, utrwaliło ostatecznie przy pojęciu własnych zamysłów i prac badawczych. Konieczność postawienia pytania dlaczego? po ukończonym rozpatrywaniu wyników eksperymentu i jedynie logiczna na to pytanie odpowiedź daje podstawy światopoglądu. Zdaję sobie sprawę z kierunków krytyki takiego stawiania zagadnienia, ale odpisuję w tej chwili zupełnie szczerze. Fundament pod to, że mogę się dziś zaliczyć do „wierzących", tkwi w uprawianiu nauki. Nie umiałem sobie wyobrazić rzeczywistości obserwowanej jako przypadkowego splotu okoliczności, czy wyniku zdolności rozwojowych samej materii. Dalsze zagłębianie się w zagadnienia już bezpośrednio związane z religią było tylko wynikiem tej pierwszej refleksji. Wiem, że napisanie tych kilku słów nie ma żadnego znaczenia dla losów ankiety, chodzi mi przede wszystkim o zaakcentowanie postawy.

C. Z. (Bielsko)
lat 32
inżynier rolnik
Ankieta nr 559

Dlaczego wierzę?... Kiedy pierwszy raz przeczytałam w „Tygodniku Powszechnym" o ogłoszeniu ankiety, odpowiedź na to pytanie wydawała mi się tak prosta i oczywista, że chyba mogłabym wówczas odpowiedzieć jedynie: „wierzę..., bo wierzę i jakże mogłoby być inaczej".

Później przeczytałam w dalszych numerach „Tygodnika" kilka wypowiedzi. I trochę przemyślałam to wszystko.

Sprawa Łaski... — bezwzględnie wiara głęboka, zawsze żywa, bez głębszych wątpliwości to przeogromna Łaska, którą otrzymujemy nie za nasze zasługi i za którą nie jesteśmy w stanie podziękować nawet całym życiem.

Sprawa wychowania... — pewnie że u niektórych ludzi wiara — to trochę przyzwyczajenie do pewnych praktyk i nic głębszego. Ale w życiu bywa bardzo różnie.

Wychowałam się w rodzinie rzemieślniczej. Rodzice tworzyli tak idealne małżeństwo, że dziś, patrząc na rodziny znajomych, wydaje mi się to wprost niemożliwe. A jednak tak było naprawdę. Przed wojną były w domu prawie bardzo dobre warunki materialne, ale podczas okupacji wszyscy cierpieliśmy po prostu głód. Mimo to nigdy nie słyszeliśmy rodziców narzekających, czyniących sobie wzajemnie wyrzuty, miotających przekleństwa czy też zniechęconych. Oboje czynili wszystko, aby zapewnić nam kawałek chleba na dziś i jutro, podejmowali znowu ten sam, bezowocny zresztą niejednokrotnie, wysiłek.

Obydwoje byli ludźmi głęboko wierzącymi i swoje dzieci wychowywali tak samo. Mieli głęboką ufność w Bogu i nie doznawali zawodów. Ale ostatni rok okupacji zabrał nam rodziców. W czerwcu 1944 r. w wypadku samochodowym ginie matka. Podczas ostatnich 30 godzin jej życia po wypadku bardzo gorąco modliłam się, aby Bóg nam jej nie zabrał. Nie zostałam wysłuchana.

Nie na tym koniec, za równy dokładnie miesiąc (zgodność dat) ojciec został aresztowany przez gestapo i więcej nie wrócił. Zginął w Oświęcimiu. A przecież za 18 dni po jego aresztowaniu już Lublin był wolny! I tu także nie zostałam wysłuchana. Tu praktycznie biorąc mógł nastąpić zwrot i załamanie, ale, Bogu dzięki, tak się nie stało.

Wówczas to uwierzyłam jeszcze goręcej, że jeśli Bóg tak zrządził, to przecież nie zostawi nas samymi, doda sił i nie opuści! Moja ufność nie zawiodła.

Zostało nas troje (16, 13 i 10 lat). Jako najstarsza z rodzeństwa musiałam wziąć „życie za głowę" i przyjąć na siebie obowiązki

utrzymania nas trojga. Zaczęłam od pracownicy fizycznej. Z pomocą dalszej rodziny udało mi się zapewnić braciom ukończenie szkoły podstawowej i zawodowej. Zdobyli konkretne zawody, dziś mają już własne rodziny.

Od tego czasu minęło już wiele lat. Sama zdobyłam (zaocznie) wykształcenie średnie i ukończyłam studia wyższe, nie przerywając pracy. Ciężkie to były lata...

Nie sądźcie, że i ja nigdy nie „szukałam". Interesowałam się różnymi światopoglądami, polityką, pracą społeczną. Ale nic z tych rzeczy nie zdołało mi zastąpić, ani zachwiać mojej wiary. To dzięki temu, że wierzyłam i ufałam mogłam dokonać tego wszystkiego. To wiara była dla mnie światłem w ciemnościach, to Ona dodawała mi sił w najcięższych chwilach. Dzięki wierze potrafiłam zachować w sobie ład wewnętrzny i pogodę zewnętrzną, której dotąd wielu ludzi mi zazdrości. Dzięki wierze mogłam dużo od siebie wymagać, wiele przecierpieć, wiele zrozumieć i wiele ukochać.

Bo widzicie wydaje mi się, że w tym jest sens, że w wierze katolickiej jest miejsce na MIŁOŚĆ. Miłość która pozwala nam w każdej sytuacji znaleźć sobie miejsce wśród ludzi, która nie pozwala „wyschnąć" sercu i która uczy przebaczać.

W wierze katolickiej jest również głęboki spokój, którego tak bardzo dziś brak we wszystkich dziedzinach życia. Dlatego co roku w czasie urlopu „zaopatruję się" w ten spokój uczestnicząc w rekolekcjach zamkniętych. Zapewniam Was, że nic nie dałoby mi lepszego odprężenia po ciężko i w napięciu przepracowanym roku.

Jak widzicie dlatego wierzę, wierzę bo ufam i wierzę bo kocham.

N. N. (Kraków)
lat ok. 30
lekarz
Ankieta nr 384

W i e r z ę — w ą t p i ę — o d c h o d z ę.

Najpierw kilka słów o samej ankiecie. Sam pomysł — raczej dobry. Korzystam z okazji do przeprowadzenia osobistych rekolekcji na temat: czy wierzę, w co wierzę, jak wierzę, jaka jest wiara mojego otoczenia...

Co to jednak da organizatorom? Czy można wierzyć w szczerość wypowiedzi? Czy o światopoglądzie człowieka nie mówią więcej konkretne rozwiązania stosowane w określonych sytuacjach życiowych niż słowne deklaracje, w których często, mimo woli zresztą, kłamiemy nawet wobec siebie samych? Czy materiał w ten sposób zebrany może rościć sobie pretensje do reprezentacji ideowego oblicza katolickiego społeczeństwa? Ale — to już Wasza sprawa.

Publikacja urywków wypowiedzi ma tę dobrą stronę, że czytelnik czynnie zaangażowany w rozważanie problematyki światopo-

glądowej przestaje odczuwać swą inność, samotność w środowisku obojętnie lub negatywnie do tych zagadnień ustosunkowanym. Oto są inni, którzy również pasjonują się sprawami światopoglądu, mają podobne kłopoty. A kłopotów tych jest sporo. Czy rzeczywiście jestem wierzącym? Czy znam naprawdę całość prawd mojej wiary? Czy niejednokrotnie zaznajomienie się z jakąś prawdą dotychczas niebraną pod uwagę, ba, inne ujęcie dobrze znanej prawdy nie działa na człowieka wręcz szokująco? Np. do niedawna nie znałem urzędowego stanowiska Kościoła odnośnie stosunku rozum-wiara i możliwości dojścia rozumem do poznania Boga. Mając wykształcenie o typie raczej przyrodniczym, znając olbrzymie trudności rozumu ludzkiego w ustaleniu prawd szczegółowych, niejako namacalnych, znając historię błędnych dróg, jakie odbyły poszczególne pojęcia i teorie przyrodnicze, zająłem w tej sprawie stanowisko wręcz odmienne od oficjalnego stanowiska katolickiego, ba, ukułem na własny użytek na poczekaniu całą teorię dla uzasadnienia własnego stanowiska. Z tej pozycji sprowadził mnie ktoś, aktualnie będący z katolicyzmem „na bakier". To jeden wypadek. A ile podobnych może zaistnieć? Czy więc rzeczywiście mam prawo nazywać się katolikiem, zajmując być może w wielu sprawach, bezwiednie zresztą, stanowisko niezgodne z katolickim? Przecież kiedyś za to ekskomunikowano! A cóż dopiero kiedy trzeba znaleźć kompromis między teoriami przyrodniczymi, takimi jak np. ewolucjonizm, a głoszonym przez Kościół kreacjonizmem. I jak tu dotrzeć do prawdy, kiedy stale brak czasu na studia w tym kierunku? Pozostaje zawiesić rozmyślania „na kołku" i żyć dalej mimo. A zresztą przyjęcie „jakiegoś tam Boga" w sensie *spiritus movens* materii, świata, jakiś tam deizm, panteizm, itp. to jeszcze nie katolicyzm. Tu dopiero zacznie się „polka". Grzech pierworodny i odkupienie, grzech pierworodny a wszechwiedza i dobroć Boża! Przekonania a praktyczna postawa katolika, miłosierdzie Boga a nędza człowieka, nędza czasem tak okropna w jaskrawości swej wymowy przed wrażliwymi oczyma! No, ileż jeszcze tych zestawień? Niezmiernie, niezmiernie wiele, jak na wytrzymałość nerwów przeciążonych pracą. Więc co robić? Rzucić religię, poczuć się wolnym od pęt nakładanych własnemu rozumowi, a może i moralności? Ponętne! Lecz co na to inni? Ojciec nigdy nie był zbyt religijny, a na frontach września i w offlagach zgubił resztę tego, co pod tym względem miał. Może nawet byłby zadowolony, że atmosfera w domu „wyjaśnia się". Matka, wierząca mocno ale raczej w sensie zaangażowania emocjonalnego, wpatrzona w syna jak w tęczę, nie pilnująca zresztą nigdy jego praktyk religijnych, pewnie by nawet niczego nie spostrzegła. No a inni? Koledzy z lat dziecięcych, którzy kiedyś szukali u ciebie porady, może chętniej niż u katechety?

Czy nie mają prawa wymagać dziś przynajmniej rzetelnego wysiłku w celu wytrwania na pozycji kiedyś tak zachwalanej? Kolegów rozprószył czas, więc się nie liczą, zresztą kto dziś przejmuje się takim głupstwem jak zgorszenie? (I to jakie zgorszenie, jeśli „coś" obiektywnie nie istnieje?). A więc — w porządku. Rzucam wiarę, bo ona nie ma sensu. Niejeden dziś tak żyje! Ale oto przychodzi niedziela — dzień, w którym jakoś nie można nie pójść do kościoła. I oto właśnie na Mszę św.

Dlaczego ludzie chodzą do kościoła? Żeby się spotkać ze znajomymi? Owszem. Żeby się pokazać znajomym? Czasem. Z nawyku — ot niedziela — trzeba gdzieś pójść — lub trzeba pójść do kościoła? Często. Idzie chłopak, żeby spotkać się ze swoją „dziewczynką" i — odwrotnie. Czy to gorszy? Wydaje mi się, że gdyby katecheci, rodzice, wychowawcy liczyli się z tym faktem i umieli „ustawić" go odpowiednio w perspektywie Bożej nieskończoności, mniej byłoby małżeństw niedobranych, „zawiedzionych miłości" i ekscesów seksualnych wśród młodzieży. Ale dorośli jakoś tego nie potrafią zrobić dobrze, o ile, w dobrej wierze, nie nabałaganią w tej materii dodatkowo.

Po co jednak ja chodzę do kościoła. W stanach ostrego kryzysu religijnego chodzę na zasadzie stereotypu, odruchu, utrwalonego nawyku. Liturgia ma dla mnie szczególną wymowę, być może dlatego, że ongiś tak chętnie służyłem do Mszy św. Zresztą pokazcie mi państwo tak przejmujące misteria, jak ciemna jutrznia w mrocznym kościele oo. Dominikanów w Krakowie w Wielką Środę wieczorem! Praktycznie jednak największe znaczenie przypisuję Mszy św. Denerwują mnie wszelkie „wypominki", ogłoszenia itp. utrudniające skupienie się na właściwym toku Ofiary. Nawet w okresie ostrego kryzysu jest Ona dla mnie przeżyciem jak najbardziej osobistym. Bo wprawdzie *Confiteor* człowieka, który przyszedł tylko z przyzwyczajenia, nie może być szczere, to później jednak jest *Credo*, które przypomina wyznanie wiary w Boga Stworzyciela wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych, bez względu na tok ewolucji form materii, wszystkich. Dalej jest Ofiarowanie, w którym człowiek swemu Stwórcy może ofiarować tylko własną nicość, zwątpienie, wewnętrzne rozbicie, rozterkę. Później jest Podniesienie, kiedy wraz z pokornym „Pan mój i Bóg mój" człowiek zdaje się mówić: „Alem narozrabiał w ostatnim tygodniu! Ale Ty wiesz najlepiej, że to nie zła wola..." A po Komunii wiernych, w czasie której prosił o wsparcie i pomoc, z ostatnim błogosławieństwem idzie w świat, w nowy tydzień, znów borykać się z trudnościami, buntować się, upadać i — powracać.

Zagadnienia dogmatyczne to jedna grupa trudności w życiu religijnym. A strona praktyczna? Problem dobra i zła, realizowany

na codzień, problem wolnej woli, świętości! Znów zasady, teorie, fakty!

Na piątym roku studiów medyk styka się z psychiatrią i psychopatologią, które usiłują tłumaczyć własnymi kategoriami stany ekstazy, objawienia. Więc wiele stanów psychicznych to efekt po prostu takiego lub innego stanu mózgu? Gdzie tu miejsce na wolną wolę, skoro niejedna zasługa lub niejeden grzech dają się tłumaczyć stanami psychicznymi, odnośnie których pojęcie normy jest trudne do ustalenia? I znów potrzebny jest znaczny wysiłek myślowy, aby poszczególne dylematy zostały rozwiązane i to nie bez reszty, bo stały jest ruch ludzkiej myśli badawczej i nieustające związane z tym refleksje.

Studenci medycyny to ludzie ze względu na charakter studiów skazani na stałą samoobserwację. Niech no taki nieborak dostrzeże jakieś nieprawidłowości fizyczne lub psychiczne u siebie! No — no! W dziedzinie psychopatologii spory kłopot sprawiają psychopaci. Właściwie osobnicy, których do wykroczeń „zmusza" jakaś utrwalona (wrodzona) „wada" psychiczna, niemniej karani z całą surowością prawa. A jak będzie z odpowiedzialnością psychopaty przed Bogiem? Od ostatniej spowiedzi pod pewnym względem brak jakiejkolwiek poprawy. Od szeregu poprzednich — to samo. A więc rys — zdawałoby się — psychopatyczny. A więc — zło tkwi w mojej strukturze psychicznej, a więc za to zło odpowiedzialny jest — Stwórca! Stąd dwa wnioski: albo mogę bezkarnie zaprzestać pracy nad sobą — bo ona nie ma sensu, albo Stwórca jest dręczycielem własnych stworzeń, które po to stawia w sytuacji konfliktowej z prawem moralnym, by je dręczyć a w końcu — karać. I znów bunt — i znów zamęt. Aż potrzebna jest chwila refleksji, że może umyślnie Bóg daje człowiekowi większe możliwości grzechu, aby tym mocniej wzbudzić w nim pragnienie łaski, tęsknotę za Ładem i Dobrem? Zamiast mędrkować, zabierz się do roboty, żeby to, co mogło być grzechem, stało się zasługą! Nie łatwe? Pewnie, narzekać na Pana Boga łatwiej. I znowu krok za krokiem borykanie się z samym sobą, w całkowitym odosobnieniu, w kontakcie li tylko z łaską Bożą, bo ludzką opinię tak łatwo zmylić. A dalej: moralność zawodowa lekarza (chociaż nie tylko!) to znowu cały konglomerat problemów: uczciwość wobec pracodawcy a obrona własnych interesów; powołanie a solidarność zawodowa — to tylko wycinek. Wreszcie przebogaty arsenał faktów i zjawisk z zakresu osobistego kontaktu z pacjentem. Wdarcie się w tajemnice życia i śmierci, uczestniczenie w momentach urodzin i zgonów, dotykanie własnymi, słabiutkimi rękoma ludzkich ran i brudów fizycznych i moralnych... Chyba jedynie spowiednik może przedstawić podobny materiał. Ale spowiednik od penitenta oddzielony jest kratką i po-

wagą autorytetu nieomylności Kościoła. A lekarz musi na własny moralny rozrachunek znaleźć słowa pociechy dla matki, która nad konającym dzieckiem przeklina męża-pijaka, ponoć sprawcę nieszczęścia i dla rodziców, w kwiecie wieku zostawiających na zawsze niedokończoną pracę, nieletnie potomstwo; i dla nieuleczalnie chorego, skazanego na nędzną wegetację z łaski dobrych ludzi... uf. Nie łatwo jest w takim momencie wykrztusić słowa „Bóg tak chce", aby nie zabrzmiały one jak szyderstwo... Zresztą — czy chodzi o słowa? Trzeba znaleźć konkretną postawę, która łączyłaby z cierpiącym bratem-bliźnim. Postawę — dodajmy — zgodną z przyjętym światopoglądem, co jest dodatkowo w pewnych kwestiach trudne. Chodzi mi mianowicie o regulację życia płciowego przy użyciu środków i metod odrzuconych przez Kościół (środki antykoncepcyjne, sterylizacja), co w wielu wypadkach doraźnie ułatwiłoby możliwość skutecznej interwencji w sprawach jakże trudnych bez tych środków, o czym mimo optymizmu, nie wątpią na pewno lekarze piszący w „Tygodniku Powszechnym". Czy lekarz ma prawo ingerować w jakikolwiek sposób w sprawy sumienia swoich pacjentów, ukrywać przed nimi istnienie takich czy innych rozwiązań, uznanych przez duży odłam świata lekarskiego, naturalnie nie tając jednocześnie konsekwencji biologicznych i moralnych ich stosowania? Czy ma prawo wchodzić między sumienie swego pacjenta a Boga? Czy pacjent nie jest dorosłym człowiekiem, osobiście odpowiedzialnym za siebie zarówno przed Bogiem jak i przed ludźmi? Polityka strusia nie jest wcale moralnym wyjściem z sytuacji. Postawa zaś zgodna z etyką katolicką wymaga nieraz wręcz bohaterstwa, na które stać nie każdego... (Np. „Niech pani nie przerywa tej ciąży, dziecko ja wezmę na wychowanie". Za co? za 1.500 zł miesięcznie z perspektywą założenia własnej rodziny? I — w końcu — ileż razy tak można?).

Inne zagadnienie: czy rzeczywiście ratowanie życia za wszelką cenę jest zawsze czynnością szlachetną i moralnie słuszną? Nawet wtedy, gdy staje się po prostu przewlekaniem agonii? Lekarz ratujący do końca życie pacjenta — to romantyczny bohater rozczulających powieści, ale w rzeczywistości może być sprawcą niekończących się męczarń konającego. Że co, że w sprawach tak ważnych jak życie i śmierć jednostki i pokoleń nie może być kompromisów? Ależ tak! Tylko że ja i każdy inny lekarz, każdą swoją decyzją, każdą tabletką wyśmiewanej przez laików aspiryny zapisaną choremu ingerujemy w najintymniejsze tajemnice życia i śmierci drugiego człowieka, bez zastrzeżeń dostępne tylko Bogu! Nie tylko w wypadku poczęcia, porodu i zgonu. Nasze nieudolne ręce są narzędziem woli Bożej. Tak, to dla każdego lekarza-katolika sprawa zupełnie oczywista. Łatwo w tym miejscu o przesadę,

bufonadę, aktorstwo, cynizm, lekceważenie drugiego człowieka itd. itd. Trudno o rzetelną postawę zgodną z głęboko pojętym humanizmem i katolicką etyką.

I to również jest terenem moich ustawicznych rozgrywek z Panem Bogiem (i religią), którego jakże łatwo obarczać odpowiedzialnością za ludzkie cierpienia i własne błędy.

Dodajmy do tego wiele innych spraw; kwestia np. tzw. odwagi cywilnej, zajęcie zdecydowanego stanowiska w różnych momentach spornych. Czy moje stanowisko jest z wyboru stanowiskiem katolika, czy może tylko z przyzwyczajenia, albo po prostu z konieczności — ponieważ nie wiem, co w danej sprawie głosi buddyzm, islam, czy jakiś kierunek laicki, a „jakieś" stanowisko w końcu zająć trzeba, więc z przypadku jest ono katolickie? Doprawdy w wielu wypadkach trudno odpowiedzieć sobie, nie mając dość rozległej wiedzy filozoficznej, przyrodniczej. Czy więc przyznawanie się w takich warunkach do katolicyzmu nie jest okłamywaniem siebie i innych? Kiedy brak czujnej postawy krytycznej i prób oceny sytuacji własnymi siłami jest zwykłym „miwisizmem", a kiedy nadmiar aktywności staje się brakiem szacunku dla autorytetu Kościoła? (Żadna z tych postaw nie da się pogodzić z pojęciem katolika!) A praktycznie: czy świadomość jedności religijnej będzie dla mnie wystarczającym bodźcem w kultywowaniu i wykazywaniu praktycznym łączności z ludźmi, o często jakże niskiej kulturze osobistej, wręcz prymitywnej, podczas gdy innowierstwo, a zwłaszcza ateizm wojujący tak chętnie szafuje nazwiskami luminarzy wiedzy i kultury, lub wskazuje (często z dostateczną motywacją) na wyższą przeciętną kultury środowisk niekatolickich? A jeszcze ściślej: jakie stanowisko zająłbym w sporze między proboszczem, o którym słyszałem wiele rzeczy niepięknych, a kierownikiem szkoły — ateistą, ale osobiście znanym mi człowiekiem kryształowego charakteru i rzadko spotykanej solidności, któremu proboszcz, poza ateizmem, co robił często, publicznie na kazaniu, nie miał zupełnie nic do zarzucenia? Osobiście byłem świadkiem takiej „wojny", nie musiałem jednak zajmować żadnego stanowiska. Ale — gdyby... O ile obowiązuje katolika solidarność z współwyznawcami w sprawach nie należących bezpośrednio do zakresu religii (chociaż w przytoczonym przypadku kwestia wychowania — moralności!)? Czy romantyczny zakaz moralny przelewu krwi chrześcijańskiej w średniowieczu nie powinien i dzisiaj znaleźć pewnego wydźwięku? A jeśli nie zajmuję w tych sprawach właściwego stanowiska, to czy mam prawo nazywać się katolikiem, skoro swoje własne uznaję za słuszne i nie myślę go rewidować?

Pomijając już takie fakty jak stosunek do wielu innych sprawek różnych księży, ogranych historyjek z historii kościoła, z tego, co

tu przytoczyłem, można zebrać dostateczną ilość tzw. motywów dla bezpowrotnego odejścia od religii. Bo skoro nie odpowiadam wymaganiom, więc po co cała zabawa? Jedni odchodzą chcąc uwolnić się od ciągłej samokontroli — inni — nawet gorsząc się niektórymi wymogami katolicyzmu.

Jeśli chodzi o prywatne sprawy księży — nie robią na mnie większego wrażenia, znam jednak ludzi, w których stosunku do religii odegrało to znaczną rolę. Mnie natomiast często niemile dotyka jakiś ciasny, szowinistyczny stosunek zajmowany na kazaniach wobec niewierzących lub innowierców, tak jakoby ludzie ci byli wyjęci spod ogólnego nakazu miłości bliźniego.

Biorąc wszystko powiedziane wyżej pod uwagę stwierdzam u siebie bardzo często stany zupełnego zobojętnienia religijnego, ba nawet wrogości w stosunku do katolickiego ujęcia różnych problemów. Nawet Bóg — staje się pojęciem odległym i pustym. Jest jednak coś, co każe mi stale wracać. Przyznam się, że aspekty życia pozagrobowego dość słabo przemawiają do mnie. Czy wiara w życie pozagrobowe nie zasadza się w nas, bardziej niż na autorytecie Objawienia, na jakimś wewnętrznym samolubstwie, jakiejś megalomanii wobec innych stworzeń połączonej z chęcią zachowania życia za wszelką cenę i lękiem przed unicestwieniem? Jedna z moich koleżanek utrzymywała, że musi wierzyć w życie pozagrobowe, bo nie może pogodzić się z tym, że jej myśl mogłaby być unicestwiona. Otóż i to! Cenne skarby do zachowania: niedowarzone myśli n-nastolatka. Dla nich to „opłaca się" organizować wieczność! (Lecz może właśnie one w oczach Bożych są godne zachowania?) A w przypadku lekarza: czy wiara w wieczność nie jest zbyt łatwą pociechą po aktualnej porażce odniesionej w rozgrywce ze śmiercią? (A może właśnie podoba się Bogu dać pociechę ludziom po wszystkich niepowodzeniach? A może perspektywa wieczności ma ustrzec lekarza przed zbyt krótkowzrocznym traktowaniem pacjenta?). Osobiście zastanawiałem się nieraz, jak będzie wyglądała odbudowa ciała ludzkiego w zestawieniu ze znanym przyrodnikom faktem krążenia pierwiastków w przyrodzie, wobec czego jest możliwe, że zespoły tych samych atomów mogą być cząstkami wielu różnych ciał ludzkich. Dla laika może to brzmieć nieco dziwnie; przyrodnik z tym się zgodzi. Zostawiam jednak te rozważania; uważam, że Pan Bóg doskonale poradzi sobie z tym problemem nie pytając mnie o radę. W każdym razie nie perspektywa wieczności przemawia do mnie najsilniej. Większą wagę przywiązuję do tego, co katolicyzm, mimo buntu, oporów, niejasności (a może dzięki nim?) wnosi w mój dzień powszedni. Dalej — jest mi on bliski ze względu na „całościowe" ujmowanie człowieka, tj. z jego ciałem i duszą z wszystkimi walorami fizycznymi i psychicznymi.

Ciało i jego piękno w tym ujęciu jest również darem dobrego Boga, z którego trzeba się będzie wyliczyć. Ale — dalej: na ogół u sportowca podziwiając piękno i zgrabność ruchów, sprawność ciała, nie zastanawiamy sę nad walorami duchowymi. Aby być sportowcem — to wystarczy; aby być katolikiem — nie. Katolik musi się liczyć z istnieniem rozumu, o którego rozwój musi dbać pod grozą zlekceważenia najwspanialszego z darów bożych. Jest jeszcze w życiu człowieka sfera uczuć, która umiejętnie „uprawiana" musi dorównywać rozwojem innym władzom psychicznym. Nasycenie katolicyzmem życia ludzkiego, tzn. praktycznie świętość, w dzisiejszych warunkach musi dokonywać się poprzez harmonijny rozwój całej osobowości ludzkiej. Naturalnie — we współpracy z Łaską. Łaska. Oto czynnik, który wszystkie ludzkie poczynania sprowadza do wartości niewymierzalnych. I ten czynnik dyskusję między wierzącym a niewierzącym często sprowadza do absurdu. Bo np. niewierzący zarzucają katolicyzmowi, że nie dość mobilizuje wiernych do poczynań o charakterze społecznym itp. Mają rację! Społeczeństwo, zwłaszcza w obliczeniach teoretyków, można budować tylko w oparciu o stuprocentowo wcielone ideały. A tymczasem katolik to wcale nie ideał. Każdy z katolików ma w sobie coś z niewiernego Tomasza i Magdaleny — nie tylko tej pokutującej; z zaprzaństwa Piotra a nawet — zdrady Judasza, co bezsprzecznie musi rzutować i na jego postawę społeczną. Ale poprzez te wszystkie stany upadków i wzlotów odbywa się tajemnicza rozgrywka między osobowością ludzką a łaską, misterium nie dające się ująć w żadne formy i normy. Teoretycy zaś „od spraw społecznych" tak lubią mieć wszystko obliczone, zdefiniowane w postaci pewników. A tu — tajemnica! Stan niedostępny kontroli kogokolwiek postronnego, zresztą dokonujący się często poza zasięgiem wglądu człowieka, który jest danym przedmiotem działania łaski. Stąd pozorne, a czasem rzeczywiste niekonsekwencje katolików, w istocie swej niedostępne żadnej tzw. obiektywnej ocenie. Pod tym więc względem zarzut można uznać za słuszny. Tam jednak, gdzie katolik konsekwentnie realizuje zasadę miłości bliźniego, ma wielkie szanse — właśnie dzięki łasce — stać się jednostką społecznie bardziej od innych użyteczną. Pojęcie łaski lub jej braku nie jest absolutnie parawanem, za którym katolik mógłby ukrywać własne słabości przed krytyką, przed, choćby rzetelną, samooceną. Łaska jest darem bożym, z którego również trzeba będzie wyliczyć się. O tym każdy wie.

I mimo permanentnie przeżywanych stanów odpowiadających wymienionym uprzednio postaciom ewangelicznym — trzymam się katolicyzmu. Kiepsko być może, ale się trzymam. Nie twierdzę, że wierzę, ale właśnie — trzymam się katolicyzmu. Tu już słyszę za-

rzuty ze strony ateistów: cała wasza religia to splot reakcji emocjonalnych, bo gdy dojdzie do użycia rozumu, rodzi się szereg sprzeczności, których nie jesteście w stanie rozwiązać. Chociaż z tym rozumem nie jest tak najgorzej, prawdą jest, że strona emocjonalna odgrywa tu dużą rolę. I u mnie również. Ale — czy to moja wina, że przełom mojego dzieciństwa wypadł na lata wojny, w których mówiło się, że pani B. — wymodliła list od swej deportowanej córki, a pani P. — ucieczkę swego syna z obozu? Kiedy spokojny, biedny naród, oszukany przez jednych a maltretowany przez innych możnych tego świata, jedyną swoją ucieczkę upatrywał w Bogu, którego ingerencję czuł namacalnie, fizycznie!? Tego rodzaju atmosfera na zawsze pozostawia piętno w osobowości człowieka, chociaż ulegną zapomnieniu fakty, które ją zrodziły. Czemu jednak ludzie w podobnych sytuacjach gubili wiarę w Boga? Wśród wielu mechanizmów spróbuję scharakteryzować następujące. Porównując sytuację rodziny w kraju z sytuacją ojca w „offlagu" zdaje mi się, że życie praktyczne, chociaż łatwiej prowadzi do wykrzywienia moralności, nie daje czasu na jałowe rozważania, przy czym momentalnie koryguje wnioski myślowe poprawką doświadczenia, podczas gdy sytuacja stosunkowo bezpieczna, i to w bezczynności, bardziej sprzyja kontemplacji a wnioski idą dalej, przy czym brak im poprawki życia praktycznego. Inna sprawa z moim kolegą, który gorąco, dziecięco wierząc w czasie, gdy był małoletnim więźniem jednego z obozów śmierci, później jako student wykazywał obojętność religijną. Wydaje mi się, że odegrało tu rolę odprężenie, jakiego doznała młodociana psychika po wyzwoleniu z koszmaru kacetu. Minęło niebezpieczeństwo — minął urok tego, co było przed nim ucieczką. Kolega ten chodził często na majówki (takie przyjemne wspomnienia z lat dziecięcych) i podziwiał spontaniczność, z jaką tłumnie schodzili się wierni na nabożeństwa, powagę, z jaką wstawali na ewangelię lub w czasie hymnu. Zresztą, w tym tłumie na pewno wielu było takich jak on, którzy przyszli tylko odświeżyć wspomnienia dzieciństwa lub przeżyć chwilę dobrowolnej solidarności bez wnikania w przedmiot, który jest jej ośrodkiem, bez przyjmowania dalszych jej konsekwencji! Potrzeba pewnych doznań emocjonalnych i ich zaspokajania może być jedną z dziedzin życia religijnego, ale nie może być traktowana *pars pro toto*. Inni przyjdą do kościoła zaspakajać swe „niedobory" estetyczne, w czym kościół ze swą liturgiką, architekturą, plastyką, muzyką może sprostać nawet bardzo wysokim wymaganiom. (Sam bardzo czuły jestem na muzykę). Niemniej to jeszcze nie religijność, o czym powinien pamiętać praktyk i obserwator, katolik i niekatolik. Zresztą rozpatrując kolejno każdą dziedzinę osobowości człowieka,

w każdej znaleźlibyśmy punkt zaczepienia dla religii, który sam w sobie religijnością jeszcze nie jest, bo religijność to pewna synteza; rozmiary zaś tej syntezy są indywidualne, określone warunkami wewnętrznymi i zewnętrznymi jednostki, a zna je tylko Bóg. On bowiem jeden ma możność zgłębić rozmiary konkretnej osobowości ludzkiej i stopień oddania się Jemu. Toteż krytyka — że coś jest tylko emocjonalnie utrwalonym zabobonem a coś wyabstrahowaną pedanterią — może być co najmniej nieporozumieniem. („Tak krawiec kraje...").

Właściwie swoje zwierzenia powinienem zatytułować „Wierzę, wątpię, odchodzę, wracam — i od nowa", (co można wykazać czytając tę wypowiedź). Jak długo potrwa ta permanentna karuzela — nie wiem. Mając umysł wrażliwy, może mało krytyczny — ale niespokojny — nie mogę sobie pozwolić na luksus spokoju. Skoro dostrzegam problem — nie mogę zamykać nań oczu, nie mogę budować domków na kraterze pomrukującego wulkanu. Postawa naiwnej wiary dziecięcej — nie odpowiada mi, zresztą chyba nikt z psychologów i pedagogów czy wychowawców nie ocenia zbyt wysoko walorów dziecięcej naiwności, której równie łatwo można „wmówić" wiarę w dobrego Boga, jak i w najbardziej obmierzłego potwora. Jeśli co jest cennego w psychice dziecięcej, to właśnie chyba w pewnym okresie rozwojowym autentyczność przeżyć i świeżość reakcji emocjonalnych, duża wrażliwość. Ale te cechy u człowieka dorosłego — to stały niepokój, stałe zaabsorbowanie zjawiskami świata, co w połączeniu z pewną refleksyjnością prowadzi do wiecznego rewidowania ustalonych prawd, własnego stanowiska, do „wiecznej karuzeli". Wprawdzie setki powiązań, które łączą nas z otoczeniem, amortyzują w znacznym stopniu praktyczne skutki tych refleksji, niemniej jednak nie są one całkowicie obojętne.

I tak muszę myśleć, za cenę nawet błądzenia, z którego okresowo wychodzę na właściwą drogę — do czasu następnych wątpliwości. Ukułem sobie teoryjkę „własnej drogi do Boga". Zdaje mi się, że nawet ci, którzy tego nie formułują w ten sposób, realizują to po swojemu. (Choćby wychodząc z różnych „punktów zaczepienia" religii w ich osobowości. Każda ludzka osobowość jest nieco inna, a Bóg jest dość bogaty i hojny, żeby sprostać potrzebom każdego). Moja droga do Boga to stałe tłuczenie głową o co raz to nowe wątpliwości natury dogmatycznej, moralnej, kłopoty praktyczne na codzień, nie zawsze kończące się w czasie niedzielnej Mszy św.

Wierzę, że uczciwie stawiając sprawę konfliktów między sobą a religią, a równocześnie konsekwentnie szukając drogi do Boga, zwłaszcza poprzez umiłowanie człowieka, kiedyś w końcu dojdę do Niego na stałe.

J. K. (Łódź)
lat 30
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 467

Dlaczego wierzę? Odpowiedź na to pytanie stanowi *sui generis* syntezę światopoglądu, która przez swą ankietową lapidarność jest przedsięwzięciem dość skomplikowanym. Synteza ta powinna właściwie być wynikiem długotrwałych, introspektywnych przemyśleń, na które z braku czasu nie mogę sobie pozwolić. Odpowiem więc na pytanie w sposób bardzo skrótowy, na gorąco, tak jak widzę swą wiarę na codzień.

A więc naprzód dla skonkretyzowania sytuacji parę szczegółów biograficznych. Mam lat 30, ukończyłem wyższe studia humanistyczne, jestem żonaty i posiadam trójkę przemiłych ale uciążliwych urwisów, ponadto jestem dyrektorem przedsiębiorstwa przemysłowego. Studia ukończyłem w 1952 r. i od tego momentu cierpię na chroniczny brak czasu w nawale prac zawodowych.

I. Quia data est mihi

Wiara dla mnie to nie zespół wierzeń, lecz określona postawa woluntarna wiążąca się ale nie zdeterminowana swym przedmiotem. Zaangażowanie woli w akcie wiary uważam w tym stopniu za czynnik konstruktywny, że nie dostrzegam gradacji między postawą wiary i niewiarą. Wątpienie jest stanem przejściowym w ramach jednej, określonej postawy — wiary lub niewiary, a tym samym nie stanowi bynajmniej pomostu między nimi, jak to się zazwyczaj przyjęło uważać. Tak zwane „szukanie prawdy" nie jest zobiektywizowane, choć subiektywnie może tak wyglądać. Człowiek bowiem organizuje argumenty na uzasadnienie jednej z przyjętych *a priori* postaw, a analiza aktów nawrócenia na wiarę lub niewiarę wskazuje na nagły i kompleksowy charakter tych zjawisk. Dlatego genetycznie pierwszym momentem mego „credo" jest fakt przejęcia postawy wierzącej z środowiska rodzinnego, słowem wiara przez wychowanie.

II. Quia intelligo

Postawa wiary charakteryzowała moje myślenie przedkrytyczne. Z biegiem czasu przechodziłem proces racjonalizacji przejętej postawy. Szukałem argumentów uzasadniających mą wiarę, rozpatrywałem trudności i organizowałem dowody, nie tylko dla siebie, bo przecież byłem przekonany, ale w aspekcie apologetycznym, dla innych, niewierzących. W ten sposób punkt ciężkości mej postawy przesunął się z tradycyjnych, rodzinnych wzorów na uza-

sadnienie intelektualne, które stworzyło z przyjętych wierzeń zwarty system logiczny. Obecnie umiem wytłumaczyć mą wiarę i uzasadnić racjonalnie przejęty światopogląd. Nie to jest jednak najważniejsze w obecnej mej postawie.

III. Quia Tu es fortitudo mea

Wraz z narastającymi trudnościami życiowymi wiara nie przestaje być wiedzą, wzbogaciła się o nowe treści — stała się potrzebą. Bóg jest dla mnie celem, pokojem, uzasadnieniem mej pracy, bezmiernym poczuciem bezpieczeństwa. Codzienne działanie, działanie wytężone, żmudne i trudne przez Niego i w Nim i z Nim stało się służbą. Konkretyzując powiem najbardziej osobiście — nie wyobrażam sobie życia i pracy bez Boga. Z Niego i tylko z Niego czerpię siłę i energię, której tak wiele mi potrzeba. On jest moim Ładem i Sensem tego, co czynię. Wiara jest moją prawdą i koniecznością życiową.

IV. Quia tango

Końcowym wreszcie aspektem mej wiary jest doświadczenie wewnętrzne. Wierzę nie tylko dlatego, że uwierzyłem, że zrozumiałem, że potrzebuję, ale również a może przede wszystkim dlatego, że wiem. Historia życia religijnego każdego człowieka zna momenty nieokreślonego, modlitewnego zetknięcia człowieka z Bogiem, w których to, co transcendentne, staje się oczywiste. Dotykam tu oczywiście problemu niezasłużonej Łaski.

Co jeszcze o wierze można powiedzieć? Wiara jest Łaską rządzącą się niezbadanymi prawidłami Bożej ekonomii. Umacnia ją życie w Łasce uświęcającej, osłabia każde sprzeniewierzenie się Bogu. Prawdziwa wiara jest postawą totalną, determinującą wszystkie ludzkie poczynania. Wiara będąca sumą wierzeń jest tylko dalekim jej odblaskiem, który w codziennych trudnościach popieleje, obojętnieje i gaśnie. I choć to brzmi paradoksalnie — *conditio sine qua non* wiary jest życie z wiary na codzień.

H. Z. (Poznań)
lat 29
lekarz
Ankieta nr 227

Dlaczego wierzę? Wiara nadaje życiu sens i ład. Rozwiązuje wszystkie problemy ogólnoludzkie i osobiste.

Dużo obserwuję, pytam, myślę — i widzę, że tylko ci, którzy zawierzyli Bogu i poszli za Nim, ci są naprawdę szczęśliwi mimo trudnego życia i cierpień. Ja także jestem szczęśliwa i chciałabym się tym podzielić. Tak mi żal wszystkich, którzy niespokojni i szukający sami

sobie gmatwają życie — niepotrzebnie. Ale nie można uwierzyć za kogoś. Wiara jest Łaską. Łaską podstawową, dostępną dla każdego i od nas tylko zależy, czy się w nas pogłębi, czy będzie rosła. Zależy od tego, czy wypowiemy swoje „tak". Jeżeli mamy wolę wiary, Bóg dopełnia w nas resztę.

Jakże dobrze pamiętam ten czas, kiedy mówiłam Mu: „Wydaje mi się, że w Ciebie nie wierzę. Ale chcę wierzyć i będę postępowała tak, jakbym wierzyła naprawdę". I Bóg nie odmówił łaski. Ale to był trudny okres. Wiele w nim zależało od ludzi. Przykład katolików niekonsekwentnych, nie żyjących wg pięknych teorii, które głosili, nasuwał myśl: pewnie nie ma Boga, a katolicyzm jest pustym frazesem, jak tyle innych. Na szczęście, pewnie dzięki Łasce, zachowałam tyle krytycyzmu, żeby ocenić, że to nie Boga nie ma, ale ludzie nie wierzą w Niego tak naprawdę. Boją się uwierzyć, bo musieliby opanować swoją chciwość, chęć użycia, pychę, nienawiść, zazdrość, więc zachowują tylko formę. Bo przecież jeżeli uwierzymy, że Bóg jest, że jest w każdej chwili, czyż możemy żyć inaczej jak tylko z Nim i dla Niego, wyrzekając się zła i wzrastając w miłości? Na Boga nie czeka się z założonymi rękami, czy przyjdzie przemienić nas na ludzi dobrych, wierzących łatwo i bez cienia wątpliwości. Trzeba Go zdobywać ufnością i wiarą, tym naszym „chcę" wypowiadanym często w głębokiej ciemności. Gwałtownicy tylko zdobywają Królestwo Niebieskie. A wierzyć warto. Bóg jest jedyną pełnią, zdolną nas nasycić. Wtedy i grzech przestaje nas nękać. Staje się tak mało atrakcyjny, że już nas nie pociąga. Jeżeli ulegamy pokusie i odchodzimy, wracamy znów do tego, który umarł za wszystkich bez wyjątku, nie licząc przelanej na darmo krwi, bo jest Miłością.

Wiara jest trudna dla każdego z nas. Dla tego, który wyszedł ze środowiska katolickiego, żyjącego przyzwyczajeniem, często zewnętrznym, bez dynamizmu, i dla tego, który rzadko słyszał imię Boga, i dla tych, którzy słyszeli o Nim wiele, ale nie spotkawszy u ludzi dobra i miłości nie mogą uwierzyć w najwyższe Dobro i Miłość.

Każdy musi przeżyć w sobie wiarę od początku i świadomie. Nie łudźmy się, że ktoś nas w wierze wyręczy. Chociaż — i stąd płynie nasza odpowiedzialność — wielkim ułatwieniem jest spotkać ludzi, żyjących Bogiem na codzień. Zetknąć się z ich spokojem, głębią, prawdą i miłością, z ich jakimś niepowtarzalnym autentyzmem. Jestem i zawsze pozostanę wdzięczna tym wszystkim, którzy swoją trudną, codzienną wiarą stali się dla innych, dla mnie wyraźnym wskaźnikiem: Jest Bóg! Nie ograniczyli swojej wiary do uczestniczenia w nabożeństwach. Wynieśli ją poza drzwi kościoła i zestroili z wiarą całe życie. Zlali w jedno.

Autentyczną wiarę i autentyczną miłość Boga poznaje się po miłości człowieka. Po tym otwarciu na każdego człowieka. Jeśli wierzymy w Tego, który jest Miłością, nie możemy żyć w gniewie. Nie możemy ubliżać i krzywdzić. Czyż zadając ból komuś, kogo Bóg kocha, możemy stanąć przed Nim w całej prawdzie i powiedzieć: „Wierzę w Ciebie, kocham Ciebie". Jakże to będzie fałszywe!

Wielka jest nasza odpowiedzialność wobec świata... *aby widzieli dobre czyny wasze i chwalili Boga, który jest w niebiosach...*

Czy naprawdę widząc nasze czyny, nasze życie nabiera się ochoty chwalić Boga, poznać Go, pójść za Nim?

Jesteśmy odpowiedzialni jedni za drugich. Jesteśmy odpowiedzialni za tych, którzy odchodzą, za tych, którzy nie szukają. Nasze życie nie jest wypełnione Bogiem. Nasze życie nie promieniuje Jego dobrocią, Jego miłością, Jego delikatnością, Jego przebaczeniem i miłosierną sprawiedliwością.

Nie promieniujemy mieszkającym w nas Bogiem my, którzy otrzymaliśmy tyle łask, my, których prosił „Bądźcie mi świadkami".

Czyż nie czujemy się odpowiedzialni za tych, którzy napiszą: dlaczego odchodzę, dlaczego wątpię — a w odpowiedzi podadzą: nie ma Boga, bo gdyby był, nie dopuściłby, żeby świat i ludzie byli tak okrutni, tak obojętni! Nie ma Boga, bo ci którzy nazywają siebie „wierzącymi", inaczej mówią a inaczej żyją. Kłamią życiem!

I będą to pisali nasi bracia, których codziennie mijamy na ulicy, roztrącamy wsiadając do tramwaju, przyjmujemy w biurze, w przychodni, uczymy. Będą to pisali ludzie oszukani przez nasze życie, nie znajdujący Boga wśród nas. Bo przecież nie rozumieją, że to my nie dopisujemy. Że jesteśmy sługami trwoniącymi talenty.

Panie, przebacz nam, którzy mieliśmy Ci być świadkami, a naszym niekonsekwentnym, zakłamanym, bojącym się wysiłku życiem zacieramy na ziemi Twoje ślady.

Przebacz nam, którzy nie uwierzyliśmy Ci do końca. Przebacz nam, małej wiary, wiary umarłej.

Em-Pe (Warszawa)
lat ok. 30
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 186

Myślę, że w obecnych czasach kryzysu tradycyjnej, statystycznej religijności i dążenia do rewizji wszelkich szablonów trudno będzie znaleźć człowieka, którego postawa wobec religii nie podlegała nigdy wahaniom.

Dlatego też uzasadniając swoje obecne stanowisko człowieka wierzącego, nie mogę pominąć warunków, w jakich doszło do ugruntowania mojej wiary. Szereg rozmów przeprowadzanych w moim środowisku pozwala mi sądzić, że trudno-

ści, jakie napotykałam sama, są zjawiskiem dość typowym, przynajmniej jeśli chodzi o młodsze pokolenie inteligencji. Nurtowała mnie zawsze myśl, że sprawy te powinny być znane zarówno duszpasterzom, jak i katolikom świeckim, którzy chyba nie zdają sobie sprawy z tego, jak bardzo ich postawa może zaważyć na poglądach otoczenia. Nie widziałam jednak praktycznych możliwości wykorzystania doświadczeń własnych i moich rozmówców. Chciałabym bardzo, żeby ta ankieta, pomyślana chyba właśnie w tym celu, była zrozumiana jako wyraz serdecznej troski o dobro sprawy, której przecież wszyscy służymy. Żeby przyczyniła się do wzrostu naszego wzajemnego zrozumienia i do objęcia także ludzi niewierzących prawdziwie katolickim, szerokim i humanistycznym spojrzeniem. Nie zawsze ich postawa, którą tak chętnie byśmy potępili, jest wynikiem lekceważącego stosunku do religii, czy też trudności w zachowaniu przykazań. Najczęściej chyba jest ona zawiniona przez nas — katolików, stanowi konsekwencję wytworzenia sobie fałszywego pojęcia Boga i religii. Ale żeby nie być gołosłowną, przechodzę do konkretnych faktów.

Wychowana w domu tradycyjnie katolickim, byłam jako dziecko bardzo religijna. Nie usnęłam bez odmówienia z matką litanii loretańskiej. Wzruszały mnie łzy, które nieraz dostrzegałam w jej oczach w czasie rezurekcji czy nabożeństwa majowego. Pierwszy kryzys nastąpił jednak szybko. Mając sześć lat, zaczęłam uczęszczać do szkoły zakonnej. Jako bardzo chorowita, nad wiek rozwinięta jedynaczka przeżywałam zetknięcie się z koleżankami ciężko, nieraz stawałam się ofiarą dokuczliwych żartów czy nawet pobicia. Nie skarżyłam się nigdy. Ingerencja zakonnic wypadała z zasady niesprawiedliwie. Moją reakcją na postępowanie koleżanek, które udaną gorliwością starały się pozyskać wychowawczynie, było opuszczanie nabożeństw. Poza tym trudności zaczęła mi sprawiać modlitwa. Nie umiałam już znaleźć sensu w formułkach bezmyślnie odklepywanych pacierzy, a używanie w modlitwie własnych słów uważałam za coś niedopuszczalnego. Z kolei surowa postawa, pośpiech spowiednika, a także moje niewłaściwe przygotowanie (byłam przekonana, że mam tyle grzechów, iż nie otrzymam rozgrzeszenia) odstręczyły mnie na parę lat od spowiedzi.

Gdy wybuchła wojna, miałam osiem lat. Zaczęłam chodzić do szkoły państwowej, gdzie wkrótce wyprzedziłam w nauce dotychczasowe „prymuski". Nabrałam trochę pewności siebie. Uczucia nie tyle religijne, ile raczej patriotyczne, połączone z pewną przekorą, ściągnęły mnie teraz z powrotem do kościoła. Razem ze wszystkimi żyłam hojnie szafowanymi z ambon obietnicami cudu, odprawiałam wszelkie możliwe nowenny, płakałam w bardziej podniosłych momentach kazań. Uczęszczałam też pilnie na lekcje religii,

przy czym odpadły całkowicie uprzedzenia wyniesione ze szkoły. Nasi katecheci umieli doskonale bawić się i żartować z nami, byli weseli i bezpośredni, i to nas głównie przyciągało. Jednakże nie potrafili ożywić samego przedmiotu, wzbudzić w nas przeżycia wiary. Wyniosłam z tych lekcji jedynie garść materiału pamięciowego, całkowicie oderwanego od życia i nie budzącego większej potrzeby wewnętrznego zaangażowania niż np. wiadomość o tym, że Hannibal przeszedł Alpy.

Tymczasem wojna się zakończyła. W tym momencie moja religijność straciła podbudowę uczuciowo-patriotyczną, a wraz z nią jedyną rację bytu. Lekcje religii odbywały się już w szkole, a gdy przestały być „zakazanym owocem", straciły całą atrakcyjność. Były poza tym straszliwie nudne, ksiądz nie bardzo wiedział, co ma z nami robić, czasem po prostu przynosił książkę i kazał jednemu z nas czytać. Była to po prostu godzina, w czasie której każdy robił, co chciał, a przyzwoitsi przygotowywali się do „poważniejszych" lekcji. Garść wiedzy wyniesiona z lekcji okupacyjnych wystarczyła mi i tak na opinię najlepszej uczennicy aż do matury. Pierwszą filozofią, z jaką się w życiu zetknęłam, była filozofia marksistowska. Nie mogłam się oprzeć oczywiście niektórym jej tezom (np. dialektyczne przechodzenie ilości w jakość), imponowało mi odwoływanie się do rozumu, hasła postępowości. Uważałam, że człowiek młody, mający jakieś ambicje intelektualne, nie może znaleźć miejsca między „dewotkami". Przy tej postawie nie trudno było dobrać przykłady świadczące o ich niższości intelektualnej i etycznej (plotki, stawianie świeczek przed św. Antonim, żeby ktoś „skapał jak ta świeca", tępa nienawiść do wszystkiego, co nowe). Starsi na moje problemy odpowiadali zrzędzeniem, co utwierdzało mnie w przekonaniu, że nie potrafią obronić swojej postawy. W czasie nabożeństw raziło mnie prymitywne, mało kulturalne zachowanie się tłumu, wrzaskliwe i zawodzące śpiewy, w kazaniach dostrzegałam wulgaryzację problematyki i minimalizm wymagań. Szukałam ideału trudnego, któremu warto byłoby poświęcić życie, jakiejś szerokiej, otwartej na cały świat postawy humanistycznej. To, co widziałam, było antytezą moich marzeń.

Kiedyś przypadkiem, zaciągnięta przez koleżanki, trafiłam na pierwsze w życiu kazanie tchnące wielką siłą autentyzmu, przeżycia Boga i pełnego zaangażowania. Nie było tam nic z taniego sentymentalizmu czy spłycenia. Sprawa stosunku do Boga była postawiona w sposób, który odczułam jako bezwzględny. Tego mi było potrzeba. Stwierdziłam, że religia nie jest tylko dla ludzi starych, nie myślących samodzielnie, nie reagujących na piękno, dla jakichś półanalfabetów czy zgorzkniałych bankrutów życiowych. Uzyskałam kilka danych o literaturze, której istnienia nawet nie

przeczuwałam, będąc przyzwyczajona do ckliwych popularnych opracowań hagiograficznych czy przestarzałych, budzących tylko wątpliwości, zamiast je rozpraszać, podręczników apologetyki. Wpadł mi w ręce *Byt* Swieżawskiego, dzieła Konstantego Michalskiego, o. Jacka Woronieckiego, Żychlińskiego. Zaczęłam się zagłębiać w tomizm, przez blisko dwa lata udało mi się słuchać świetnych wykładów z ontologii tomistycznej, zanim ksiądz, który udzielał nam pomieszczenia, nie odmówił go, uważając te wykłady za niepotrzebne i zbyt elitarne. Z pisarzy ascetycznych porwał mnie przede wszystkim Merton. To był człowiek całkowicie współczesny, a zarazem całkowicie, bezkompromisowo zaangażowany. Zaczęłam szukać kazań, które by mi odpowiadały, i okazało się, że przy odrobinie wysiłku można takie znaleźć. Trafiłam na dni skupienia i rekolekcje zamknięte, które stanowiły dla mnie olbrzymie przeżycie, zupełnie odmienne od znanych mi dotychczas rekolekcji szkolnych czy parafialnych. Najwięcej jednak chyba dał mi mszalik oraz brewiarz, który sobie za pierwsze zarobione z korepetycji pieniądze kupiłam. Poznałam msze dialogowane, rozkochałam się w śpiewie gregoriańskim, zwłaszcza w śpiewach Wielkiego Tygodnia. Liturgia stała się dla mnie codziennym, tak niezbędnym przeżyciem, że potrafiłam zrezygnować z atrakcyjnej wycieczki zagranicznej, gdyż wyjazd byłby połączony z opuszczeniem czterech mszy św., i to bynajmniej nie w dni świąteczne! Typowy zapał neofity. Muszę jednak powiedzieć, że intensywność jego nie zmieniła się w ciągu ostatnich kilkunastu lat mimo różnych trudności życiowych, mimo krytyki i niezrozumienia najbardziej bolesnych, bo ze strony ludzi, od których spodziewałam się raczej pomocy i pokrzepienia. Pobożność liturgiczna, stale pogłębiana i przyjęta ze wszystkimi konsekwencjami usunęła niepostrzeżenie wszelkie trudności dogmatyczne, pozwoliła zrozumieć, czym jest Kościół, „uspołecznić" całe postępowanie, znaleźć prostą i wolną od złudzeń drogę do Boga. Słowa Pisma św. (także Starego Testamentu, który nauczyłam się rozumieć i kochać), wersety psalmów dostarczyły mi nowego materiału do modlitwy, nowej wiedzy o Bogu. Towarzyszą mi wszędzie, czy to w pracy naukowej, którą się obecnie zajmuję, czy to w teatrze, na koncercie, w kontakcie z przyrodą. Przypominają o Prawdzie, która stała mi się bliska intelektualnie i uczuciowo.

Martwię się jedynie tym, że skarby naszej filozofii, naszej liturgii czy ascetyki są dla przeciętnego laika zupełnie nieznane. Ileż razy słyszałam zarzut — tak, to piękne, o czym mówisz, ale czemu Kościół chowa to tylko dla garstki wtajemniczonych? Czy my nie mamy do tego wszystkiego prawa? Znając swoją drogę do Boga, nie znajduję na to pytanie odpowiedzi. Moje „odkrycie" można by

nazwać przypadkiem. Wiara każe mi dostrzec w tym działanie łaski. Czy jednak nie jest naszym obowiązkiem torować łasce drogę do dusz naszych braci?

B. T. (Małe Miasteczko)
lat 28
lekarz
Ankieta nr 479

Postanowiłem wreszcie odpowiedzieć na Waszą ankietę „Dlaczego wierzę"...

Długo zastanawiałem się nad tym, dlaczego wierzę. Doszedłem potem do kilku wniosków, z którymi chętnie się podzielę.

Przede wszystkim jestem mocno przekonany, że gdybym w domu nie zetknął się z wiarą i nie zaczerpnął tam pierwszych o niej wieści, to byłbym i tak do niej doszedł. Dla mnie uczucia religijne są zjawiskiem psychologicznym. Mają realne podstawy swego istnienia głęboko w psychice ludzkiej. Są pewną potrzebą, czasami nawet bardzo potężną, na wzór wielu innych potrzeb, jakkolwiek zapewne słabszą od potrzeby np. nasycania głodu itp. Chcę powiedzieć, że kwestia wiary w Boga nie jest jakimś koszmarem, który odziedziczyliśmy po „zabobonnych" przodkach, a który należałoby jak najśpieszniej w dobie dzisiejszej porzucić. Jest ona wyrazem dążeń zawartych wewnątrz milionów ludzi, nieraz mocno zamaskowanych, nieraz nieuświadomionych.

Jest rzeczą bardzo mało prawdopodobną, żeby owo zbiorowe przekonanie, które każdy wiek na nowo weryfikuje, było jakimś złudzeniem, jak jest mało prawdopodobne, by nasz świat zewnętrzny, co prawda inaczej doświadczany co do swej realności, był złudzeniem. A przecież gdy się chce jakichś absolutnie pewnych dowodów na realność świata, to koniec końców — ostateczna decyzja mieści się poza dowodami i jest również pewnym przekonaniem. Jakież znaczenie miałoby istnienie czegokolwiek na świecie, gdyby za nim stała pustka i nicość. Jakiż sens miałby wysiłek człowieka, jego troski, radości i praca, gdyby był zawieszony w próżni bez sensu.

Nie rozumiem jak można dowodzić braku podstaw do wiary w Boga.

N. N. (Gdańsk)
lat 28
Nauczycielka
Ankieta nr 219

„Dlaczego wierzę?, dlaczego wątpię?, dlaczego odchodzę?" Wszystkie te trzy przypadki przeszłam na własnej skórze — wróciłam do pierwszej! Ktoś powie: „zwykła dziecinada, fanaberie młodości". Raczej nie!

Dlaczego wierzyłam, w co wątpiłam i dlaczego odeszłam, nie będę dokładnie opisywać, gdyż chcąc opisać wszystkie przyczyny

i argumenty, jakimi operowałam i kierowałam się wówczas, byłoby za długo, po drugie są to wspomnienia zbyt przykre, by do nich wracać i roztrząsać je! — bowiem okres zwątpienia i odejścia to okres potwornej męki i szarpaniny wewnętrznej w szukaniu nowego sensu życia! Ktoś, kto tego nie przeszedł, nie zna tego cierpienia — nie wiem, czy nie jest ono gorsze od fizycznego...

Żeby jednak odpowiedzieć w pełni, dlaczego wierzę, muszę wrócić do okresu niewiary.

Otóż w istnienie Boga jako Stwórcy świata, który nadał prawa naturze, nie wątpiłam nigdy! Założenie wieczności materii, *Materializm dialektyczny i historyczny* J. Stalina, było dla mego umysłu nie do przyjęcia!

Fundamentalną podstawą mej wiary w istnienie Boga był dowód „celowości" Arystotelesa — nie tyle w odniesieniu do wszechrzeczy, ile do człowieka. Człowiek jako istota najwyżej postawiona wśród otaczającego go świata, nie może w nim szukać swego celu, zaś z praktyki wiedząc, że jest ułomny, nie może być celem sam w sobie. Musi być Coś, lub Ktoś, co to jest celem życia człowieka! (zresztą, owo pragnienie Boga leży w naturze człowieka). Odnośnie prawdziwości Ewangelii, historyczności Chrystusa i Jego Zmartwychwstania (czyli podstawy boskości Jego nauki) nie miałam trudności. Całokształt nauki Chrystusowej jest przepiękny, tak „ludzki", przypieczętowany krwią samego Jezusa (historycznie trudno zaprzeczyć temu) i wielu tysięcy męczenników Kościoła przez 20 wieków — to mi wystarczało! Krytykowałam takich czy innych duchownych, niemniej rozumiałam, że stanowiska w Kościele zajmują ludzie jak wszyscy ułomni, zaś przetrwanie i rozwój Kościoła w tych warunkach jest dowodem tylko Jego boskości! Dogmatów nie „obalałam" — nie uważałam się za mądrzejszą od papieży i uczestników soborów. Ogólnie byłam na te tematy zdania, że na to, by zabierać głos, trzeba mieć rzetelną wiedzę. Nie dyskutowałam na temat takich czy innych zarządzeń Kościoła, stwierdziłam, że ich całokształt jest bardzo logiczny, a szczytem nielogiczności i zakłamania siebie jest uznawanie jednych, a odrzucanie innych niewygodnych obowiązków.

Na me odejście wpłynęły nie tyle względy rozumowe, ile woli. Przy wątpliwościach na temat granic Miłosierdzia Bożego, zbuntowałam się przeciwko obowiązkowi spowiedzi. Poważne trudności na temat warunków tego sakramentu, wrodzona pycha, nieufność w miłość Bożą, niewłaściwe podejście księdza wywołały decyzję: „więcej noga moja nie stanie przy kratkach konfesjonału — nie zdobędę się na to".

Odrzucając to minimum — doroczny obowiązek nakazany przez Kościół pod grzechem ciężkim, siłą rzeczy traciłam Łaskę. Wobec

zatwardziałego oporu wewnętrznego w stosunku do sakramentu pokuty i nie praktykowania go, nielogiczną, a raczej nieuczciwą w stosunku do Boga i siebie byłaby modlitwa (...*nie ten który mówi Panie, Panie*...) podobnie jak uczestnictwo bez Łaski we Mszy św. — przestałam chodzić w niedzielę na Mszę św.

Za mało miałam pokory i ufności, by wobec zaczynających się trudności prosić Boga o pomoc — miałam jednak na tyle wiedzy religijnej, by orientować się w ostatecznych skutkach życia poza Kościołem i Łaską! Często myślałam o śmierci, ale wówczas działała jeszcze większa siła buntu i przekory: „więcej grzechów ciężkich, przynajmniej będę wiedziała, za co kiedyś będę potępiona". Nie przesadzam, gdy powiem, że szukałam okazji do poważniejszych grzechów i czyniłam je umyślnie Bogu na złość.

Życie w tych warunkach stawało się nieznośne, mijały miesiące, otoczenie bliższe zdumione taką zmianą mej postawy życiowej przypisywało ją jakimś zaburzeniom psychicznym. Ja nocami nie sypiałam, szukałam wyjścia z sytuacji, tworząc nowe „konstrukcje" ideologiczno-życiowe:

1) Grać ateistkę i żyć uczciwie dając maksimum ze siebie społeczeństwu! Ta koncepcja bez religii nie wytrzymywała próby. Za wielką jestem egoistką. W imię czego poświęcać się dla innych? Odmawiać sobie spełnienia swych zachcianek? W imię czego na każdym kroku być uczciwą, skoro to się nie opłaca, a wokół ludzie robią nadużycia? Ludzie i tak pracy i uczciwości nie ocenią, wdzięczności też nie okażą! Gdyby nawet jako „społecznicy" postawili pomnik po śmierci i uczcili moje imię, to co mnie to będzie obchodzić gdy w trumnie w proch się obrócę? Być zaś wierną wysokim wymaganiom etyki dla własnej satysfakcji? — lecz to nietrwały motyw — może dla ludzi wybitnie prawych o szalenie silnej woli? Zdałam sobie sprawę, że w wielu sytuacjach życiowych motywy „etyki świeckiej" są niewystarczające!

Co postawić za cel życia? Skoro nie ma życia wiecznego, to jakiż jest sens życia? — najlepiej skończyć z sobą! Wcześniej czy później, to wszystko jedno! skutek ten sam! Zastanawiałam się tylko, czy pod pociągiem elektrycznym, czy skacząc z Sokolicy do Dunajca?

2) Wrócić do Kościoła? — ale jak? — nigdy nie zdobędę się na spowiedź, ona zaś tylko jedna przywraca Łaskę i wprowadza na członka Kościoła! Czy Bóg wybaczy to świadome odejście? Czy to odpokutuję? Czy słowa wypowiedziane do Łotra na krzyżu odnoszą się do każdego człowieka? Zresztą wymagania Chrystusowe są tak wielkie, czy im podołam? — bo jeśli iść za Chrystusem to na całego! Bóg godzien jest jedynie całkowitej miłości, bez zastrze-

żeń! zaś moje zastanawianie się nad Jego wezwaniem, to jest świństwo!

Stroniłam od ludzi, bez przerwy prawie myślałam nad tymi zagadnieniami, nocami gryzłam palce zalewając się łzami. Co bym wówczas dała, aby w ogóle przestać istnieć, nie szarpać się, lub móc zapomnieć o Bogu, który jak gdyby mnie prześladował i przychodził na myśl! Np. Świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy nie obchodziłam, chciałam zapomnieć o ich treści. Ponieważ mieszkałam sama, zamykałam się, brałam środek nasenny by przespać dzwony Pasterki lub Rezurekcji. Tymczasem sąsiad jak na złość nastawiał radio z kolędami, których musiałam wysłuchiwać, które nasuwały mi wspomnienia dziecinnych lat.

Tematów religijnych w rozmowie unikałam, jak na złość przy mnie je poruszano. Gdy pracowałam jako wychowawczyni w Prewentorium, dzieci zwracały się do mnie, by zmówić z nimi pacierz — byłoby to dla mnie ponad siły. Nie zabraniałam im się modlić, niemniej wykłamywałam się im, że muszę właśnie w tym czasie coś pilnego załatwić.

Owa męka trwała przeszło dwa lata.

I oto nagle przyszedł dzień, gdy ni stąd ni zowąd zdecydowałam się na spowiedź i przyjęcie wszystkich wymagań Jezusowych! Jak to się stało ani wtedy, ani dziś nie wiem! Dziś wierzę, że była to specjalna łaska. Ogarnął mnie jakiś niepojęty spokój. Niedługo minie trzy lata od tej chwili. Życie nabrało dla mnie sensu. Żyję w dwu układach odniesienia, jednym ziemskim, drugim nadprzyrodzonym i świadomość tego jest cudowna — w nim bowiem każdy drobiazg, każdy czyn ma swą wieczystą wartość.

Do argumentów, które przemawiały za mą wiarą, doszedł jeszcze jeden: wiem, co znaczy żyć poza Kościołem, jak ciężko jest zakłamywać siebie. Życie moje ułożyło się bardzo ciężko, jednak w świetle wiary ma ono swój głęboki sens i jest do zniesienia.

W pracy jak i w sporcie często koledzy dziwią się, skąd we mnie tyle energii, zapału, radości — wątpię, czy ktokolwiek z nich domyśla się, co jest przyczyną tego: jest nią ów cichy stosunek z P. Bogiem jak z przyjacielem, z którym można łączyć się w czasie pracy, *rock and roll'u,* czy zawodów sportowych. Religii nie traktuję na pokaz — istotą jej jest pełnienie Woli Bożej i życie Łaską.

Ufam, że dzięki przeżytym doświadczeniom ów cykl od wiary do odejścia więcej się nie powtórzy.

T. K. (Warszawa)
lat 27, Nauczycielka
wykształcenie wyższe
pochodzenie chłopskie
Ankieta nr 520

Jako dziecko zostałam ochrzczona i wzrastałam w rodzinie katolickiej, chłopskiej. Rodzice i starsze rodzeństwo zawsze, w każdą niedzielę chodzili do kościoła. Ojciec nosił często sztandar rolników w procesji, brat i siostra śpiewali w chórze kościelnym, ja sypałam kwiatki, a matka zawsze niknęła gdzieś w tłumie. Jednak rzadko mówiło się w domu o Bogu. Wzywaliśmy Go w chwilach nieszczęść, a potem znów na codzień jakby się o Nim zapominało i jakoś tylko z grubsza wypełniało nakazy dekalogu. Przez wiele lat klepałam pacierze i uczyłam się na pamięć definicji katechizmowych. Dużo zawdzięczam swojej matce chrzestnej, która często zabierała mnie ze sobą na majówkę, czy różaniec w październiku, która czasami wieczorem mówiła razem ze mną pacierz i tłumaczyła wiele rzeczy.

Długo nie znałam żadnych wątpliwości, a coraz bardziej starałam się rozumieć słowa modlitw i pieśni, aż wreszcie (kiedy już byłam w szkole średniej) zredukowałam książeczkowe modlitwy i mówiłam do Boga coraz prościej prosząc Go jak Ojca o różne rzeczy np.: o pomoc w napisaniu klasówki czy domowego wypracowania. Coraz więcej miałam Mu do powiedzenia na ulicy, w domu, w szkole. Biegłam do Niego, by podzielić się radością, kiedy dostałam list od kochanego chłopca. Pan Bóg mówił do mnie poprzez łaskę sakramentalną i sprawiał, że rozumiałam tę mowę.

Mimo to wątpliwości przyszły. Jeszcze przed maturą, poczułam nagle jakbym została przez kogoś potężnie nabrana. A jeśli Go wcale nie ma? To znaczy, że pustka, że bezsens, że po co w ogóle istnieje świat, po co ludzie żyją tak bardzo się trudząc.

Nieraz przychodziły podobne wątpliwości, ale stały się one bodźcem do szukania zasadniczej odpowiedzi. To szukanie nie jest czymś już dokonanym, ono trwa, bo wiara to coś dynamicznego, a nie jakiś jednorazowy akt. Szukałam nie tyle Boga, który był bliski, a Jego obecność oczywista jak powietrze, którym się oddycha, ale szukałam rozumnych podstaw dla ugruntowania mojej wiary. Nawet wtedy, kiedy wątpiłam, szłam do Niego i nie przerywałam praktyk religijnych. Ostatecznie wiara moja dojrzewała na modlitwie, a lektura, wykłady i konferencje religijne, z których skrzętnie korzystałam w czasie studiów, były tylko pomocą, potwierdzeniem tego, co się przeżyło.

Wielkim krokiem naprzód było przeżycie Kościoła. Już nie było „ja i Bóg", ale „My i nasz Bóg". W czasie studiów spotkałam

grupę katolickiej młodzieży akademickiej. Oni się stali dla mnie cząstką życia Kościoła. Przez nich zaczęłam rozumieć Kościół cały i wszystko, co on do wierzenia podaje. Modliliśmy się razem, kochaliśmy liturgię, dyskutowaliśmy często, kończyliśmy na zabawach, śpiewaliśmy na wycieczkach i radośnie witaliśmy każdego kto zechciał być razem z nami.

Choćby wszystkie racje przemawiające za istnieniem Boga stały się niewystarczające, ja mam swój własny niezbity dowód (choć wiem, że dla innych nie ma on znaczenia) na Jego istnienie i na boskość Kościoła. Jest nim działanie Opatrzności i Łaski Bożej w mojej duszy, działanie dziwne, przemawiające pomimo mojej słabości i nikłych wysiłków. A łaska ta spływa poprzez Kościół.

„Bożena" (Sopot)
lat 27
wykształcenie wyższe
Ankieta nr 461

Cechą naszych czasów jest to, że lubimy się wdzierać w tajemnicę duszy ludzkiej nawet bezimiennej. Dzieje bohaterów z książek choćby najbardziej realistyczne nie pociągają nas. Przemawia jedynie stwierdzenie: przeżyłem, doświadczyłem, potknąłem się na tym, a tamto dopomogło mi podnieść się.

I ja lubię czytać pamiętniki. Nie wiem, czy to, co napiszę, przyda się. Jednakże przeprowadzanie tego rodzaju ankiet wydaje mi się potrzebne.

Wiara dla mnie nie była jakimś nagłym odnalezieniem czy zwrotem, lecz procesem narastającym od dnia Bożego Narodzenia, w którym zostałam włączona do Mistycznego Ciała Chrystusa poprzez Chrzest Święty. Wiara wzrastała i wzrasta we mnie przez Sakramenty św. aż do dnia dzisiejszego. Nie wątpiłam. Miałam natomiast trudności.

Modlić się, ściślej mówiąc pacierza nauczyła mnie matka i Jej zawdzięczam pojęcie istnienia Boga. Ojciec niewierzący nie przeszkadzał ani też nie interesował się nigdy moim religijnym wychowaniem. W czasie okupacji z dala od Kraju, wychowywałam się w otoczeniu areligijnym a nawet wrogim religii. Mówiono mi, że Boga nie ma, a nawet kpiono z Niego. Wiarę w Boga podtrzymywał jedynie dom. Była ona dla mnie w tym okresie raczej cechą narodową, taką samą jak język ojczysty.

Powrót do Kraju, to nowy etap. Msza św., sakramenty św., nieznane mi dotąd formy życia religijnego pociągały mnie z przyczyn dla mnie niezrozumiałych. Trudno było wówczas mówić o jakimś rozumowym, głębszym uzasadnieniu mojej wiary. Miałam 11 lat. Nie wiedziałam wtedy, że chrzest św. uczynił mnie zdolną i czułą na sprawy Boże. Od chwili pierwszej Komunii św. byłam wierną

praktykom religijnym. Potem, gdzieś w 14—15 r. życia przyszło przeżycie Boga. Przeżycie osobiste, które równało się niemal doświadczalnemu przekonaniu o Jego istnieniu. Można tylko doświadczyć tego samemu. Jest łaską. Każda Msza św., Komunia św. nawet każda lekcja religii była dla mnie spotkaniem z Nim, spotkaniem oczekiwanym. Rzecz dziwna, w tym okresie miałam najwięcej trudności z wiarą. Nie mogłam pojąć niektórych prawd, np. tajemnica Eucharystii wydawała mi się wprost nie do przyjęcia. Stan ten nie trwał zresztą długo. Łaska wiary usunęła i te przeszkody.

Następny etap przełomowy to okres studiów. Był jednak poprzedzony prawie dwuletnim okresem jakiegoś duchowego stanu pomrocznego, zaniedbaniem pracy nad sobą.

Punktem zwrotnym były rekolekcje akademickie. W tym czasie moja dziecinna jeszcze wiara z dużą komponentą uczuciowości krzepła. Zaczęłam czytać książki o treści religijnej. Dużo czytałam, pragnęłam lepiej poznać Tego, Którego już pokochałam. To nie frazes. Przeczytałam apologetykę, dogmatykę, etykę, historię Kościoła i wiele innych cennych rzeczy teologicznych i ascetycznych. To, co znalazłam, było wspaniałe. Logika wiary, logika dogmatyki i apologetyki wydawała mi się prosta i jasna. Etyka chrześcijańska nieporównanie wyższa od wszelkich innych systemów etycznych.

Historyczność Osoby Jezusa Chrystusa tak oczywista do udowodnienia. To nowe przeżycie wiary szło w parze z pogłębieniem życia religijnego i z kolei ono było konsekwencją mojego utwierdzenia w wierze. Między innymi codzienna Komunia św., stały spowiednik, to zdobycze tamtego okresu. Odtąd wierzę bez zastrzeżeń na podstawie rozumowego uzasadnienia we wszystko to, co Kościół Katolicki, Kościół Rzymski do wierzenia podaje.

Wiara moja ma jednak pewną osobniczą konstrukcję. Wierzę przede wszystkim Jezusowi Chrystusowi, najwspanialszemu Człowiekowi, jakiego wydała ludzkość. Człowiekowi, który jest Bogiem — On sam to powiedział. Jak można nie wierzyć Komuś tak dobremu, tak czystemu, tak bardzo kochającemu każdego człowieka. Nauka Chrystusa nie ma równej sobie. Inne systemy religijne: buddyzm, hinduizm czy islam mimo wielu pięknych momentów, są tylko szczątkami prawdy.

Wierzę więc przede wszystkim Osobie Chrystusa a przez Niego w Boga i we wszystko to, co On objawił. Objawienie pierwotne, proroctwa Starego Testamentu, są dla mnie przedmiotem wiary głównie dlatego, że Chrystus je potwierdził, na nie się powoływał i że stały one w wyraźnej łączności z Osobą Zbawiciela.

Drugorzędną rzeczą w mojej wierze jest przekonanie, że świat

nie mógł powstać sam przez się. Pojęcie wiecznej materii jest dla mnie absurdem.

Wierzę wreszcie w Kościół Rzymski. Władza papieży poprzez Piotra pochodzi wprost od Chrystusa. Jedynie Kościół Rzymski przechowuje nieskazitelną wiarę. Jest to nauka płynąca z Ewangelii.

Jeszcze jedno. Czy nie mam zmysłu krytycznego? Owszem, dostrzegam zło, które działo się i dzieje w Kościele poprzez ludzi. Boli mnie to, nawet bardzo boli. Bowiem wszyscy w Kościele stanowimy jeden nadprzyrodzony organizm i zło wyrządzone przez jednego członka nie może być obojętne dla pozostałych. To moment pobudzający do wynagrodzenia Dobremu Bogu. Jest dla mnie dowodem boskości Kościoła, iż pomimo tylu złych papieży, kapłanów i wiernych istnieje On przez dwa tysiące lat i nic nie zapowiada Jego zmierzchu.

Jeszcze jeden moment wydaje mi się konieczny do podkreślenia. Od pewnego czasu Pan Bóg uczy mnie wierzyć „po ciemku". Są okresy nawet długie, w których poza materią, poza sprawami codziennymi, nie potrafię nic dostrzec. Bóg staje się abstrakcją i czy w ogóle istnieje? Jest to dla mnie okazją, by wyznać Mu swoją wiarę. Rozbijam wówczas *credo* na fragmenty i recytuję jak wyuczony wiersz, powtarzam Bogu często, że wierzę w Niego.

Tak pojęta wiara jest dla mnie radością, istotą życia, bez niej nie miałoby ono dla mnie żadnej wartości. Jest łaską Dobrego Boga.

J. B. (małe miasteczko)
lat 27, lekarz
pochodzenie inteligenckie
Ankieta nr 193

Zostałam wychowana w bardzo katolickiej rodzinie. Zasady wiary, piękno Boga, Pisma św. nauczono mnie tak kochać, że zawsze czułam się zaszczycona tym, że jestem katoliczką. Często korzystałam z sakramentów (od 6-ciu lat).

Chodząc podczas okupacji do szkoły z dziećmi innego wyznania, a nawet będąc przez pewien czas jedyną katoliczką w klasie, nie czułam się zawstydzona, przeciwnie — odczuwałam pewną jakby wyższość, w każdym razie dumę katolika, jeżeli to można tak nazwać u dziecka 11-letniego.

Dalsze życie przyniosło, szczególnie w późniejszym okresie, różne przeżycia, które u niejednego sprawiły, że odszedł od Boga, mnie natomiast ugruntowały w wierze. Dlatego w skrócie pozwolę sobie opisać te lata mojego życia, które ukształtowały we mnie mój światopogląd katolicki i moją głęboką, niezachwianą wiarę.

Choć jestem jeszcze młoda, jednak dosyć dużo miałam przeżyć

właśnie z powodu mojej wiary i chęci pójścia za wiarą. Od dzieciństwa pielęgnowałam najpierw z pomocą rodziców w domu, później sama, życie religijne w sobie. Uważałam za rzecz samo przez się zrozumiałą, że przystępuję do sakramentów, codziennie nawet, gdy mogłam (np. wakacje szkolne). W każdym razie sprawy Boże były zawsze na pierwszym planie.

Przed maturą w wieku niespełna lat 18-stu wysunął się u mnie problem: Bóg mnie wzywa. Czułam to wyraźnie, choć się tego lękałam. Nie miałam dobrego mniemania o żeńskich zakonach, według mnie przestarzałych. Zakonnice zaś nazywałam dewotkami, zdziwaczałymi starymi pannami... Lecz obok tego kwestia studiów, które odbyć powinnam, jak tylko będą możliwości, rywalizowała z tamtym zagadnieniem. Tymczasem zostałam przyjęta na akademię medyczną, więc sprawa powołania została na razie odsunięta na plan późniejszy. Wracała jednak, przy każdej okazji, czy różnych momentach życia religijnego. Przez cały okres studiów toczyłam ciągłą walkę: życie na świecie otwierające się dla mnie młodej, zawód... czy zakon. Wolałam to pierwsze. A jednak poczucie obowiązku wobec wołania Bożego zwyciężyło. O wszystkim tym zadecydowałam sama, bez wiedzy rodziców, prawie bez pomocy spowiednika. Jak już się decyduję, to na całego, — takie było moje rozumowanie. Wybrałam więc jeden z najsurowszych zakonów kontemplacyjnych, jakie znałam. Mimo sprzeciwu rodziny, która wolała mnie widzieć przy sobie, znalazłam się w klauzurze.

Zetknęłam się tam z zupełnie dla mnie nowym światem, którego z początku nie mogłam pojąć. Trudno było mi zrozumieć wartość całkowitego ogołocenia, pokuty i wyrzeczenia się wszystkich zainteresowań intelektualnych. Ze świata materialnego, przeszłam w świat, gdzie jedyny sens mają wartości nadprzyrodzone. Po tym okresie początkowym, zaczęłam powoli poznawać bogactwo życia modlitwy, radość i szczęście obcowania z Bogiem. A także zrozumiałam konieczność i nadprzyrodzony sens zmagania się z własną naturą. Poznawałam przede wszystkim siebie.

Byłam w klasztorze kilka lat. Opuściłam go bez własnego współdziałania wskutek niezrozumienia i nieporozumienia, pełna wewnętrznego rozdarcia, i z przeświadczeniem, że skończył się dla mnie najszczęśliwszy okres życia.

Jakim stał się mój stosunek do wiary i Boga po tym okresie? — Myślę, że stawał się coraz głębszy. Poznawałam, i nieraz i teraz tego doświadczam, wprost namacalnie działanie Boże i Ducha św. we mnie. W miarę, jak poznawałam własną słabość, a oparcie szukane w ludziach zawodziło — nić łącząca mnie z Bogiem stawała się mocniejsza. I tak już pozostało. We wszyst-

kich ciężkich chwilach pierwsza jest u mnie myśl o Bogu. We wszystkich zawodach nieraz tak bolesnych, szczególnie wtedy, gdy istota, którą obdarzyłam wielkim zaufaniem, zawodziła, pozostaje ta myśl, że jedynie Bóg mnie rozumie i kocha. Po prostu Bóg i wiara są dla mnie oparciem we wszystkich ciężkich chwilach życia. Nieraz, gdy wydaje mi się, że załamię się pod nawałem cierpień — właśnie Bóg jest moją siłą, tak że nieraz otoczenie widzi mnie w takich chwilach pogodną i z uśmiechem na twarzy. Życie codzienne tak monotonne niesie ze sobą wiele trudów i zmagań. Często miałoby się ochotę zwątpić w sens i cel tej szarej beznadziejności. W takich chwilach właśnie wiara, przynależność do Kościoła, czerpanie sił z Eucharystii daje mi moc na przezwyciężenie tego wszystkiego. Gdyby nie Bóg — czy nie pozostałoby tylko samobójstwo jako wyzwolenie z tego męczącego zmagania się — walki o byt.

Nie bardzo się dziwiłam, gdy ktoś mi opowiadał o dwóch młodych asystentkach uniwersytetu, które jako powód popełnionego samobójstwa podały, że nie znalazły celu w życiu.

Czy rzeczywiście życie miałoby sens, gdyby nie było Boga i wartości nadprzyrodzonych? — Widząc tyle podłości i egoizmu wśród ludzi, myślę, że życie dla życia samego bez Boga, nie miałoby w ogóle sensu i celu. Po co się męczyć, gdy ze śmiercią wszystko się kończy?

Krótko mówiąc Bóg i wiara jest dla mnie wszystkim. Jestem daleka od wszelkiej uczuciowości w tym kierunku. Właśnie rozum i doświadczenie mnie o tym przekonało. Nie wyobrażam sobie życia bez Boga, względnie wiary od święta, od niedzieli. Albo jest się katolikiem i dzieckiem Kościoła zawsze, na codzień, w przeciwnościach, gdy nas kosztuje przyznanie się czynne do wiary katolickiej — albo nie.

Myślę, że nieraz dużo dałyby dyskusje na tematy religijne. Zwykłyśmy chować nasze poglądy i uczucia religijne i wstydzimy się je ukazywać. Szkoda, że rozmowy na te tematy kończą się przeważnie na krytyce duchowieństwa i kazań. — A teraz co do tych uwag krytycznych. Mnie osobiście, która dużo obcowałam z osobami duchownymi, dziwne się wydaje takie krytykowanie, czy wręcz opowiadanie z pasją rzeczy ujemnych o księżach czy zakonnicach. — Któż zna, ile dobrej woli i wysiłku kryje się właśnie w czynie, który nieraz bywa przez innych potępiony i fałszywie osądzony, a nawet podawany jako powód niewiary. Dla mnie fakt, że Kościół przetrwał czasy głębokiego upadku swoich wyznawców i duchowieństwa, że zawsze się na nowo odradzał jest właśnie argumentem przemawiającym za jego nadprzyrodzonym charakterem.

Wracając do właściwego tematu, chcę tylko to dodać. Nie wiem, jakie niespodzianki życie mi zgotuje. Ale wiarę i Boga stawiam i będę stawiała zawsze na pierwszym miejscu. Zawsze staram się uczestniczyć w codziennej Mszy św. i Komunii św., by stamtąd czerpać siły, radę i pomoc na każdą chwilę dnia codziennego i tam kierować swoje radości i smutki każdego dnia.

Czytałam w „T. P." wypowiedzi przeciwne tej ankiecie. Mnie zaś wydaje się, że ankiety tego rodzaju mają duże znaczenie. I choć pytanie zadane przez powyższą ankietę jest trudne, to jednak warto się nad nim zastanowić. My katolicy często nawet nie wiemy, a raczej nie uświadamiamy sobie — dlaczego wierzymy. Wychowani przez rodziców do wiary nie musimy jej zdobywać, dlatego nieczęsto nasuwa mi się to pytanie „dlaczego"? A jednak warto się zastanowić, czy wierzę dlatego, że mnie tak wychowano, czy są inne powody — dlaczego ja wierzę.

„Fagulus"
lat 26, Student Teologii
pochodzenie chłopskie
Ankieta nr 760

Może to wydać się dziwne, ale czuję, że do mnie skierowane są wszystkie pytania ankiety. Chyba najtrudniej mi będzie odpowiedzieć na pierwsze.

1. Dlaczego wierzę? Do 15—16-go roku życia odpowiedziałbym: bo w tej wierze mnie wychowano, tej wiary nauczyła mnie matka — i ksiądz w szkole... Wtedy nawet nie dopuściłbym do głowy myśli, że można porzucić wiarę. Wiara jednak nakładała obowiązki, po grzechu dręczyła wyrzutami sumienia — toteż czułem się jakby „skazany" na wiarę — i to dożywotnio, bez możliwości apelacji. W miarę jednak zbliżania się do matury starałem się na wiarę patrzeć bardziej krytycznie, z tą nawet myślą, że już byłbym w stanie porzucić wiarę, gdybym przekonał się o jej nieprawdziwości. Zetknąłem się wtedy z książkami wrogimi religii — i takimiż ludźmi. Czasami dyskutowaliśmy nad sprawą światopoglądu, czasem zaglądałem do ateistycznego „Głosu Wolnych". Co raz bardziej utwierdzało mnie to w przekonaniu, że ci ludzie nie mają racji (choć nie zawsze umiałem zbić ich dowody) — słowem — doszedłem do przekonania, że oni religię i Kościół krzywdzą. A więc starałem się bronić słusznej sprawy przeciwko krzywdzącym atakom.

Z drugiej strony — coraz wyraźniej zacząłem widzieć, jak wielu — w moim środowisku i otoczeniu — katolików życiem przeczy swej wierze. I sam nie byłem od tego wolny. Trochę słabość woli, trochę obawa, by się przypadkiem nie wyróżnić... Chodziłem do spowiedzi 3—4 razy w roku, ale raczej tylko dla tra-

dycji, z obowiązku — nie z wewnętrznej potrzeby. Wstydziłem się, gdy ktoś zauważył, że po spowiedzi staram się być lepszy, że próbuję się trochę zmienić. Po paru dniach wracał jednak znowu dawny stan...

A jednak stale dręczyła mnie myśl, że i moje życie — i wielu innych, to jakaś potworna karykatura katolicyzmu, że powinno być zupełnie inaczej, że musi być inaczej, że musi nastąpić jakaś zmiana zasadnicza, że dobro musi w końcu pokonać zło — i we mnie i w innych.

Zacząłem też wtedy rozróżniać księży. Widziałem dobrych, gorliwych, ofiarnych — i chciwych, niesumiennych, „odwalających robotę", czyniących dom Boży jaskinią zbójców... Dziś widzę, że moje ówczesne oceny bywały często przejaskrawione na plus lub na minus, ale fakt pozostaje. I wtedy odzywał się głos wewnętrzny: trzeba inaczej, lepiej...

Można powiedzieć, że widząc nędzne kopie, czy wręcz karykatury — tęskniłem za oryginałem, który (czułem to mocno, choć niezbyt wyraźnie) musi być jakiś wspaniały, olśniewająco piękny.

Tak zjawiło się powołanie do kapłaństwa. Wstąpiłem do seminarium (choć akurat parę miesięcy przedtem zdążyłem się zakochać). Po dwóch latach przerwałem studia — z własnej zresztą winy, ale po czteroletniej przerwie powróciłem znowu.

Jak teraz wierzę? Chyba tak samo, jak dotąd — w ostatnim okresie — z tym, że teraz jaśniej rozumiem, że wiara to nie tylko akt z mojej strony, ale także Łaska. Teraz częściej modlę się o Łaskę, bym mógł lepiej wierzyć. Bo lepiej teraz rozumiem, jak słabą jest jeszcze moja wiara.

Nie potrafię dokładnie wyjaśnić, jak to się stało, co spowodowało, że zaczynam po trosze rozumieć, iż to nie slogan, nie banał, że Bóg jest miłością. I dlatego perspektywa utraty wiary kojarzy mi się od razu z jakąś druzgocącą katastrofą mojego „ja", z jakąś niewyrażalnie wielką utratą... — Wyrzec się Miłości, Dobra?... Nie, nie wolno mi dopuścić nawet myśli o tym. Za wszelką cenę bronić się przed tym.

Zamiast „skazanym" na wiarę czuję się teraz obdarzonym Łaską wiary i pragnę wierzyć coraz mocniej.

2. Dlaczego wątpię? Wiem, że czasem wątpię, czasem nie rozumiem czegoś, czasem budzi się wątpliwość: a może jednak tak nie jest? Może przeciwnicy mają trochę racji? Wątpliwości te z zasady nie dotyczą wiary w ogóle, lecz tylko pewnych szczegółów.

Wtedy albo proszę: „Panie, zaradź niedowiarstwu memu... przymnóż mi wiary" — albo sam siebie próbuję uspokoić, mówię:

„uspokój się człowieku, pogódź się z tym, że nie wszystko pojmiesz i zrozumiesz. Zaufaj, jak dziecko matce. Pewnych rzeczy tak zupełnie, jasno zrozumieć i wyjaśnić się nie da. Gdybyś chciał wszystko pojąć, to co zostałoby dla mądrzejszych od ciebie, z paroma doktoratami — nie mówiąc już o takich Kantach, czy Einsteinach..."

Uspokajam się tym, że wiara musi mieć tajemnice, musi być „trudna", by mogła imponować nawet najtęższym umysłom.

3. Dlaczego odchodzę? Formalnie nie odchodzę, ale *de facto* odchodzę od wiary wtedy, kiedy grzeszę. Dlaczego? Słabość woli, brak wytrwałości, nieopanowanie siebie...

A jednak wierzę, bo zawsze czuję konieczność poprawy, tak jak się czuje konieczność oddychania.

A. M. G. (Gdańsk)
lat 25, studentka
pochodzenie inteligenckie
Ankieta nr 110

Wiara — jako zjawisko psychiczne jest — moim zdaniem — przyjęciem jakiejś prawdy ze względu na autorytet osoby, która ją podaje.

Już jako dzieci — wierzymy w to, co mówią nam rodzice, później — nauczyciele, jeszcze później — pisarze, naukowcy, ludzie których wiedzę i kompetencje uznajemy, a którzy nas ciągle — przez całe życie wzbogacają, podając jakieś prawdy. Wierzymy im. Najczęściej przyjmujemy owe prawdy bez sprawdzenia.

Sądzę, że wiara w Boga jest takim samym aktem psychicznym — dlatego nie powinno się go określać jako „wiarę w Boga", a raczej „wiarę Bogu".

Wiemy, że ileś tam lat temu żył Człowiek (i to jest fakt, który możemy naukowo udowodnić), który mówił sobie, że jest Prawdą i że daje świadectwo prawdzie. Znamy Jego naukę i Jego życie, możemy — czytając Ewengelię — poznać pewne cechy Jego Osobowości. Możemy się więc zorientować, że zasługuje na zaufanie. Możemy także dowiedzieć się o Jego „kompetencjach": Jego cudach i zmartwychwstaniu. (Ewangelie są dokumentem historycznym). On powiedział, że jest Bogiem — i ja Mu wierzę.

I to jest wszystko. „Gwoli uczciwości" muszę dodać (bo to podobno b. nieortodoksyjne), że wszelkie dowody na istnienie Boga nie są dla mnie wcale dowodami — są jedynie „hipotezą naukową", mającą duży procent prawdopodobieństwa. (Gdybyśmy udowodnili istnienie P. Boga nie byłoby wówczas mowy o wierze: byłby to naukowy pewnik).

A teraz chciałabym jeszcze dodać coś — niezupełnie ankietowo. Proste — zdawałoby się — rozumowanie, jakie przedstawi-

łam wyżej przez dłuższy czas nie było dla mnie wcale ani proste, ani łatwe. Miałam mnóstwo zastrzeżeń i wątpliwości zarówno w stosunku do Kościoła jak i do samej religii. Jezus z Ewangelii był dla mnie również mało osobisty i żywy. Nie wiem, czy bym Go „znalazła".

Tak się jednak złożyło, że spotkałam wówczas kilku ludzi, którzy byli z Nim bardzo blisko. Ich życie było świadectwem Jego prawdy. Ten namacalny konkret był początkiem mego „odnalezienia". Sądzę, że wielu ludzi wątpi i odchodzi właśnie dlatego, że nie spotkali w swoim życiu — w pewnym okresie — „żywych świadectw" Boga. Oczywiście — zdaję sobie sprawę, że droga „przez konkret" nie jest drogą jedyną, ani konieczną — nie jest też prawie drogą najdoskonalszą — a jednak jest bardzo ludzka i bardzo naturalna.

Myślę, że On się tą drogą lubi posługiwać — tym większa nasza odpowiedzialność.

B. C. (mała wieś)
lat 24
wykształcenie wyższe
pochodzenie chłopskie
Ankieta nr 429

Wydaje mi się, że jest niezwykle trudno odpowiedzieć wyczerpująco na pytania postawione w ankiecie, a to dlatego, że w uzasadnieniu naszego stanowiska w kwestii wierzę — wątpię — odchodzę niemałe znaczenie odgrywają — obok motywów ściśle rozumowych — uczuciowe nastawienie wobec tych zagadnień, oraz jakieś „wyczucie" Prawdy. Stąd niejednokrotnie nasza wypowiedź jest nieadekwatna w stosunku do naszego „wnętrza", czy też wydaje się — w oczach innego człowieka — jakaś śmieszna, małostkowa i niezupełna. Dlatego też moja odpowiedź na ankietę nie wyczerpuje bez reszty zagadnienia uzasadnienia mojej wiary.

Dlaczego wierzę? Jeśli staram się przypomnieć najwcześniejsze fakty z mojego życia, to jednym z najwyraźniej zarysowanych „obrazów" jest ciemny wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, oraz modlitwa mojej Matki. Właśnie Ona „nauczyła" mnie wierzyć. Wiejskie otoczenie raczej nie sprzyjało konfrontacji mojej wiary z innymi poglądami. Mimo to, właśnie ze szkoły powszechnej, dzięki księdzu Z., katechecie szkolnemu, wyniosłem (jak mi się wydaje) prawidłowe spojrzenie na religię i wiarę. Dopiero czasy licealne, a w końcu studia uniwersyteckie zmusiły mnie do szukania uzasadnień, oraz dokonania wyboru. Bodźcem do poszukiwań stała się w dużej mierze prasa i literatura marksistowska.

Dosyć dawno temu borykałem się z chaosem nakazów i zakazów etyki katolickiej oraz tzw. dogmatów. I zaczynało mi się już wy-

dawać, że „to wszystko" nie ma sensu, że się to nie „trzyma kupy". Jednak w wyniku dalszego, dokładniejszego zaznajamiania się z literaturą religijną, ze zdumieniem stwierdziłem, że dogmatów nie ma dużo, a w każdym razie jest ich mniej niż dotąd myślałem. A treść tych, które są, okazała się w paru wypadkach trochę inna niż sądziłem. Zacząłem rozgraniczać filozofię od religii. Również etyka wydała mi się inna, gdy zobaczyłem, że główny akcent winien być w niej położony na wartości pozytywne. Wszystko to zaczęło się od nowego spojrzenia na Kościół.

Jeszcze w czasach sztubackich niejednokrotnie pytałem, po jaką cholerę istnieje ten Kościół? Po co te wszystkie nabożeństwa, te obowiązkowe Msze św., spowiedzi, budowle sakralne itp. itd.? Wtedy problem zbawienia wydawał mi się jakoś bardziej „abstrakcyjny", a Bóg jakoś odległy, nieosiągalny, nieludzki, nie nasz ojciec. I czasem wydawało mi się, że ta cała machina kościelna jest po to, by człowieka gnębić, by go poniżyć przed „majestatem boskim". Aż kiedyś zetknąłem się z twierdzeniem, że Bóg jako wszechmogący i najdoskonalszy nie potrzebuje naszego uwielbienia i że cześć, którą Mu oddajemy, nie czyni Go jakoś bardziej dostojnym. A zatem te wszystkie obowiązki katolika są po to, by hierarchia kościelna mogła go trzymać za mordę, albo dla jego dobra. Ta pierwsza motywacja wydała mi się, w świetle faktów, śmieszną i wulgarną, wybrałem więc drugą i w Kościele dostrzegłem... Chrystusa. W miarę możności poszły dociekania nad Jego bóstwem. Ich wynikiem było jakieś przekonanie się o boskości Chrystusa, oraz bliższe zetknięcie się z Nowym Testamentem. Właśnie to „odkrycie" i zrozumienie (tak mi się wydaje) istoty Kościoła jako nadprzyrodzonego organizmu, uważam za bardzo ważne i decydujące w mojej wierze. W jego świetle inaczej spojrzałem na niechlubne karty historii Kościoła (jak np. palenie heretyków, mieszanie teologii z naukami przyrodniczymi, itp.), które dawniej były dla mnie kamieniem obrazy. Zobaczyłem w Kościele — jak się to mówi — czynnik boski i ludzki. Wiele trudnych problemów jak np. istnienie zła w świecie, wolność woli ujrzałem w innym świetle, właśnie przez „pryzmat" Chrystusa. Kościół przestał mi się kojarzyć z klęczącymi (bardzo przepraszam za wyrażenie) starymi babami i śpiewaniem nielubianych przeze mnie, pieśni do Najśw. Serca P. Jezusa i eucharystycznych.

Liturgia przestała być, w moich oczach, formalizmem. Głównie dzięki mszalikowi pod tymi znakami i w starych tekstach zacząłem dostrzegać „treść" i co dziwniejsze — ta treść okazała się potrzebna w życiu codziennym, okazała się praktyczna. Zrozumiałem, że formy kultu są produktem rozwoju historycznego i jako takie zmienne. A wprowadzenie nowych form, właśnie takich, które

będą się nam podobać, leży przecież — w dużej mierze — w naszych rękach. Stąd moje wewnętrzne bunty przeciwko konserwatyzmowi Kościoła w niektórych sprawach liturgicznych stały się mniej ostre. Bo trzeba patrzeć na to, co wyraża forma, a nie na nią samą. Przecież Msza św. nie straciła nic ze swojej istoty jako Ofiara Krzyża, mimo że była „odprawiana" pod kocem na pryczy w obozie koncentracyjnym.

Dotąd nie wspomniałem o problemie istnienia Boga. Bo też nigdy co do tego nie miałem wątpliwości. Od dawna „wyczuwam" Go w pięknie przyrody i w pracy ludzkiej. Życie ludzkie nie miałoby dla mnie sensu, gdyby On nie istniał. Gdybym nie wierzył w Boga i w życie pozagrobowe, to już dawno, swoim najbliższym i sobie, byłbym palnął w łeb, by się pozbyć raz na zawsze bardzo licznych kłopotów i trudności. Nie znaczy to, bym swoją wiarę w istnienie Boga opierał tylko na tym. W miarę stykania się z innymi poglądami trzeba było szukać argumentów rozumowych. Im bardziej dokładnie staram się poznać argumentację za istnieniem Boga i przeciw Niemu, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że On istnieje. (Trudno tutaj podać szersze uzasadnienie tej wypowiedzi, wspomnę tylko, że np. na gruncie teorii ewolucji — w jej aspekcie filozoficznym — monizm panpsychiczny prowadzi do sprzeczności, bo coś więcej nie może powstać z czegoś mniej bez dostatecznej przyczyny; jeśli istnieje rozwój, to musi istnieć czynnik warunkujący ten rozwój; tego czynnika nie można doszukać się w samych bytach, on istnieje poza nimi, a nazywamy go Pierwszą Przyczyną czy też Bogiem). — Poza tym nikt mnie nie przekonał, że można zbudować poprawny logicznie system etyki bez owego punktu odniesienia jakim jest Bóg. Nawet prof. Kotarbiński (*Zagadnienie etyki niezależnej* w pracy *Sprawy sumienia*, 1956 r.) popełnia błędy logiczne m. inn. „czyn zacny" definiuje *idem per idem*.

Etyka katolicka wydaje mi się być bardziej racjonalistyczna niż etyka niezależna. A poza tym cechuje ją życiowość. Właśnie życiowość. Chociaż czasem słuchając argumentacji przeciwko stanowisku Kościoła w kwestii np. stosowania środków antykoncepcyjnych, przedmałżeńskich, czy pozamałżeńskich stosunków seksualnych, zaczyna mi się wydawać, że Kościół rzeczywiście powinien zmienić trochę swoje stanowisko, to jednak, gdy stanie mi przed oczyma życie — właśnie konkretne, szare życie — nie widzę innego rozwiązania jak tylko katolicką etykę seksualną. — W czasach w których programowo deptało się godność osoby ludzkiej, nie pozwalając jej rozwijać się tak, jak ona chce, katolicka etyka społeczna była dla mnie podporą i nadzieją.

Z tego, co napisałem, może wydać się, że moja wiara obywa się bez burz i konfliktów. Tak nie jest. Często przeżywam tragiczne

rozdarcia duchowe i wydaje mi się, że „niebo staje w ogniu". Ale tak już być musi, bo wiara (chociaż jest dziełem łaski) — to nie manna spadająca z nieba. Trzeba ją sobie wypracować w pocie czoła. Trzeba ją codziennie budować, trzeba codziennie wybierać. I nie moglibyśmy powiedzieć, że wierzymy, jeśli nie mielibyśmy (jak to słusznie podkreśla p. J. Prokop — *Notatki o pewności*, „Więź", 1/1960) ciągłego naporu wątpienia. W ą t p i e n i a, ale nie z w ą t p i e n i a. Na zwątpienie nie ma miejsca, jeśli zaufało się Naszemu Ojcu.

Na marginesie ankiety i toczącej się dyskusji wokół zagadnienia „niebo nie staje w płomieniach" pragnę uczynić tych parę uwag. Wielokrotnie uderzała mnie postawa niektórych katolików stwierdzających, że Kościół zrobił to i tamto. I zawsze w takich wypadkach traktowało się Kościół jako coś zewnętrznego w stosunku do nas, w czym my nie mamy żadnego udziału. Kościół to zawsze są oni (!), ale nigdy my. A przecież — pomijając już nasze zaangażowanie w życie Kościoła — właśnie my, przez swoje postępowanie w codziennym życiu, wpływamy na ogólny poziom łaski w rezerwuarze Kościoła. A właśnie ten ogólny poziom decyduje jakoś o obliczu Kościoła.

Podobnie sprawa wygląda z kazaniami. Narzekamy (i słusznie), że księża mówią do nas niejednokrotnie językiem, którego my nie rozumiemy, że rozumują w sposób archaiczny, że nie znają naszych problemów, z którymi się borykamy, że swoim postępowaniem „w życiu prywatnym" zniechęcają nas do Kościoła, że itp. itd. Wszystko to przypisujemy winie księży. Ja nie chcę ich tutaj wybielać, bo wiem, że wina niejednokrotnie leży po ich stronie, ale my też znowu nie jesteśmy tak całkiem w porządku. Bo czy i kiedy decydujemy się iść do księdza i porozmawiać z nim tak po prostu, przedstawić mu swój punkt widzenia i swoje trudności, powiedzieć, co nas denerwuje, co chcielibyśmy zmienić? Obawiam się, że dzieje się to bardzo rzadko. I jak w takich warunkach ksiądz może wiedzieć, co i jak my myślimy? (Sądzę, że sama znajomość prasy, literatury współczesnej, filmów, itp. nie może tutaj wystarczyć księdzu). Spotkał mnie kiedyś zarzut, że w wypadku, gdy nie wiem jakie jest stanowisko Kościoła w jakiejś kwestii, to informacji chcę zasięgnąć u księdza. Więc kogo mam się radzić jeśli nie fachowca?

Kilkanaście tygodni temu usłyszałem opinię jednego studenta (zupełnie serio), że Wniebowstąpienie to... koniec adwentu. — Znam młodą parę studencką. Ona podarowała mu, przy jakiejś tam okazji, mszalik niedzielny i świateczny. — Gdy w niedzielę widzę na Mszy św. dziesiątki studentów (i nie tylko ich) bez mszalika w ręku, to ogarnia mnie pasja. Przecież w kościele nic się nie robi, by spopularyzować mszalik. A może dobrze byłoby tytułem próby

kupić kilkanaście mszalików i wypożyczać je wchodzącym do kościoła, by przynajmniej zobaczyli, jak on wewnątrz wygląda. (Pomysł mojego kolegi). Może przekonają się, że mszalik ułatwia modlitwę.

Kiedyś mój kolega powiedział, że Msza św. recytowana jest dla „wtajemniczonych", że klepiemy na niej modlitwy, których nie rozumiemy, że w kościele powinno się dużo śpiewać, itp. Zupełnie nie brał pod uwagę znaczenia społecznej modlitwy Kościoła. Wydaje mi się, że argumentów na uzasadnienie jego stanowiska dostarczają częściowo uczestnicy Mszy św. recytowanej. Dlaczego u licha np. na Mszy św. recytowanej o godz. 8, w Kościele św. Anny w Krakowie, po Komunii św., prawie wszyscy „śpią" nie reagując prawie zupełnie na słowo kapłana. Bardzo przepraszam, że powiedziałem „śpią". Trzeba było powiedzieć: modlą się, ale każdy przed swoją figurą.

Napisałem, że wiarę trzeba sobie wypracować w pocie czoła. Ten trud polega na zdobyciu pewnej postawy praktycznej na podłożu przemyśleń prawd wiary i postulatów etyki. Chcąc jednak dokonać przemyśleń, trzeba mieć (rzecz jasna) pewien zasób wiadomości. Ta szczątkowa wiedza o religii i wierze wyniesiona ze szkoły lub katechez w kościele jest rozwijana później głównie tylko przez wysłuchiwanie kazań. To zupełnie nie wystarcza. Stąd konieczność lektury. Mówi się, że brak czasu. To nie jest argument, bo religia dotyczy istoty naszego życia. Nie wiem, dlaczego człowieka, który stara się pogłębić swoje wiadomości religijne i którego spotyka się z jakimiś dziełami na tematy religijne czy filozofii chrześcijańskiej, czy też z czasopismami katolickimi w ręku, uważa się często za dziwaka, człowieka „nie swojego", czy nawet „nakręconego" przez „koła klerykalne".

Niepokoi mnie chwila, kiedy po skończeniu studiów, trzeba będzie wyjechać na prowincję. W Krakowie mam do dyspozycji w bibliotekach (głównie w Bibliotece Jagiellońskiej) całą masę literatury religijnej, z której w razie potrzeby korzystałem. Na prowincji nie będzie nic. Budżet własny nie pozwoli na kupienie wielu książek, a wypożyczyć nie będzie skąd. (Nie biorę tutaj możliwości wypożyczenia literatury od księdza, bo nie lubię pożyczać od kogoś książek, które są jego własnością). Opowiadano mi raz o bibliotece parafialnej istniejącej w pewnym małym miasteczku. Właśnie taka biblioteka rozwiązałaby wiele kłopotów z literaturą religijną na prowincji. Zdaję sobie sprawę z trudności przy organizowaniu takiego zbioru książek i niektórych czasopism. Ale przecież coś zawsze dałoby się zrobić. Nie chodzi o robienie konkurencji bibliotekom miejskim czy gromadzkim. W bibliotece parafialnej zgromadziłoby się książki religijne, a więc takie jakich właśnie brakuje w bibliote-

kach miejskich i gromadzkich. Wszystkie te biblioteki razem wzięte dobrze by się uzupełniały. Sądzę, że wielu ludzi rzuciłoby na tacę po parę złotych na zakup książek. Trudniejsza sprawa lokalu. Ale przecież może go zastąpić zakrystia, jakaś boczna kaplica w kościele, czy jakieś pomieszczenie na plebanii. Obsługę takiej biblioteki nie koniecznie musiałby prowadzić ksiądz. A gdyby już książki były, to i zainteresowanie nimi też by chyba rosło. Te myśli o bibliotece nasunęła mi sytuacja, jaka panuje w dziedzinie dobierania książek do bibliotek publicznych.

A czy nawet ludzie niewierzący nie powinni znać drugiej strony?

A. G. (Kraków)
lat 24 wykształcenie średnie
pochodzenie chłopskie
Ankieta nr 146

Odpowiedź moja na ankietę z konieczności będzie mało przemyślana i pobieżna, ponieważ nie dysponuję większą ilością czasu, a chciałbym jednak pomimo wszystko odpowiedzieć na apel Redakcji.

Odpowiadam na dwa pierwsze pytania. Drugie pytanie będzie dotyczyło czasu przeszłego. Trzecie natomiast sądzę, że mnie nie dotyczy (chociaż przy głębszej analizie faktów związanych z drugim pytaniem, można by włączyć do odpowiedzi i trzecie pytanie).

Dlaczego wierzę?

Na to pytanie nikt z ludzi nie będzie mógł wyczerpująco i definitywnie odpowiedzieć, ponieważ wiara w ostatecznej instancji jest Łaską, a ta jest rzeczywistością duchową i nadprzyrodzoną i w swej istocie dla nas tajemniczą. Ale Łaska w świecie ludzkim bazuje na naturze, uzupełniając ją i potrzebując jej dla „zaczepienia" się na niej. (W tym wypadku „materia jest pierwotna, duch zaś wtórny"). Stąd też w nas mogą istnieć lub nie istnieć dyspozycje do przyjęcia tej Łaski, czyli do wiary. Dyspozycje te są w większym lub mniejszym stopniu zależne od nas samych, i w tym właśnie sensie możemy mówić o wierze jako o zjawisku dla nas zrozumiałym, nam znanym i od nas zależnym.

Wierzę dlatego, że przestając wierzyć, musiałbym zaprzeczyć sobie. Ale to nie jest jeszcze najważniejsze, to jest tylko racja subiektywna (wydaje mi się, że ludzie, którzy nie wierzą, też są zbyt subiektywni i nie chcą zaprzeczyć sobie, swoim subiektywnym racjom — chociaż rzutowanym obiektywnie). Najważniejszym jednak jest to, że przestając wierzyć musiałbym zaprzeczyć obiektywnej racji istnienia wszelkiego bytu. Przede wszystkim istnienia, a potem praw, poznania, porządku itp. tego bytu. A tego uczynić

nie mogę, bo inaczej musiałbym sobie powiedzieć, że nic kompletnie nie rozumiem, cały świat byłby dla mnie czymś irracjonalnym, albo musiałbym się opowiedzieć za absurdem.

A więc istnienie Boga jest dla mnie postulatem rozumu, konsekwencją poznania obiektywnej rzeczywistości, co jest dostępne dla każdego, bo już nieletnie dziecko poznając otaczającą go rzeczywistość pyta: „co to" i „kto to zrobił", czyli skąd się to wzięło.

Ale to jeszcze nie jest wiara, to dopiero początek. Wiara to „ustawiczna zgoda rozumu i woli na Prawdę Objawioną". I tu dochodzimy do sedna sprawy. Trudno jest się nie zgodzić, nie afirmować, nie realizować Prawdy Objawionej, gdy się ją poznało. Mieści ona w sobie tak wspaniałą i przeobfitą treść, że nie można przejść obok niej obojętnie. Nacechowana ona jest prawdziwie ludzkim i Bożym zarazem humanizmem. To głęboki humanizm. Wspaniały uniwersalizm. Prawda objawiona — to przecież fakt historyczny. Pewnie że o faktach można różnie mówić, można je różnie interpretować a nawet uczynić z nich fikcję. *Ze wszystkiego można uczynić frazes* — pisze F. Engels w jednej ze swoich prac. Aby się o tym przekonać, niekoniecznie trzeba żyć sto lat, wystarczy dwadzieścia cztery. Poznanie Prawdy Objawionej leży w możliwościach poznania historycznego: *contra factum nullum argumentum.*

A więc wierzę w Boga, o którego istnieniu można się przekonać, gdy się tylko chce podjąć trochę trudu szukania. Dalej wierzę tym wszystkim „informacjom", których nam Ten Bóg udzielił w całym dziele Swego Objawienia się człowiekowi, a przede wszystkim w samego „Informatora" a zarazem Pośrednika między nami a Bogiem. Wierzę, a o wiarogodności tych faktów można się przekonać. Ale i tu trzeba zdobyć się na pewien wysiłek.

Dlaczego wątpię?...

Teraz wiem komu wierzę i dlaczego. Ale tak nie było zawsze. Był czas w którym wątpiłem. Był to okres zmagań ze samym sobą, z otoczeniem, okres konfliktów i walk. Okres buntu, „nieba w płomieniach", ale zarazem okres usilnych poszukiwań. Długi to był okres, kilku lat. Niedawnych lat. Były to piękne lata — bo trudne, i to pod każdym względem.

Szukałem różnych dróg. Zaczęło się od „dramatu". Zresztą gdy się spotkałem z nim po raz pierwszy, w pierwszej chwili nie wywarł na mnie większego wrażenia — było to w 8-mej klasie, widocznie nie rozumiałem go dostatecznie. Ale wyzwanie zostało rzucone. Gdzieś w podświadomości dojrzewały zalążki kryzysu, który zbliżał się pełną falą. Miał objąć wszystkie dziedziny mego życia.

Z domu rodzinnego wyniosłem tradycyjne wychowanie religijne, takie jakie spotykało się dotychczas w większości na naszych „zapadłych” wsiach. Tradycyjne tzn. mierne, przeciętne, cechujące się dosyć regularnym spełnianiem praktyk religijnych. Religijność moja nie była jednak pozbawiona pewnego, dosyć dużego ładunku dynamicznego, chociaż chwilowo uśpionego. Zawdzięczam go memu ojcu, który religię traktował jako najważniejszą sprawę życia (chociaż z pewnym pominięciem praktyk religijnych). Ponadto wyniosłem z domu głębokie poczucie sprawiedliwości i postawę otwartą na wszelką prawdę. Te cechy charakteru zostały we mnie ugruntowane pod wpływem atmosfery domowej, która aczkolwiek była dość paradoksalna, to jednak rodzice moi nie znosili cienia zakłamania, fałszu i obłudy. W ich postępowaniu zawsze była szczerość, otwartość i prostota a ponad to wszystko poświęcenie. Za to im jestem najbardziej wdzięczny. Poza tym opuszczając dom w 14-tym roku życia wyniosłem z sobą duże doświadczenie życiowe, oraz pasję poznania świata, który stanął przede mną otworem.

W miarę poznawania świata i życia zbliżał się kryzys coraz bardziej, chociaż powoli, bardzo powoli, ale nieuchronnie. Nowe środowisko też nie pozostało bez wpływu. Ja byłem czujny, przeczuwałem, że coś może nastąpić. Uporządkowałem praktyki religijne a nawet je wzmogłem. Szukałem ucieczki w tradycyjnej apologetyce (Ks. Bartynowskiego i inne). Ale tradycyjna apologetyka to za mało jak na nasze czasy. Wprawdzie kryzys został zażegnany, ale tylko zażegnany. Aby go zlikwidować, trzeba było dobrać się do jego korzeni, a na to widocznie nie przyszła pora.

Przyszedł wreszcie moment, w którym dotychczasowe bariery i zapory nie wytrzymały. „Niebo stanęło w płomieniach” a wraz z nim wszystkie dotychczasowe poglądy na świat, człowieka, społeczeństwo, politykę. Wtenczas sięgnąłem ponownie do marksizmu. Ta koncepcja świata nęciła mnie stale. Zacząłem teraz naprawdę poznawać marksizm. Podobał mi się. Był dosyć łatwy, zrozumiały. Pociągał wyobraźnię. Nie tylko doktryna filozoficzna ze swoją wspaniałą dialektyką, ale i materializm dziejowy — zwłaszcza ten — przypadł mi do gustu. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie małe „ale”. Mianowicie po dokładniejszym zapoznaniu się z materializmem zaczęło coś „nie klapować”. I znowu zaczynają mi skrzydła opadać. Jednym słowem, kryzys w kryzysie. Chociaż pragnę tu zaznaczyć, że marksizm nauczył mnie dużo, bardzo dużo. Dialektyka przeciwieństw to nie głupia rzecz. Wreszcie uległem sceptycyzmowi, a raczej zwątpiłem w możliwość prawidłowego rozwiązania sporu o naturę rzeczy. Przecież historia filozofii dostarcza nam dziesiątki a nawet setki różnych rozwiązań tej kwestii. Sądzi-

łem, że nie warto zajmować się filozofią, że lepiej poprzestać na empirycznych stwierdzeniach.

Próbowałem również i egzystencjalizmu. Pociągał mnie ten system. Jest atrakcyjny. Ale na próżno. Człowiek jednak chce wiedzieć. Nie chce wisieć w próżni.

Aż w końcu tomizm wskazał mi metodę, sposób racjonalnego, obiektywnego rozwiązania zagadki istnienia świata i jego racji. Tomizm — system to niełatwy, nic tu nie pomoże wyobraźnia, a raczej może zaszkodzić. Wymaga myślenia ścisłego, pojęciowego. Oczywiście nie jest on bez „ale", ale zdaje mi się, że nic na tym świecie nie jest bez „ale". Odtąd zacząłem dostrzegać korzenie mojego kryzysu religijnego. Było ich wiele. Wyrastały na różnych glebach. Najpodatniejszą glebą dla kryzysu religijnego jest słaba wola (jest jeszcze gorzej, gdy jest zdeprawowana, zła) i ignorancja w dziedzinie prawd religijnych. Uderzyłem przede wszystkim w to drugie, po prostu w swoją niewiedzę, bo tu tkwił najgłówniejszy powód kryzysu. Teraz się go już nie bałem. Ha! jaki on był świetny, ileż on mnie nauczył rozumu! Teraz rozumiem dlaczego Kościół śpiewa *O felix culpa.*

Zacząłem się uczyć, dosłownie uczyć się religii i o religii. Ale tak solidnie, nie z gazet i broszur, ale z naukowych opracowań. Niejednokrotnie trzeba było sięgnąć do opracowań w obcym języku, aby dotrzeć do źródeł. Okazało się, że ja dotychczas nie wiedziałem, co to jest właściwie ta religia, co to jest wiara, co to jest Objawienie, Pismo św. Nie wiedziałem, co to jest Kościół: Historii Kościoła nie znałem kompletnie, z wyjątkiem kilku banałów wyczytanych z gazet. Nie wiedziałem, co to są sakramenty św., co to jest Łaska. O Mszy św. miałem szczeniacze wyobrażenia. Sprawa dogmatów i ich rozwoju — *(quoad nos)* — była to dla mnie *terra ignota.* Cała dziedzina kultu i liturgii również przedstawiała się nie lepiej. O teologii miałem zupełnie zielone pojęcie. Ot i takiego zastał mnie kryzys. I nic dziwnego, że „niebo stanęło w płomieniach".

Ale to nic. Rozumu uczymy się w życiu, a nieraz nauka ta drogo nas kosztuje. Cholernie drogo. Na pewno drożej niż sądzimy. A najgorsze to to, że nie tylko my sami za nią płacimy.

Na wstępie zaznaczyłem, że wiara jest Łaską otrzymaną od Boga. Łaska zaś jest społeczna. — Na pewno wiara niejednego z nas jest zasługą może jakiejś prostej babiny ofiarującej swe różańce i pracującej mozolnie gdzieś na zapadłej wsi lub gorliwego mnicha czy mniszki zamkniętych w celi klasztornej. A z drugiej strony, musimy pamiętać o tym, że za niewiarę naszych bliźnich jesteśmy i my odpowiedzialni. Warto o tym pamiętać przy rozpatrywaniu pytania „Dlaczego wierzę?", „Dlaczego wątpię?".

N. N. (Gdańsk)
lat 24
lekarz
Ankieta nr 92

Dlaczego wierzę? Wierzę, bo katolicyzm daje mi odpowiedź na zasadnicze pytania, kim jestem, skąd i dokąd idę, nadaje życiu memu sens, daje jednolity obraz świata. Sprawy te wydają mi się zasadnicze. Chcę jednak mocno podkreślić, że wiarę swoją staram się oprzeć na konkretnych fundamentach — na możliwie solidnym poznaniu rozumowym podstaw wiary, na przemyśleniu argumentów za i przeciw, na przekonaniu o prawdziwości Objawienia.

Wierzę dlatego, że jestem przekonany, że t y l k o k a t o l i c y z m n i e s i e p e ł n ą p r a w d ę, a nie tylko dlatego, że wiara jest mi potrzebna jako pion w życiu.

Pierwszym etapem był u mnie katolicyzm tradycyjny, który jednak starałem się przekształcić w katolicyzm świadomy.

Nie odżegnując się od momentu powiązania uczuciowego z katolicyzmem, uważam jednak tę sprawę za drugoplanową, stawiając na pierwszym miejscu świadome przemyślenie i przyjęcie wiary, a konsekwentnie i całej etyki katolickiej.

Pragnę skorzystać z okazji, by podziękować p. Gołubiewowi za pomoc w uporządkowaniu wielu z tych spraw poprzez artykuł ze „Znaku" — *Dlaczego jestem katolikiem* oraz *Listy do przyjaciela.*

„Monada" (Kraków)
lat 23
student
Ankieta 458

Trudno jest wywlekać swoje własne przeżycia. Tak, ale z przeżyciami wiążą się takie czy inne postawy życiowe; postępowania, decyzje. Najczęściej wiara nasza opiera się na głębokich pobudkach, na przemyśleniach — a jednak nie zawsze umiemy je sobie uświadomić. Postawione pytanie: Dlaczego...? zaskakuje nas. Wiemy dlaczego, a tak trudno odpowiedzieć na to pytanie.

Wychowałem się na wsi, choć nie w rodzinie rolnika. Ojciec pracował na kolei. Kupił małe gospodarstwo, wybudował dom. Dzieciństwo moje przypada na lata wojny. (Miałem 1 rok gdy wybuchła wojna). Nastały ciężkie lata. Brak odzieży, wyżywienia. Choroba ojca, śmierć... W jakiej atmosferze moralnej wychowywałem się? Dokąd sięga moja pamięć notuję atmosferę bardzo nerwową. Walka o byt komplikowała życie. Tatusia nie pamiętam, nie mogę więc nic powiedzieć o jego religijności. Mamusia była natomiast katoliczką z metryki. Nie pamiętam, by chodziła do kościoła. To samo odnosi się do starszego rodzeństwa. W domu nie otrzymałem żadnego wychowania religijnego. Stan

moralny środowiska, w którym się wychowałem (mówiąc: środowisko nie mam na myśli tylko rodziny), nie był najlepszy. Jako mały chłopak obserwowałem rozwiązłość seksualną, zabójstwa i inne podłości. Zwłaszcza przemarsze różnych armii (stacjonowanie wojsk) pozostawiały straszliwe spustoszenia moralne. Naprawdę opłakany stan przedstawiała wówczas wieś. Młode niewiasty, mężatki... jaka dziwna słabość. Rozwydrzenie pozostało i po odejściu wojsk. (A czy dziś ustało? Trudno powiedzieć, raczej przebiega w innej formie, nie tak drastycznie). Młodzi przychodzili do córek, ale nie gardzili i matkami córek! Ogólne rozluźnienie obyczajów pogarszała nędza, a zwłaszcza alkohol. Produkcja „bimbru" odchodziła na całego. Obserwowałem fakty upajania małych dzieci, które, często nauczone przykładem starszych, próbowały rozpoczynać życie seksualne drastycznie wcześnie! Do ogólnego rozgardiaszu dołączyły się walki bratobójcze. Jako mały chłopczyk obserwowałem fakty zabójstw. Okres powojenny pozostawił w mojej wiosce tyle samo wdów i sierot co okres wojny. Śmierć ojca mego najbliższego kolegi..., zabicie wszystkich mężczyzn w drugiej rodzinie, liczne nocne napady... Nie będę się jednak rozpisywał nad tymi latami, czynię to tylko o tyle, o ile jest mi potrzebne do dania odpowiedzi: dlaczego? Potem nastąpiły spokojniejsze lata, spokojniejsze i inne. Czy lepsze? Trudno powiedzieć. Inne. Przyszły nowe problemy. Od dziesiątego roku życia czytałem prasę, i to bardzo solidnie. Byłem przekonany o słuszności zmian zachodzących wówczas. Wierzyłem z dziecinną ufnością w nowy ustrój. Czułem około 12—14 roku życia jakąś potężną i tajemniczą wolę walki. Zacząłem czytać dzieła Stalina, Lenina. Wprawdzie niewiele z tego rozumiałem, ale powszechnie uchodziłem za małego komunistę. I wierzyłem, że nim jestem. Do kościoła jak poprzednio tak i obecnie nie chodziłem, nie modliłem się. Pragnąłem zostać Wielkim Komunistą, człowiekiem walczącym o wolność ludu, o sprawiedliwość itd. Byłem czołowym aktywistą w szkole i organizacji harcerskiej. Szukałem ideału, szukałem tego, co najszlachetniejsze. Dużo czytałem i obserwowałem życie. I właśnie w życiu widziałem często coś wręcz przeciwnego, niż się spodziewałem, co innego, niż czytałem. Nastąpiła szalona walka wewnętrzna, szukanie Prawdy. Powiedziałem sobie, że chociaż ma mnie to kosztować życie, to nie rezygnuję z poszukiwań. Nastąpiło odwrócenie się.

Dziś jestem głęboko wierzącym i praktykującym. Jestem katolikiem z przekonania i niemalże „katolikiem walczącym". (O ile można się tak wyrazić).

Jak przez czytanie dzieł Stalina i Lenina doszedłem do Ewangelii (nie tylko czasowo, ale i przyczynowo), tak przez obserwację życia

doszedłem do Boga. Byłem bowiem ochrzczony, lecz nie miałem żadnej łączności z religią jak i z kościołem jako instytucją. Wręcz przeciwnie — ksiądz w okresie mego dzieciństwa był nawet symbolem zdzierstwa i... bowiem pogrzeb tatusia w najcięższych latach okupacji był katastrofalnym problemem... Lecz potem zrozumiałem, że wszędzie są ludzie, nauczyłem się rozumieć słabość człowieka. Zbliżyłem się do kościoła, zobaczyłem Jego piękno, poświęcenie, heroizm, miłość — to mi imponowało. Lata 1950—54, lata tzw. kultu, były dla mnie latami zrozumienia religii, kościoła. Istnienie świata implikuje mi istnienie Boga. Obserwacja życia w przyrodzie, piękno, ład i porządek we Wszechświecie, uzupełnienie i dopełnienie stanowi świat roślin i zwierząt — wszystko to przytłacza mnie i oszałamia. Osobnym działem jest świat człowieka. Istnienie Boga nie pozostawia mnie samego. Pozwala mi na kontakt z Nim. Życie moje nabiera sensu, a przede wszystkim sens ma miłość. Dziwna miłość, jaką widzimy na kartach Ewangelii, czy u takich ludzi, jak Franciszek z Asyżu, Ghandi.

Dzisiaj jestem przekonany o Jego istnieniu. Czuję Boga jako realność, tak jak czuje się miłość do matki. Czuje się, a trudno to ująć konkretnie. Dowody rozumowe (historyczne Tomasza, Augustyna czy innych filozofów), owszem, mają dla mnie wartość, nawet bardzo dużą, ale przeciw nim rozum znajduje zawsze trudności. Uważam, że Boga nie da się wyczerpać rozumem ani sercem, trzeba Go raczej odczuć! Każde pokolenie, każdy człowiek musi się przekonywać sam indywidualnie i przekonuje się. (Może tu leży niepopularność scholastyki, że niby wszystko definitywnie rozwiązała lub prawie wszystko w swym przekonaniu, stała się systemem martwym, zamkniętym, gdy tymczasem sprawę Boga, człowieka, i świata należy ciągle rozwiązywać na nowo, nieraz przeciwnie niż to uczynili poprzednicy, z innych założeń wychodząc itp., lecz nie negując poprzedników).

Zdaje mi się, że są dwie drogi do poznania Boga. Rozum i życie. Rozumem Go nigdy nie wyczerpiemy, bo w przeciwnym razie my bylibyśmy czymś wyższym od Niego. W życiu można poznać Boga przez dobre życie, skupienie myśli (modlitwa), rozwój wewnętrzny.

Jeżeli wierzę w istnienie Boga, wówczas to implikuje mi następne prawdy (Objawienie, Kościół...). Pewnie, sprawa nie przedstawia się tak prosto, ale uważam, że zewnętrzna instytucja religijna jest konieczna, tak jak konieczny jest w państwie system szkolnictwa dla dobrego funkcjonowania nauczania. I pamiętam o tym, że wszędzie są l u d z i e.

M. F. (małe miasteczko) lat 22 student pochodzenie chłopskie Ankieta nr 289

Dlaczego wierzę? Na to pytanie mogę odpowiedzieć jednym zdaniem: Wierzę, że to, co głosi Ewangelia i Kościół, jest prawdą. Można zapytać, czy zawsze tak wierzyłem. Otóż muszę powiedzieć szczerze, że nie zawsze. Gdy byłem małym chłopcem, słuchałem lekcji religii z wielką ciekawością, trochę tak jak bajki. To, czego nie mogłem pojąć, wydawało się mi niemożliwym, lecz nigdy nie pomyślałem, że ksiądz może kłamać. W dzieciństwie nie wiedziałem, co to kłamstwo. Gdy ktoś opowiadał mi rzeczy zmyślone, to na początku mówił, że to bajka i ja traktowałem to jak bajkę.

W liceum ogólnokształcącym zetknąłem się z poglądami przeciwnymi wierze. Atak był celny, bo wymierzony w to, co od dawna wydawało się mi wątpliwym. Jak pogodzić biblijny opis stworzenia świata z tym, co na ten temat mówi nauka? Jak jest z potopem? Chcę prawdy a nie pięknych legend!

Zaczęły mnie nawiedzać myśli w rodzaju takich: Świat jest ciekawy i jest w nim wiele rzeczy godnych poznania. Religia, która u mnie w tym czasie sprowadzała się do pojęć: Bóg-Stwórca, grzech, odkupienie, niebo, piekło — może jest potrzebna, lecz nie wystarcza do życia, nie wyjaśnia wszystkiego. A nawet jeśli religia potrafi coś wyjaśnić, to dlaczego od razu mam odwoływać się do Boga, skoro mogę tę rzecz wyjaśnić w zwykły sposób, rozumowo, uciekając się tylko do praw przyrody. Myśli są nieustępliwe, dręczą, nie dają spokoju. Byłem ciekaw, co koledzy sądzą o tych sprawach. Zacząłem z nimi dyskutować na tematy światopoglądowe. Na początku to było tak: krótka wymiana zdań o danej sprawie, uzasadnienie stanowiska tym, że tak sądzą lub ktoś tak powiedział, w trudniejszych rzeczach mój rozmówca powoli wycofuje się, chce zaprzestać rozmowy, chce mieć spokój. Jednakże znalazł się żarliwy kolega zajmujący stanowisko przeciwne mojemu. Razem prowadziliśmy długie rozmowy, on przekonywał mnie, ja broniłem się. Poglądy na wiele rzeczy mieliśmy zgodne. Lecz zawsze znaleźliśmy temat sporny lub taki, o którym mogliśmy dyskutować.

Muszę jeszcze wspomnieć o roli, jaką odegrała moja siostra w ugruntowaniu mej świadomości religijnej. Otóż w pewnym momencie siostra zaczęła kupować najrozmaitsze czasopisma religijne. Z natury jestem ciekawy, co nowego zobaczyłem, musiałem przeczytać. W ten sposób pogłębiłem swą wiedzę relgijną. Mniej więcej rok temu wspólnie (to znaczy koledzy i ja) zaczęliśmy kupować „Tygodnik Powszechny” i „Znak”. Fakt ten można rozumieć jako świadome opowiedzenie się za katolicyzmem. Jeżeli mó-

wię wierzę, to muszę powiedzieć nie tylko w co wierzę, lecz także dlaczego.

Napisałem, że wierzę Ewangelii tylko dlatego, że wierzę ludziom, którzy ją głoszą, a więc Kościołowi, który bierze na siebie odpowiedzialność za prawdziwość głoszonej nauki.

Czy moja wiara opiera się tylko na powadze Kościoła? Chyba nie tylko. Gdybym miał do wyboru między kilkoma współczesnymi wyznaniami, to na pewno wybrałbym katolicyzm. Ale gdybym był np. buddystą, to czy znałbym religię katolicką? Przecież teraz nie znam innych religii, a więc przez porównanie z innymi religiami nie mogę stwierdzić, że religia katolicka jest „najlepsza". No cóż, warto poznać przynajmniej najważniejsze tezy innych religii, lecz jak i kiedy.

Lecz co mnie skłania do wierzenia? Czy tylko rozumowe przekonanie o prawdziwości Ewangelii? Chyba nie tylko, chociaż prawdziwość Ewangelii jest fundamentem mej wiary. Przekonuję się, że człowiek powinien postępować tak, jak uczy religia katolicka. Zaczynam rozumieć sens słowa miłości. Ani szczęście osobiste i zadowolenie z życia, ani radość i przyjemność, ani korzyść osobista i społeczna nie jest tak szlachetnym motywem postępowania jak miłość. Czyż człowiek szukający szczęścia może powiedzieć: wyrzekam się szczęścia i ofiaruję się cierpieć, aby pomóc drugiemu człowiekowi, bo on potrzebuje mej pomocy? Czy nie mając miłości w sobie, może wyrzec się tego, co wydaje się mu szczęściem tylko dlatego, żeby nie sprawić cierpień innym? Któż bardziej będzie pragnął szczęścia tych, których kocha?

Lecz po co mi wiara? Czy bez wiary nie można żyć? Czy bez wiary umrę? Ciało będzie żyło, ale... Po co ja jestem?

Poza rozumem jest uczucie, prawdziwe uczucie, a nie samolubne, które nie przeszkadza rozumowi, ale działa tam, gdzie rozum jest bezsilny. Jest jakaś intuicja, która kieruje człowiekiem. Wierzę własnemu sumieniu, które wskazuje prawdę. Wierzę w prawdę. Wierzę dlatego, że jest to prawda. Kocham prawdę więcej niż siebie samego. Za prawdę gotów jestem oddać życie. Czy to wyznanie dyktuje mi rozum? Nie, to zdanie jest wyrazem moich uczuć. Zgadzam się. Gotów jestem zrealizować je. Chcę pójść drogą prawdy. Gdzie ona wiedzie? Czy do swego źródła, do Boga, który jest Prawdą? Na razie nie rozumiem tego. Zawsze będę iść drogą prawdy.

„Anna" (Wałbrzych)
lat 22
wykształcenie średnie
pochodzenie robotnicze
Ankieta nr 632

Wierzę i mam wrażenie, że wierzę z każdym rokiem, z każdym niemal dniem bardziej a ciągle jeszcze za mało. Wiem, że do końca życia będę wiarę zdobywała i pogłębiała. Kiedyś denerwował mnie fakt, że nie mogę uwierzyć raz na zawsze i mieć „święty spokój". Teraz rozumiem, że tak być nie może, chociażby ze względu na niedoskonałość natury ludzkiej. Może to nawet lepiej, może lepiej, że nie mam spokoju, że muszę szukać, muszę walczyć, bo przecież przed problemem staje każdy człowiek niezależnie od głębokości swej wiary. Dziwię się jednak ludziom, którzy odchodzą. Czy gdziekolwiek indziej poza wiarą znajdą lepsze rozwiązanie, bardziej prawdziwe, bardziej wzniosłe a jednocześnie bardziej ludzkie?

Wierzę, bo przekonałam się w życiu osobistym, jak się to mówi „na własnej skórze", że wiara zdaje egzamin życia. Jedynie wiara daje prawdę absolutną, prawdę całkowicie obiektywną, wiara nadaje sens istnieniu. Widzieć świat i życie w świetle wiary — to widzieć go w prawdzie, a o to przecież chodzi. Wierzę, bo nigdy nie zawiodłam się, bo ani raz nie pomyliłam się, jeżeli kierowałam się wiarą, bo zawsze mi się to „opłaciło". Przeciwnie, wszystkie moje błędy i pomyłki życiowe były brakiem wiary, brakiem prawdy, chęcią rozwiązania trudności wg swego uznania i tego nie przestanę żałować.

Wiara w Boga to siła, siła także na codzień, na taki zwykły przeciętny dzień szarego człowieka (może szczególnie na taki szary dzień, kiedy tak łatwo można zagubić sens życia). Wierzę, bo jestem słaba. Doszłam do wniosku (niejednokrotnie), że bez Boga nie potrafię nic zrobić, ale to dosłownie nic (w sensie pośrednim). Nie odejdę nigdy (jeżeli w ogóle mogę za siebie ręczyć). Nie zrażą mnie ani źli księża, ani żadne ludzkie naleciałości. Czyż Bóg przestaje być sobą w rękach niegodnego kapłana?

Kiedy staję na rozdrożu, staję przed koniecznością wyboru (mam na myśli nie tylko decydujące chwile w życiu, ale także to codzienne wybieranie), to niezależnie od tego, jak postąpię, którą drogę wybiorę, z jakichkolwiek pobudek — jedno będę wiedziała na pewno, na pewno będę wiedziała, jakie jest słuszne wyjście. Pouczy mnie o tym wiara. W najgorszym wypadku będę mogła przynajmniej ocenić, jak bardzo oddaliłam się od prawdy.

Wierzę, bo etyka chrześcijańska, etyka katolicka jest niezależna, jest najbardziej humanitarna. Wierzę, bo Dekalog obowiązuje zawsze i wszędzie niezależnie od szerokości geograficznej i stosunków społeczno-gospodarczych.

Wierzę, bo Bóg skupia w Sobie wszystkie najbardziej szlachetne dążenia ludzkie, bo wszystko, czego mi brakuje tu na ziemi, odnajduję w Bogu. Bogiem mogę wypełnić każde puste miejsce w duszy, odnajdę w Nim wszystko, cokolwiek utracę.

Próbowałam sobie wyobrazić kiedyś (z trudem), że Boga nie ma. Nie chciałabym wówczas żyć ani sekundy dłużej, żałowałabym, że się w ogóle narodziłam. Nie ma Boga — więc życie jest absurdem, niesprawiedliwością, gmatwaniną, w której człowiek gubi się bez nadziei odnalezienia, praca i cierpienie nie ma sensu, a śmierć to koszmar. Tak chyba wygląda piekło. Zresztą jeżeli pomyśleć na zdrowy rozum, to czy moja niewiara unicestwi Boga? Czy przez to, że ja nie uznam Boga, Bóg przestanie istnieć? Nie. Bóg jest niezależnie od mojego poglądu i stanowiska. B ó g j e s t i to jest pewność absolutna, pewność uszczęśliwiająca. Fakt ten przejmuje mnie głęboką radością. Dziękuję Bogu codziennie za to, że Jest i że zechciał, abyśmy my byli, i że pozwala się uwielbiać, i że chciał nas odkupić i że jest Miłością.

N. N.
lat 21
studentka
Ankieta nr 743

Z moją wiarą sprawa jest bardziej skomplikowana. Urodziłam się w rodzinie katolickiej, wychowana byłam religijnie — i wszystko było dobrze do 14 roku życia. Potem zaczęły się wątpliwości. Często bywało, że przestawałam wierzyć — ale mimo to szłam do spowiedzi, ksiądz wyjaśniał trudności i znów wszystko było dobrze.

Potem mój stosunek do Boga zaczął się pogłębiać. Zrozumiałam wartość wiary. Zaczęłam częściej praktykować. Tak przeszła szkoła średnia i pierwsze lata studiów. Aż w końcu pewnego razu przyszedł moment, że „zawaliło się" wszystko: wiara, Bóg, Chrystus, sens życia, jego cel i wartość. Usunął mi się grunt pod nogami. Po prostu zaczęłam wątpić we wszystko. To było bardzo ciężkie. Ale ja to aprobowałam. Zaczęłam szukać prawdy. I to bardzo na serio. Bo poczułam, że dotąd coś u mnie było „nie tak". To nie trwało krótko. Ciągnęło się przez długie miesiące. Czasem już się coś zaczynało rozjaśniać — i potem znów się „rozlatywało w kawałki". To ostatnie zresztą bardzo często. Nieraz już w ogóle wątpiłam czy dojdę do prawdy, czy ona jest w ogóle osiągalna. Znalazłam dużo pomocy. Byli ludzie — kapłani, którzy potrafili mi pewne rzeczy wyjaśnić i to nie w sposób „pełen wyższości", tylko ot, tak, po prostu. Dyskutowałam z nimi — zresztą nie tylko z nimi. Nieraz też z ateistami. Sama też szukałam, czytałam. To bardzo dużo pomogło.

I tak stopniowo zaczęłam od nowa odnajdywać Boga. I wtedy odkryłam jedno: że ten Bóg jest zupełnie inny, niż Go sobie dotąd wyobrażałam. Że jest jakiś naprawdę Potężny, Nieogarniony, Niewyobrażalny. I że — jest. To chyba było najważniejsze. Ale od tego do Kościoła droga była bardzo daleka. Długo byłam deistką — panteistką — może to ostatnie nie dosłownie, ale coś tak, jak mówi św. Paweł: *W Nim żyjemy, ruszamy się i jesteśmy*. Poza Bogiem Jedynym (jeszcze nie w Trójcy) nie uznawałam nic. Ale szukałam dalej. I znalazłam Chrystusa. Też innego, niż dotąd. Po prostu najpierw pięknego Człowieka. Później stopniowo się wszystko skleiło, ustawiło. Nie obeszło się przy tym bez niejednego buntu i burzenia wszystkiego.

I wreszcie, gdy już zdawało się, że wszystko powinno być dobrze, „zawaliło się" wszystko znów.

Zbuntowałam się. Powiedziałam „nie". To było łatwe. I znów przestałam wierzyć. Wtedy już ci ludzie nie byli w stanie mi pomóc. Żaden ich argument nie mógł mnie przekonać. Zresztą nie chciałam tego. Czułam, że nie wierzę i że się przekonać nie dam.

Choć mimo wszystko na zewnątrz jeszcze praktykowałam. Tak „na wszelki wypadek". Bo w gruncie rzeczy nie wiedziałam na pewno: ani czy tu jest prawda, ani czy jej nie ma. Choć to było bez żadnego przekonania, te moje praktyki.

I wtedy właśnie, gdy już ani sama, ani nikt nie był w stanie mi pomóc — wtedy akurat zagłębiłam się w *Drodze na Górę Karmel* św. Jana od Krzyża. I chyba ta książka wpłynęła decydująco na to, że w tej chwili wierzę. Św. Jan tłumaczy, że Boga nie można pojąć ani zrozumieć. I że w tym życiu zdani jesteśmy na ciemność wiary. I wtedy zrozumiałam, że rozum pomaga tylko do pewnych granic. A za nimi nie może już nic. Po prostu to przekracza jego możliwości.

Mam dużo trudności. Często jeszcze chciałabym wiarę „zważyć" czy „zmierzyć". Ale już wiem, że tego się zrobić nie da. A właśnie to, że potrafiłam się z tym pogodzić, że rozum jakoś się ukorzył przed wiarą, a raczej nie tyle to, ile coś, co mi do tego pomogło, co mnie jakoś skłoniło i ułatwiło to, to nazywam Łaską. To się zresztą nie da opisać. To można tylko przeżyć. I w gruncie rzeczy na to, by wierzyć, trzeba chcieć wierzyć. I na to też trzeba Łaski. A wątpliwości, trudności — one są także potrzebne — tak myślę. Bo one jakoś zmuszają nas do myślenia, do konfrontacji własnych poglądów z cudzymi. Inaczej słusznie się możemy spotkać z zarzutem, który postawił sobie kiedyś Abbé Pierre: A jeślibyś się urodził np. muzułmaninem, byłbyś przekonany o swojej prawdzie równie silnie, jak teraz. Kiedy więc miałbyś rację? I gdzie jest prawda?

Mnie osobiście dowody rozumowe bardzo pomogły. One jakoś

podbudowały to ostateczne „tak". Rozum do tych określonych granic był potrzebny. Bo to, przed czym się ukorzył, nie było z nim sprzeczne, tylko go po prostu przerastało. I dlatego się buntował i czasem jeszcze się buntuje, nie mogąc zrozumieć.

I jeszcze jedno wyniosłam z tych moich trudności: tolerancję — i to taką „na serio", pełną głębokiego szacunku dla poglądów drugiego człowieka. Bo przecież możliwe, że dochodził on do nich równie boleśnie, jak ja do moich — a może jeszcze bardziej. I za to też jestem Bogu wdzięczna, za tę tolerancję.

I jeszcze jedno: jestem gorącą zwolenniczką tego rodzaju ankiet. One jakoś zmuszają do myślenia i do odpowiedzi. Choć nie zawsze na piśmie. Czasem tylko w sercu. Ale to już jest dużo.

N. J. (Warszawa)
lat 21 student
Ankieta nr 814

Chciałbym zabrać głos w rozpisanej przez Was ankiecie na temat wiary i niewiary. Może mój głos też przyda się Wam, mimo że zastrzegam, jestem jak dotąd ateistą i sceptykiem. Przestałem wierzyć 7 lat temu (w wieku lat 14). Przez ten okres stworzyłem sobie swój własny system postępowania moralnego, odchodząc coraz bardziej od kościoła. Mój ateizm w pewnej mierze urazowy wzmacniał się przez czytanie książek z historii i literatury niezbyt pochlebnie świadczących nieraz o poszczególnych przedstawicielach Kościoła. W dużej mierze opieram moją niewiarę na humanizmie, pędzie do niezależności i nieskrępowania przez nic. Nie mogłem się nigdy pogodzić z faktem, że wszechdoskonały Bóg dopuścił na tym świecie takie rzeczy, jak II wojna światowa. Wtedy wyobrażałem sobie Boga jako kogoś „Dalekiego" i „Obcego", który stworzył nas dla zabawki i jest carem tego świata (*Wielka Improwizacja*, Milton, Shelley).

Wychodząc z tej postawy nawet gdybym wiedział, że Bóg istnieje, to i wtedy uznałbym za ludzki obowiązek oporu przeciw Niemu, buntu, choć byłby on skazany na zagładę, ale buntu dla ludzkiego honoru, tak jak zawsze musiałbym popierać na ziemi bunt przeciw każdemu ziemskiemu tyranowi, nawet gdy ten tyran jest wszechpotężny. Bo bunt jest jedynym wielkim zamanifestowaniem istnienia człowieka. Ale w ostatnich latach odczuwam dość często, nie wiem czy to tylko objaw mej ludzkiej słabości, czy coś więcej, iż mimo, że wierzę w pewne ludzkie, ziemskie ideały, że staram się robić, co mogę, by się dobrze przygotować do życiowej walki o nie, to jednak to mi nie wystarcza, zbyt często czuję niepewność. Obawiam się, że właściwie z moimi humanistycznymi ideałami ja nie mam absolutnie żadnej pewności, czy to, o co walczę, zwycięży,

czy w ogóle na świecie zwyciężą siły dobra przeciw siłom zła. Czy wiara w świeckie ideały była dostatecznie pewna, by zapewnić swym wyznawcom w czasie II wojny światowej, że wrogowie ludzkości „nazi hitlerowscy" jednak nie zmienią świata w swój ohydny *Lebensraum.*

I tu wydaje mi się, że katolicy są szczęśliwsi, bo jednak wierzą w jakąś pozaziemską Sprawiedliwość, która zapewnia, że walka tu na ziemi w imię ideałów, w imię dobra nie pójdzie na marne. Bez takiej wiary trudno żyć jednostce w okrutnym, samotnym, XX wieku, gdy jest pełno systemów miażdżących jednostkę i gdy samotnie walcząca jednostka nie widzi żadnej pewności, że jej ideały kiedyś zatriumfują nad wszelkim uciskiem. Cóż zresztą może zapewnić bez wiary w istnienie Sprawiedliwości Pozaziemskiej, że w wyniku szaleństwa atomowego nie zginie cały świat, cała kultura, wszystko, co głęboko kochamy.

Chciałbym mocno prosić o ewentualną odpowiedź na niektóre ze spraw, które poruszyłem (jakąś poradę lektury). Po prostu czuję się szukającym. Może mimo ciążącego na mnie i trudnego do opisania ideowego ładunku ateistycznego i antykościelnego powrócę do katolicyzmu, do którego ostatnio zacząłem czuć sympatię dostrzegając w nim zalety, których wpierw nie mogłem ujrzeć, stykając się raczej ze zbyt prymitywnym katolicyzmem. Może zostanę ateistą wzmocniwszy się i uzyskawszy więcej pewności w sukces ziemskich ideałów. W każdym razie bardzo jestem Wam wdzięczny za tolerancyjnie pomyślaną Ankietę, podobnie jak za szereg naprawdę dobrych i możliwych do czytania także dla sceptyków artykułów.

A. T. (Warszawa)
lat 18 studentka
pochodzenie inteligenckie
Ankieta nr 160

Miałam lat 16, kiedy po raz pierwszy zetknęłam się z dyskusją na tematy religijne. Rodzice nigdy nie starali się powiększyć naszych (mam brata) wiadomości o Panu Bogu.

Przez 9 lat różnie było z nauką religii w szkole. Pierwsze 4 lata uczyłam się jej, ale byłam po prostu za głupia, żeby cokolwiek z tego, co słyszałam, poddawać dyskusji. Wszystko przyjmowałam jak wiadomości z każdego innego przedmiotu nauczanego w szkole.

Następnie przez 3 lata byłam w internacie u Sióstr, jednak chodziłam do szkoły świeckiej, gdzie nie było już religii. Na lekcje trzeba było chodzić do kościoła. Nawet przez zakonnice nie byłam dopilnowana i właściwie z tych lekcji nie korzystałam.

Wychowywanie się u Sióstr także nie miało na mnie żadnego wpływu zmieniającego mój światopogląd.

Rok 1955/6 w Liceum (religii w szkole w dalszym ciągu nie ma, na religię w parafialnej sali nie chodzę). Są momenty, kiedy zaczynam zastanawiać się nad pewnymi problemami religijnymi.

Wreszcie przełomowy r. 1956/7. Nauka religii wprowadzona ponownie do szkół. Może sam ten fakt nic by w moim życiu nie zmienił, ale szczęśliwie przydzielono naszej szkole dobrego księdza, któremu wiele zawdzięczam (zresztą nie tylko ja). Co rozumiem pod określeniem „dobry ksiądz"? Otóż ksiądz ten z całym poświęceniem zajął się nami i dokładnie objaśniał nam i odpowiadał na zadawane mu pytania. Po prostu poświęcał nam więcej czasu, niż dawał by nam inny ksiądz. Zaopiekował się nami i pomagał w rozwiązywaniu konfliktów, oraz prowadził z nami interesujące dyskusje nad wieloma problemami życia religijnego.

Wreszcie zbliżył się okres Wielkiej Nocy — rekolekcje. Dostaliśmy 3 dni wolne od zajęć szkolnych. Dni te wykorzystałam, ale nie we właściwy sposób.

Okres Wielkanocny dobiegał końca, a ja nie byłam jeszcze u spowiedzi. Postanowiłam pozbyć się tego obowiązku. Przed lekcją podeszłam do księdza i spytałam, kiedy można się wyspowiadać w tej parafii (w mojej parafii nie lubiłam nabożeństw z powodu dziwnego postępowania tamtejszego księdza). Otrzymałam odpowiedź i ksiądz zażartował, czy chcę iść do niego — potwierdziłam bez namysłu.

Później od jednej z koleżanek dowiedziałam się, że ten ksiądz jest dobrym spowiednikiem. Postanowiłam wobec tego nie zmieniać decyzji. Jednak zwlekałam jeszcze parę tygodni, zanim przełamałam tradycyjny strach, nie tylko przed spowiedzią, ale i przed znajomym księdzem i poszłam. Nigdy jeszcze żadna spowiedź nie przyniosła mi takiego odprężenia psychicznego. Przyjęłam propozycję comiesięcznej spowiedzi i częstej Komunii św. Od tej pory minęły już przeszło 3 lata.

A teraz czy wytrwałam.

Z biegiem czasu trudności w mojej pracy zaczęły się potwornie piętrzyć, nie mogłam im sprostać i po kilku miesiącach przerwałam.

I znów spowiedź wielkanocna, znów ten sam ksiądz i znów to samo postanowienie. Do tej pory trwam. Ksiądz ten zastąpił w tym wypadku rodziców i zrobił za nich wiele. Pomógł mi przetrwać jeden z trudniejszych okresów życia, zawsze zachęcając do modlitwy i wytrwałości. To on przecież nauczył mnie modlić się (nie chodzi oczywiście o pamięciowe paciorki) i tu chyba największa jego zasługa. Ciągle mobilizuje i pomaga mi w pracy nad sobą. Często prowadzimy ciekawe dyskusje. Przez pewien czas pomagał

mi także religijną lekturą, której byłam bardzo spragniona i pochłaniałam ją całą sobą.

Czy są tego wyniki?

Na pewno tak — „mocą i wartością dobrego dzieła jest wytrwałość" — cytuję słowa księdza. Ciągle mi o tym przypomina.

Do tej pory nie wiem właściwie, na które pytanie ankiety odpowiadam. Wydaje mi się, że jeszcze brak pewnego podpytania. „Dlaczego dochodzę do Boga?" A jeśli jeszcze nie doszłam, to dlaczego wątpię? Chyba takie pytanie będzie się odnosiło do mnie.

A teraz dlaczego wątpię?

Mojej modlitwy słucha Bóg. Tak, wiem o tym na pewno. Ale dlaczego nie ma wyczuwalnej „reakcji" na nią z „tamtej strony". A może tą „reakcją" na moje modlitwy jest stopniowa moja wewnętrzna przemiana. Trudno mi dać konkretną odpowiedź. Może i tę wątpliwość rozwiąże czas i moja praca w tym kierunku z księdzem i pomocą Bożą. Tak, znów liczę na nieuchwytną naszymi zmysłami pomoc Bożą.

Jakże dziwnie istnieją równocześnie dwa pojęcia wydawałoby się sprzeczne; wolna wola człowieka i wszechwiedza Boga. Niewątpliwie tu jest tajemnica, którą należy przyjąć bez dyskusji (problem ten poruszany jest przez wielu ludzi jako bardzo niezrozumiały).

Jakim sposobem wszechwiedza i wszechmoc Boża współistnieje z wolną wolą nie niwecząc jej?

Potępienie wieczne? Pomyśleć trudno i bez nadziei, bez ratunku. Czy jest człowiek, który na nie zasługuje? Wierząc w Boga, wierzymy także i w to, że Pan Bóg stworzył człowieka takim, jak jest; słabym, uległym wobec pokus, skłonnym do zła.

Czy można więc potępić jakiegokolwiek człowieka jako absolutnie złego, chyba nie. A taki człowiek chyba tylko może zasługiwać na wieczne potępienie. Czy można zatem wierzyć w doskonałą sprawiedliwość boską i wieczne potępienie człowieka jednocześnie. Bóg jest Miłością i Dobrocią — często spotykamy się z takimi określeniami Stwórcy. Jednak te przymioty Boga nie dają się przyjąć wraz z istnieniem piekła. Gdy człowiek nie potrafi pogodzić Dobroci Bożej z cierpieniem — traci wiarę w Boga.

Skąd się wzięło pojęcie zła?

Gotowa jestem wyznawać dualizm, skoro nasza religia uważa Boga za bezwzględne Dobro, musi istnieć niezależnie i równocześnie „Bóg-Zła". Pan Bóg stworzył tylko samo dobro. W takim razie nawet samo p o j ę c i e zła nie mogło istnieć. Pierwsi rodzice mieli wolną wolę, mogli wybierać tylko w dobrym, skąd więc wybrali zło, które nie było przecież stworzone przez Boga Dobroci.

Takich zagadnień spotykamy na każdym kroku bardzo dużo, ale niestety nie ma ich kto rozwikłać i wyjaśnić. Nic więc dziwnego, że ludzie nie mogąc sobie poradzić z wieloma trudnościami napotykanymi w życiu tracą wiarę w Boga, odchodzą od Kościoła. Ja jestem w szczęśliwej sytuacji, że mogę skorzystać z wyjaśnień „mojego" księdza.

Rozmawiałam z kilkoma moimi koleżankami, które stwierdziły, że nie mają po co chodzić często do spowiedzi, bo przecież nikogo nie zabiły, nie skrzywdziły, więc po co mają ciągle powtarzać kapłanowi te same powszednie grzeszki.

Ja też tak myślałam do niedawna, ale i tu pomógł mi z wyjaśnieniem tej sprawy ksiądz. Takiego myślenia uczą nas wszystkie książeczki do nabożeństwa z rachunkami spowiedzi nie zawsze dobrymi nawet dla ludzi spowiadających się co 20 lat.

Przecież te wszystkie rachunki sumienia są zupełnie nieodpowiednie dla ludzi spowiadających się często.

Nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek mogła pozbyć się zupełnie tego rodzaju nurtujących mnie problemów. Chociażby sens (nie cel) życia na ziemi. Nie jesteśmy stworzeni i nie po to żyjemy, żeby męczyć się czy radować, cierpieć, czy bawić się, ale dla Boga — naszego Stwórcy, po co więc Bóg postawił nas jak pionki na planszy i przygląda się, które z nich dojdą do celu, które bardzo cierpią i nie wytrwają, albo też pójdą dogodną drogą, która nie ma celu. To byłoby przecież okrucieństwem ze strony Pana Boga. Czy możliwe, aby rzeczywiście tak było.

Jeśli nas Pan Bóg kocha, czemu nie da nam życia radosnego i bez cierpień. I znów sam problem — Bóg — Miłość i cierpienie.

Możliwe, że do spraw tych podchodzę zbyt sceptycznie i dlatego tak trudno mi je zrozumieć i wyjaśnić.

Ale wydaje mi się, że młodzież w moim wieku ma także takie trudności. Na pewno nie jestem odosobniona w swych wątpliwościach.

THOMAS MERTON

AUTOBIOGRAFIA

VII. MAGNETYCZNA PÓŁNOC

4

Miesiące szybko mijały, chociaż jeszcze nie dość szybko dla mnie. Był już czerwiec 1940 — a jednak te dwa miesiące dzielące mnie od owego dnia sierpniowego, kiedy bramy nowicjatu miały się otworzyć na przyjęcie trzydziestu lub czterdziestu nowych postulantów, wydawały mi się nieskończenie długie.

Zatrzymałem się krótko w New Yorku po powrocie z Kuby. Byłem tam tylko kilka dni, w czasie których zaszedłem do klasztoru na 31-ej Ulicy i dowiedziałem się od o. Edmunda, że moje zgłoszenie o przyjęcie zostało uwzględnione i że część potrzebnych papierów już nadeszła. Była to pomyślna wiadomość, ponieważ postulanci wstępujący do zakonu potrzebują dokumentów i zaświadczeń z każdej diecezji, gdzie zamieszkiwali mniej więcej stale choć przez rok od czternastego roku życia, a poza tym świadectwa urodzenia i jeszcze innych urzędowych papierów.

Właśnie w tym czasie Niemcy najechali Francję. W chwili, gdy opuszczając statek wychodziłem na brzeg w New Yorku, zrobili pierwszy wyłom w liniach francuskich, po którym okazało się, że niezdobyta linia Maginota była mitem. Rzeczywiście potężne, uzbrojone dywizje hitlerowców idąc śladem otwierającej im drogę Luftwaffe przebiły się nieledwie w kilka dni przez zdemoralizowaną armię francuską i otoczyły zdradzony naród swoimi ramionami ze stali. W dwa tygodnie zdobyli Paryż i zaraz już byli nad Loarą, a w końcu gazety były pełne telegraficznie przekazanych, niewyraźnych fotografii głuchego, odosobnionego wagonu restauracyjnego w parku w Compiègne, w którym Hitler wepchnął Francuzom w gardło dokument zawieszenia broni z 1918-ego roku.

I tak, gdyby zaświadczenie małżeństwa moich rodziców z parafii St. Anne w Soho w Londynie nie było nadeszło w tym roku, prawdopodobnie nie byłbym go nigdy do rąk dostał. Nie wiem, czy

rejestry tej parafii przeżyły blitzkrieg mający się rozpętać nad głową tego olbrzymiego, mrocznego miasta, pełnego grzechów i nędzy, w którego mgłach wędrowałem kiedyś z tak przemądrzałym zadowoleniem z siebie.

Wszystko wydawało się proste. Miesiąc przejdzie, a potem drugi i już będę szedł z walizką po jakiejś szarej, nieprawdopodobnej ulicy w Paterson w New Jersey, do małego klasztoru z czerwonej cegły, który trudno mi sobie wyobrazić. Ale monotonna szarość tego miasta zostanie poza bramą klasztorną i wiedziałem, nawet nie mając zbytnich iluzji co do tego nowicjatu u św. Antoniego, że jednak tam znajdę pokój. Zacznę od odprawienia rekolekcji, a mniej więcej po miesiącu włożę brązowy habit i biały sznur zakonnika i zachowując milczenie będę chodził w sandałach i z podstrzyżoną głową do niezbyt pięknej kaplicy. Ale w każdym razie tam będę miał Boga i posiadał Go i należał do Niego.

Tymczasem postanowiłem pojechać do górnej części Stanu. Najlepsze co mogłem wymyślić, to dołączyć się do Laxa, Rice'a, Gerdy'ego, Gibney'a i rudego południowca Jima Knighta, którzy wszyscy spędzali lato w owym domku na wzgórzu za Oleanem. Ale po drodze miałem wstąpić do Ithaca, by zobaczyć się z moim bratem w Cornell.

Nie wiedziałem, czy to nie będzie ostatnie moje spotkanie z John Paulem przed wstąpieniem do nowicjatu.

Był to rok, w którym powinien był już zdać egzamin dyplomowy na uniwersytecie Cornell, ale okazało się, że mu źle poszło i że wcale go nie zdawał. Znudzony, zagubiony, zafrasowany wyraz marszczący jego czoło, jego niespokojny krok i bezradosna hałaśliwość śmiechu powiedziały mi wszystko, co chciałem wiedzieć o jego karierze uniwersyteckiej. Rozpoznałem w tym wszystkie oznaki duchowej pustki, która szła w ślad moich własnych kroków od Cambridge do Columbii.

Miał dużego, kupionego z drugiej ręki Buicka, którym przez cały dzień jeździł pod ciężko zwisającymi konarami drzew na terenach uniwersyteckich. Jego życie stało się nieustanną, bezmyślną peregrynacją pomiędzy uniwersytetem a miastem leżącym w dolinie u jego stóp, między wykładami w Willard Straight Hall a słonecznym tarasem kawiarni, gdzie siedział z koleżankami spijając szklanki whisky z wodą sodową i patrzał na szeroki, promienny krajobraz, o barwach tak jasnych i żywych jak plansza w „National Geographic Magazine". Wędrował od biblioteki uniwersyteckiej do swego mieszkania w mieście, stamtąd do kina, a z kina znów do tych wszystkich nor, których nazw zapomniałem albo też nigdy nie znałem, gdzie studenci z Cornell przesiadują wokoło stołów w otępiającym, bursztynowym półmroku wypełniając powietrze

wrzawą, dymem z papierosów i hałaśliwymi wybuchami swoich okropnych dowcipów.

Zostałem z John Paulem w Ithaca nie dłużej niż dwa dni, a gdy wstawałem rano, aby iść na mszę i do komunii, on również szedł ze mną, był na mszy i obserwował mnie przystępującego do komunii. Powiedział mi, że rozmawiał z kapelanem studentów katolickich, ale nie mogłem się zorientować czy przyciągała go rzeczywiście religia, czy fakt, że ten kapelan interesował się lotnictwem. Pokazało się bowiem, że sam John Paul jeździł prawie codzień na lotnisko w Ithaca i uczył się pilotażu.

Po śniadaniu powrócił na uniwersytet zdawać egzamin już nie wiem czy z historii orientalnej, czy też z literatury rosyjskiej, a ja wsiadłem w autobus mający mnie zawieść do Elmiry, gdzie można było złapać pociąg do Oleanu.

Nasz *cottage* był przeludniony, co oznaczało jeszcze więcej brudnych talerzy piętrzących się w kuchni po tych zdradliwych posiłkach złożonych ze smażonych mięs podejrzanej świeżości. Ale każdy miał jakieś swoje zajęcie, a lasy były jak zawsze spokojne i słońce oświecało jasno ten rozległy, pełen powietrza krajobraz roztaczający się przed naszymi oczami.

Później przyjechał z New Yorku Seymour ze swoją żoną Heleną; potem jeszcze Peggy Wells, a wreszcie i Nancy Flagg, dla której Lax napisał wiersz drukowany w „New Yorkerze". Gibney i Seymour wdrapywali się na drzewa wysokie na trzydzieści stóp i zbudowali platformę długości dziesięciu stóp pomiędzy drzewami, na którą można się było dostać drabiną przystawioną do pnia. Sięgała ona tak wysoko, że nawet Lax nie chciał wejść na nią.

Wczesnym rankiem przed pokojem dziewcząt widywało się Peggy Wells, jak siedziała czytając sobie na głos niby poezję ozdobnie wydaną Biblię. A gdy przyjechała Nancy Flagg, siadywała też obok niej w słońcu czesząc swoje długie włosy przedziwnego koloru czerwonego złota. Mam nadzieję, że ich nigdy nie obcięła, gdyż głosiły chwałę Boga! Myślę, że wtedy Peggy Wells czytywała głośno Biblię Nancy, ale tego nie jestem pewien. Później Peggy Wells wędrowała sama po lasach rozmyślając nad *Kategoriami* Arystotelesa.

Rice, Knight i Gerdy siedzieli osobno, najczęściej w garażu albo w jego pobliżu pisząc powieści i krótkie, popłatne opowiadania lub też dyskutując o nich. Lax zapuścił brodę, obmyślał plany powieści przelewając je czasem na papier albo rozmawiał z Nancy Flagg.

Co do mnie, znalazłem sobie dogodne ustronie, gdzie mogłem siedzieć na poręczy bariery okalającej szosę, patrzeć na dalekie wzgórza i odmawiać różaniec. Było to spokojne i słoneczne miejsce,

gdzie inni rzadko zachodzili i z którego nie słyszało się hałasów domowych. Spędziłem tam najszczęśliwsze chwile tych czerwcowych tygodni.

Mieszkałem za daleko od miasta, aby móc schodzić co rano do komunii św. — musiałem się podwozić autostopem. Była to jedna z przyczyn, dla których poprosiłem przyjaznego mi ojca Józefa, franciszkanina, przybyłego z New Yorku do kolegium św. Bonawentury, aby tam uczyć na kursach letnich, o udzielenie mi gościny na jakieś dwa tygodnie.

Zważywszy, że miałem wstąpić do tego zakonu w sierpniu, nie było mi zbyt trudno uprosić o. Gwardiana o pozwolenie zamieszkania w gimnazjum, w dużym, mocno zniszczonym pokoju, zajętym przez trzech czy czterech biednych studentów czy seminarzystów, którzy na lato dostawali tam różne doraźne zajęcia jako operatorzy telefoniczni lub pomocnicy w garażu.

W owym czasie wszyscy klerycy uczący się w różnych domach całej Prowincji zakonu przyjeżdżali na lato do św. Bonawentury i przypuszczam, że teraz, gdy wojna już minęła, zachowują nadal ten zwyczaj. W tych kilku tygodniach zacząłem więc właściwie wchodzić w życie franciszkańskie, takie jakie ten zakon prowadzi w tym kraju, poznawać jego smak i jego pogodną, przyjemną i beztroską bezceremonialność.

Kursa letnie jeszcze się nie rozpoczęły, klerycy mieli więc sporo czasu, żeby siedzieć na stopniach biblioteki lub gimnazjum i opowiadać całe historie o swoim pobycie i swoich przejściach w nowicjacie. Zacząłem nabierać wyobrażenia o tym życiu, które w ich mniemaniu było dosyć surowe, ale miało też właściwe sobie lżejsze chwile.

Klasztor św. Antoniego był ich zdaniem w lecie najgorętszym miejscem, jakie kiedykolwiek napotkali, kaplica była duszna, pełna mdlącego zapachu wosku od palących się świec. Poza tym trzeba było spełniać różne roboty: szorować podłogi, myć talerze i kopać w ogrodzie. Ale miało się trochę czasu dla siebie i były także rekreacje. Robiono niejasne aluzje do pewnych upokorzeń, których trzeba się było od czasu do czasu w tym okresie spodziewać, na ogół jednak zgadzali się wszyscy, że przełożony nowicjatu jest zupełnie przyzwoitym typem. Lubili go i powiedzieli mi, że i ja go polubię.

Z tych opowiadań wyniosłem wrażenie, że wszystkie przykrości i trudności skupiały się w tym roku kanonicznego nowicjatu, a potem już miało się drogę otwartą przed sobą i wszystko stawało się tak łatwe i przyjemne jak obecnie — bo z pewnością ci klerycy, tak jak ich obserwowałem, wiedli życie, którego z największą dozą wyobraźni nie można było nazwać surowym. Żyli tu w kolegium

wśród tych pięknych zielonych wzgórz, w otoczeniu lasów i pól, w zakątku Ameryki, gdzie lato nie jest nigdy upalne i który mieli opuścić na długo przed porą zimna. Mieli całe ranki i popołudnia do uczenia się i do czytania, a były też godziny, kiedy mogli grać w tenisa albo w baseball albo spacerować po lesie, a nawet iść do miasta uroczyście parami w czarnych ubraniach i stojących kołnierzykach rzymskich duchownych.

Klerycy opowiadali mi wymyślne historie o różnych sposobach obchodzenia nawet i tych łagodnych przepisów zakazujących zbytniej zażyłości z ludźmi świeckimi. Dobre rodziny katolickie miasta naturalnie przesadzały się wzajemnie w chęci zapraszania do siebie młodych franciszkanów — lubiły ich przyjmować w swoich salonach i okazując im wiele względów częstować ich ciastkami i słodkimi napojami.

Co do mnie, postanawiałem sobie w duchu, że włożywszy już raz brązowy habit i takie sandały jak oni wykorzystam wszystkie te sposobności, aby uciekać w samotność, czytać, modlić się i trochę pisać.

Tymczasem wstawałem rano razem z klerykami — mam wrażenie, że to nie było przed godziną szóstą — i chodziłem razem z nimi na mszę otrzymując po nich wszystkich komunię św. Potem szedłem na śniadanie z robotnikami farmy, gdzie mała zakonniczka w białoniebieskim habicie przynosiła nam płatki owsiane ze smażonymi jajkami, bo kuchnią u św. Bonawentury zajmowały się siostry należące do jednego z niezliczonych zgromadzeń franciszkańskich.

Po śniadaniu przechodziłem do biblioteki wdychając chłodne poranne powietrze i wilgoć rosy ulatniającej się z trawników. Ojciec Ireneusz dał mi klucz od seminarium filozoficznego i mogłem tam spędzać w samotności całe ranki, czytać do woli św. Tomasza, a od czasu do czasu odrywając oczy od książki spoglądać na wielki, prosty drewniany krucyfiks zawieszony w końcu tego pokoju.

Myślę, że nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy jak teraz w tej cichej bibliotece nad kartami pierwszej części *Summa Theologica,* tu i tam robiąc notatki o dobroci, wszechobecności, mądrości, potędze i miłości Boga.

Popołudniami chodziłem po lasach albo wzdłuż rzeki Alleghany płynącej wśród drzew i obrzeżającej wielkie pastwiska.

Przeglądając karty „Żywotów świętych" Butlera szukałem imienia, które mógłbym przybrać w zakonie — w istocie był to problem, któremu poświęciłem nadmierną ilość czasu. Prowincja franciszkańska jest bardzo duża i należy do niej tylu zakonników, że wybrali już wszystkie możliwe imiona, a nie można wziąć

imienia, które nosi już inny franciszkanin. Wiedziałem więc z góry, że nie będę mógł być Janem Chrzcicielem ani Augustynem, ani Hieronimem lub Grzegorzem. Będę musiał sobie wyszukać jakieś egzotyczne imię, jak na przykład Pafnucy (które poddawał mi o. Ireneusz). Wreszcie napotkałem na franciszkanina, błog. Jana Hiszpana i uważałem, że to będzie wcale dobrze brzmiało.

Wyobrażałem sobie swoją osobę chodzącą w brązowym habicie i słyszałem w myśli jak przełożony nowicjatu mówi: „Bracie Janie Hiszpanie, idź wyszoruj tę podłogę". Albo wystawi głowę z pokoju i powie któremuś z innych nowicjuszy: „Idź, zawołaj brata Jana Hiszpana i przyprowadź go tutaj", a ja wówczas przyjdę pokornie korytarzem w moich sandałach — a raczej w *naszych* sandałach ze spuszczonymi oczyma, szybkim ale dostojnym krokiem młodego zakonnika znającego swoje obowiązki; brat Jan Hiszpan. Był to zachęcający obraz.

Gdy powróciwszy do *cottage*'u na wzgórzu przyznałem się nieśmiało, że chcę przyjąć imię brata Jana Hiszpana, przynajmniej Seymour pochwalił ten wybór. Seymour żywił słabość do wszystkiego, co miało w sobie pewien rozmach, i bardzo być może, że na dnie myśli to imię wiązało mu się w jakiś sposób z Torquemadą i inkwizycją, chociaż nie sądzę, aby właśnie ten Jan Hiszpan miał z nimi coś wspólnego. Zapomniałem już, jakie było miejsce tego świętego w historii.

Całe to zajęcie się wyborem interesującego imienia może się wydać jedynie niewinnym głupstwem i przypuszczam, że było nim w istocie. A jednak zdaję sobie teraz sprawę, że było ono też oznaką głębokiego i bardzo zasadniczego błędu w tym powołaniu, które tak wypełniało moje serce i zajmowało moją wyobraźnię w owych dniach lata 1940.

Prawda, że miałem powołanie do życia zakonnego. Wykazało się to później dostatecznie jasno. Ale usposobienie, w którym gotowałem się do wstąpienia do nowicjatu franciszkańskiego było o wiele bardziej niedoskonałe niż mogłem to wtedy pojąć. Wybierając franciszkanów szedłem za pozornie jak najbardziej usprawiedliwionym pociągiem serca — pociągiem, który mógł być równie dobrze znakiem woli Bożej, nawet choćby nie był nadprzyrodzony, jak mnie się wówczas wydawało. Wybrałem ten zakon, bo myślałem, że będę mógł bez trudności zachowywać jego regułę, bo czułem pociąg do pracy nauczycielskiej i pisarskiej, jaką zdawał się mi ofiarowywać, a jeszcze bardziej do otoczenia, w jakim prawdopodobnie przyszłoby mi życie spędzić. Bóg nieraz przyjmuje niewiele lepsze, a czasem nawet o wiele gorsze usposobienia i powody i w swoim czasie przetwarza je na prawdziwe powołanie.

Ze mną miało się jednak stać inaczej. Miałem być poprowadzony

drogą, której nie mogłem zrozumieć, i iść ścieżką, której sam nie byłem w stanie obrać. Bóg nie chciał mieć nic do czynienia z moim naturalnym wyborem, z moimi naturalnymi gustami i zachceniami, dopóki nie odłączyły się kompletniej od swego dawnego szlaku i dawnych nawyków i dzięki Jego własnemu działaniu nie zwróciły się do Niego Samego. Mój naturalny pociąg, moje własne upodobanie w wyborze sposobu życia, nie były wcale godne zaufania. A mój egoizm już się zaznaczał w tym przywłaszczaniu sobie całego tego powołania i w przystrajaniu przyszłości w różnego rodzaju przyrodzone przyjemności i powodzenia, które miały podeprzeć i obronić moje *ego* przed troskami i kłopotami życia w świecie.

Poza tym spodziewałem się, że zostanę dobrym zakonnikiem i sprostam obowiązkom klasztornym polegając prawie zupełnie na moich własnych siłach i na moich własnych cnotach — jak gdybym w ogóle jakiekolwiek posiadał! Bóg nie żąda od nas, abyśmy opuszczając świat robili Mu łaskę.

Bóg powołuje ludzi — nie tylko zakonników, ale wszystkich chrześcijan — do tego, by stali się „solą ziemi". Ale smakiem tej soli — mówi św. Augustyn — jest życie nadprzyrodzone, a zatracamy je, kiedy przestając polegać na samym Bogu kierujemy się w naszym działaniu jedynie pragnieniem dóbr doczesnych, albo strachem przed ich utratą. „Przetoż wy nie pytajcie się co będziecie jeść, albo co będziecie pić i niech nie ogarnia was niepokój przewidywań. Bo o to wszystko ubiegają się narody świata, a Ojciec wasz niebieski wie, że tego potrzebujecie" *(Łk 12, 29—30).* Chrystus powiedział też wszystkim: „Jeśli kto chce za mną iść, niech się zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój i naśladuje mnie. Albowiem kto by chciał życie swe zachować, straci je. A kto by stracił życie swe dla mnie, znajdzie je" *(Mt 16, 24—25).*

Niezależnie od tego, do jakiego zakonu wstępujemy, to czy jego reguła jest mało czy bardzo surowa samo w sobie nie ma wielkiego znaczenia — ale jeżeli nasze powołanie ma być naprawdę owocne, musi nas ono kosztować, musi być dla nas rzeczywistą ofiarą. Musi być krzyżem, prawdziwym wyrzeczeniem się dóbr przyrodzonych, nawet najszlachetniejszych i najwyższego rodzaju.

Skoro byłem tym, kim byłem, tak bardzo przywiązanym do dóbr materialnych, tak pogrążonym w samym sobie, tak dalekim od Boga i tak mało polegającym na Nim, a tak bardzo na sobie i swoich iluzorycznych siłach, trzeba było koniecznie i było rzeczą ważną, abym nie rozpoczynał życia zakonnego w takim usposobieniu, w jakim wówczas chciałem wstąpić do franciszkanów.

Bo oto właściwa prawda: jeżeli chodziło o mnie, to wstąpienie do franciszkanów, szczególnie w tym momencie mojej historii

nie stanowiło absolutnie żadnej ofiary. Nawet wyrzeczenie się dozwolonych rozkoszy ciała nie kosztowało mnie tak wiele, jakby można się było spodziewać. Wycierpiałem z tego powodu tyle udręczeń i niepokojów, że cieszyła mnie raczej perspektywa spokoju w życiu chronionym przez ślub czystości od żaru i mąk namiętnych uczuć. Tak że nawet i to było dla mnie raczej dobrodziejstwem niż ofiarą — tym bardziej, że w moim głupim niedoświadczeniu wyobrażałem sobie, że walka z moją pożądliwością jest już wygrana, że dusza moja stała się wolna i nie potrzebuję się już wiele o te sprawy troszczyć.

Wszystko, co stało przede mną, to wstąpienie do nowicjatu i poddanie się przez rok pewnym niedogodnościom tak nieszkodliwym, że można ich prawie nie zauważyć — potem już całe życie miało być łatwe i zachwycające: dużo wolności, mnóstwo czasu na czytanie, studiowanie i rozmyślanie, zupełna swoboda pójścia za swoimi pragnieniami i upodobaniami w sprawach umysłu i ducha. Miałem wejść w świat najszczytniejszych przyrodzonych przyjemności — bo w pewnym znaczeniu może taką przyjemnością być i modlitwa.

Przede wszystkim nie trzeba zapominać, że na całym świecie była wtedy wojna i nawet teraz, w naszym domku, siedzieliśmy wieczorami wkoło kominka i rozważaliśmy ustawę o przymusowej służbie wojskowej, która miała być niebawem wniesiona na kongres w Waszyngtonie. Zastanawialiśmy się jak to będzie i jak my się mamy do niej ustosunkować.

Dla Laxa i Gibney'a to prawo przedstawiało skomplikowany problem sumienia. Zastanawiali się, czy w ogóle jakakolwiek wojna jest usprawiedliwiona, a jeśliby nawet tak było, czy sumienie by im pozwoliło wziąć w niej udział w roli kombatantów. Co do mnie, nie było tu żadnego problemu, ponieważ będę wtedy już w klasztorze i ta sprawa zostanie automatycznie rozstrzygnięta.

Uważam za rzecz oczywistą, że tego rodzaju powołanie jak moje wymagało większej próby. Bóg nie pozwolił mi opuścić utrapień tego świata po to, aby znaleźć sobie upatrzone schronienie. Gotował mi inną drogę. Chciał zadać mi kilka pytań dotyczących tego mojego powołania — pytań, na które nie będę w stanie odpowiedzieć.

Wtedy, kiedy nie zdołam na nie odpowiedzieć, On mi sam da te odpowiedzi i okaże się, że problemu już nie ma.

Zdarzyła mi się rzecz dziwna, chociaż sam nie dostrzegłem w niej żadnej przestrogi: jednego wieczoru czytałem dziewiąty rozdział Księgi Joba i kilka wersetów uderzyło mnie i zadziwiło tak, że nie mogłem ich zapomnieć:

„Odpowiadając Job rzekł: Prawdziwie wiem, iż tak jest i że człowiek porównany z Bogiem nie będzie usprawiedliwiony. Jeżeli będzie się z Nim chciał spierać, nie będzie mu mógł odpowiedzieć

jednym na tysiąc... Mądry jest sercem i mocny siłą: kto mu się sprzeciwił, a miał pokój?... On porusza ziemię z miejsca jej, i słupy jej wstrząsają się. On przykazuje słońcu i nie wschodzi i gwiazdy zamyka jakby pod pieczęcią".

Był chłodny wieczór letni. Siedziałem na drodze na zewnątrz szeroko otwartego garażu, który teraz, gdy nie mieliśmy już samochodu, przemienił się na ogólną sypialnię. Rice, Lax, Seymour i ja, wszyscy wynieśliśmy tam nasze łóżka, aby spać na świeżym powietrzu. Z książką w rękach spoglądałem w dół na światła samochodów pełznących drogą z doliny ku górze. Patrzałem na ciemny kontur zalesionych wzgórz i na wschodzące na wschodniej stronie nieba gwiazdy.

Słowa tekstu Vulgaty dźwięczały i budziły echo w moim sercu: *Qui facit Arcturum et Oriona...*" On czyni Wóz niebieski i Kosy i Plejady i gwiazdy południowe..."

Było coś głębokiego i niepokojącego w tych wierszach. Sądziłem, że wzruszają mnie tylko swoją poezją;. a jednak dość niejasno czułem, że jest w nich coś osobiście dla mnie. Bóg często mówi do nas bezpośrednio przez Pismo św., to znaczy wszczepia w nas w miarę czytania słowa pełne łask, tak że nagle nieodkryte dotąd ich znaczenia odsłaniają się naszym sercom, jeżeli śledzimy je uważnie czytając je umysłem przepojonym modlitwą.

Nie umiałem jeszcze wtedy czytać w ten sposób, ale mimo to te słowa miały w sobie jakiś ciemny płomień, który zaczynał mnie palić i parzyć.

„Jeśli przyjdzie do mnie, nie ujrzę Go; jeśli odejdzie, nie zrozumiem... Jeśli spyta nagle, któż Mu odpowie? Albo kto rzec może: Czemu tak czynisz?"

Było coś w tych słowach, co zdawało się zagrażać całemu pokojowi, którego zaznawałem w ubiegłych miesiącach; jakaś pierwsza przestroga przed oskarżeniem, które miało odsłonić zapomnianą rzeczywistość. Zasnąłem w słodkim poczuciu bezpieczeństwa. Żyłem jak gdyby Bóg istniał jedynie dla udzielania mi łask doczesnych...

„Bóg, którego gniewowi nikt się oprzeć nie może, i pod którym się zginają ci, którzy noszą okrąg.

Kimże tedy ja jestem, abym Mu miał odpowiedzieć i mówił słowy moimi z Nim?

A gdy mię wysłucha wzywającego, nie wierzę, żeby słyszał głos mój.

W wichrze bowiem zetrze mię i rozmnoży rany moje nawet bez przyczyny..."

„Nawet bez przyczyny!"

Mój niespokojny umysł zaczynał już bronić się przed tym nie-

lojalnym Bogiem, który przecież nie mógł być naprawdę nielojalny ani niesprawiedliwy.

„Jeżeli będę chciał się usprawiedliwić usta moje potępią mię; jeśli się pokażę niewinnym, dowiedzie, żem nieprawy.

...i rozmnoży rany moje nawet bez przyczyny!".

Zamknąłem książkę. Te słowa wniknęły we mnie głęboko. Wydały mi się czymś, czego nigdy nie będę w stanie zrozumieć. Ale wrażenie, jakie na mnie wywarły, powinno było stać się dla mnie rodzajem ostrzeżenia, że będę zmuszony do zastosowania ich poniekąd do siebie.

Cios spadł na mnie zupełnie nagle.

Już tylko kilka tygodni dzieliło mnie od wstąpienia do nowicjatu. Dostałem już ostatnie listy od przełożonego nowicjuszy z wykazem rzeczy, które miałem przywieźć ze sobą do klasztoru. Nie było ich dużo. Jedynym kłopotliwym przedmiotem z tej listy był „parasol".

Ten spis sprawił mi wielką radość. Odczytywałem go wciąż na nowo. Zacząłem odczuwać to samo przyjemne podniecenie aż do głębi wnętrzności, jak kiedy miałem wyjeżdżać na jakiś obóz w lecie, albo wstępować do nowej szkoły...

I wtedy Bóg postawił mi pewne pytanie. Zapytał mnie o moje powołanie.

A raczej Bóg nie potrzebował mi zadawać żadnych pytań. Wiedział wszystko, co dotyczy mojego powołania. Pozwolił jednak, jak sądzę, szatanowi postawić mi pewne zapytania, nie dlatego, by szatan się czegoś dowiedział, ale żebym ja się niejednego nauczył.

Istnieje w piekle rodzaj pokory, który jest tam jednym z najstraszliwszych udręczeń i różni się nieskończenie od dającej pokój pokory świętych. Ta fałszywa pokora piekła polega na wieczystym, palącym wstydzie z powodu nie dających się zatrzeć stygmatów naszych grzechów. Potępieni odczuwają swoje grzechy niby szatę utkaną z obelg nie do zniesienia, z której nie mogą się wyrwać; są to tuniki Nessusa, które ich wieczyście parzą i których nigdy nie będą mogli z siebie zrzucić.

Udręki samopoznania nie można uniknąć i na tej ziemi, dopóki pozostaje w nas jeszcze coś z miłości własnej: bo tym, co odczuwa ten palący wstyd, jest pycha. Dopiero kiedy w duszach naszych cała pycha i cała miłość własna zostały strawione przez miłość Boga, zostajemy uwolnieni od tego, co jest przedmiotem tej udręki. Dopiero kiedy zatraciliśmy całą samolubną miłość dla siebie samych, nasze przeszłe grzechy przestają być dla nas przyczyną cierpień albo udręki wstydu.

Bo święci rozpamiętując swoje grzechy nie myślą o swoich winach, ale o miłosierdziu Boga i w ten sposób nawet minione zło staje się dla nich obecnie przyczyną radości i służy chwale Bożej. To pysznych pali i pożera ta straszna pokora piekła... Jak długo tu żyjemy nawet ta paląca udręka może się przemienić w łaskę i powinna stać się przyczyną radości.

W każdym razie pewnego dnia zbudziłem się, aby się przekonać, że pokój, którego zaznawałem od kilku miesięcy, nagle odszedł ode mnie.

Eden, w którym żyłem, zniknął. Znalazłem się poza jego murem. Nie wiedziałem, jakie płomieniste miecze zamknęły mi drogę do bramy, której odszukanie stało się dla mnie niemożliwością. Byłem więc teraz znów na zewnątrz, na zimnie, nagi i samotny.

Wtedy wszystko zaczęło się rozpadać, zwłaszcza moje powołanie do zakonu.

Nie przychodziło mi do głowy zwątpić w moje pragnienie wstąpienia do franciszkanów, życia w zakonie, kapłaństwa. To pragnienie było silniejsze niż kiedykolwiek, teraz kiedy zostałem wyrzucony w ciemność lodowatej samotności. Była to właściwie jedyna rzecz, jaka mi pozostała, jedyna rzecz mogąca mnie jeszcze okryć i zagrzać — stanowiła jednak małą pociechę, ponieważ sama obecność tego pragnienia dręczyła mnie swoim kontrastem z tą nagłą beznadziejnością, która wyłoniła się jak burza ze skrytej głębi mojego serca.

Pragnienie wstąpienia do zakonu było mi niewielką pociechą, bo nagle stanęła przede mną dręcząca wątpliwość, pytanie bez odpowiedzi: — czy rzeczywiście mam takie powołanie?

Nagle przypomniałem sobie kim do tej pory byłem. To mnie zaskoczyło — od września ubiegłego roku jakby zapomniałem, że kiedykolwiek zgrzeszyłem.

Ale teraz uświadomiłem sobie niespodziewanie, że żaden z ludzi, z którymi mówiłem o moim powołaniu, ani Dan Walsh, ani ojciec Edmund, nie wiedzieli kim byłem naprawdę. Nie wiedzieli nic o mojej przeszłości. Nie wiedzieli, czym było moje życie, zanim przeszedłem na katolicyzm. Po prostu przyjęli mnie życzliwie, ponieważ powierzchownie wydawałem się przyzwoitym człowiekiem, miałem dosyć uczciwą twarz i zdawałem się być szczery i mieć normalną dozę rozsądku i dobrej woli. Z pewnością nie było to jednak wystarczające.

Teraz straszliwy problem stanął przede mną: — Muszę pójść powiedzieć to wszystko ojcu Edmundowi. Może spojrzy teraz na mnie zupełnie inaczej. Nie wystarcza przecież *pragnąć* wstąpić do zakonu.

Pociąg do życia klasztornego nie jest nawet najważniejszym

czynnikiem w powołaniu zakonnym. Trzeba jeszcze mieć odpowiednie moralne, fizyczne i intelektualne zdolności. I trzeba zostać przyjętym i to przyjętym na pewnych podstawach.

Kiedy spojrzałem na siebie w świetle tego zwątpienia, zaczęło mi się wydawać zupełnie niemożliwe, żeby ktoś przy zdrowych zmysłach mógł mnie uważać za dobry materiał na księdza.

Natychmiast więc spakowałem rzeczy i pojechałem do New Yorku.

Długa, niezmiernie długa wydała mi się ta podróż — pociąg zdawał się wlec wzdłuż zielonych dolin. Kiedy zjeżdżaliśmy w dół Delaware ku Callicoon, gdzie franciszkanie mają małe seminarium, niebo pokryło się chmurami. Zwolniliśmy zaczynając mijać pierwsze domy osady, rozsypane przy drodze wzdłuż toru. Chłopiec wychodzący z rzecznej kąpieli biegł po ścieżce wśród wysokich traw, aby uciec nim wybuchnie burza. Matka przywoływała go z ganku jednego z domów.

Odczułem podświadomie moją własną bezdomność.

Kiedy przejechaliśmy zakręt i ujrzałem na wzgórzu pomiędzy drzewami kamienną wieżę seminarium, pomyślałem: — Nigdy już tam nie zamieszkam.

Przyjechawszy wieczorem do New Yorku zadzwoniłem do ojca Edmunda, ale był zanadto zajęty, żeby mnie przyjąć.

Pojechałem więc do domu wuja w Douglaston.

— Kiedy wstępujesz do nowicjatu? — zapytała ciotka.

— Może w ogóle nie wstąpię — odrzekłem.

Nie pytali już o nic więcej.

Przystąpiłem nazajutrz do komunii; prosiłem gorąco o spełnienie się we mnie woli Bożej — i zostałem wysłuchany. Ale wtedy byłem jeszcze daleki od zdolności zrozumienia, że się tak właśnie stało.

Ojciec Edmund wysłuchał wszystkiego, co mu miałem do powiedzenia. Mówiłem mu o swojej przeszłości i teraźniejszych niepokojach. Był bardzo przyjacielski i dobry dla mnie.

Ale jeżeli miałem nadzieję, że jednym uśmiechem rozwieje moje wątpliwości, to doznałem zawodu.

Powiedział tylko:

— Słuchaj, Tom, może pozwolisz mi pomyśleć nad tym i pomodlić się trochę. Wróć za dwa dni. Zgoda?

— Za dwa dni?...

— To przyjdź jutro.

Czekałem jeszcze dzień. Umysł mój był pełen udręki i niepokoju. Modliłem się: — „Mój Boże, przyjmij mnie do klasztoru. Ale cokolwiek zechcesz, niech się stanie wola Twoja".

Teraz oczywiście wszystko rozumiem. Byłem wtedy pełen dziwacznych, przesadnych wyobrażeń. Żyłem jak gdyby w rodzaju koszmaru i nie widziałem niczego jasno i prosto. Ale ojciec Edmund widział dostatecznie jasno we mnie.

Widział, że byłęm jeszcze świeżym konwertytą, nie należącym nawet i dwóch lat do Kościoła. Widział, że moje życie było w przeszłości bardzo „cygańskie", że moje powołanie wcale nie jest tak pewne i że sam pełen jestem wątpliwości i złych przeczuć. Nowicjat był i tak w komplecie. A kiedy nowicjat jest rok po roku zapchany postulantami, przychodzi czas na rozpatrzenie wartości napływających powołań. Tam, gdzie jest taki tłum, trzeba bardzo uważać, żeby prąd tej fali nie poniósł także z sobą i kilku mniej odpowiednich kandydatów...

A więc następnego dnia oznajmił mi, bardzo łagodnie, iż powinienem napisać do Prowincjała z oznajmieniem, że rozmyśliłem się i odwołuję moje zgłoszenie do nowicjatu.

Nic nie miałem do powiedzenia. Mogłem tylko zwiesić głowę i patrzeć dokoła na ruiny mojego powołania.

Postawiłem parę nieśmiałych pytań, próbując przekonać się, czy mój wypadek jest zupełnie beznadziejny. Naturalnie ojciec Edmund nie chciał w czymkolwiek wiązać siebie ani swojego zakonu, tak że nie mogłem unieść na przyszłość żadnej nawet niejasnej obietnicy.

Wydało mi się, że bez dwóch zdań kapłaństwo jest teraz dla mnie na zawsze wykluczone.

Przyrzekłem, że zaraz napiszę ten list i że robiąc to wyrażę moją na zawsze niezachwianą lojalność względem zakonu Braci Mniejszych.

— Zrób to — rzekł Ojciec — Prowincjał będzie bardzo rad.

Schodząc ze stopni klasztoru byłem tak otumaniony, że nie wiedziałem co z sobą począć. Jedyna rzecz, na którą myśl moja mogła się zdobyć, to pójście przez Serenth Avenue do bliskiego stacji kościoła kapucynów. Wszedłem tam i ukląknąwszy gdzieś w tyle zobaczyłem księdza słuchającego spowiedzi. Powstałem więc i zająłem miejsce w krótkim szeregu ludzi czekających obok jego konfesjonału.

Klęczałem w ciemności dopóki kratka nie odsłoniła się z trzaskiem; zobaczyłem chudego, brodatego księdza przypominającego trochę Jamesa Joyce'a. Wszyscy kapucyni tu w Stanach noszą takie brody. Ksiądz nie był w usposobieniu chętnym do wysłuchiwania nonsensownych zwierzeń, ja zaś byłem tak wzruszony i nieszczęśliwy, że nie umiałem jasno się wyrazić i moja historia wypadła zupełnie bezładnie. Spowiednik wywnioskował oczywiście, że ja tylko skarżę się i staram się obejść decyzję jakiegoś zakonu,

który wydalił mnie, zapewne nie bez słusznych powodów, ze swojego nowicjatu.

Wszystko to było tak beznadziejne, że w końcu zacząłem mimo woli krztusić się i szlochać i już nie mogłem dalej mówić. Na to ksiądz sądząc prawdopodobnie, że ma do czynienia z emocjonalnym, niezrównoważonym i głupkowatym osobnikiem, oświadczył mi w bardzo mocnych słowach, że z pewnością nie nadaję się do żadnego zakonu, a tym mniej do stanu kapłańskiego, i właściwie dał mi do poznania, że po prostu przyprawiam go o stratę czasu i znieważam Sakrament Pokuty pozwalając sobie na litowanie się nad sobą w jego konfesjonale.

Wyszedłem z tej próby w stanie zupełnego rozbicia wewnętrznego. Nie mogłem wstrzymać łez przeciekających przez palce dłoni, w których ukryłem twarz. W takim stanie modliłem się przed tabernakulum i wielkim kamiennym ukrzyżowanym Chrystusem nad ołtarzem.

Oprócz własnego cierpienia i nędzy uświadamiałem sobie tylko jedno: teraz nie mogę już myśleć, że mam powołanie do klasztoru.

Thomas Merton

(c. d. n.) Tłum. Maria Morstin-Górska

MIECZYSŁAW A. KRĄPIEC OP

FILOZOFIA I POSTĘP

TAKI tytuł patronował kongresowi filozoficznemu w westfalskim Münster, w dniach od 21—25 października 1962. Kongres zgromadził przede wszystkim filozofów publikujących swe rozprawy w języku niemieckim. Dlatego to — obok osobistej znajomości organizatorów Kongresu — otrzymałem zaproszenie do uczestniczenia w jego obradach.

Nieco wcześniej, profesor KUL historii starożytnej i wczesnośredniowiecznej, ks. doc. dr Marian Kurdziałek, otrzymał zaproszenie od Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Reńskiego w Bonn na uroczysty wykład, który zgodnie z tradycją odbywa się na początku roku akademickiego, zaczynającego się w NRF od 1 listopada. Na taki wykład zaprasza Wydział profesorów lub (także) myślicieli, którzy coś nowego na terenie swojej specjalizacji i niebłahego dla dziejów kultury mają do powiedzenia. W poprzednich latach z tego rodzaju wykładami były takie osobistości jak G. Marcel, Yves Congar, Van Steenberghen, Rahner i inni.

Mając zbieżne zaproszenia wyjechaliśmy razem do Niemiec. Między jedną i drugą imprezą trwał miesiąc przerwy z miejscem pobytu w Bonn, w konwikcie dla studentów teologii. I trzy sprawy: kongres, wykład, oraz seminarium duchowne archidiecezji kolońskiej zajmą na chwilę naszą uwagę.

Stare, średniowieczne, bo sięgające jeszcze 804 roku, czyli początku osadzenia się biskupstwa, westfalskie Münster, przypominające przez swe „planty" Kraków, leży w westfalskiej „zatoce", którą kiedyś stanowiło dno — sięgającego aż tutaj — Morza Północnego. Od wschodu otacza kotlinę górzysty wał Lasu Teutoburskiego, od południa i południowego wschodu pogórze Sauerlandu, od północy morze, a od północnego zachodu równina holenderska, której ludność chyba się mieszała z mieszkańcami Westfalii, jak o tym świadczy zbliżony do języka holenderskiego plat niemieckiej Westfalii.

Samo miasto Münster, stolica Westfalii, zniszczone w czasie wojny w 80%, dźwignęło się już całkowicie, tak że poza — opuszczonym —

kościołem dominikanów, właściwie już nie znać śladów wojny w tym 190 tysięcznym zbiorowisku ludzi. W centrum miasta, obok starej romańsko-gotyckiej katedry św. Pawła, rozbudowały się z powojennym rozmachem gmachy uniwersytetu (gmach centralny — stary pałac — stoi przy botanicznym ogrodzie), założonego jeszcze w 1773 roku. I właśnie przy placu katedralnym, w supernowoczesnym gmachu Kolegium Filozoficznego, odbywał się Kongres. Na parterze budynku urzędował — precyzyjnie — Sekretariat i Informacja, na korytarzach pierwszego piętra zorganizowano wystawę dzieł z zakresu filozofii. Królowało tu oczywiście wydawnictwo Aschendorfa z Münster. Książki, niestety, są bardzo drogie; można je było podziwiać, tym przyjemniej, że znalazły się tu również, tłumaczone na język niemiecki, prace z zakresu estetyki R. Ingardena. Odczyty i dyskusje odbywały się w salach wykładowych na pierwszym i drugim piętrze.

Na pierwszy rzut oka można było zauważyć ogromną ilość ludzi, którzy uczestniczyli w posiedzeniach kongresu, tak że brakowało miejsc siedzących w przestronnych salach wykładowych, mimo że — na nieszczęście — wykłady odbywały się jednocześnie w różnych salach, co — rzecz jasna — uniemożliwiało śledzenie prac Kongresu. Wygłoszone jednak odczyty ukażą się w druku. Na salach uderzała przede wszystkim obecność dużej ilości ludzi młodych, którzy „twardo" siedzieli na wykładach i dyskusjach, oraz żywo reagowali przy utarczkach różnych szkół. Opowiadano mi, że wśród abiturientów i studentów istnieje duże zainteresowanie filozofią, tak że około 50% i wyżej wybiera dodatkowo przedmiot filozoficzny, mając możliwość wyboru przedmiotów z zakresu przyrodoznawstwa lub ekonomii. (Niemcy — którzy pilnie czytają polską czołową prasę — chcieli, by ta wiadomość dotarła do Kisielewskiego, jako odpowiedź na jego zarzuty o technokracji). Oficjalnie uczestników Kongresu z prawem głosu było około 400, przeważnie z Niemiec, co jest zrozumiałe, gdyż sam Kongres był zorganizowany przez Towarzystwo Filozoficzne Niemieckie (*Allgemeine Gesellschaft für Philosophie in Deutschland*). Byli jednak przedstawiciele ze Szwajcarii, Austrii, Holandii, Francji, Belgii, Włoch, Anglii, Jugosławii a nawet Ameryki. W pracach i dyskusjach brali udział nie tylko specjaliści z zakresu filozofii, ale także pracownicy innych dziedzin nauki i kultury, np. z wyższych szkół technicznych, prasy — tak niemieckiej jak i zagranicznej — i radia.

Jak już wspomniałem, Kongres był poświęcony zagadnieniu filozofii i postępu. Obrady otwarto w niedzielę po południu przez złożenie wieńców na cmentarzu, gdzie są groby profesorów, wstępne uroczystości i wykład prof. Löwitha z Heidelbergu: „Postęp jako konieczność". (Niestety, byłem wówczas jeszcze w drodze na Kongres). Drugi dzień Kongresu, poniedziałek 22 października, poświęcono najrozmaitszej problematyce filozoficznej, której to, co nowe, a przez to samo —

w jakimś sensie — postępowe, przedstawiali filozofowie z rozmaitych ośrodków głównie (ale nie tylko) niemieckich: Getyngi, Monachium, Hamburga, Berlina, Wiednia, Grazu, Münster, Bonn, Heidelbergu, Würzburga, Zurychu, Amsterdamu, Tübingen, Kolonii i Akwizgranu. Tematy dnia pierwszego, nagromadzone w nieproporcjonalnie dużej ilości (ok. 27!) nie łączyły się tematycznie w jakąś jedną całość, gdyż nie dotyczyły jednego lub kilku pokrewnych zagadnień. Dlatego też wygłaszanie ich odbywało się jednocześnie w 6 oddzielnych sekcjach, zajmując przy każdym temacie około 1½ godziny czasu. Wyczuwało się, że należy pozwolić każdemu, kto coś nowego przygotował, przedstawić publicznie swoje osiągnięcia, by już w dwu następnych dniach bardziej zająć się tematyką Kongresu. A oto przykładowo tematy dnia pierwszego: „Myśli i rzeczy" (E. Buber, Getynga); „Słowa, znaczenia, pojęcia" (R. Haller, Graz); „Pojęcie liczby u Bolzany" (G. Buhl, Bonn); „Model we współczesnej fizyce jako problem filozoficzny" (L. Schöfer, Tübingen); „Pojęcie prawdy logicznej" (M. Käsbauer, Monachium); „Problem redukcji u Husserla" (E. Ströker, Hamburg); „O stanie logicznym niektórych wypowiedzi M. Heideggera" (H. Delius, Getynga); „Antropologiczna i behawiorystyczna teoria świadomości" (L. Nauta, Getynga); „Ku współczesnej krytyce w teorii poznania" (M. Brelage, Berlin); „Problem współczesnej historii filozofii" (K. Zimmerman, Getynga); „Sartre'a dialektyka społeczeństwa" (K. Hartmann, Bonn); „Czy w filozofii jest postęp" (H. Kleiner, Wiedeń); „O niektórych relacjach między estetyką i terapeutyką w filozofii XIX wieku" (O. Marquard, Münster); „Problem absolutnego początku w filozofii Hegla" (L. E. Fulda, Berlin). „Przyczynek do interpretacji Descartesa *Olympica* (H. Schepres, Heidelberg); „Młodohegelianizm i problematyka ideologii" (P. C. Ludz, Münster); „Problem tolerancji w angielskim deizmie" (G. Gawlick, Giessen); Nietscheańska krytyka moralności i sytuacja współczesnej etyki" (H. Fahrenbacht, Tübingen); „Ryszarda Hönigswalda przyczynek do teorii podmiotu" (G. Woland, Würzburg); „Wokół dialektyki postępu" (T. W. Adorno, Frankfurt/M).

Następnego dnia, 23 października, obrady zgrupowały się wokół trzech tematów opracowywanych jednocześnie na trzech różnych salach wykładowych. Kolokwium pierwsze poświęcono ogólnemu zagadnieniu historycznych źródeł idei postępu. Z tematem tym związano dwa wykłady i dyskusje (jeden przed a drugi po południu): „Zródło i znaczenie idei postępu w *Querelle des Anciens et des Modernes* (H. R. Jauss z Giessen), oraz: „Descartes i problem postępu w filozofii" (L. Oeing-Hanhof, Münster). Na kolokwium drugie, poświęcone zagadnieniu kultury i społeczeństwa, składały się dwa odczyty z dyskusją: „Postęp i zachowawczość w kryzysie kulturowym (Ph. I. Idenburg, Amsterdam), oraz: „Kultura w przyrodniczo-naukowej cywilizacji" (H. Schelsky, Münster). Trzeci temat: „Rewolucja" miał również dwa odczyty: „Re-

wolucja i tradycja" (H. Barth, Zurych), tudzież: „Oddziaływanie filozofii na przygotowanie mieszczańskich rewolucji".

Wszystkie trzy kolokwia odbywały się równocześnie, z tym że temat jeden omawiano przed a drugi po południu. Na środę zostawiono do omówienia takie zagadnienia jak „Ewolucja a postęp", „Laicyzacja", „Metafizyka i historia". Z tematem pierwszym wiązały się odczyty: „O filozoficznym znaczeniu prawa ewolucji" (B. Rensch, Münster) i „O ewolucji kulturowej" (R. Gehlen, Akwizgran); z drugim — „Laicyzacja jako kategoria historyczno-filozoficzna" (H. Lübke, Münster), oraz „Krytyka kategorii historycznej nieprawidłowości" (H. Blumenberg, Giessen); z trzecim natomiast: „Wieczny byt w czasie" (E. Voegelin, Monachium) i „Metafizyka i historia" (K. H. Volkmann-Scluck, Kolonia). W ostatnim dniu odbywały się wybory. W trakcie Kongresu członkowie mogli być obecni na przedstawieniach teatralnych i koncertach muzycznych. Prócz tego były organizowane wycieczki po mieście.

Osobiście brałem udział w omawianiu zagadnienia historycznych źródeł idei postępu. Mimo że na jednym z poniedziałkowych odczytów prof. Kleiner z Wiednia dokumentował, iż na terenie filozofii, podobnie jak i w innych dziedzinach ducha ludzkiego, nie można mówić o wzrastającej krzywej postępu, ale dzieje filozofii należałoby raczej usymbolizować krzywą falistą, która ma swe wierzchołki i głębokie doliny, to jednak badanie problemów filozoficznych w aspekcie historycznym budzi dużą pokusę dopatrywania się postępu w filozofii, który to postęp — jak to widać na przykładzie Descartesa — polegałby na coraz to większym uświadamianiu sobie konieczności precyzowania metody filozoficznego myślenia. Stąd postęp w uściśleniu metody jest niewątpliwie postępem w dziedzinie filozoficznej interpretacji świata. Taka teza zdawała się wyraźnie uwidaczniać w Münsterowskim ośrodku, który jest uczulony na metodologię i to chyba nie bez wpływu anglosaskich i polskich metodologów i filozofów.

Sprawa ta jednak nie jest taka prosta. Jak starałem się uzasadnić, gdy mówimy o postępie w którejkolwiek dziedzinie, to wpierw trzeba się zgodzić na jakieś, mniej lub bardziej obiektywne, kryterium postępu, gdyż w przeciwnym wypadku to, co dla jednego będzie postępowe, dla innych zda się być wsteczne. Szczególnie jest to ważne właśnie na terenie filozoficznego poznania, gdzie właściwie nie ma zdania prawdziwego, uznawanego przez wszystkich filozofów. Jedynie możliwym wyjściem wydaje się zrelacjonowanie kryterium oceny postępu filozoficznego do teorii nauki wyznawanej przez dany kierunek filozoficzny. Coraz jaśniej bowiem uświadamiamy sobie dwa bardzo ważne czynniki (wcale nie jedyne, ani nawet nie najważniejsze) rozwoju nauki, a są nimi teoria nauki i filozofia. Okazuje się bowiem, że rozmaite typy nauk, nawet najbardziej „antyfilozoficzne" posiadają w samej

rzeczy wielorakie kontakty z filozofią, tak od strony możliwości interpretacji wyników nauk przez filozofię, jak od strony pierwotnych założeń, jak i opracowania właściwej sobie metody, która jest zależna od odpowiedniej teorii nauki, a ta z kolei jest zależna od filozoficznych koncepcji. I lepiej jest dla nauki, jeśli uświadomimy sobie kontakty z filozofią, aniżeli miałoby się w nieświadomości twierdzić o zupełnej autarkii nauki. Sama zaś filozofia, jej metoda badań i wyniki są również zrelacjonowane do przyjętej (nie dowolnie!) teorii nauki, chociaż ta ostatnia powstaje na kanwie systemu filozoficznego.

Do tej pory znamy trzy wielkie koncepcje (teorie) nauk: a) platońsko-arystotelesowską, b) pozytywistyczną Comte'a i c) kantowską. Każda z tych teorii nauk ma swoją historię, w wyniku której elementy poszczególnych teorii (branych w abstrakcyjnym, wydestylowanym stanie) wzajemnie się modyfikowały a nawet łączyły, tak że dziś, mimo zasadniczo jeszcze panującego modelu pozytywistycznego nauk, trudno mówić o pozytywistycznej koncepcji nauki, jako jedynie uznanej za „naukową". Czym głównie charakteryzują się te trzy wielkie teorie nauk? Chyba stawianymi pod adresem poznania pytaniami. Jeśli w teorii nauki Arystotelesa stawia się pytanie naukotwórcze: „dlaczego?" i w odpowiedzi na to pytanie (odpowiedzi dedukcyjnej, sylogistycznej, którą poprzedzała indukcja heurystyczna) widzi się sens nauki, to Comte samo pytanie „dlaczego?" uznał za bezsensowne, jako należące jeszcze do stanu prelogicznego (mitologia i metafizyka), a jedynie wartościowe dla poznania uznał pytanie „j a k?". Odpowiedzią na to pytanie staje się pozytywne poznanie, które można zilościować i przyporządkować sobie w algebrycznych funkcjach. Kant zaś dla zagwarantowania wartości poznania a przez to i jego naukowości (tak Comte jak i Kant starali się utożsamić ludzkie poznanie z poznaniem naukowym) szukał apriorycznych, koniecznych warunków ludzkiego poznania, jeśli w akcie poznania sami coś wnosimy i zarazem coś od zewnątrz otrzymujemy.

I właśnie w stosunku do istniejących teorii nauki, czy też w stosunku do ogólniejszej teorii nauki, którą trzeba zbudować można dopiero mówić o kryterium postępu, które rzeczywiście w dużej mierze leży w uświadomieniu sobie i uściśleniu metody poznania. Ale metody nigdy nie da się wystarczająco uświadomić i uściślić bez równoczesnego uświadomienia sobie teorii nauki w stosunku do której pewne metody poznania będą recesją, chociażby dokonały się w historycznie późniejszym okresie. Zatem nie sama metoda, ale metoda na tle filozofii nauki może stać się w dużej mierze kryterium postępu filozoficznego poznania.

Wykład ks. prof. M. Kurdziałka w dniu 26 listopada o g. 20 (ogłoszony na afiszach) „O panteizmie w XII wieku" należy do rzędu przeżyć naprawdę niezapomnianych. Odbył się on na przestronnej sali

wykładowej Reńskiego Uniwersytetu im. Fryderyka Wilhelma w Bonn. Samo miasto powiatowe, dziś stolica (Bundesdorf — jak mawiają Niemcy) związkowych Niemiec, sięga w swych początkach istnienia czasów rzymskich, w których legioniści zbudowali sobie widać niezły obóz — *castra bona* — niemal naprzeciw Siebengebirgów i ich winnic, oparłszy się przodem o potężny Ren, na tyłach zapewnili sobie kontrolę nad okolicą dzięki wcale pokaźnym wzgórzom Venusberg i Kreuzberg, z których można się było porozumieć sygnalizacją świetlną z oddaloną o kilkadziesiąt (30) km Colonia Agrippina, swym głównym obozowiskiem. Sam uniwersytet w Bonn zawsze cieszył się naukową dobrą sławą, państwu bowiem pruskiemu zależało, by tu, w Bonn, gromadzić wybitnych profesorów z całych Niemiec, a przez to cementować Nadrenię — która zawsze żywiła separatystyczne tendencje — z resztą Niemiec. Gmach uczelni o fasadzie jeszcze szerszej niż Wersal jest byłym pałacem kurfirsta Klemensa Augusta, arcybiskupa kolońskiego, syna Marii Teresy, udzielnego władcy Nadrenii, który pozostawił po sobie wspaniałe pałace i pustą kasę. Niepozbawieni humoru mieszkańcy Nadrenii mówią o nim, że był wszechwładnym panem, z jednym tylko ograniczeniem: co do ożenku — *Er konnte alles, nur nicht heiraten.*

Otóż w tym wspaniałym gmachu, po którym prawdopodobnie chodził Ludwig van Beethoven, słuchaliśmy wieczorem rzeczy nowych i rzucających sporo światła na wiek XII, na przejawy panteizmu, jego źródła itd.

Co — mówić będziemy niestety skrótami i nieprecyzyjnie — historia filozofii wiedziała o panteizmie XII wieku? Pod wpływem przekazów średniowiecznych teologów, w tym także Alberta Wielkiego i Tomasza z Akwinu, tudzież wcześniejszych jeszcze pism utarły się poglądy o istnieniu dwojakiego typu panteizmu: materialnego i formalnego. Panteizm formalny miałby głosić Amalryk z Bene, szczególnie zaś jego uczniowie. W myśl ich poglądów Bóg miałby stanowić istotę świata, jakby jego formę przenikającą wszystkie rzeczy. I ten typ panteizmu doczekał się szeregu potępień partykularnych, a także uroczystego potępienia na soborze lateraneńskim IV. Drugi typ panteizmu materialnego miałby głosić Dawid z Dinant, którego poglądy przedstawiali w niekorzystnym świetle tak Albert Wielki jak i Tomasz z Akwinu. W myśl ich przekazów materia i to pierwsza, zdaniem Dawida, miałaby być Bogiem. Ale rzecz dziwna, mimo iż Albert i Tomasz ostro zwalczali poglądy Dawida, to jednak jego doktryny sobór nie potępił, chociaż bezsprzecznie nadawała się ku temu. I dlaczego taki ostry ton dyskusji w pismach polemistów Dawida? Czyżby w Dawidzie z Dinant ujrzano niebezpiecznego materialistę, który okazałby się później ogniwem materialistycznej myśli starożytności i czasów nowożyt-

nych? Jaka była właściwie filozoficzna koncepcja Dawida i jakie źródła jego poglądów?

Na te pytania otrzymaliśmy solidną i uzasadnioną odpowiedź w wykładzie, który powstał na kanwie wielkiej i uciążliwej pracy edytorskiej pism Dawida z Dinant. Urywki tych pism po pierwszej wojnie światowej odkrył prof. A. Birkenmajer i zapowiedział ich wydanie. Upływały lata, świat naukowy interesujący się tym zagadnieniem czekał niecierpliwie na to wydarzenie, szczególnie zaś ojczyzna Dawida, Belgia, a zwłaszcza uniwersytet w Louvain dopraszał się o możliwość opublikowania tej pracy u siebie. Inne jednak, pilniejsze zajęcia nie pozwoliły prof. Birkenmajerowi spełnić swej obietnicy. Przekazał on więc zebrane materiały swemu doktorowi ks. M. Kurdziałkowi, który przez kilka lat żmudnej pracy, także w bibliotekach zagranicznych (Bonn, Kolonia, Gandawa, Bruges, Bazylea, Rzym, Paryż) wreszcie przygotował i obecnie już opublikował swe dzieło, którego historyczno-krytyczny *Wstęp* inaczej, w wielu zasadniczych punktach, naświetla ważne problemy historii wieków średnich. Niemcy w Bonn, którzy przez z górą dwa lata byli świadkami badawczych prac prof. Kurdziałka, chcąc dowiedzieć się o interesujących ich rezultatach badań, zaprosili go do siebie z odczytem. W odczycie tym było niezmiernie trudno podać wszystkie rezultaty pracy. Prelegent więc celowo ograniczył się do przedstawienia najciekawszych punktów poglądów Dawida i wskazał na ich źródła. Nie wspominał nic o niesłychanie ważnym problemie, który odmiennie niż dotychczasowa nauka ustawia w pracy monograficznej, mianowicie zagadnienie recepcji myśli Arystotelesa w średniowieczu łacińskim.

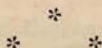
Trudno mi tu streszczać bogaty wykład. Wspomnę więc tylko o tych sprawach, które mnie bardziej poruszyły.

Albert Wielki i Tomasz zwalczali Dawida, bo mieli ku temu niebłahe powody. Sami bowiem starali się „ochrzcić" doktrynę Arystotelesa, wyklinaną przez Kościół. Arystoteles bowiem wkraczał na uropejskie uniwersytety od strony „niewierzących" Maurów, którzy komentowali doktrynę Stagiryty bez oglądania się na katolicką ortodoksję. A tu pojawiło się nowe niebezpieczeństwo. Sam Dawid z Dinant znał dobrze język grecki, czytał Arystotelesa z oryginału i jego tekstami argumentował na korzyść swej, ostatecznie nieortodoksyjnej, teorii. Co trzeba było zrobić? Należało ukazać, że Dawid źle i opacznie interpretuje starożytnego Filozofa a przez to „uratować" Arystotelesa i pozwolić mu wejść na uniwersytety średniowiecza.

Sam Dawid, będący prawdopodobnie profesorem na wydziale filozoficznym Uniwersytetu paryskiego, nie zdążył chyba jeszcze w sposób ostateczny ogłosić swej doktryny, przygotował sobie pomocniczy materiał do wykładów, gdy spotkał się już z potępieniem środowiska paryskiego. Prawdopodobnie udał się na dwór Innocentego III, który

potrzebował ludzi znających grekę, bo już myślał o soborze unijnym. Chyba obecność Dawida na dworze papieskim tudzież przyrodniczo-filozoficzny (a nie teologiczny!) charakter jego teorii, uchronił go od oficjalnego potępienia na soborze lateraneńskim IV. Czy Dawid wyznawał panteizm? Tak! Ale nie był on na tyle głupi, — jak się wyraża św. Tomasz: *stultissime dixit* — by twierdzić, że materia pierwsza jest Bogiem. Dawid nie był metafizykiem, ale raczej przyrodnikiem i filozofem przyrody. Jego panteizm wyrósł raczej na podłożu przyrodniczo-filozoficznej interpretacji człowieka. Jeśli materię uważał za substancję boską (a z materią utożsamiał i *NUS*), to raczej miała to być substancja typu eterycznego (Arystotelesowska *quinta essentia*, która była ciałem dla czystych inteligencji w sferach nadksiężycowych), mająca więcej wspólnego ze stoicką „pneumą" i augustyńską materią anielską, aniżeli perypatetycką materią pierwszą. Dawid nie okazał się zbyt daleko stojącym od kręgu platoników średniowiecznych, zwłaszcza od platońskiego Timaiosa, w którym świat materialny jawił się jako bóg zmysłowo poznawalny. W ogólnych koncepcjach nie odbiegał zbyt daleko od atmosfery i ducha epoki chrześcijańskiej gnozy i katarów.

Wykład był miłym, towarzyskim sukcesem, grupującym szereg znakomitych profesorów z Bonn i Kolonii.



Jeśli do tej pory mowa o różnych postępach w teorii, na końcu popatrzmy na praktykę. Chodzi tu o styl życia w seminarium duchownym kolońskim. Diecezja ta posiada trzy ogromne, oddzielne kolegia, z których dwą mieszczą się w Bonn: *Collegium Leoninum i Collegium Albertinum* i jedno w Kolonii. Zresztą w Kolegiach tych gromadzą się alumni trzech diecezji: kolońskiej, akwizgrańskiej i Essen. W Bonn bowiem jest czynny na uniwersytecie Wydział Teologii Katolickiej (obok istniejącego tu Wydziału Teologii Protestanckiej).

Kierownictwo *Collegium* składa się właśnie z dwu osób: dyrektora i jego zastępcy do spraw nauczania, zwanego tu „repetentem". Ojciec duchowny jest wspólny dla obu kolegiów i pół tygodnia przebywa w jednym, a pół w drugim zakładzie. Dyrektor J. Falke i jego zastępca L. Schöler, to naprawdę ludzie wyjątkowo dobrzy (piszę to nie dlatego, że nas za darmo utrzymywali a nawet urządzali wycieczki) i światli, rozumiejący młodzież. Dyrektor Falke był poprzednio duszpasterzem akademickim w Kolonii, a jego zastępca Schöler sam jest młodzieńcem, tak że atmosfera w kolegium jest ludzka, swobodna, z władzami niemal koleżeńska, co nie przeszkadza w szacunku a tym bardziej poważnemu traktowaniu spraw modlitwy, a zwłaszcza Mszy św., która jest tu naprawdę centrum całego dnia. Nie widać tu natomiast nawet śladu dewocji (w jej polskim rozumieniu).

Seminarium duchowne jest tu właściwie kolegium, w którym mieszkają studenci teologii studiujący na uniwersytecie. W Niemczech bowiem (mówię na przykładzie kolońskiej diecezji) inaczej niż u nas przebiega wychowanie przyszłego kapłana. Młodzieniec po ukończeniu szkół średnich zapisuje się na studia na teologicznym wydziale i wykształcenie pobiera w zasadzie wyłącznie na uniwersytecie. W kolegium zaś, za przewidzianą opłatą, otrzymuje mieszkanie, wspólne wyżywienie i opiekę duchową, która sprowadza się do zapewnienia studentom codziennej Mszy św., niektórych porannych i wieczornych wspólnych modlitw oraz wspólnych dorocznych rekolekcji. I do tych właśnie elementów w zasadzie ogranicza się duchowa opieka Kolegium nad studentami teologii.

Przez cztery lata studiów teologicznych na uniwersytecie przyszli alumni nie są jeszcze w niczym związani. Nie noszą żadnych szat duchownych, ubierają się tak samo, jak ich koledzy z innych wydziałów, na wykłady uczęszczają indywidualnie, tak samo zresztą jak i studenci teologii nie mieszkający w Kolegium (bo są i tacy), którzy dodatkowo interesują się studiami teologicznymi. Zresztą zaliczenie teologii umożliwia całkowicie świeckiemu człowiekowi otrzymanie nienajgorzej płatnego stanowiska katechety czy katechetki (zauważa się, wobec niedoboru księży, coraz większą ilość katechetów obojga płci).

Studenci teologii aspirujący do stanu duchownego, po odbyciu obowiązujących na uniwersytecie studiów, otrzymują obowiązkowo od władz diecezji jeden przynajmniej wolny semestr, w którym muszą opuścić kolegium, mieszkać prywatnie i wysłuchać na dowolnie obranym uniwersytecie wykładów, które budzą ich zainteresowania i które mogą stać się jakimś drugim życiowym umiłowaniem, jakimś *hobby*. Jeśli człowiek młody, po studiach teologicznych, odbywanych „z wolnej stopy", po dodatkowym semestrze, w którym mógł się całkowicie rozmyśleć i zmienić swój kierunek życia, zgłosi się do diecezji i oświadczy, że chce pracować jako duchowny, wówczas przechodzi na rok względnie nieco dłużej do bardziej ścisłego seminarium duchownego, w którym otrzymuje duchowny strój (sprowadzający się do koloratki, gdyż stroju długiego używają księża niemieccy wyłącznie do czynności liturgicznych i to nie zawsze i nie wszędzie). W tym ścisłym już seminarium duchownym alumni zapoznają się z przedmiotami wyłącznie zawodowymi a więc z teologią pastoralną i moralną praktyczną.

Jaką wartość ma tego rodzaju sposób wychowania alumnów? Zdaniem niemieckich duchownych, kapłani, którzy przeszli taką właśnie drogę wychowania, wybierają swój stan bardziej dobrowolnie, aniżeli ci, którzy przechodzą drogę seminarium zamkniętego. Dlatego też (może są jeszcze i inne powody) stosunkowo niższy procent kapłanów porzuca swój stan, aniżeli w krajach, w których Kościół prowadzi szkolnictwo zamknięte i to od najmłodszych lat, np. we Włoszech. Dalej, kapłan

niemiecki, mający wykształcenie uniwersyteckie niewątpliwie intelektualnie góruje nad kapłanem o wykształceniu zamkniętym, seminaryjnym (chodzi o dane przeciętne). Jest on bardziej „otwarty", dostrzega więcej problemów tak w teologii jak i w życiu. Wreszcie jest on bardziej złączony z ludem. Nie wyrobiło się bowiem w tego typu duchownym — przez odizolowanie — poczucie odrębności kastowej, której nie pogłębia ponadto odmienny, średniowieczny, długi strój, wyodrębniający go zasadniczo z reszty społeczeństwa. Przebywa on ciągle wśród społeczności i dba, by z niej nie wypaść i dobrowolnie, przez nawrót do minionych form życia, nie popaść w getto, co niemal się zrealizowało w okresie nazizmu.

Jako ostatnia uwaga, może krytyczna, duchowni w Niemczech Zachodnich czują się związani z rządem i to też daje im poczucie „bycia w" społeczności, która nie zawsze i nie we wszystkich aspektach budzi entuzjazm przybysza.

Mieczysław A. Krąpiec OP

SOMMAIRE

TREŚĆ ZESZYTU

W ZWIĄZKU Z OGRANICZENIAMI W ZUŻYCIU PAPIERU NAJBLIŻSZE NUMERY ZNAKU UKAŻĄ SIĘ W ZMNIEJSZONEJ OBJĘTOŚCI

Zeszyt podwójny
Cena zł 24.—

